# ANIA
# Z LECHICKICH PÓL

MARJA DUNIN-KOZICKA

# ANIA Z LECHICKICH PÓL

[2]

## MŁODOŚĆ



WARSZAWA 1932
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3250 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 2841







DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8

Drukarnia Narodowa w Krakowie, Wolska 19

## WŚRÓD ŚNIEŻNYCH ROZŁOGÓW UKRAINY.

W bezwietrznej ciszy rozlegały się donośnie hałaśliwe dźwięki bałagulskich „kwart“, stanowiących charakterystyczną cechę miejscowego zaprzęgu. Sanie, przepełnione dziatwą, sunęły jedne za drugiemi, wpadając niekiedy w przepaściste wyboje, z których wyciągały je bez wysiłku czwórki rasowych koni, zaprzężonych w lejc. Śniegu nasypało tyle, że głębokie rowy po obu stronach kilkunastu sążniowej drogi, przedstawiały się jak białe wały, poza któremi, oślepiający bezmiar śnieżystych puchów, migotał w blaskach grudniowego słońca niby rzucone z magnacką hojnością skry djamentowe. Gorący szafir nieba i przeczysta biel śniegów łączyły się z sobą hen! w dali, na krańcach powietrznego stropu, potęgując jaskrawością barw, ów rozmach zawsze tu natury bujnej, malowniczej w każdej porze roku. Pokryte szronem lasy gorzały skrami, rozpalonemi złotym młotem słonecznych promieni. Niepokalane płaty śniegu przyginały gałęzie podniebnych sosen i starych rozłożystych dębów, ścieląc wysokie, puchowe kobierce dla bezlistnych olbrzymów leśnych, przystrojonych bogato w tęczowe kryształki. W kotlinkach gromady olch brodziły stopami w zastygłej fali oceanu śnieżnego, czarującego dziś w powodzi słonecznych blasków, mogącego jednak wespół z poszarzałem niebem sypnąć w oczy zbłąkanemu podróżnemu ostro tnącą kurzawą i tumanem śnieżnym, owiewając go

grozą niesamowitej stepowej zawieruchy. Monotonję bezbrzeżnej roztoczy zimowego krajobrazu przerywały niekiedy samotne grusze, jedyne pozostałości wykarczowanych przed laty puszcz leśnych, dziś drogowskazy dla bystrego oka mieszkańców ziem ukrainnych.

Sanie, wiozące dziatwę, wysłane przez okoliczne dwory na stację Olszanica w Kijowszczyźnie, skręciły z szerokiego szlaku pocztowego, wyjeżdżonego i szklącego się w słońcu, na boczną, kopną drogę, kierując się na jedną z takich grusz samotnic. Wszystkie te zaprzęgi różniły się między sobą li tylko maścią dorodnych koni, cechował je bowiem swoisty typ bałagulski, a powożący niemi stangreci ubrani byli jednako: wysokie barankowe czapy, ciemne burki z wyłożonym na nie barankowym kołnierzem kożucha i szerokie skórzane pasy z wielką klamrą, ozdobioną herbem, albo szlachecką koroną. Kresowi ziemianie otwierali z całą gotowością ramiona, aby przyjąć u siebie i zająć się dalszym losem dziatwy polskiej, pozbawionej przez wojnę własnego schronu w Piasecznej.

W ostatnich saniach siedziała Ania z panną Elżunią. Otulona w przysłane futro, wpatrywała się z ciekawością i wielkiem zdumieniem w krajobraz tak odmienny od tego, jaki widywała dotychczas. Więc to jest ta Ukraina, którą się tak zachwycała pani Spendosia?! Jakże tu pięknie! Jaka szeroka droga! A te czwórki koni! Nigdy tak nie jeździła! I tyle śniegu! Jak cicho! Tylko dzwonki brzęczą i konie czasem parskają, a naokoło wszystko śpi! Bo to jest zaczarowane „królestwo Zimy“ z bajki, która tak Anię zachwyciła, że czytała ją wiele i wiele razy. Zdawało się jej teraz, iż ona to właśnie jest ową małą dziewczynką, po którą królewna Zima przyjechała cudnemi, białemi saniami, zaprzężonemi w lotne jak śnieg renifery. Miała na sobie płaszcz gronostajowy i wysoki,

szklący się jak brylanty, kołpak lodowy na głowie. Przygarnęła ją blisko, bliziutko, otuliła białem, puszystem futrem niedźwiedziem i zaklaskała w rączki. Renifery pomknęły. Śnieg mięciutki jak jedwab! Sanie z wyrzeźbionym łabędziem na przodzie, suną gładko niby łódka po stawie. Nawet ziemia nie przeziera z pod śnieżystej opony, bo ma takie dostatnie, pyszne futerko! Jak ono lśni w słońcu! Aż oczy bolą od patrzenia! Jaki świat wielki! Lasy błyszczą w złotych promieniach i takie ogromne, końca nie widać! Można jechać i jechać, a nie spotyka się innych sani, ani żywego człowieka! A może — zamigocą wreszcie hen! — daleko, na błękitnej ścianie nieba, okrągłe baszty lodowego pałacu, zaczarowanej siedziby królewny Zimy?!... Srebrzyste mewy, łopocąc skrzydłami, porwą się w locie ku swej władczyni!...

Tymczasem wbrew spostrzeżeniom Ani zaprzęgi zbliżały się do rozległej wsi ukraińskiej, przez którą wiodła dalsza droga. Zasypany śniegiem kołowrót nie stanowił wielkiej trudności dla przyzwyczajonych do tego rodzaju przeszkód koni i stangretów. Wpadłszy w głęboki wybój, sanie pomknęły dalej szeroką ulicą wiejską między dwoma szeregami chat, przywalonych śniegiem i świecących drobnemi szybkami okienek. O życiu wsi świadczyły dymy z kominów i bydło, powracające od wodopoju, za którem brnęli po kolana w śniegu gawroniący się chłopcy wiejscy, ustępując z drogi jadącym czwórkom. Zdała — widniał na wzgórzu dwór wśród majestatycznych świerków, dźwigających okiście śniegu. Droga biegła w dół, ku mostkowi, mijając studnię z wysokim żórawiem, którym gibka czarnobrewa Ukrainka w białym kożuchu, wyszytym barwnemi skórkami, ciągnęła wodę. Za mostkiem, wspinając się raźno na pagórek, wjechały rącze czwórki na plac wiejski, tak zwany „stepek“, pośrodku

którego stała bizantyjska cerkiewka z trzema charakterystycznemi kopułkami, w otoczu ubielonych drzew.

Na ten widok myśli Ani pofrunęły znów do Malinek, niby wędrowne ptaki, wiedzione instynktem pod rodzinną strzechę. Jak tu wszędzie inaczej! Jakie to niepodobne do kościółka w Malinkach! Więc aż tu zajechała?! Tak daleko od swoich?!... Ktoby się tego spodziewał?!...

Wieś pozostała za posuwającemi się chyżo saniami, pędzącemi w dal białą i przepastną napozór. Gładki dotychczas step zmienił się niepostrzeżenie w falujące łagodnie rozłogi, wśród których zarysowały się zrzadka, na krańcach zda się, niebieskiego stropu, wsie otulone w połyskliwe welony śnieżne. Niekiedy rozmowny stangret wskazywał końcem biczyska te zaledwo widne osiedla ludzkie i zabudowania folwarczne, wygłaszając ich nazwy z chełpliwością wieloletniego sługi dworskiego. Okazywało się, że i te i tamte wzniesienia na białej równi, ten dymiący komin cukrowni, ten olbrzymi szmat ziemi — należał do „naszych paniw“, tam, dokąd wy jedziecie! I to duże sioło tuż przed wami — takoż ich „batkowszczyna!“[1]

Tak objaśniał Grześ, vel Hrehorko, chłop Rusin, będący od dziecka przy stajni dworskiej, mówiący doskonale po polsku i do tego stopnia wciągnięty mimowoli w orbitę pańskości i bogactwa, że zdawało mu się, iż jest współwłaścicielem zaprzęgów i stajni. Z kilkorga sani, sunących przed bulankami Grzesia, dolatywały wraz z miarowym odgłosem kołyszących się „kwart“, wesołe dźwięki śmiechu i rozmów jadących dziewczynek. Nęciła je zmiana pobytu, zaciekawiała nowość wrażeń.

Przejechano około trzydziestu wiorst, gdy Grześ facho-

[1] Ojcowizna.

wem ściągnięciem lejców, osadził na miejscu karną bułaną czwórkę i, odwracając się ku otulonym w futra postaciom, oznajmił uroczyście:

— Oto już Semihory!

Jego wesoła, junacka twarz uśmiechała się z zadowoleniem; podkręcone zawadjacko wąsy przystrojone były sopelkami lodu, a barankowa czapa, nasunięta aż na brwi, odsłaniała bystre oczy. Patrzył na dwie „bieżenki“ uważnie, badając wrażenie, jakie na nie wywrze jego miejsce rodzinne. Widok był imponujący. Z falistej wyżyny, na której się zatrzymali, droga szła ostro wdół ku grobli i kilkupiętrowemu młynowi, a potem biegła szeroka i prosta między dwoma szeregami ładnych domków z ogródkami, zamieszkałych przez urzędników fabrycznych. Dalej wznosił się znacznie większy dom dyrektora w wieńcu z osrebrzonych śniegiem drzew, od których odcinała się jaskrawą czerwienią murowana fabryka cukru. Szeroko rozrzucona wieś, licząca zapewne kilka tysięcy mieszkańców, leżała po obu stronach rzeki, wypływającej ze stawu. Zielone kopuły cerkiewne zabarwiały odrębnym tonem biel grudniowego kolorytu, nad którym zachodzące nisko słońce zdawało się ociekać purpurą. Za wsią bezpośrednio rozciągnęło się miasteczko i widać było jakby na dłoni kościół w romańskim stylu, połyskujący cynkową blachą pokrycia. Wśród zbiorowiska małych żydowskich domków wystrzelały gdzieniegdzie znaczniejsze budynki, odznaczające się rudzizną cegły wbrew pstrokaciznie drewnianych ścian innych domostw, pociągniętych różową, zieloną, albo niebieską farbą. Najpiękniejszą ozdobą tego rozległego obrazu musiał być latem staw, tak wielki, że sprawiał wrażenie jeziora, skutego dziś lodem, zawianego śniegiem, po którym przecinały się drogi w różnych kierunkach. Nad stawem wsparł się dumnie na sklepio-

nych arkadach piętrowy, okazały pałac z portykiem o sześciu potężnych kolumnach. Opodal — bieliły się liczne zabudowania pałacowe, a dalej, wgórę, przedzielony wielkim obszarem parku i sadu owocowego, rozłożył się folwark, budynki gospodarskie, stajnie dla stadniny. Nad tem wszystkiem górował od strony parku piękny dom administratora z ostro zakończoną wieżyczką.

Szafirowe oczęta Ani pociemniały z nadmiaru wrażeń. Wpatrywała się bez tchu niemal w ten obraz, którego rozciągłość i bogactwo uderzyły jej dziecięcą wyobraźnię. Jaka cudowna ta Ukraina! I gdzie one tu zamieszkają?! W którym z tych domów?!... A może w pałacu?!... Ej, nie! To już byłoby naprawdę jak w bajce!

Jakgdyby w odpowiedzi na to niewymówione pytanie Grześ wyciągnął rękę w kierunku stawu, mówiąc:

— Czy widzicie ten mały dworek przy końcu parku?! Ot, ten, z kolumienkami i oszklonym ganeczkiem z boku?! To dla was. Pan administrator kazał mi was tu zawieźć. Dobrze wam będzie! Latem będą dziewczynki pluskać się w stawie. I sadek macie wiśniowy! Wio, malutkie!

Zjechawszy ostrożnie z góry, wytrawny stangret rozwinął bat i, strzeliwszy zeń parę razy z fantazją, wysunął się na czoło poprzedzających go czwórek, wskazując im drogę do przeznaczonego dla dziatwy schroniska.

Na ganku stało już kilka pań opiekunek w narzuconych naprędce szubkach i z wielką dobrocią powitało wysiadające z sanek dziewczynki i pannę Elżunię. Przewodniczyła im żona administratora semihorskiego klucza, pani Krystyna Domańska, której wiotka postać i blada, szczupła twarz nosiły wyraz ukrywanego cierpienia. Nikt z najbliższego nawet otoczenia nie znał przyczyny tego bolesnego wejrzenia jasnych oczu, gdyż pozornie życie jej układało się bardzo pomyślnie. W dużym jadalnym

pokoju stół, zastawiony niewyszukanemi, ale smacznie przyrządzonemi potrawami, oczekiwał na przemęczone nieco długą wędrówką podróżniczki. Ania zajadała z wielkim apetytem, nie rozmawiając wszelako z koleżankami, albowiem myśl jej zaprzątnięta była wszystkiem, co się przesunęło w tym dniu przed jej oczyma. Zaciekawiała ją również nieznana jeszcze sypialnia. Jak to tam będzie na tej przepięknej Ukrainie?! Czy tak twardo i niewygodnie jak w ochronie w Piasecznej?! A może tak miękko i błękitnie jak u mamusi?! Tu wszakże nastąpiło pierwsze rozczarowanie w tym nowym okresie życia, gdyż paluszek Ani, szukający wieczorem puchowej poduszki, trafił na łamliwe, słomiane wezgłowie. Snadź i tu, na tej mlekiem i miodem płynącej Ukrainie, opiekunki dziatwy uważały, iż hart ciała niezbędny jest dla mocy ducha.

## W SEMIHORACH.

Na drugi dzień rano Ania obudziła się jak zwykle nieco wcześniej od reszty dziewczynek. Niepodległość jej natury, zarysowująca się coraz wyraźniej wobec radykalnych zmian życiowych, buntowała się bezwiednie przeciw każdemu, rzuconemu zgóry nakazowi. Dzwonek, wyrywający ją ze snu, zdawał się jej być nieznośnym tyranem. Myśl ta prześladowała ją do tego stopnia, że budziła się parę razy nad ranem, aby go uprzedzić i, poleżawszy trochę, po jakimś czasie, wstać na jego odgłos z dobrej i nieprzymuszonej woli. Ostatecznie stało się to jej przyzwyczajeniem, a te ranne chwile, wykradane nieświadomie kontroli starszych, używała na ciche gawędy samej z sobą. Więc i tego ranka, otworzywszy oczy, jęła wodzić niemi po ścianach. Nie zeznawała z początku, gdzie się znajduje. Gliniany, szeroki piec w kącie, bielone wapnem ściany, łóżeczka żelazne, pomalowane na biało, żółte mięciuchne koce... Ach, prawda! Jest na Ukrainie! Mignęły przed nią obrazy skrzących się, ośnieżonych przestworów i rozwiały się, a zajęła ją rzeczywistość. Skąd płyną te słoneczne promienie, igrające ruchliwie w złocistej sukience Matki Boskiej Berdyczowskiej, zawieszonej na przeciwległej ścianie, nad białym klęcznikiem?!... Podniosła się na łokciu i obejrzała dokoła. Aha! To przez te serduszka, wycięte w okiennicach, zzewnątrz zamkniętych! Takich jeszcze dotąd nie widywała!

Wszystko tu inne... Nie ma już owej Matki Bożej

w niebieskim płaszczu z Jezusikiem na ręku, Tej, która się opiekowała nią tak serdecznie w jej pierwszych troskach dziecięcych, a potem — w ochronce! Kule pewno zwaliły tę ścianę, na której znajdował się Jej święty wizerunek! Jakie to wszystko dziwne! Nagle stanęły jej w oczach te mrówki w lesie w Malinkach, biegnące na różne strony, kiedy to Michaś wsadził dla zabawy kij w ogromne mrowisko. Dziewczynka ogarniała dalej wspomnieniem swoje niedawne przejścia. Jest znów sama na tej wielkiej drodze życia, o której mówił jej dziadzio, sama!... Gdzież jest mamusia, Bisia, rodzeństwo, gdzie taki dobry stryj Benedykt?!... Nawet opiekunek z Piasecznej przy niej już niema!...

Istotnie — ochrona dziwne przechodziła losy od chwili ucieczki przed następującemi hufcami Teutonów. Piorun wojenny oszczędził dziatwę, uderzając natomiast złośliwie w oddaną jej starszyznę. Panna Regina, kontuzjonowana odłamkiem szrapnela, zapadła na tak silne, dochodzące aż do nieprzytomności, bóle głowy, że musiała pozostać w Warszawie, aczkolwiek obie z przełożoną opłakały to rozstanie gorącemi łzami. W krótkim czasie po przybyciu na Wołyń, gdzie właściciel jakiejś zapadłej wsi ofiarował z całą gotowością niewielki domek tułaczom, nowy cios spadł na barki skłopotanej pani Matyldy.

Oto — policja rosyjska wezwała pannę Lucynę do pobliskiego miasteczka, a stwierdziwszy raz jeszcze w jej obecności, że wedle paszportu jest obywatelką Austrji i że nazwisko jej brzmi wcale „niebłagonadieżno“ „Henzel“, wyraziła niedwuznaczne powątpiewanie o prawości jej upodobań politycznych i jako możliwego szpiega niemieckiego, skazała na wyjazd do Orenburga. Szorstkość odpowiedzi panny Lucyny, zarzucającej „tym bandytom“ brak logiki, a nawet poprostu „kręćka umysłowego“,

utwierdziła ich tembardziej w powziętej decyzji. Rozogniona dyskusją „obywatelka“ powróciła chyżo do swego chwilowego azylu, a wtargnąwszy do przełożonej, jęła grzmieć niczem Jowisz na Olympie, wygrażając podniesionemi rękoma „bezczelnym stróżom caratu i samemu, godnemu ich carowi!“ Oszołomiona nawałem inwektyw pani Matylda pojęła wreszcie, że ubywa jej druga, wypróbowana współpracowniczka, ale pomijając własne z tego powodu trudności, przeniosła całą swą troskę na ciężki los długoletniej swej pomocnicy. Ta znów przeciwnie — drwiła z wygnania i z Orenburga, twierdząc, że wszędzie są „zakute głowy, którym się przyda nieco oleju“ i że wszędzie zarobi na życie belferką.

— Ale pani, pani jak sobie da radę z temi smykami?!— wołała gniewnie. — Tyle dzieci na tę jedną, nieszczęsną głowę! Reginki niema, Florcię zatrzymał w Warszawie ten rozkochany narzeczony! Drugi Albin! Wieczysta fontanna łez i zaklęć! Zostanie pani z panną Zofją, ale ta dba tylko o chorych wychowańców! Zdrowi nie obchodzą jej wcale! Co to będzie, moja droga pani? Wół-by tego nie uciągnął, a cóż dopiero jedna wątła kobieta! Ach! głupcy, idjoci, szakale! — (nowy upust goryczy i oburzenia). Całe szczęście, że mamy Jadzię! Pomimo młodego wieku może czasem panią wyręczyć.

Ale gdy Jadzia dowiedziała się o zesłaniu panny Lucyny do tak odległej miejscowości w Rosji, wpadła w głęboką zadumę. Po jakimś czasie udała się do przełożonej i, całując ją po rękach, błagała o pozwolenie towarzyszenia wygnance. — Jej to zawdzięczam — mówiła z hamowanem wzruszeniem — długoletni pobyt w tej naszej kochanej ochronie. Wszakże to ona, przechodząc koło budującej się kamienicy, była świadkiem tragicznej śmierci mego ojca, który spadł z rusztowania i zabił się

na miejscu. Zaopiekowała się jedyną córeczką biednego mularza, ubłagała panią przełożoną o wzięcie sierotki do Piasecznej, a potem uczyła mnie z całym zapałem, karcąc ostro, przeciw czemu stale się buntowałam. Ale teraz dojrzałam w tej naszej tułaczce i na wszystko patrzę innemi oczyma. Nie opuszczę panny Lucyny. Będę jej w tym Orenburgu gotowała, prała, sprzątała, a jeśli bieda nas przydusi, pójdę na posługi i tąk jakoś damy sobie radę we dwie. Czy dobrze, droga pani?!

Altruistyczne pobudki głównej bohaterki zatargu upadły wobec oświadczenia pani Matyldy, że plan Jadzi w zupełności pochwala, a jako pomocnicę wybiera sobie pannę Elżunię, z którą spotkały się parę razy u proboszcza w niedalekiej mieścinie. Tak przeszła jesień, hojna, kolorowa, słoneczna jesień wołyńska. Od wygnanek z Orenburga nadchodziły częste listy, przepełnione głęboką tęsknotą do kraju i za „swoimi". Panna Lucyna unosiła się w nich nad zaradnością i pogodą Jadzi, która podtrzymywała ją na duchu, wmawiając stale, że to całe zło szybko minie, albowiem takie ma w duszy niezachwiane przeczucie. Tymczasem — pomimo uzyskanych kilku lekcyj u miejscowych Polaków, wystarczało im zaledwie na skromne utrzymanie, przyczem gospodarcza skrzętność młodziutkiej wychowanki była istotnie nieoceniona.

Nadchodziła zima. Na polach, z których zebrano już wszystkie plony, widniały jeno, to tu, to ówdzie, przykryte ziemią kopce buraków, nie odstawionych jeszcze do cukrowni. Wiatr jął wygwizdywać zimne i szorstkie melodje, a po drutach telegrafu niosły się jękliwe podźwięki. Bywały już dnie kiedy polatywał śnieg naprzemian z siepiącym deszczem, niby zapowiedź niedalekich mrozów. Warunki, w jakich znajdowała się ochrona zmieniały się na gorsze. Ciasnota małego dworku przywodziła często na myśl

obszerny, jasny budynek w Piasecznej. Ścisłe oddzielenie chłopców od dziewcząt nie dawało się wprost przeprowadzić w tak zwężonych ramach, przyczem brak silnej dłoni panny Lucyny występował coraz dobitniej wobec rozbrykanych wychowanków. Na domiar złego pani Matylda jęła zapadać na zdrowiu. Lekkie z początku bóle w prawym boku stawały się z dniem każdym dokuczliwsze, a wezwany lekarz stwierdził niepokojący stan wątroby. Wytrawna kobieta pojęła, iż zawisł nad nią miecz Damoklesa w postaci ciężkiej choroby, a może nawet — śmierci, wytężyła tedy całą swą energję, aby ustalić losy ochrony. Wyprawiła naglący list do Centralnego Komitetu Obywatelskiego, działającego na terenie Rusi, a zawiązanego jeszcze w Warszawie, w 1915 roku.

Uzyskawszy wówczas od rządu rosyjskiego prawo zakładania ochron dla dziatwy polskiej, Komitet ów podążył za falą wysiedleńców, pędzonych na Wschód przez cofające się wojska moskiewskie, śląc na wszystkie szlaki tułacze ciepłe promienie opieki i pomocy materjalnej i moralnej. Ziemianie kresowi pośpieszyli również z dobrze pojętą ofiarnością, przeznaczając dla tworzonych przez C. K. O. ochron, budynki folwarczne lub pokoje w pałacach i dworach. Sprawa tedy dziatwy z Piasecznej została w krótkim względnie czasie pomyślnie rozwiązana. Pani Matylda otrzymała w odpowiedzi propozycję przeniesienia dziewczynek do Semihor w Kijowszczyźnie, stanowiących wraz z licznemi folwarkami wspaniały klucz, będący od kilkuset lat w posiadaniu magnackiego rodu. Chłopcy mieli nadal zostać pod jej opieką na Wołyniu w modrzewiowym dworku, ofiarowanym tak skwapliwie przez właściciela, pana Janusza Zaklikę, przyczem Wydział Oświatowo-Wychowawczy C. K. O. donosił przełożonej, iż skierowuje do niej sprężystego wychowawcę, który prze-

szedł zorganizowany wspólnemi siłami Komitetu i dodatkowy Kurs Nauczycielski Kijowskiej Rady Okręgowej.

Wyprawiła tedy przełożona na Ukrainę wszystkie dziewczynki z panną Elżunią, która była zapaloną patrjotką, dbającą najwięcej na świecie o Polskę, o jej niepodległość i zmartwychwstanie. Tylko dla matki staruszki uczyniła to poświęcenie, iż wyrzekła się objęcia niebezpiecznej roli wychowawczyni w legjonach, do których przekradli się jej bracia. Cała jej istota gorzała płomieniem ukochania sprawy ojczystej, a na powierzone sobie dziewczynki spoglądała z punktu widzenia ich przyszłej użyteczności w zaciętym boju o wolność narodu. To stanowisko, tak biegunowo przeciwne troskliwej dobroci panny Reginy, i panny Zofji, lub poczciwemu „wykuwaniu“ charakteru panny Lucyny, Ania wyczuwała doskonale, nie zdając sobie sprawy, oczywiście, z jego powodów. Wiedziała tylko, że u panny Elżuni dzieci z ochronki były daleko, bardzo daleko, gdzieś na ostatniem miejscu poza Polską i Piłsudskim, a u tamtych opiekunek nie napotykały żadnych przeszkód na drodze do ich macierzyńskiego uczucia. A przełożona?! „Czarna Pani“, jak ją nazywali chłopcy w Piasecznej, ściszając jednak mimowoli głos, gdy o niej mówili. Biedna!... Ania westchnęła cichutko w swojem łóżeczku, przypominając sobie jak się z nią przed paru dniami serdecznie żegnała, jak ją błogosławiła i szepnęła przy końcu wzruszonym głosem: — Pokochałam cię gorąco, moja maleńka! Daj Boże, abyś powróciła do tej ślicznej... cioci. Życzę ci tego z całego serca! Jakżebym chciała jeszcze się z tobą zobaczyć, ale nie wiem, czy to kiedyś nastąpi!... i nagle porywczym ruchem przyłożyła rękę do boku, a usta jej tak zbielały jakby krew z nich uciekła... Znów ten okropny atak! Biedna!... westchnienie tym razem głębsze podniosło szczupłą pierś

dziewczynki. Nie trzeba do nikogo się przywiązywać, bo widać to już takie jej nieszczęście, że jeśli kogoś pokocha, to musi stracić go nazawsze!

W tej chwili dał się słyszeć donośny głos dzwonka, uchyliły się drzwi od sąsiedniego pokoju i panna Elżunia weszła do sypialni. Napotkała rozbudzony wzrok Ani i spojrzała na przeciągające się wychowanki:

— Nie śpisz już, Aniu, i dziwisz się z pewnością, dlaczego dziś tak długo niema dzwonka?! Myślałam, że jesteście przemęczone tą podróżą i dlatego pozwoliłam wam wyspać się dowoli. Ale teraz pośpieszajcie moje dziewczynki, bo śniadanie na was czeka.

W jadalnej sali ustawione były dwa długie drewniane stoły. Podłoga lśniła czystością, a na bielonych ścianach widniały, zawieszone ręką pani Krystyny, litografje, przedstawiające Wawel krakowski, Zamek w Warszawie, klasztor Jasnogórski, jezioro Gopło ze zwaliskami ruin i inne najcenniejsze zabytki dziejowe w miastach całej Polski. Smakowity zapach zbożowej kawy z mlekiem, mogącem udawać z powodzeniem miejską śmietankę, unosił się w powietrzu. Na talerzach leżały kromki razowego chleba, posmarowane masłem, albo miodem.

Dziewczynki wbiegły do jadalni, która się w mgnieniu oka napełniła wrzawą zadowolonych, dziecięcych głosików.

— Patrzcie! Przecież to nie święto, ani niedziela, a będziemy za chwilę wsuwały chleb z miodem i kawę, kawę — zamiast tego wiecznego mleka! Pycha na tej boskiej Ukrainie! — wołała, podskakując, znana z łakomstwa Kasia, szatynka pucułowata, biała i różowa o dobrym uśmiechu.

— Jaka miła ta nasza kucharka, Kiłyna! — zwróciła się do panny Elżuni Michasia, odznaczająca się praktycznością, systematycznością i wielkiem zamiłowaniem go-

spodarstwa i kuchni. — Czy pani pozwoli mi pójść do niej i nauczyć się wypieku tego pachnącego chleba?

Roztrzepana Irenka, nie czekając na odpowiedź kierowniczki, wykrzyknęła z zapałem:

— Bajka chleb! Wolę sto razy te błyszczące korale i paciorki, jakie ona nosi na szyi! Albo ta chusta w kwiaty i wyszywana koszula! Śliczne! Jakbym ja chciała ubrać się w to wszystko i przejrzeć się w lustrze, czy mi w tem do twarzy?!

— Wiadomo, wiadomo, że w głowie ci tylko fiołki i stroje! — zaśmiały się chórem dziewczynki.

— Czy doprawdy tak piękne są te hafty? — spytała z zajęciem Marysia, szczupła, wysoka brunetka, której największą ambicją było mistrzowskie władanie igiełką. — Proszę pani, może mi pani pozwoli odrobić ten wzór na kanwie?

Panna Elżunia wzniosła rękę do góry:

— Uciszcie się, moje drogie! Nie dacie mi przyjść do słowa. Mamy przed sobą czas na rozstrzygnięcie tych waszych pytań. Na dziś plan już ułożony. Lekcyj nie będzie. Rozpakujcie rzeczy i poukładajcie je na półkach w ściennych szafach. Same macie je utrzymywać w porządku. Potem pójdziemy na spacer i zaznajomimy się z otoczeniem, a wieczorem opowiem wam dalej o naszych walkach niepodległościowych.

— Na spacer, na spacer! — klasnęła w dłonie rówieśnica Ani, czarnooka, śniada jak cyganka, Sabinka, ogromnie pomysłowa i przedsiębiorcza. — Widziałam przez okno ścieżki wykopane w śniegu, wyższym odemnie! Ach! Gdybyśmy miały łopatki! Kopałybyśmy zaraz takie okopy, jak widziałyśmy pod Warszawą, uciekając wtedy z Piasecznej. Tyle tu tego śniegu! Moglibyśmy się w nim schować z głowami!

— Nic dziwnego! — odezwała się poważnym głosikiem Zosia, pracowity mól książkowy, wiecznie zaczytana w różnych opowiadaniach. — Przecież tu, na tych ukraińskich stepach, dawniej koń z rycerzem chował się w wysokich trawach! Dlatego nazywano te ziemie „mlekiem i miodem płynące“, tak były żyzne — dodała pouczająco, mrużąc nieco siwe, inteligentne oczy, jak to zwykli czynić krótkowidze.

— Dobrze mówią niektóre dziewczynki, że musisz się popisywać swoją mądrością! — zauważyła uszczypliwie rudeńka, z zadartym noskiem Felcia, mająca upodobanie w mąceniu dobrych stosunków między koleżankami.

— Felciu! — rzuciła ostrzegawczo kierowniczka. — Nie chciałabym zaczynać naszego pobytu w Semihorach od ukarania ciebie.

— Ale dlaczego nasza Ania siedzi tak cicho jak myszka? — wtrąciła śpiesznie najstarsza wśród wychowanek, trzynastoletnia Ziutka, pragnąc odwrócić powszechną uwagę od zawstydzonej Felci. Macierzyńska z natury, prawdziwa mała kobietka, łagodziła przykre nastroje, otaczając opieką młodsze i słabsze. Wpatrzyła się poczciwemi oczyma w Anię, która drgnęła jakby ze snu zbudzona i, uśmiechnąwszy się z wdzięcznością, nie odpowiedziała wszakże na to pytanie.

— Nie wyciągniesz Ani na otwartość, jeśli ona tego nie chce — wyjawiła swój sąd z pewnym naciskiem panna Elżunia. — Wstawajcie dzieci. Bierzcie się do porządkowania!

Życie ochrony w Semihorach ujęte zostało w systematyczne karby. Do pomocy pannie Elżuni stanęły z całą dobrą wolą panie z administracji i z miasteczka, podjąwszy się każda nauczania jednego z przedmiotów szkolnych, na czem schodziły ranki. Podczas wielkiej pauzy odbywały

się ćwiczenia fizyczne, albo zabawy na świeżem powietrzu. Poobiednie godziny poświęcone były szyciu i haftom, a wieczorne opowiadania kierowniczki urozmaicały i dopełniały ten rozumny i planowy rozkład dnia. Chociaż kierunek myślowy panny Elżuni dążył do rozwijania w powierzonych sobie dziewczynkach indywidualności, tężyzny duchowej i inicjatywy w związku z ich rolą przyszłych obywatelek polskich, ale ideowość i chłodne rozumowanie brały tu górę nad sercem i wychowanki, odczuwając to nieraz podświadomie, tęskniły za objawami tkliwości kobiecej. Jedna tylko Ania była w szczęśliwszem pod tym względem położeniu, gdyż pani Krystyna Domańska wyróżniła ją z pośród wychowanek Piasecznej, zabierała jako towarzyszkę zabaw małej córeczki do swego pięknego domu, tak różniącego się atmosferą zbytku od prostoty trybu życia w ochronie, pieściła nieraz, czując coraz większy pociąg do tej cichej, poważnej dziewczynki.

Ania nigdy się nie zdradziła ze swoją przeszłością, zamykając czarowne chwile dziecięctwa i ból sieroctwa w głębi małego, dumnego serduszka. Panna Elżunia, zapytywana częstokroć przez rozmaite panie o pochodzenie tego dziecka, zwracającego uwagę swą wykwintną urodą pazia i zlocistemi lokami, nie umiała dać żadnej dokładnej wskazówki. Tak więc dookoła wiotkiej postaci dziewczynki o zadumanem czole i szafirowych oczach tworzyła się legenda, przymglona jak słońce za welonem z obłoków i nieodgadniona jak wiele rzeczy na tym dziwacznym świecie.

## WIELKANOC NA OBCZYŹNIE.

— Psst! Zachowujcie się jaknajciszej! — nakazywała zuchowata Rózia, zniżając głos i wyglądając z za węgła drwalki, gdzie przyczaiło się kilkanaście dziewczynek, grających rolę oddziału polskich legjonów. — Pamiętajcie, że mamy nie dopuścić Moskali do zagarnięcia pozycji!

— Ale dlaczego nasz wywiad nie wraca?! — wionął leciutki szept z ust Ziutki. — Wysłałyśmy przecież Sabinkę i Anię, obie pomysłowe i przedsiębiorcze!

— Byleby ich nie zagarnęli Moskale! — wyraziła obawę rozważna Frania. — Lękam się sprytu Felci, która dowodzi nieprzyjacielem! Nikogo nie widać od strony parku! — dodała, osłaniając ręką oczy przed blaskiem słońca.

Pod wpływem opowiadań panny Elżuni gry wojenne stały się ulubioną zabawą dziewczynek z ochrony, a rola wywiadowczyni uważana była jako największy zaszczyt i dowód zaufania. Był to koniec marca, śniegi już stopniały. Jeno po rowach i jarach bielały jeszcze mroźne reduty, walczącej do ostatka Zimy. Wiosna unosiła się w powietrzu, śmigając błękitną szarfą wśród pierzastych obłoków. Szumiały wody stawu, uwolnione z narzuconego im, lodowatego jarzma. Czerniały wstydliwe sylwetki obnażonych drzew, utraciwszy śniegowe giezła. Owiewane tchnieniem rozpromienionej Wiosny, pachniały ziemia, pola i lasy. Na zoranych dookoła polach chodziły klucze bron, przygotowujących rolę pod buraki. Po przeciwnej stronie wrzała robota przy siejbie.

Zaniepokojone brakiem wieści o wrogu dziewczynki nie zwracały uwagi na ten szeroki obraz budzącego się życia, wpatrując się natomiast przenikliwie w gąszcz parku.

Nagle Rózia przyłożyła palec do ust:

— Biegnie! — oznajmiła cicho innym. — Widzę teraz, że to Ania! — dodała po chwili. — Prawdopodobnie Sabinka wzięta do niewoli! Ale co to?!... Utyka na jedną nóżkę!... Zatrzymała się!... Znów biegnie!... Coś się stało! Czekajmy!

Powłócząc jedną nóżką, z zaciśniętemi z bólu ząbkami, dotarła wreszcie Ania do posterunku legjonów i, wyrzuciwszy z trudem słowa:

— Ukryli się w krzakach za stawem! — osunęła się na ziemię, chwytając obiema rączkami obolałą stopę. Wyraz jej twarzy wskazywał silne cierpienie. — Sabinka w niewoli, a ja tak od nich uciekałam, że rozbiłam sobie nóżkę o kamień. Już nie mogę iść dalej! Nie mogę! — jęknęła.

— Ziutko i Marysiu! Zanieście ranną do ambulansu!— wydała rozkaz Rózia. — Trwać dalej bez ruchu! Bronimy naszej pozycji!

Dwie dziewczynki splotły ręce, tworząc improwizowane krzesełko, na którem umieszczono Anię.

— Stać! — zakomenderowała Rózia. — Wywiadowczymi Aniu! Dziś wieczorem będziesz przedstawiona do nagrody za mężne spełnienie obowiązku! Marsz!

Dziewczynka uśmiechnęła się pomimo łez bólu, drżących na jej powiekach. Sanitarjuszki ruszyły w stronę domu.

Ten drobny napozór wypadek stał się przyczyną przewlekłej choroby, gdyż z uderzenia w kostkę wywiązało się silne zapalenie, a potem wrzód, wysoka temperatura

i stan niepokojący. Ania nie spała po całych nocach, straciła apetyt, pobladła i zmizerniała tak, że zmartwiona tą przygodą swej faworytki pani Krystyna, postanowiła po naradzie z miejscowym lekarzem, odwieźć ją samochodem do Szpitala Polskiego w Kijowie.

Chirurgiczny ów szpital na 120 łóżek ciężko rannych żołnierzy powstał w pierwszych dniach wojny światowej, czerpiąc środki na utrzymanie z dobrowolnego opodatkowania się polskich ziemian kresowych. Chociaż władze rosyjskie przyjęły z zadowoleniem inicjatywę, pracę i pieniądze Polaków, ale zarząd szpitalny musiał wysyłać na dworzec kolei sanitarjuszy dla wyszukiwania polskich żołnierzy wobec tłumnego nasyłania Rosjan. Nawet napis na frontonie domu na Pańkowskiej: „Szpital polski“ — był wielkim triumfem wobec nieuznawanej zgoła polskości. Powszechne uznanie, jakiem się cieszył szpital, było istotnie zasłużone: wielka czystość, wygody, doskonałe jedzenie, ścisła aseptyka, ideowo pracujący, dobrany personel — składały się na tę wyjątkową całość.

Naczelny lekarz, dr. Joachim, wybitny chirurg, napozór zimny, w rzeczywistości oddany cierpiącej ludzkości i rozmiłowany w swym fachu, ogromnej pracy i energji — silną dłonią sprawował rządy. Dr. Feliks, internowany przez władze rosyjskie przy zajęciu Lwowa, zaangażowany z obozu jeńców do szpitala, sercem oddany byl chorym. Ci dwaj główni lekarze mieli paru pomocników, wśród których znajdował się Hiszpan, z frontu zachodniego. Zamiast felczerów pracowali studenci wydziału medycznego w Kijowie. Kuratorką szpitala była pani Zofja, wyjątkowa organizatorka, kierująca sprawami gospodarczemi i niosąca z całym entuzjazmem pociechę religijną i moralną rannym żołnierzom. Dzięki wpływom jej męża uzyskano nawet pozwolenie na mszę katolicką w szpitalu.

Oddział chirurgiczny powierzono pannie Tusi, dzielnej, energicznej osobie, wymagającej od siebie i od innych. Była ona jedyną z kobiet, która asystowała przy operacjach i robiła opatrunki. Księżna Izabella z zapałem służyła chorym, robiąc zastrzyki i masaże, panna Julja zawsze pogodna, pielęgnowała rannych z niezmierną dobrocią. Znana była ze swej ideowości i obracania dochodów z dużej fortuny kresowej na cele społeczne.

Oprócz tych stałych pracownic i sióstr płatnych panie z miasta zjawiały się codziennie na sali, aby pocieszać rannych, usługiwać im, pisywać listy, czytać głośno. Młode dziewczęta pomagały ochoczo przy wszystkich zajęciach gospodarskich. Sale szpitalne były wysokie, jasne, słoneczne. Panowała w nich atmosfera domu rodzinnego.

Ponieważ pan Edward Domański podwójnie uczestniczył w opodatkowaniu się na szpital jako przedstawiciel magnackiej fortuny, a osobiście jako właściciel ziemski, więc po listownem porozumieniu się nie odmówiono pani Krystynie przyjęcia malutkiej pacjentki, chociaż to był, oczywiście, fakt wyjątkowy. Piękny samochód zatrzymał się przed domem na Pańkowskiej. Na odgłos trąbki wyskoczyli sanitarjusze, ale pan Edward, faworyzujący podobnie jak żona to miłe dziecko, zaniósł Anię po schodach na pierwsze piętro. Pani Zofja, wysoka, szczupła, o urodzie kreolki, w białym fartuchu, z czerwonym krzyżem na ramieniu, oczekiwała już w hallu na przybyłych, witając ich serdecznie.

— *Cette petite a vraîment beaucoup de chârme!* — pogłaskała Anię po główce i nagle zatroskała się szczerze: — Jakie ona ma rozpalone czółko! Nieście ją prędzej do panny Felicji, rozbierzcie i połóżcie do łóżeczka!

— Pani pozwoli, że ja się nią zajmę — zaproponowała żywo panna Tusia, która odrazu uczuła wielką sympatję

do tej obcej dziewczynki, nie zdradzającej swego cierpienia żadną skargą pomimo, iż ból wyzierał z rozpalonych gorączką, szafirowych oczu.

Jedna z sióstr wzięła Anię ostrożnie na ręce i skierowała się przez salę, przepełnioną rannymi, do pokoiku felczerki. Panna Tusia szła tuż za niemi. Na widok ślicznego, jasnowłosego dziecka, leżący żołnierze jęli się podnosić na łokciach, przygadując żartobliwie:

— A to dopiero przybył nam kolega! Widzicie?! Nóżkę ma zabandażowaną! Gdzie ty dostała tę ranę, dietoczka?! Pewno już masz świętego Jerzego za odwagę, malutka?!

Jeden z ozdrowieńców, siedzących na łóżku, wyciągnął nagle ręce do dziewczynki i porwał się na równe nogi, chcąc ku niej poskoczyć, ale mała z krzykiem schowała główkę na ramieniu siostry. Ten nieznany żołnierz o czarnych, przepaścistych oczach tak był podobny do Edmunda, że zadrżała z wrażenia i lęku.

— Gorączka się podnosi — rzekła przyciszonym głosem siostra, panna Tusia zaś śpiesznie poszła naprzód, aby sprawdzić, czy wszystko jest w należytym porządku.

Rozebrana Ania z rozkoszą utonęła główką w puchowej poduszce, a panna Felicja, wytrawna pielęgniarka, objęła przy niej straż z miną, dającą do myślenia, że nie zgodzi się na zmianę warty.

Na drugi dzień rano światło wlewało się szeroką falą przez olbrzymie okna na sali operacyjnej. Systematycznie poukładane narzędzia chirurgiczne pobłyskiwały w szklanych szafkach. Doktór Joachim, wysoki przystojny blondyn, o bystrych siwych oczach, z przystrzyżonemi wąsikami, w białym fartuchu, wprawną ręką kończył operację uśpionej i leżącej na stole chirurgicznym Ani. Panna Tusia

śpiesznie i wprawnie, jakgdyby odgadując jego myśli, podawała mu kolejno potrzebne narzędzia.

— Skończyłem! — powiedział doktór Joachim, ściągając wolno z rąk gumowe rękawiczki. — Sprawa jest daleko poważniejsza, niż przypuszczałem! Ostatnia była chwila do zrobienia operacji! Nic dziwnego, że mała tak gorączkowała. Sądzę jednak, iż teraz stan się prędko polepszy!

— Przy tak głębokiem rozcięciu bolesne będą opatrunki — zauważyła panna Tusia, bandażując umiejętnie nóżkę. — Biedna mała!

— Nie taka biedna, kiedy od wczoraj zawojowała tu wszystkie serca! — uśmiechnął się naczelny lekarz. — Możemy już ją oddać pannie Felicji. Któż jest teraz następny?!

Wieczorem korzystając z wolnej chwili, panna Tusia zajrzała do pokoju felczerki. Usiadła na łóżeczku Ani i, pochyliwszy się nad bladą, wymęczoną twarzyczką, ucałowała ją serdecznie.

— Jak się czujesz, dziecinko? Czy bardzo boli nóżka?

— Troszeczkę — szepnęła dziewczynka słabiutkim głosikiem.

— Tylko troszeczkę? Dzięki Bogu! Zobaczysz, będzie coraz lepiej! Musisz być teraz bardzo cierpliwa i nie płakać przy opatrunkach, bo to przeszkadzałoby naszemu doktorowi. Zrób to dla mnie i nie płacz, dobrze, maleńka?!

— Dobrze. Ale pani cały czas będzie przy mnie, a ja panią obejmę za szyjkę i z całej siły zacisnę ząbki!

W nagrodę za tak heroiczne zachowanie się doktór Joachim przyniósł małej pacjentce ogromne pudło czekoladek od „Georges'a". Nie był odosobniony w tych przejawach dobroci i serca, gdyż najpiękniejsze zabawki, znoszone przez cały personel, zalegały stół i łóżeczko ulubienicy szpitala. Odżyła przeszłość: nakręcany, pod-

skakujący, biały pudelek został nazwany Hau-Hau. Bury niedźwiedź z koszyczkiem w łapce, kręcący się w kółko, dostał miano utraconego sobowtóra, „Misia“. Był także i roześmiany od ucha do ucha murzynek, Dżek, oczywiście. Piękna, jasnowłosa Aldona miała kilka, podobnych chyba do ojca, bo kruczowłosych córek. Lokomotywa z wagonami, mknącemi po układanych szynach (dar panny Tusi), woziła te panie na spacer. Skacząc na zdrowej nóżce, Ania zajmowała się przyrządzaniem różnych smakołyków dla córki i wnuczek, ku czemu służyła kuchenka, ofiarowana przez pannę Felicję. Dość było jednego słówka małej rekonwalescentki, że odnowiłaby chętnie garderobę swych dzieci, aby księżna Izabella naniosła zaraz na drugi dzień stosy przecudnych „gałganków“ z paryskich toalet. Machając z zapałem igiełką, dziewczynka wyraziła zakłopotanie, gdzie schowa te pyszne wyprawy?!... Na to już znalazł radę doktór Feliks, ustawiwszy w kącie pokoju, śliczną, zamykaną na klucz komódkę o trzech szufladach.

Nie warto wspominać o ilości cukierków, jakiemi zasypywały „złotowłosego pazika“, odwiedzające rannych, panie z miasta. W niebieskiem, malutkiem kimonie, podarowanem przez panią Zofję, Ania przesuwała się między łóżkami żołnierzy, kulejąc jeszcze, ale nabierając zdrowia i sił coraz widoczniej. Częstowała rannych cukrami, obdarzając ich stokroć milszym dla samotnych biedaków widokiem dziecięcej nieśmiałej, ale pogodnej, twarzyczki. W duszyczce jej bowiem zaszła zmiana, tak jakgdyby przesilenie moralne poszło w ślad za przesileniem fizycznem po ustąpieniu gorączki. Rany jej serduszka zabliźniły się nieco, rozjarzone w pamięci obrazy ukochanych osób, przygasły. Może na to wpłynęła wysoka temperatura i przewlekła, nużąca choroba, dość, że rekonwalescencja

opuszczonej dziewczynki była jakby nawrotem do dawnego stanu błogiego dziecięctwa, upływającego jeno w zmienionych warunkach. Raz tylko jeden w szpitalu, podczas najwyższej temperatury, śniła się jej matka. Tego uwielbianego oblicza dojrzeć wszakże nie mogła, przysłonięte bowiem było delikatnemi rękami o różowych paznogietkach, które Ania tak dobrze znała. Przebudziwszy się ze snu gorączkowego, jęczała bezwiednie w głębokim żalu, że nie zobaczy już nigdy swej najdroższej, ślicznej mamusi!...

Pomimo jednak przebłysków dziecięcego wesela, wywołanego objawami zbiorowej dobroci, serduszko Ani pozostało dalej zamkniętem. Była to jakby mogiłka, kryjąca utracone świętości. Kiedyś panna Felicja, zaintrygowana jak inni, przeszłością tego wykwintnego dziecka, próbowała ostrożnie wywołać jakieś zwierzenia. Zapytała tedy, czy imiona „Aldona“, albo „Dżek“ przypominają jej zabawki z czasów, gdy jeszcze nie była w ochronce?!... Na to usteczka Ani zacisnęły się ledwo widocznym ruchem, ale wzrok jej stał się tak dalekim i nieprzeniknionym, że pannie Felicji, pobożnej z natury, stanęła w oczach pod wpływem podświadomego kojarzenia się myśli — owa zasłona, w klasztorze Jasnogórskim, kryjąca po ukończonej adoracji cudowne oblicze Bogarodzicy przed obojętnym wzrokiem profanów.

W połowie kwietnia nadeszła Wielkanoc. Ulice Kijowa pławiły się w słońcu, ukwiecone sady rozjaśniały barwnemi plamami nieruchome tło murów, a u stóp miasta szeroki Dniepr płynął cichą, niebieską równią w obramowaniu z szarych piasków. Zarząd szpitala przygotował iście staropolskie święcone. Ania w różowej sukience od panny Tusi, z różową kokardą w jasnych lokach, wyszczotkowanych z umiłowaniem przez pannę Felicję, dreptała między

łóżkami rannych, trzymając w obu łapkach ogromne pudełko i obdarzając ich nieśmiało słodyczami.

— *Spasibo, dorogaja kroszka!* Życzymy wszystkiego najlepszego! Dziękujemy nasza pieszczoszko! — odpowiadali chórem rozradowani żołnierze.

Uśmiechała się w milczeniu, niebardzo rozumiejąc dziękczynnych słów rosyjskich i tylko po wyrazie oczu i twarzy domyślając się ich treści.

Jeno w wyśnionym przez ludzkość raju — panuje Nieskończoność. Na ziemi, w cierpkich chwilach naszej pielgrzymiej wędrówki, wszystko ma swój koniec. Przed domem na Pańkowskiej stoi znów elegancki samochód, do którego wsiada pani Krystyna, uradowana, że zdrową zupełnie dziewczynkę wiezie zpowrotem do Semihor. Cały personel odprowadza ulubione „dziecko szpitala“, prowadzone z dwóch stron przez pannę Tusię i pannę Felicję. Sanitarjusz dźwiga kosz, zawierający skarby-zabawki. Żołnierze wyglądają przez okna, machają chustkami, wołają:

— Szczęśliwej drogi! Nie zapomnimy nigdy o tobie, jasnowłosy aniołku!

## NA URWISTEJ ŚCIEŻCE ŻYCIA.

— Do roboty, dziewczęta! Dwa dni świętowałyście — to wystarczy! — mówiła sucho panna Franciszka, składając na stole w jadalnym pokoju stos pokrajanych koszul z grubego perkalu. — Do jutra musimy to wszystko skończyć i dostaniemy zapłatę. Teraz niema darmozjadów!

Wysoka i szczupła, ze spłowiałemi warkoczami, oplecionemi dookoła głowy, o wieczyście kwaśnym wyrazie twarzy, podwiązanej najmniej pięć razy na tydzień chustką z powodu uporczywej fluksji, nowa kierowniczka ochrony prowadziła ją żelazną ręką od ośmiu miesięcy, zbagatelizowawszy dawny kierunek umysłowy na korzyść praktycznego, w czem szła z duchem czasu. Czasy bowiem i poglądy zmieniły się radykalnie w owym przewrotowym 1917 roku. Zdawało się, iż jakiś potworny pług worał się w nagromadzone od wieków pokłady duchowe ludzkości, wyrzucając na wierzch pławiące się we krwi i zbrodni, bestjalskie instynkty i grzebiąc na dnie sponiewierane kwiaty kultury. Apoteozowanie najniższych warstw społecznych i najgrubszej pracy rąk stało się hasłem chwili. Demokratyczna z przekonań panna Franciszka sympatyzowała zawsze skrycie z upośledzonemi przez los, do czego przyczyniała się w niemałym stopniu kąśliwa zazdrość względem „wybranych“. Rewolucja wyzwoliła ją z obleczonych z musu pozorów. Nie miała się już z kim rachować, będąc samowładną kierowniczką ochrony.

Dziewczynki, milcząc ulegle, zasiadły dokoła stołów

i zabrały się do szycia. Choinka w kącie pokoju, skąpo przystrojona resztkami ozdób z przeszłego roku, zdawała się im przypominać minione, dobre chwile.

— Aniu! Sabinko! Do kuchni! Zmyjecie naczynie po śniadaniu i obierzecie kartofle! Dość długo udawałyście paniątka! Pamiętajcie, że nie chowacie się na salonowe damy! — obchodziła stół, dozorując pilnie wykonywanie roboty, gdyż była istotnie sumienna. — Zosiu! Dlaczego stawiasz takie krzywe ściegi?! Czy zawsze te książki ci w głowie?! Profesorem nie będziesz, tylko pracownicą! Byle dobrą! Może to i większa zasługa! Felciu! Leć do Selkomu![1] Powiedz, że dzieci z ochrony nie mają już mąki. Niech nam dadzą z dworskiego śpichlerza! Idę do kuchni, a wy — szyjcie! — posuwistym krokiem wyszła z jadalni.

Dziewczynki, uwolnione z surowego nadzoru, podniosły głowy i zaczęły przerzucać się cichą wymianą słów:

— Nigdy nie mamy chwili wytchnienia! Ja tak lubiłam igiełkę, a teraz, mówię wam, rzuciłabym w kąt te żołnierskie koszule, tak mi obrzydły! — powiedziała buntowniczym tonem Marysia.

— Uważałyście, jak mi panna Franciszka wypomina czytanie?! Szkoda panny Elżuni! Co też ona tam robi w tej Polsce?! To dopiero mamy pecha! Jej matka umarła, a ją zaraz poniosło do legjonów! — westchnęła Zosia, potrząsając czupryną.

— Ja, gdybym była na miejscu Komendanta, wnetbym tu przywaliła i rozpędziła na cztery wiatry tę hołotę, co pali i niszczy majątki polskie! — zawyrokowała buńczuczna Rózia.

---

[1] Wiejski Komitet.

— Dałby to Bóg! Wtedy powróciłyby do Semihor nasze opiekunki, które musiały uciekać przed temi okropnemi napadami do miasta! — wstrząsnęła się mimowoli Irenka.

— I powróciłoby dobre jedzenie, i panna Franciszka przysiadłaby trochę! — wyrwało się gorące życzenie z ust pucułowatej ongi, a teraz o ściągłych policzkach, łakomej Kasi.

— A przedewszystkiem nasza dobra, kochana pani Domańska byłaby z nami! — dorzuciła wzruszonym głosem Ziutka. — O, nie pozwoliłaby maleńkiej. Ani dźwigać wiader! Patrzcie?! Widzicie, jak jej ciężko?!

— Dlaczego panna Franciszka wali na to biedactwo najgorsze roboty?! — dziwiła się Hela.

— Przez uszy się to nam przelewa, że nie jesteśmy hrabiankami! Ależ my same o tem doskonale wiemy! Jesteśmy ubogie dziewczęta, córki rzemieślników i robotników! Czyż dlatego nie mamy prawa do żadnego wykształcenia?! — perorowała wzburzona Zosia.

— Tss! — przyłożyła palec do ust Michasia. — Zamilczcie! Biegnie już ta Skarżypyta, Felcia!

Wszystkie dziewczynki, zgromadzone przy dwóch stołach i wsłuchane w cichą rozmowę indywidualniejszych koleżanek, pochyliły się nad koszulami, chcąc nadrobić czas stracony.

Drzwi otworzyły się z hałasem i zaróżowiona od mrozu Felcia, wpadła oznajmiając donośnie:

— Cieszcie się, dziewczynki! Widziałam po drodze pana Apolinarego! Obiecał przyjść dziś po południu i nauczyć nas nowych piosenek! Wygra nam na skrzypcach melodję, a my będziemy chórem śpiewały! Ach! jak to dobrze! Przynajmniej przez jedną godzinę nie będziemy miały tego nudnego szycia, nieprawdaż?! — wodziła

oczyma po zebranych, ale wychowanki uporczywie milczały.

Pan Apolinary był nauczycielem muzyki i śpiewu. Posiadał własny domek z ogrodem i kawał pola, a duszę miał prawdziwego poety. Wizja tego gniazda w sadzie, obciążonym darami Pomony, czyniła pannę Franciszkę wielce uprzejmą wobec podstarzałego kawalera, mogącego przecież w każdej chwili wpaść w sidła Hymenu. Toteż udzieliła skwapliwie swej aprobaty na dalsze prowadzenie lekcyj śpiewu, rozpoczętych z inicjatywy pani Krystyny jeszcze za rządów panny Elżuni. Pan Apolinary szczycił się tem, iż przypominał z profilu mistrza Paderewskiego, chcąc tedy uwydatnić to łechcące jego ambicję podobieństwo, zapuścił długą, lwią czuprynę i nosił szeroko rozwarte kołnierze z fantazyjnym krawatem. W owych czasach jęły przedostawać się jakgdyby na falach eteru, przez powietrzne granice, nowe piosenki pierwszych żołnierzy polskich. Muzyk semihorski wygrywał je na skrzypcach, zaklinając w dźwięki tonów humor i łzy walczących szeregowców. Z prawdziwem wyczuciem artyzmu, jakie daje tylko rzetelny talent, prowadził on chór dziewcząt w ochronie, ale największą jego dumą i zapłatą za wszystkie trudy była maleńka Ania.

Dziecięcy jej głosik mienił się nieraz takiemi akcentami głębi i rzewności, że odbijając się echem w duszy nauczyciela-poety, wzbudzał w nim prawdziwie ojcowskie uczucie dla tego jasnowłosego dziecka, do którego przemawiał w myśli z tkliwością słowami Mickiewicza: — Słowiczku mój! A leć, a piej!... — Podświadomie nieledwie dorabiał koniec tej inwokacji: — Piej, wśród szarych wróbląt ochrony!

Nic dziwnego, że znużona duszyczka Ani promieniowała smutkiem w śpiewie. Przyszły znów na nią czasy

nadmiernej goryczy. Przeczucie, tające się na dnie jej serca, że nie należy się do nikogo przywiązywać, bo trzeba będzie go stracić — zamieniło się raz jeszcze w okrutną rzeczywistość. Niby tęcza na chmurach zajaśnieli przed nią dobrocią i uczuciem opiekunowie szpitalni i pozostali za nią daleko... A teraz i pani Krystyna ją opuściła, wygnana w świat mściwemi rękami tłumu, co wdarł się do jej siedziby z dzikiemi, wyjącemi pogróżkami na ustach! Przytem — demokratyczna kierowniczka ochrony, wyczuwając w tem ślicznem dziecku przynależność do znielubionej przez siebie klasy społecznej, obrzucała częstokroć to „dumne paniątko" kolcami swych uszczypliwych frazesów. Kolce te tkwiły w Ani głęboko, nie raniąc jej zgoła pozornie, a to opanowanie, ten nieprzenikniony spokój bladej twarzyczki drażniły nad wyraz pannę Franciszkę. Wyidealizowane dziecię Rewolucji: „Równość Powszechna" — zaciążyła także w sposób fatalny nad stanem zdrowia i sił wątłej dziewczynki. Roboty przy kuchni i sprzątaniu wyczerpywały ją ponad wszelką miarę, do czego się jednak nigdy nikomu nie przyznała, ani się poskarżyła.

Jedyną jej powierniczką, zgarniającą w święte dłonie ciche łzy dziecka w ciemnościach Nocy — była owa Matka, Boża w niebieskim płaszczu z małym Jezusikiem na ręku, której utracony wizerunek został nazawsze wyryty na dnie serca i pamięci osieroconej dziewczynki. Do Niej — to wznosiła obie rączki, błagając o pomoc i ratunek. U Jej stóp składała z dziecięcą ufnością żale, troski dnia powszedniego i ból osamotnienia. Lżej wszakże nie było, „ciężkie życie" dawało się ukochanej wnuczce dziadka Wojciecha we znaki, ale wiara dziewczynki bynajmniej nie słabła. Aż raz — jakgdyby w nagrodę za tyle wierności — Ania znalazła się we śnie na cudownej łące, usianej

kwiatami tak promiennemi jak gwiazdy, a wydającemi woń tak upojną, że mała chłonęła ją z zachwytem całą swą drobną istotką. Szmaragdowe, przezroczyste koniki polne wygrywały na skrzypeczkach nieziemskie melodje. Słońca nie było wcale, tylko niewiadomo skąd płynąca jasność, rozpalała się w powietrzu. Ania klęczała wśród kwiatów w słodkiem przeczuciu wielkiej radości. Wtem — jakby utkana z lazurów, spłynęła na łąkę Matka Boża z Jezusikiem na ręku. Płaszcz miała na sobie niebieski, powłóczysty, obrzeżony mrugającemi, złotemi gwiazdkami, bose stopki zanurzyła w jedwabiste, zielone trawy, a nad głowami Matki i Bożego Dziecięcia unosiły się nakształt aureoli różnobarwne motylki.

Tak szła wolno ku Ani i zatrzymała się przed nią. Boski Syneczek na ręku uśmiechnął się do dziewczynki. Ania, klęcząc, wpatrywała się bez tchu w nieziemskie zjawisko. Nagle — z góry, z dalekich przestworów, jęły spadać w bezmiernej ilości kwiaty niezapominajek. Jak się to stało, dziewczynka nie pojmowała, ale wnet błękitna grota sklepiła się nad cudownemi postaciami. Głosem tak słodkim jak miód z najczystszych kwiatów, Niebiańska Pani przemówiła do niej:

— Nie płacz, maleńka! Teraz ty będziesz pod moją opieką!

Promieniem gwiaździstych oczu rozświetliła smutne serduszko Ani, poczem jęła wolno odpływać, a grota z niezapominajek przeistoczyła się w bezkresne turkusowe otocze. Barwami opali lśniące motylki odfruwały nad najświętszemi głowami. Polne koniki grały niemilknącą pieśń uwielbienia. Liljowe dzwoneczki, chwiejąc się na wysmukłych łodyżkach, dzwoniły... dzwoniły... dzwoniły...

— Aniu! Aniu! — wpadł do ucha śniącej dziewczynki ostry suchy głos panny Franciszki. — Dzwonek już dawno

przebrzmiał, a ty się wylegujesz! Zapomnij raz nazawsze o tych pańskich wymysłach! Wstawaj natychmiast! Dziś na ciebie kolej posprzątać jadalnię. Weźmiesz szczotkę, sukna, a pamiętaj, że trzeba zamiatać kąty, bo środek sam siebie zamiata!

Ku rzetelnemu zdziwieniu kierowniczki Ania nie zamknęła się w upartem milczeniu, ale odparła raźno:

— Dobrze, proszę pani! Zrobię to wszystko prędziutko!

Suwając się na kolankach, w podwiniętej szarej sukience, Ania wycierała starannie podłogę drobnemi łapkami. Tego ranka otaczająca ją ciężka rzeczywistość zdała się jej łatwiejsza do zniesienia. Wierzyła święcie, że niedługo to potrwa. Przecież jest pod opieką Królowej Niebios! Ona wszystko może! Trzeba tylko poczekać, aż się zmiłuje.

## CZERESZEŃKA I JEJ DZIEDZICE.

— Więc pani twierdzi, że ta dziewczynka jest naprawdę tak niezwykła? —pytała z ożywieniem młoda wytworna kobieta, idąca obok pani Krystyny w stronę ochronki.

— Bezwątpienia. Obserwuję ją od dłuższego czasu i sama wzięłabym ją najchętniej na wychowanie, gdyby nie dwóch naszych chłopaków w szkołach i mała Terenia, a czasy są tak niepewne!

— To zbyt pesymistyczne zapatrywania! — przeczyła żywo pani Vera. — Odkiedy Niemcy okupowali Ukrainę, przywracając normalny stan rzeczy, wierzę, iż zło minęło. Zdolność organizacji niemieckiej jest przecież fenomenalna!

— Tak! Ale przyzna pani, że bóg wojny ma zmienne oblicze. A jeśli będą zmuszeni do opuszczenia tych ziem kresowych?!

— To przyjdą inni! — orzekła z niezachwianą pewnością śliczna pani, której twarz i cała gibka postać tchnęły wiarą w życie czarującego „dziecka szczęścia". — Czyż podobna przypuścić choćby na chwilę, że Europa zezwoli na pogwałcenie prawa własności, na niszczenie kultury, na zbrodnie i mordy?! Nigdy! — wstrząsnęła główką, aż na odkryte, ładnie zarysowane czoło, spadł promień kasztanowatej, bujnej czupryny.

Pani Krystyna spojrzała nieznacznie na swą towarzyszkę, z pobłażliwem współczuciem kobiety, doświadczonej już przez życie. Jej blada twarz, przygasły wyraz oczu

i chód, nacechowany zmęczeniem, tworzyły jaskrawy kontrast z radosnem, swobodnem ożywieniem tamtej. Rozmowa urwała się. Piasek alei skrzypiał pod ich stopami.

— Niech się pani tylko nie przeraża mizernym wyglądem małej — odezwała się po chwili pani Domańska.— Mój mąż, zagrożony ekscesami rewolucji jako przedstawiciel magnackiej fortuny, której właściciele są w dodatku zagranicą — musiał usunąć się w porę. Ja mu towarzyszyłam, oczywiście, a ochronka została pod opieką panny Franciszki. Ta wyznawczyni nowych ideałów zapędziła wychowanki do ciężkiej pracy fizycznej. Odbiło się to najgorzej na wyglądzie delikatnej Ani. Przytem, wyczuwam, że pewna niechęć klasowa kieruje panną Franciszką w stosunku do tego dziecka, zdradzającego mimowiednie swem postępowaniem i rasowością kształtów, przynależność do innej sfery społecznej.

— W tym wypadku *c'est le dernier des mes souçis!* — zaśmiała się szczerze pani Vera. — Niech pani powie: rasowość duszy! Tak! O to dbam! — Wyraz jej siwych oczu, ocienionych rzęsami o połysku miedzi, tchnął prawdą, sięgającą dna jej istoty duchowej. W przeciwieństwie do większości ludzi, posługujących się skomplikowanemi filtrami umysłowemi dla przesączenia przez nie Prawdy, ukrywanej tchórzliwie na dnie serca, rządziła się ona zgoła innym systemem. Związek pomiędzy każdą jej myślą, a wyrażeniem jej w słowach, był tak jednolity, iż zdawał się być wzorowanym na krążeniu odżywczych soków u roślin. Przez niewidoczne, ukryte w ziemi, niby w sercu, korzenie płyną one bez przeszkód w łodygach i pniach do góry, zasilając realne wyniki swej pracy — kłosy, owoce i kwiaty.

Toteż samorzutna i odważna prawdomówność wła-

ścicielki Czereszeńki, stała się przysłowiową w całej, zżytej z sobą okolicy, a osobisty urok i mocno ugruntowana na znacznej fortunie niezależność, wpływały na uprzejmą tolerancję słuchaczy, dotkniętych częstokroć bezwzględnością wygłaszanej „prawdy". Verą przezwał ją mąż, pan Alfred, znany z wyszukanego dowcipu, żartując mile, iż podobnie jak Vera-Violetta, jest ona Vera-kobieta i Vera-Prawda. Utarło się to wkrótce, zamieniając właściwe, na chrzcie św. nadane imię: Anna.

— Dochodzimy już do ochrony — wskazała parasolką biały domek pani Krystyna, dorzucając z pośpiechem: — nie zawiedzie się pani na szlachetności tej małej duszyczki! Przecież nigdy nie poskarżyła się przedemną na pannę Franciszkę, chociaż wiem, że miałaby do tego powody. Powierzchownie zaś jest zawsze czyściutka jak łabędziątko!

— Tak ją droga pani zachęcająco przedstawia, że jestem nawpół zdecydowana! — pani Vera obrzuciła przyjaznem wejrzeniem zacną opiekunkę tułaczej dziatwy w chwili, gdy wstępowały na schody ganku.

Wszystkie dziewczynki kończyły podwieczorek w jadalnym pokoju, przez który przeszły obie kobiety, zdążając do szkolnej sali. Na widok pani Krystyny wychowanki porwały się ze swych miejsc, dygając z rozradowanemi buziami. Słodko kwaśny uśmiech zakwitł na podwiązanem obliczu panny Franciszki, która z rezygnacją zdetronizowanej władczyni, podeszła do pani administratorowej.

— Proszę nam przysłać dziewczynki do szkolnego pokoju. Chciałabym, aby zaśpiewały naszemu gościowi! — zwróciła się uprzejmie, ale chłodno pani Krystyna do stojącej sztywno kierowniczki.

W oczekiwaniu dziatwy usiadły na ławce pod oknem. Po krótkiej chwili dźwięki rzewnej piosenki o rozmarynku obiły się o bielone ściany, wzbudzając w słuchającej uważ-

nie pani Verze, szczere uznanie dla harmonijnego zespołu dziecięcych głosików. Wyraziła to po skończonym śpiewie w słowach krótkich, ale tak ciepłych i prawdziwych, że podbite niemi artystki obdarzyły wytrawną znawczynię inną jeszcze pieśnią ze swego repertuaru:

„Przebudził wioskę wśród sadów szczęk broni i strzałów huk,
Mściciele przyszli pradziadów, rozbity precz umknął wróg!...
Precz umknął wróg rozproszony, zwycięsko trąbka gra,
Przybyły do wsi legjony, grzmią trąbki: Tra-ta-ta, tra-ta, tra-ta...“

Z całym zapałem przykładały ręce do ust, naśladując dźwięki trąbek i z zadowoleniem łowiąc wzrokiem uśmiech tej ślicznej, biało ubranej pani, wyrażający jasno pochwałę.

— Brawo, dziewczynki! — klasnęła parę razy w dłonie pani Krystyna. — Sprawiłyście nam wielką przyjemność. A teraz zechce pani jeszcze posłuchać śpiewu naszego „słowiczka“. Tak nazywa Anię nasz nauczyciel, pan Apolinary. Zbliż się do nas, Aniu!

Z grupy dziewczynek wysunęła się mała, zgrabna postać, odziana w szarą sukienkę. Złociste loki nie spływały już na szczupłe ramionka, ale splecione w dwa warkoczyki, przetykane zamiast wstążek białemi szmatkami, obejmowały ciasno kształtną główkę. Panna Franciszka uczyniła wszystko, aby odjąć nielubionemu dziecku poetyczny czar, jaki je otaczał, tłumacząc pani Krystynie, że nie ma czasu na doprowadzanie starganych loków do porządku. Pomimo tego zeszpecenia odkryte czółko Ani przykuwało uwagę śmiałym zarysem. Bose, cieniutkie

w przegubie nóżki były prześliczne, a w całej drobnej postaci przejawiała się nie dziecięca powaga. Z założonemi wtył rączkami podeszła ku siedzącym na ławie paniom, dygnęła z wdziękiem i spojrzała pytająco w oczy pani Krystynie:

— Jaką piosenkę mam zaśpiewać, proszę pani?

— Wybierz sama! — uprzedziła żywo odpowiedź pani Vera.

Dziewczynka zwróciła główkę w jej stronę. Oczy ich się spotkały. Promieniowanie dwóch duchowości, nie znających fałszu, wywołało zaczątek uczucia. Serduszko Ani drgnęło radośnie. Uśmiech tej ślicznej pani przywołał z oddali dawno nie widziany uśmiech mamusi. Opadła na chwilę zasłona, kryjąca ciężar sieroctwa w zamkniętej szczelnie duszyczce i głosik przepojony tęsknotą, zadźwięczał srebrzyście:

„Jaśko krówki gna, na fujarce gra
Ale jakieś smutne tony płyną, płyną wdal!
Cóż to Jasiu grasz?! Czy zmartwienie masz,
Czy ci, chłopcze, źle na świecie, powiedz, powiedz mi!
Z twej piosenki czuć tęsknotę, czuć serdeczne łzy!
Mam ja smutek, mam, bom na świecie sam!
Umarł ojciec i matula poszła za nim wnet.
Graj, fujarko, graj, zabrzmij echem w gaj,
Niech usłyszą lasy, łąki i obszary pól,
Że sieroctwo to najsroższy, to najgorszy ból!“

Pani Vera przyciągnęła maleńką do siebie:

— Pojedziesz ze mną, Aniu? — spytała z wielką dobrocią.

Ania skinęła potakująco główką:

— Pojadę! — odpowiedziała bez namysłu.

— Doskonale! — ucieszyła się pani Domańska. — Przygotuj się, Aniu, do drogi. Uprzedzę o tem pannę Franciszkę, a tymczasem wracajmy, kochana pani Vero, do domu na podwieczorek.

Pan Edward Domański, ruchliwy jak żywe srebro szatyn, o wypukłem, myślącem czole, wyszedł na spotkanie idących kobiet. Umysł jego lotny i logiczny zarazem był wielce ceniony w sferach finansowych, a zdolności administracyjne wykazały się w całej pełni po objęciu zarządu klucza semihorskiego.

— No, i co?! — rzucił obcesowo. — Jakże się pani podobała nasza pupilka?!

— Tak mi się podobała, że jedzie dziś ze mną do Czereszeńki! — odparła wesoło prawdomówna pani.

— Wiwat! — zakrzyknął z triumfem pan Edward, całując ręce uroczej sąsiadki.

Czas uchodził szybko na ożywionej rozmowie tem łacniej, że nierozstrzygnięte problemy wojny światowej bogate ku temu dawały tematy. Na wiosennym błękicie niebios słońce zakreślało swój łuk świetlisty, dążąc bezwolnie ku zachodowi. Wreszcie pani Vera rzuciła okiem na złoty zegarek w bransoletce na ręku i odruchowo porwała się z miejsca:

— Ależ to z nas gaduły! Mam trzydzieści pięć wiorst do domu, przyjadę późno i Alfred będzie się niepokoił! — zatroskała się szczerze. — Proszę posłać do stajni, panie Edwardzie! Niech moje konie zajeżdżają natychmiast!

— Dziwię się, że Ani dotychczas niema! — powiedziała pani Krystyna, wstając. Zeszła po kilku schodkach werandy, na której wszyscy siedzieli, patrząc wdal przez długą chwilę. — Chyba i po nią trzeba będzie posłać! — dodała niezadowolona. — Sprawność panny Franciszki pozostawia wiele do życzenia!

Rozkaz „pana administratora“ musiał zawierać w sobie magnetyzujące pierwiastki, gdyż furmani w stajni sprawili się „duchem“, czyli tak, jak to sobie mieli nakazane. Wkrótce metaliczny dźwięk grelotek zabrzmiał w powietrzu i czwórka, zaprzągniętych w lejc złotych kasztanów, wyrzucając jakby w tańcu rasowemi nóżkami, zajechała przed ganek. Na koźle stangret w kozackiem ubraniu manewrował wyjeżdżoną czwórką tak zgrabnie, aby stopień eleganckiego faetonu znalazł się naprzeciw stóp „pani“, dążącej ku niemu. Mały kozaczek, stojąc obok powozu, wyczekiwał chwili, gdy będzie mógł okryć pledem kolana dziedziczki Czereszeńki i, zapiąwszy sprawnie lakierowany fartuch, skoczyć zręcznie na kozioł, sadowiąc się tuż przy stangrecie. Jednocześnie niemal szczuplutka, dziecięca postać wysunęła się z za węgła domu. Szara, płócienna sukienka, zbyt obszerne na drobne nóżki popielate trzewiki, biała chustka, zawiązana po krakowsku w tyle głowy i mała paczuszka w rączce odbijały tak kontrastowo od zbytkownego zaprzęgu i wykwintnej jego właścicielki, że słowa: — Oto dwa światy! — cisnęły się mimowoli do mózgu.

— Nareszcie jesteś, Aniu! — zawołała uradowana pani Krystyna. — Ale dlaczego panna Franciszka nie dała ci twojej ślicznej, różowej sukienki?! Tak przecież rozporządziłam! Widzę, że i zabawek twych nie przyniesiono!

— Nałóż tej słodkiej „Ansisi“ munsztuk na pysio, bo coś zanadto daje dęba! — zaproponował brawurowo pan Edward.

— Jutro odeślę to wszystko do Czereszeńki! — zawyrokowała stanowczo pani Krystyna.

— To zupełnie zbyteczne! Niech lepiej zostanie dla miłych dziewczynek w ochronce! Znajdziemy w Czereszeńce i zabawki i sukienki dla Ani! — mówiła z uprzejmą

prośbą pani Vera, wychylając się z powozu do stojących przy nim gospodarzy domu. — Chodź Aniu, i siadaj koło mnie! Pośpiesz się! — dodała żywo, widząc niezrozumiałe dla niej ociąganie się dziewczynki, która, rozstając się ze swą dotychczasową opiekunką, chciała rzucić się jej na szyję i serdecznym pocałunkiem dziękować za tyle dobroci, a nie śmiała tego uczynić.

— Cóż to za ceregiele?! — zaśmiał się pan Edward. — Wsiadaj zaraz, mały bączku, bo jak Bóg na niebie, wniosę ciebie na rękach! — i podskoczył ku Ani, lecz uprzedziła go żona, pochylając się nad stojącą w milczeniu ulubienicą i tuląc ją w objęciach:

— Jedź z Bogiem, dziecko kochane! Szczęśliwa jestem, że oddaję cię w tak dobre ręce! Pamiętaj o nas i odwiedź kiedyś, jeśli ci pozwolą!

— Już dość! — wołała niecierpliwie pani Vera, widząc, iż małe usteczka Ani przylgnęły do bladej, szczupłej twarzy gospodyni domu i nie mogą się od niej oderwać! — Najmilsza pani Krystyno! Proszę przyjechać do Czereszeńki na dalszy ciąg tych karesów, a tymczasem ruszajmy z miejsca, bo Fredzio głowę mi urwie!

— Będzie miał rzeźbę, nie gorszą od greckich i rzymskich! — skłonił się z kurtuazją pan Edward.

— Wio razem — przemówił do koni służbisty Archip, zobaczywszy, iż „detyna“ już siedzi w powozie.

— Odbije pan sobie ten komplement w czasie jesiennego przyjmowania naszych buraków! — wołała uśmiechnięta pani Vera, odwracając się całą postacią w jadącym powozie. — Dowidzenia, kochani państwo! Dowidzenia!

Jechano w milczeniu. Pani Vera siedziała wyprostowana, opierając się lekko o elastyczne poduszki faetonu i nie zwracając pozornie uwagi na znajdującą się u jej boku dziewczynkę. Niech się oswoi z nową sytuacją i na-

bierze zaufania do nieznanych osób. Na koźle — Archip z Hrehorkiem przerzucili się kilku zdaniami, tyczącemi się „biednej sierotki". Pewno wzięła ją pani do garderoby. Panna Janka będzie miała pomoc i zabawę, bo mała jest „myłeńkaja", tylko „straszenno zamorana!"[1] Ale w Czereszeńce odkarmi się prędko! Panna Janka dobra. Sama na pańskim stole, a detynie też nie pożałuje!

Czynili te uwagi półgłosem, nie zwracając się głowami ku sobie, ale patrząc z doskonałą nieruchomością wprost przed siebie, tak aby nawet echo ich rozmowy nie doleciało ucha jadącej „pani". W ich pojęciach było to bowiem sprzecznem z dobrem ułożeniem dworskiego sługi.

Ania pogrążona była w zadumie. Oblatywał ją raz po raz strach przed obcymi zupełnie ludźmi i nowemi warunkami życia. Stało się! Jest znów samotna wśród nieznanych!... Starała się oderwać od trwożącej ją rzeczywistości, a polecieć myślą do czarownej krainy dziecięctwa, tam, skąd ją życie wygnało w świat szeroki i daleki — do ukochanych Malinek! Wywołała w pamięci drogą postać dziadka. Zdawanie sobie sprawy z jego słów i nauk jakgdyby rosło w dziewczynce wraz z jej latami. Jak on to mówił?!... „Licz tylko na siebie!...", przypływało ku niej z oddalonej przeszłości... Zaczynała już to pojmować... Czy zobaczy kiedy tę utraconą, najdroższą mamusię?!... Może nieprędko, wtedy gdy będzie duża!... A tatuś?!... Taki mądry, taki kochany!... Nie zobaczy go nigdy!...

Myśli jej się zmąciły. Miarowy ruch wygodnego powozu uśpił ją mimowoli.

— Wjeżdżamy do Czereszeńki, Aniu! — zbudził dziewczynkę głos pani Very, która otoczyła już dawno śpiącą ramieniem. — Spójrz, jak tu ładnie!

---

[1] Strasznie wynędzniała.

Ania drgnęła i podniosła powieki. Oczom jej ukazała się szeroka, pnąca się łagodnie do góry aleja, wysadzana po dwóch stronach staremi drzewami. Światło księżyca przepajało powietrze jak rozpylone w każdym zakątku srebro. Na wzgórzu, w gąszczu drzew, oblanych poświatą, rysował się dwór, jaśniejący zlotawem światłem lamp, bijącem z okien.

— Triumfalny masz wjazd, kochanie! — zabrzmiał tuż obok Ani świeży głos nowej jej opiekunki. — Patrz! Wspaniała iluminacja, nieprawdaż?! To robaczki świętojańskie tak błyszczą po obu stronach drogi! Zapaliły lampiony na przyjęcie małej swej przyjaciółki. Lubisz z pewnością wszystkie zwierzęta?! To cecha każdej szlachetnej duszyczki!

Wydłużona, delikatna ręka pani Very spoczęła na obu dłoniach zapatrzonej i oszołomionej nowością wrażeń dziewczynki. Zdawało się, iż śliczna pani pragnie słowami i gestem dodać jej w tej chwili otuchy.

Wjechali do parku, zbliżając się ku dworowi.

Ania nagle zadrżała gwałtownie, co jej towarzyszka złożyła na karb zwykłej u dziecka trwogi przed nieznanem otoczeniem. Dziewczynka bez tchu niemal, z bijącem szybko serduszkiem wpatrywała się zdumiona w piękny, okazały dwór na Ukrainie. Co to?!... Czy jej się śni?!... Ten długi szereg okien na dole, ta piętrowa wieżyczka z lewej strony, ten ganek oszklony, przestronny, jasny z wysokiemi drzwiami wejściowemi?!... I ta biała postać we wnęce u góry?!... Czy to być może?!... Ależ to Malinki, ukochane, stracone, opłakane Malinki!... Drzwi otwarte naroścież... Kto z nich wyjdzie, kto się ukaże?!... Dziadzio nie może, bo umarł i leży w grobie! Ale stary Jakób żyje! Może to on wyniesie Anię z powozu?!... A może Bisia przyskoczy do niej z radosnym okrzykiem?!...

O, Boże, Boże!... Serduszko małej kołatało zawzięcie, myśli plątały się jak zwikłane pasma jedwabiu, a kasztany stanęły nagle jak wryte. Byli u celu podróży.

Psy podwórzowe czujne, i zwinne obskoczyły faeton i konie, napełniając powietrze wrzawą radosnego ujadania. Łasiły się uporczywie u nóg pani domu, zatęskniwszy snadź za jej niewidzianą przez cały dzień osobą.

— Czy dacie mi spokój?! A do budy! — napędzała je niby gniewnie. — Gdzie jest pan, Dorofteju? — zwróciła się do służącego w ubraniu strzelca, który z szacunkiem i przywiązaniem pocałował ją w rękę.

— Pan poszedł na folwark, skontrolować nocnego! A może upił się przy niedzieli?! — odpowiedział mile brzmiącym i czystym głosem. Biały rąbek sztywnego kołnierzyka, wychylający się dyskretnie z pod zgrabnie skrojonej kurtki i starannie wyszczotkowane włosy nadawały mu wygląd prawdziwie europejski, do czego przyczyniały się ruchy i słowa, nacechowane równowagą i spokojem.

— Chodź, Aniu! — pani Vera ujęła małą za rączkę i przez ganek weszła z nią do przedpokoju. — Hawryłko! Skocz po pannę Jankę, a ty, kochanie, połóż tymczasem swój pakunek na stole! Jak tylko pan wróci, można podawać kolację, Dorofteju! — wydała rozkaz służącemu, zdejmującemu z niej umiejętnie jedwabny płaszcz od kurzu.

Dziewczynka stała naprzeciw otwartych drzwi od jadalni prościutka i nieruchoma niby statuetka z szarego marmuru. Widziała podłużny, obszerny pokój z czterema oknami w dwóch przeciwległych ścianach! Tak jak w Malinkach!... Zupełnie tak samo!... Brak tylko fotela, na którym dziadziuś zakończył życie, ale może stoi gdzieś w kącie?!... I krzesła inne!... Co to ma znaczyć?!

Odgłos szybkich kroków dał się słyszeć od strony ganku

i wysoki, postawny mężczyzna, z pięknie osadzoną na ramionach kształtną głową, wszedł do przedpokoju, mówiąc już od progu z wyrzutem:

— Jakże można, droga Vero...

Żona zatuliła mu usta ręką, na której lśnił tęczowo zaręczynowy brylant:

— Ani słowa, Fredziu! Wiem zgóry wszystko, co masz mi do powiedzenia! Na przeprosiny obiecuję ci solennie, że to ostatni raz! Dobrze?! Rozchmurz się, groźny Jowiszu! — zarzuciła mu obie ręce na szyję, całując go z wielką miłością.

Błysk białych, równych zębów rozświetlił w uśmiechu piękną, męską twarz pana domu.

— Ostatni raz?! — powtórzył żartobliwie. — Wielbicielko prawdy! Czy nie mijasz się z nią wyjątkowo na tem zdradzieckiem rozdrożu?! Ale — rzekł z udanem zdziwieniem, pochylając nieco wyniosłą postać — kto to stoi w tym kącie?! Jakaś nieznana szarotka zakwitła nam w przedpokoju! Nie chowaj tak główki, dziewczynko! Spójrz mi prosto w oczy! Ot, tak!

Szafirowe źrenice Ani patrzyły z nieśmiałym zachwytem na tego „cudnego kasztelana“, który przemawiał do niej z chwytającą za serce dobrocią. To napewno kasztelan! Podobny jak dwie krople wody do tych malowanych w bibljoteczce Hali!

W tej chwili panna Janka wsunęła się zgrabnie przez wpółotwarte drzwi. Po kilku słowach, zamienionych półgłosem z panią domu, wzięła Anię za rączkę i pociągnęła łagodnie za sobą.

— Zaraz ją przyprowadź, Janko! Niech tylko umyje ręce przed kolacją! — zmieniła nagle wydane przed chwilą polecenie pani Vera. — Kolacja, Dorofteju! — i weszła wraz z mężem do jadalnego pokoju. Zasiedli przy stole.

— Śliczna jest ta mała i ma jakiś szczególny wdzięk — powiedział szczerze pan Alfred. — Co za oczy! Jaka głębia w wejrzeniu! Księżna Izabella nie przesadziła zgoła w swem opowiadaniu o ulubionem „dziecku szpitala". Czy nie dowiedziałaś się czegoś konkretniejszego o jej przeszłości?

— Nie! Jakaś legenda krąży dokoła jej główki, że nie znany nikomu dramat rodzinny spowodował oddanie jej do ochronki. Pani Domańska dała mi kartkę, wręczoną przez nauczycielkę, z którą dziewczynki przyjechały. Oto jest. Przeczytaj!

— „Ania Pobóg, wiek — 7 lat, weszła do ochrony dn. 28 czerwca 1915 roku" — czytał pan Alfred na głos i zamyślił się. — Cóż to za nazwisko: Pobóg?! Przecież to herb! Oczywiście, chciano zatrzeć ślady, ale dlaczego, w jakim celu?!

— Pozostanie to dla nas prawdopodobnie zagadką! Oby tylko ta mała, opuszczona dziewczynka okazała się godną tych zamiarów, jakie względem niej żywimy! — wyjawiła swe wątpliwości żywo i prosto Vera.

— Uczułem tak nieprzeparty pociąg do tej cichej, zeszpeconej strojem dziewczynki, że chyba nie zawiedziemy się na niej! Mówisz zawsze, że znam się na ludziach!

Nieśmiało i wolno weszła Ania do jadalnego pokoju i zbliżała się do stołu. Białe szmatki w jej warkoczykach raziły swą pospolitością na tle wytwornych czeczotowych mebli, porozstawianych ze smakiem w dużej sali. Drzwi, przysłonięte złotawą portjerą, uderzyły wzrok dziecka radością i bólem wspomnienia. Stanęła nagle, zapatrzona, daleka, obca wszystkiemu, co ją otaczało... Tam przecież w salonie leżał dziadziuś w trumnie, wśród kwiatów!...

Pan Alfred przypatrywał się jej z zajęciem:

— O czem tak myślisz, mała dziewczynko?! Czyż-

byś wyczuwała zapach kwiatów?! Tam jest salon, a dalej oranżerja! Zaprowadzę cię jutro do niej, a teraz siadaj na swojem miejscu. Pora wielka iść na spoczynek, a nie przyglądać się zamkniętym drzwiom raju! — żartował wesoło.

Ania zadrżała. Wszystko tak jak w Malinkach, w tych najdroższych Malinkach! Usiadła na brzeżku krzesła i, patrząc na „dobrego kasztelana" szafirowemi oczyma, zdecydowała się na wyjąkanie nieśmiałego cichego pytania:

— A czy tam! — wskazała rączką na lewą stronę dworu. — Czy tam rośnie duży, stary świerk między pokojami? — wyczekiwała odpowiedzi z bijącem jakby na alarm serduszkiem.

— Rośnie! — przytaknął ździwiony pan Alfred. — Skądże wiesz o tem, mała szarotko?! A może ty jesteś zaklętą księżniczką i masz zwierciadełko, w którem widzisz przeszłość i przyszłość?! — żartował, ale jego sokole oczy wpatrywały się w nią tak przenikliwie, że Ania opuściła powieki. Ten dobry pan gotów jeszcze wyczytać swemi mądremi oczyma smutne jej dzieje, zamknięte na dnie serduszka!... O, nie!... Nie można patrzeć na niego, bo wszystko odgadnie!...

— Dziecko zmęczyło się długą jazdą i usnęło widocznie! — posłyszała dźwięczny, acz przyciszony głos pani Very. — Dorofteju! Weź małą na ręce i zanieś do gościnnego pokoju obok naszej sypialni!

## W SŁOŃCU.

Następnego dnia rano Ania obudziła się o zwykłej wczesnej godzinie. Tętent kłusującego konia wpadł do jej słuchu i cichł z każdy chwilą. Nie otwierała wszakże powiek, gdyż wszystko zdawało się kołysać ją do powtórnego rozkosznego uśnięcia. Świeża pościel pachniała łąką i sianem, poduszka była taka miła, jedwabista w dotyku, a cisza w domu tak zachęcająca, że dziewczynka, wyciągnąwszy się z lubością, zasnęła smacznie. Zbudził ją głos wesoły i dźwięczny, acz podszyty stanowczością tonu:

— Wstawaj, Aniu! Dziewiąta dochodzi! Pozwoliłam ci dziś wyspać się do syta, ale od jutra dzień będzie się wcześniej zaczynał!

Mała zerwała się z poduszek, usiadła na łóżku, wpatrując się szeroko otwartemi oczyma w stojącą przed nią młodą kobietę. Kto to jest?! Czyż podobna, aby wczorajsza śliczna, strojna biała pani i ta oto skromnie ubrana osoba były jedną i tą samą kobietą?! Nie, nie! Ależ głos ten sam, poznałaby go wśród tysiąca! Zatargał jej serduszkiem i spoczął nazawsze w pamięci!

Pani Vera pochyliła się nad dziewczynką:

— Dlaczego przypatrujesz mi się z takiem zaciekawieniem, ty milczący dziki kociaku?! Ucałujże mnie na dzień dobry! Tak, pięknie! A teraz, hop! na równe nóżki! Chciałabym, abyś zawsze tak czyniła natychmiast po przebudzeniu się. To ogromnie hartuje wolę, a silna wola to jeden z najcenniejszych klejnotów! — mówiąc to po-

deszła do drzwi w środkowej ścianie i zajrzała do wnętrza przyległego pokoju. — Czy kąpiel już gotowa?! Dobrze. Chodźmy, kochanie — wzięła Anię za rączkę i szła z nią wolno. — W tem skrzydle mieszczą się nasza sypialnia, ubieralnia i ten oto gościnny pokój, który przeznaczyłam dla ciebie. Co się stało?! Czy źle się czujesz, żeś przyłożyła rączkę do piersi?! — wpatrywała się w dziecko uważnie.

W tem skrzydle — trzy pokoje! Spała w ostatnim! W „rycerskiej szkole!“ Jak dawniej, jak u dziadzia!... O, Boże!... Tchu jej zabrakło... Jakie to wszystko dziwne!...

— Blada jesteś — mówiła pani Vera troskliwie. — Usiądziemy na kanapie i porozmawiamy chwilkę. O, moja panienko! — groziła jej żartobliwie palcem — musimy poprawić zdrowie! Po kąpieli zjesz śniadanie, a potem pójdziemy do ogrodu na malinki. Ale sama zbierzesz je, bo bez pracy niema kołaczy! Tak, niebieskooka szarotko! My z moim mężem pracujemy po całych dniach i dobrze nam z tem!

Misternie ufryzowana główka Janki ukazała się w drzwiach:

— Wszystko przygotowane. Czy lubisz, Aniu, pluskać się w wodzie?

— Bardzo lubię — mała wstała pośpiesznie z kanapy.

— Więc idźcie — uśmiechnęła się pani domu. — Po śniadaniu przyprowadź ją do ogrodu, Janko! Mam dziś dwadzieścia „podziennych“, a roboty tak wiele, że nie wiemy z ogrodnikiem jak sobie damy radę! Gdzie okiem rzucić — las zielska!

Ania weszła za panną służącą do ubieralni. Tafle lustrzane, wprawione w stojące dookoła murów szafy, odbiły wielokrotnie jej drobną postać w długiej koszulce

nocnej. Wykwintne przybory tualetowe oprawne w kość słoniową leżały symetrycznie ułożone na antycznej tualecie.

Poddając z zadowoleniem szczupłą figurkę umiejętnym zabiegom Janki, dziewczynka siedząc w wannie, przysłuchiwała się w milczeniu jej słowom. Z rozrzutnością określeń, płynącą z otwartej natury, młoda służąca unosiła się nad pięknem Ukrainy (rodem była z Warszawy), nad wspaniałością dworu w Czereszeńce i dobrocią obojga państwa.

— Pokochasz ich, Aniu, napewno! Przekonasz się rychło, że mówię prawdę! Jabym dla nich w ogień skoczyła! — zapewniała z przejęciem, oblewając małą wodą.

Duszyczka Ani kurczyła się w sobie niby żółw, wciskający się w ochronną skorupę pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa. O, nie! Nie może pokochać tych dobrych państwa, bo zaraz ich straci! Coś się takiego stanie, że odeślą ją do ochronki!... Kwaśna twarz panny Franciszki z uszczypliwemi słowami na ustach stanęła w oczach dziewczynce jak przykra, dręcząca zjawa.

Kiedy pan Alfred powrócił konno z pola w obiadowej porze i wszedł do jadalni, zastał tam żonę, układającą wraz z Anią cięte róże w sewrskiej żardinierce. Tworzyły obraz czarujący poezją „wiecznej kobiecości“ i wdzięku, odmiennego dla każdej niby przepysznie rozkwitnięta Rose France z bladawym, maleńkim pączkiem u boku.

— Widzę, że zamiast naszej wczorajszej cichutkiej szarotki przyleciał tu barwny motylek! — mówił wesoło pan domu, siadając na krześle. Oparty łokciami o kolana, zachęcającemi ruchami dłoni wzywał ku sobie maleńką.

— Bliżej, bliżej, mała dziewczynko! Chcę przyjrzeć się tobie dokładnie! Bardzo mi się podoba ten fartusio w czerwone maki! Ładna i ta sukienka usiana niebieskiemi

kwiatkami! Prawdziwie chodzący ogródek! Pyszna kokarda we włosach! A już najśliczniejsze — to loki! Z naszej Janki fryzjer nielada!

— Same się tak ułożyły po wymyciu! — sprostowała z zadowoleniem pani Vera.

— No proszę! Świetnie! To wielka zaleta i oszczędność w budżecie! Może powiesz mi serdecznie dzieńdobry, motylku?! Co?! — trzymał już obie rączki Ani, która podeszła doń wolno z nieśmiałym uśmieszkiem na ustach. W szafirowych jej oczach więcej było odwagi, nie mogły bowiem oderwać się od siedzącego mężczyzny, który pociągał ją urokiem dobroci i rycerskości w postawie. Szary, płócienny garnitur nie odejmował mu wytworności, starannie utrzymany wąsik przykrywał dumnie nieco zarysowane usta, a widoczne przy lada uśmiechu, białe i równe zęby przypominały dziewczynce kochaną twarz dziadka.

Nie spostrzegła się wprost, że rączki jej mimowiednym ruchem oplotły szyję „kasztelana", a usteczka pocałowały gładko wygolony policzek.

— Przyjaźń zawarta! — orzekł tenże wesoło. — Po takiej konferencji pokojowej należy się nam wystawna uczta, jak się to dzieje na szerokim świecie! Zasiadajmy do stołu. Doroftej wnosi wazę, a panna Ada, punktualna jak słońce, wchodzi do jadalni. Przedstawiam pani moją małą przyjaciółeczkę, panno Ado!

Zagadnięta w ten sposób młoda dziewczyna, spojrzała na obce dziecko przelotnie, z ukrywaną starannie w wymownych oczach niechęcią. Była to zgrabna, niezbyt wysoka szatynka, o delikatnym, regularnym profilu i tak pięknych ustach, jakgdyby rysował je i malował największy mistrz pędzla. Powierzchowne te zalety przyczyniły się do utworzenia w duszy panny Ady nierozplą-

tanego nigdy węzła życiowej tragedji. Zajęła się bowiem jej losem w dziecięctwie pewna bogata wdowa w Kijowie, wychowując i opłacając nauki w pierwszorzędnej szkole tej ślicznej, nad wiek rozwiniętej córeczki poczciwej swej kucharki. Zdawało się wszystkim, iż część przynajmniej znacznej fortuny będzie z czasem własnością zgrabnej jak figurka saska, obdarzonej talentami i wdziękiem wychowanki, ale stało się wręcz przeciwnie. Pani Eliza uważała snadź, iż dyplom nauczycielski wystarczy dziewczynie z niskiej sfery społecznej dla uzyskania stanowiska i dobrobytu. Umarła, zapisując całe swe „avoir“ bogatym krewnym i zostawiając pokrzywdzoną (jak twierdzili niektórzy) Adę wśród topniejących błyskawicznie zamków na lodzie. Paląca gorycz zawodu rozwielmożniła się w duszy dziewczęcia, wyrwanego z jednej sfery, a nie czującego się pewnie w tej, do której pociągało ją wykształcenie i kilkuletni nawyk. Gdy po rewolucji 1917 roku zazieleniła się bujnie ruń oświaty polskiej na ugorach kresowych, i jęły powstawać liczne szkoły przy dworach, panna Ada złożyła podanie jako nauczycielka ludowa. Los rzucił ją do Czereszeńki. Słoneczna atmosfera tego domu i jego mieszkańców odgoryczyła nieco zbolałą jej duszę. Niespodziewany przyjazd obcego dziecka i kilka, rzuconych od niechcenia domysłów Janki, wskrzesiły pogrzebane już, zda się, mary przeszłości. Widok złotowłosej dziewczynki o szafirowych oczach dźgnął ją w serce żądłem zazdrości. Jak ci Alfredowie zajmują się nią serdecznie!... A może ta mała przybłęda wygra główny los na loterji życia?!... Nie tak jak ona!... Nie tak!...

Zbyt jednak była opanowana, aby przejawiać w owej chwili nurtujące ją myśli. Bronzowe jej źrenice lśniły pogodnie, nieskazitelnie czysta linja ust czarowała wdziękiem uśmiechu. Rozmawiała swobodnie, przyglądając się

jednak nieznacznie, siedzącej naprzeciw niej Ani. Jak ona ładnie je!... Rączki ma śliczne, cieniutkie w przegubie!... I te loki, jak płynne złoto!... Nie jest onieśmielona wykwintem otoczenia i służby! Niema cienia wątpliwości! To jest dziecko z „dobrego gniazda“, jak „oni“ to określają!

Pod koniec obiadu pan Alfred jął opowiadać o bytności swej u rządcy sąsiedniego folwarku w celu porozumienia się co do wysokości cen, zwyżkujących z każdym dniem wobec „przerastania“ buraków i konkurencji sąsiedzkiej przy zdobywaniu „podziennych“.

— Rozsądny człowiek i można z nim dojść do ładu — mówił. — Ale nazywa się Ryczywolski. Jeśli nazwisko ma być dobranem do zawodu, to trudno o coś trafniejszego Jak ci się to podoba, Aniu!? Czy chciałabyś wyjść zamąż za pana Ryczywolskiego?!

Panna Ada wybuchnęła śmiechem:

— Cha, cha! To byłoby pyszne! Pan Ryczywolski, pani Ryczywolska, a dzieci nazywałyby się chyba Ryczywoliki!

Ten żart zyskał poklask pana domu, który lubił każdy udany dowcip, *l'art pour l'art* — jak twierdził. Zaśmiał się szczerze, a dwa rzędy odsłoniętych, białych równych zębów nadały jego twarzy wyraz młodzieńczej wprost wesołości. Ania przestała nagle jeść leguminę, którą jeszcze w Malinkach uważała za „najpyszniejszą“, i złożywszy na talerzu łyżeczkę powiodła oczyma po zebranych.

— Dlaczego nie jesz, Aniu? — spytała pani Vera zdziwiona. — Ta bita śmietana z kasztanami — na twoją intencję. Wszystkie dzieci za tem przepadają!

— Dziękuję pani — szepnęła dziewczynka ze spuszczonemi uparcie powiekami. — Ja już nie mam apetytu!

— Nie masz apetytu na taką doskonałą leguminkę?! — powtórzyła pani Vera, zaskoczona tą nagłą fantazją. — Obraziła się — dodała po francusku. — *C'est bêtè!* Nie mówmy o tem! Chciałam panią prosić, panno Ado, o lekcje śpiewu dla Ani. Ładny ma głosik i dużo uczucia. Ułożę dla niej program dnia, do którego będzie musiała stosować się najdokładniej.

Tak upływać jęły słoneczne dni Ani w Czereszeńce. Pracowite i urozmaicone podobne były do rzeźkiego strumyka górskiego, przelewającego się z radosnym szmerem z kamienia na kamień. Dziewczynka oswoiła się zwolna z pozbawiającą ją tchu w pierwszych chwilach, identycznością dworu w Czereszeńce z utraconem gniazdem w Malinkach. Nie mogła przecież zapytać w jaki sposób zaszedł fakt tak zdumiewający, więc poprzestawała na ostrożnem, nieśmiałem zwiedzaniu każdego kąta i na wżywaniu się całą istotką w minioną przeszłość. Wzrok jej stawał się wówczas daleki, a twarzyczka nabierała wyrazu, postarzającego to dziecko przedwcześnie. Zgodziła się ze swym losem. Wszakże trzy lata minęły od chwili rozstania z mamusią! Wszyscy ją opuścili, jest teraz „dziewczynką z ochronki!" Trzeba zawsze o tem pamiętać! Nie odezwie się nigdy do rodziny! Nie będzie prosiła, aby ją kochali! Może kiedyś... kiedyś... gdy dorośnie, pojedzie do Polski, stanie przed stryjem Benedyktem i powie: Niczego od was nie potrzebuję! Trzeba się tylko uczyć i uczyć, bo bez pracy — niema kołaczy, jak mówi pani Vera. Jednocześnie z wiarą we własne siły osadzała się na dnie serca Ani gorycz nieufności do wszystkich. Komu tu wierzyć, kiedy najbliżsi, najdrożsi zdradzili, zawiedli?!... Przysłonięte szczelnie dumą, ziarenko to leżało pozornie martwe, zdradzając wszakże przy tej, lub innej sposobności piekący swój posmak. Panna Ada

rozjątrzała te drażniące wątpliwości, opowiadając milczącej dziewczynce własne swe, bolesne przeżycia.

— Wzięła mię bogata pani, przyzwyczaiła do zbytków, do wytwornego towarzystwa, popieściła jak pieska faworyta, a potem — krewni po jej śmierci wyrzucili mię na bruk! — mawiała z nienawistnym żalem.

Analogja sama się nasuwała, a o to zapewne chodziło zgorzkniałej nauczycielce.

Sąsiedzi i krewni, zjeżdżający do Czereszeńki, przyczyniali się również do walki uczuć w cichem napozór dziecku. Jedni — obdarzali ją sympatją, zachwycając się czystym głosikiem w śpiewie, inni znów — osądzali zamiary Przedborów krytycznie. Raz nawet, przypadkiem, doszły słuchu Ani bolesne dla niej wyrazy:

— Jak mogliście brać nieznaną dziewczynkę z ochronki? Czyż nie lepiej było uszczęśliwić dziecko ze swej sfery?

Od tego czasu wodziła wzrokiem pojmanego w sidła wilczka, gdy ją zawołano do salonu, przepełnionego strojnemi paniami i wytwornie wyglądającymi mężczyznami. Ach! Z jakąż łatwością mogłaby rozwiać ich podejrzenia! Ale wówczas wszyscy obwiniliby mamusię! Nie! Lepiej milczeć!

Pewnego świątecznego popołudnia Edwardowie Domańscy zajechali przed dwór w Czereszeńce. Po radosnych powitaniach przeszli wszyscy do oranżerji. Usuwano z niej na lato rośliny i palmy, wynoszono okna, tworząc w ten sposób przewiewną salę pod dachem. Zasiedli na trzcinowych fotelach, ciesząc się z przewidywanej dyskusji nad aktualnemi sprawami. *Du choc des opinions jaillit la vérité!* a ludzie ówcześni żyli w mroku tajemniczej Przyszłości, jakgdyby w podziemiach jakiegoś zawikłanego Labiryntu, niby ślepcy, pozbawieni nitki Arjadny. Radzili sobie wszelako jak mogli. — Jedni przyświecali latarką rozumo-

wania. Inni wierzyli w to, co było dla nich najwygodniejsze. Ci — wpadali w otchłań pesymizmu, tamci — wdzierali się na szczyty proroctwa i Wernyhora był u nich na ustach. A nad wszystkimi szalała krwawa wojna, a nad wszystkimi przewalało się wszechpotężne Życie, układające okoliczności i ludzi wbrew ich woli przeważnie, w coraz to inne, zdumiewające komplikacjami figury.

— Darujcie mi, kochani państwo, że przedewszystkiem zapytam niedyskretnie: Czy już zapadła decyzja co do przyszłości Ani?! — spytał z żywem zainteresowaniem Domański, śledząc pilnie wyraz twarzy gospodarzy domu.

— Tak!

— Nie!

Te dwa przeczące sobie wykrzykniki padły jednocześnie niemal, wprowadzając przybyłych w stan chwilowego zakłopotania.

— Czyżby pani droga znalazła u Ani jakieś poważne wady? — jasne oczy pani Krystyny zmącone były rozczarowaniem i niepokojem.

— Niech pani sama osądzi. Jest uparta, zacięta i obraźliwa do śmieszności. Przypomnij sobie Fredziu, historję z Ryczywolskim!

— Pozwól, śliczna Vero, że przypomnę ci również naszą przejażdżkę arabkami do Czerwonego Młyna! Zlękły się tak jakiegoś, wypadającego znienacka wozu, że poniosły nas jak szalone! Ledwo zdołałem je powstrzymać! A przecież mała nie wydała najlżejszego okrzyku trwogi! Kapelusz spadł jej z główki od tego nagłego pędu, a ona siedziała obok ciebie blada, ale cichutka! Odważna z niej dziewczynka, to musisz przyznać!

— Prawda. Za to kocha się w „gałgankach“ jak je nazywa. Oczki jej błyszczą gdy na nie spogląda! Szyłaby

po całych dniach stroje dla lalki, którą jej podarowałeś. Obawiam się bardzo, czy nie jest to zapowiedzią lekkości i marnotrawstwa?

— Ja w tem widzę tylko wiele gustu i zgrabne, pracowite paluszki.

— Niech i tak będzie! A jak państwo osądzą następującą rozmowę, o której ci jeszcze, Fredziu, nie wspominałam. Było to wczoraj. Hrehorko złapał w sidła przepiórkę i przyniósł ją Ani. Mała krzyknęła z radości, pieściła i całowała, drżącą z bojaźni ptaszynę, uspokajając ją czułemi słówkami. Taka była rozpromieniona i tkliwa, że wyrwało mi się bezwiednie pytanie: Nieprawdaż, Aniu, że dobrze ci w Czereszeńce?! Czy przywiązałaś się już do nas?! — Dziewczynka podniosła na mnie oczy, w których dojrzałam z łatwością wyrzut jak bardzo jestem niedyskretna, wdzierając się do tajników jej serduszka. Potem — zamyśliła się chwilę, wstrząsnęła główką przecząco i odpowiedziała zdecydowanym głosikiem: — Nie!— Jakto?! — nalegałam zdziwiona. — Nie obudziło się w tobie żadne uczucie dla nas?! — Powtórne zaprzeczenie główką było całą milczącą odpowiedzią. Niewdzięczne serce! — pomyślałam zrażona. — Ale chciałam wyczerpać tę sprawę do dna. — Płakałabyś chyba, gdybyśmy ciebie odwieźli do ochronki?! — Nie, nie płakałabym! — tuliła swoją przepiórkę do piersi i wytrzymywała moje badawcze spojrzenie nieustępliwie. — Nie płakałabyś?! Dlaczego?! — Bo nie zrobiłam nic złego!

Siwe oczy pani Przedborowej, ocienione złotawemi rzęsami, przebiegły szybko po twarzach słuchaczy. Na ustach mężczyzn błąkał się przychylny dla małej niewdzięcznicy uśmiech, a pani Krystyna jęła ją bronić z niezwykłem ożywieniem:

— Zaraz wytłumaczę państwu te słowa! Jedna z dziew-

czynek ochronki, Irenka, została wzięta na wychowanie przez bogatych kupców z Kijowa. Po jakimś czasie odesłali ją z listem, pełnym rozczarowania. Okazało się, że lubiła stroje i świecidełka do tego stopnia, iż schowała do swej szufladki brylantowy wisiorek opiekunki. Biedna mała zalewała się łzami, tłumacząc, że chciała tylko przyjrzeć się w lustrze wieczorem jak wygląda w tak pięknej ozdobie, ale nie dano wiary jej gorącym zapewnieniom. Szlochała też w ochronce po całych dniach, opowiadając koleżankom o utraconym raju! To jest geneza odpornej postawy Ani, ale dlaczego zaprzecza swemu przywiązaniu do państwa, tego nie rozumiem zupełnie! Coś w tem jest, ale co?!

— Przedewszystkiem — brak pochlebstwa i cywilna odwaga! — zadecydował pan Alfred poważnie — (Racja! — przyklasnął Domański). — To dziecko chce iść ścieżką Prawdy bez względu na merkantylne korzyści. Czyż nie cenisz tego, Vero kochana?! Co do mnie — wyznam otwarcie, że ten mały skrzat cichy i hardy zarazem, podoba mi się coraz więcej! Zaprzecza swemu uczuciu dla nas, a czyż nie przejawia się ono samo w jej spojrzeniach, uśmiechach, pocałunkach rzadkich, ale serdecznych, a chociażby w tym przemiłym zwrocie: Pańciunio, Pańciunia i Pańciuniowie! Oho! Mamy cię, niewdzięczny bąku! Serduszko jak szydło wyłazi z worka!

— Widzę, że ta mała dziewczynka podbiła cię zupełnie, mój drogi! Zresztą wiadomo ogólnie, jakim jesteś „dzieciarzem“! Umiesz wniknąć w ten maleńki, odrębny światek i kochasz duszyczkę dziecka, ale idealizujesz ją z zasady i z potrzeby wielkiego serca! Nie przecz, mój Fredziu, bo to istotna prawda!

— Do rzeczy, do rzeczy, mili sąsiedzi! — pan Edward wstrząsnął gęstą czupryną i poprawił szkła na nosie. —

Jakiż ostateczny wynik tej dyskusji tak wytwornej i opanowanej, jakgdybyśmy przysłuchiwali się djalcgowi artystów na pierwszorzędnej scenie?! Bierzecie Anię na wychowanie, czy nie?!

— Na wychowanie — tak! — podkreśliła mocno początkowe wyrazy pani domu.

— *Qui veut la fin, veut les moyens!* — uśmiechnął się porozumiewawczo pan Alfred. — Przekonasz się droga moja, że po jakimś czasie sama będziesz na to nastawała, aby ta dziewczynka z charakterem i wolą została naszą przybraną córką. Dziecinny jej upór wyszlachetnieje z latami, a zbyt drażliwy „honor" — to jej określenie, mówiąc nawiasem — zmieni się w dobrze pojmowaną godność. Co do mnie — pewny jestem, że nie przyniesie nigdy ujmy naszemu nazwisku!

— Ach, Fredziu, Fredziu! Romantyku z odległej epoki! — zaśmiała się pani Vera, obrzucając męża spojrzeniem, w którem głębokie uczucie splatało się z dumą kobiety, przekonanej o trafności swego wyboru.

— Ach, Vero. — Prawdo wcielona! Czy w twej krytyce nie brzmi czasem leciutkie echo ścierania się dwóch silnych indywidualności, nie stojących oczywiście, na jednakim poziomie rozumu i kultury duchowej?!

— Oboje jesteście romantycy! — wtargnął w chwilową ciszę donośny głos pana Edwarda, który odruchowo porwawszy się z fotela, przyskoczył do pani domu całując obie jej ręce kolejno. — Ania będzie z pewnością przez was usynowiona, a fakt że zastanawiacie się li tylko nad wartością moralną nieznanej dziewczynki z ochrony — przynosi wam zaszczyt!

— Proszę o cząsteczkę tego cennego uznania dla mojej córeczki *in spe!* Osobisty wdzięk tej małej kobietki zaważył bezsprzecznie na szali. Cały dom jest pod jej urokiem.

Słuchajcie i podziwiajcie! Helena Trojańska uważa, iż jest prawie tak milusia i roztropna jak, no — jak jej Romanek!

— To nadzwyczajne zwycięstwo! — orzekła rozbawiona pani Krystyna. — Romanek przyjechał pewno na wakacje do Czereszeńki? Wyobrażam sobie jak opływa w smakołyki wiejskie! Łatwo mu to przychodzi, gdy klucze od różnych Sezamów spoczywają w ręku matki klucznicy. Ale i w zimie niczego mu w szkole nie brakuje! — tu oczy jej zwróciły się z niemą wymową w stronę gospodyni domu.

— Wyliczam dalej — ciągnął z werwą pan Alfred. — Doroftej i Hawryłko prześcigają się w dogadzaniu „naszej detynie". Kucharz — Panteon wiadomości kulinarnych zwykły Pantaleon, gdy się upije, głowi się nieustannie jaką nową leguminą zachwycić dziewczynkę! Archip woziłby ją ciągle na spacer! Ogrodnik zrywa dla niej kwiaty, dziewczęta dworskie szczerzą zęby w uśmiechu, a o Jance nawet nie wspominam!

— Obrazowo i przekonywująco! — podkreślił pan Domański swoje wrażenia. — Co do Dorofteja — nie dziwię się wcale jego dobroci dla Ani. Zastanawiałem się nieraz skąd u tego chłopa Rusina powstała taka ogłada i szlachetność pojęć?!

— Ja zaś cenię go za to, że orkan rewolucyjnych idej nie zdołał nim zachwiać nawet przez mgnienie oka! „Nie pożądaj cudzego dobra, bo staniesz się złodziejem!" Te podwaliny zasad ostały się w jego sumieniu nietknięte! Dużo mu zawdzięczamy podczas owej tragicznej jesieni 1917 roku, kiedy to dwory polskie ginęły wśród słupów dymu, omotane krwawą płachtą szalejących płomieni! — twarz pana domu sposępniała przy tych wspomnieniach.

— Ania biegnie ku nam — oznajmiła nagle pani

Krystyna, wstając z fotela i zbliżając się do wnęki okna. — Jakaż ona śliczniutka w tej białej sukience! Twarzyczka zaróżowiona! Urosła, doprawdy, urosła! Nabrała cery i zdrowia!

— Była w ogrodzie z Janką i Romankiem — powiedziała pani Vera obojętnie napozór, ale i jej wzrok śledził z zadowoleniem zbliżającą się dziewczynkę.

Mała wbiegła na schody i znalazła się w ramionach pani Krystyny, tulącej ją serdecznie: — Cóż, moja pieszczoszko? Dobrze ci tu, nieprawdaż?

— Dobrze. Ale ja bardzo tęskniłam za panią. Smutno mi troszkę samej bez dziewczynek.

— One także nie zapomniały o tobie. Bawią się twojemi ślicznemi zabawkami z taką radością.

— Ach, to doskonale! One nie są w Czereszeńce tak jak ja. Zawsze będę pamiętała, że jestem dziewczynką z ochronki, proszę pani — tu dygnęła z wdziękiem panu Edwardowi, ale ten impetyczny człowiek pochwycił ją na ręce i wyściskał bez pardonu.

Postawił ją na ziemi, a „dziewczynka z ochronki", czująca się jednak na swojem miejscu wśród tego wykwintnego otoczenia, podeszła do „pańciunia", który po ojcowsku przygarnął do siebie to miłe dziecko.

— Rozmyślam w tej chwili nad potęgą tradycji — rzekł, błądząc wzrokiem po szumiących czubach drzew parkowych. — Na czem właściwie polega tajemnicza siła tego, co nie istnieje, przebrzmiało w mrokach dni wczorajszych a jednak jak niezdarte pasmo wiąże nasze serca z sercami od wieków już na proch zetlałemi?! Myślę o nas, o Czereszeńce. Wszak od czterystu lat ten szmat ziemi ukrainnej w naszem jest władaniu. Przed czterema wiekami przodek nasz umknąć musiał z Polski, gdzie hardą głowę pod miecz katowski złożyłby niechybnie. „*Raptus*

*puellae!*" Uprowadził dziewczę z wielkiego rodu, a za takie przewiny karano na gardle. — Tu w tem miejscu zatrzymały się wreszcie ich stopy tułacze. Bór tu szumiał wówczas podniebny i kwitła samotna, dzika czereśnia. Opodal — staw przejrzysty witał nieszczęsnych kochanków wilgotną ze współczucia źrenicą. Tu ostaniem! — rzekł rycerz wygnany. — A jako imienia i domu pozbawion jestem, Przedborem się nazwę, a osada niech jako Czereszeńka zakwitnie. Ślubuję przeto Ci, Panie Boże Wielki, że szczęścia mego dług spłacę rychło. Dla poddanych ojcem chcę być i sprawiedliwym panem, a ta moja przysięga niech idzie poprzez dni wszystkie przyszłe, niech się czepia głów moich potomków jako ten chmiel na olchach, aż do wygaśnięcia rodu całego, Amen! — umilkł, pogrążony w zadumie.

Ania wsłuchiwała się przejęta i zachwycona.

— Tak się też stało! — rzucił mocno pan Edward. — Stosunki pomiędzy wsią, a dworem w Czereszeńce i jej kilku folwarkami były wprost do pozazdroszczenia! Żadnych zatargów, sporów, nieporozumień! Praszczur czuwał z nieba! Dajże mu, Boże spokój wieczny i spraw, aby was szczęśliwie przywiódł do Polski, gdy tego zajdzie konieczna potrzeba!

— Do Polski?! — powtórzyli zdumieni Alfredowie. — Poco?! W myśli nam nawet nie postało opuszczać Czereszeńkę. — Jesteśmy tu bezpieczni.

Pan Edward obrócił się tak szybko na fotelu, że usiadł bokiem, wychylając się przez poręcz ku wpatrzonym weń gospodarzom domu:

— Najmilsi romantycy! Pip swoje, a czort swoje! jak mówi nasz kochany ludek! Zaczyna nam być gorąco! Wiecie przecież, że o miedzę od nas, w sąsiednim taraszczańskim powiecie zawrzało powstanie przeciw Niem-

com! Pod tym pozorem bandy rabusiów grabią dwory i mordują ziemian polskich! Skądże pewność, że ta czarna chmura nie zagarnie całego horyzontu?! A gdyby nawet umiejscowiła się tak jak dotychczas, to groza wojny nie wyklucza innego niebezpieczeństwa. Nie dowierzam ja temu szelmoskiemu Marsowi! Podły, krwawy opilec! Chcecie znów prażyć się w bolszewickich systemach?! *Petits pois sautés au beurre!* Burżujskie gruszki zielone bezwątpienia, ale to masełko?! Brr! Horrendalne!

— Pan przypuszcza, że Europa może sankcjonować bezprawia i mordy?! — oponował zawzięcie pan Alfred. — Znam dobrze Zachód i Anglję...

— Przebiegła handlarka, umizgująca się do każdego, kto da więcej! — wpadł w słowo Domański, żachnąwszy się niecierpliwie. — Śpiewa pan zgodny duet ze swą miedzianorzęsą królową! Słyszałem od żony jak pani Vera zapatruje się na rozgrywkę wojenną. Phi! — skrzywił się ironicznie. — Prawdę rzekłszy, jasnowidzów nie mamy! Może i ja się mylę?! W każdym razie trzymam się swego planu, to znaczy — sprzedałem cały urodzaj Niemcom, a uzyskaną flotę wysłałem moim chlebodawcom do Szwajcarji, gdzie wojna ich zaskoczyła. Prócz tego czynię herkulesowe wysiłki, aby zdobyć pozwolenie i sprzedać kawał starodrzewu. Monetę pchnąłbym również do ich kieszeni. Niech nie narzekają — jeśli się moje przypuszczenia sprawdzą — że jakiś podolski krótkowzroczny idjota osadził właścicieli magnackiej fortuny — na lodzie! Będzie przynajmniej na otarcie łez po utraconym semihorskim kluczu!

— Niech pan nie wywołuje złej doli! — zawołała z lękiem, przesądna jak prawie wszyscy kresowcy, pani domu.

Mąż jej oparł się rękami o kolana i patrzył na gościa.

Ciemno-niebieskie źrenice pełne były blasków, a swobodny uśmiech odsłaniał lśniącą biel zębów.

— I ja będę się trzymał nakreślonego planu — oznajmił spokojnie. — Nie wyjedziemy z Czereszeńki. Nie opuszczę swego gniazda i swoich chłopów. „Aż do wygaśnięcia rodu“! Mogą przyjść trudne chwile, może wówczas zda się im moja rada. Przetrwaliśmy razem niszczycielski szał roku 1917, a dwór ten ostał się, nienaruszony. Przetrwamy, da Bóg, następne ataki!

— „Prawdziwy kasztelan“ — myślała Ania. — A taki mężny jak ksiądz Kordecki!

— Będę was oczekiwał w Polsce! — rzucił nieustępliwie, jak gdyby nie słysząc „*credo*“ gospodarza, Domański. — Majątek swój na Podolu wydzierżawiłem, pieniądze, wzięte zgóry od cukrowni — zaszyte! *Voila!* Myk! z rodziną do Polski, jeśli wulkan zacznie się dymić!

— Wówczas — miano „krótkowzrocznego idjoty“ pasowałoby do mnie jak na obstalunek! Nieprawdaż, miły sąsiedzie?!

— Dobrze, ale z prawem wzajemności — rzuciła porywczo pani Vera. — Może przyszłość okaże, że Fredzio ma słuszność, a w takim razie...

— Będę oczarowany! — pan Edward wstał i skłonił się nisko przed prawdomówną sąsiadką. — Droga pani! Któż z nas chciałby opuszczać dobrowolnie te ukochane strony?!

— Dorofteju! — zawołał wesoło gospodarz do służącego, który w tej chwili stanął na progu salonu, oznajmiając podanie kolacji. — Przynieś, mój kochany, najbardziej omszałą butelkę miodu z piwnicy! Masz klucze!

— Mam nadzieję, że wiek jej będzie identyczny z latami rycerskiego waszego przodka! — zaśmiał się na całe gardło pan Edward.

— Niestety! Młodsza nieco panienka, gdyż liczy sobie tylko okrągłe sto latek! — wyjaśnił z udaną powagą gospodarz. — Służę pani! — z kurtuazją podał ramię pani Krystynie, w czem naśladował go Domański, podchodząc do pani Very. Ania szła za nimi poważna i zamyślona.

## BŁYSKAWICE I GROMY.

— Niemcy wychodzą!

Niby ognisty zygzak pioruna, ukazujący przelotnie bezdenną czerń, gromadzących się chmur — nieoczekiwana ta wieść przeleciała ukrainne ziemie od krańca do krańca, wstrząsając ich mieszkańcami. Kraina, będąca pod okupacją niemiecką, stawała się znów bezpańską. Na tle chwilowego zacisza ci i owi dążyli do pochwycenia steru okrętu, unoszonego przez wzbierające fale dziejów. Wieś przytaiła dech w napięciu oczekiwania. Starsi gospodarze z trwożnem zaciekawieniem patrzyli w niepewne jutro, młodsze natomiast pokolenie wchłaniało pożądliwie mamiące obietnice bolszewickich teoryj. Z każdym dniem nastroje te rosły i wzmacniały się nienawiścią do dawnych „panów", aż pewnego dnia mała bryczuszka zaturkotała przed dworem w Czereszeńce, zatrzymując się naprzeciw głównego wejścia. Największy we wsi pijak i ladaco, Martyn Bezrukij, wydrapał się z niej ociężale, spluwając i chwiejąc się na nogach, tęgo i tym razem podhumorzony.

— Pan w doma?! — zapytał Dorofteja, obracając z trudem językiem w ustach.

— Nie „pan", a pomieszczik, *diad' ku Martynie!* — poprawił go, towarzyszący mu żołnierz z dziwnie okrutnym i złym wyrazem oczu. — *„Paniw" uże niet! Propali czortowskije dieti, a pomieszczikam i ich sobakam* prędko zrobimy koniec!

Doroftej stał na ganku wzgardliwy i chłodny.

— Głupców nikt nie siał — sami rosną! Pilnuj się,

Iwaniszka, żeby Francuzy nie skrócili ciebie o głowę! Tylko ich patrzeć!

— Francuzy?! — rechotał z pijackiem otumanieniem Bezrukij. — A niech przychodzą! powitamy ich chlebem, solą... Cha, Cha!... — splunął, odwracając wbok głowę.

— Przestań szczekać o tych Francuzach! — krzyknął żołnierz gniewnie. — Zamrozili my ich Napoljona, aż gnał do Francji, żeby się rozgrzać w biegu! Niech te wszystkie parszywce nie nałażą do matuszki Rosji, bo jak zęby oskali, to pogruchoce im żebra! Prowadź nas do pomieszczika! Słysz, ty rabie bez głowy?!

— Wiecie dobrze, gdzie kredens! Tam idźcie! — padła spokojna odpowiedź służącego, który zamknął jednocześnie drzwi na klucz przed nosem, wdzierających się przemocą polityków wiejskich.

Wszedł do przedpokoju, gdzie czekała nań pani Vera, nieco strwożona.

— Słyszałam rozmowę. Czego oni chcą? To ciekawe! Wyjdę do nich sama. Nie mów nic panu, Dorofteju!

Przybysze siedzieli w kredensie rozparci i w czapkach na głowie. Nie drgnęli, gdy pani domu stanęła na progu, tylko wodzili po niej złośliwym okiem.

— Wstańcie! — powiedział Doroftej surowo.

Pani Vera skinęła lekceważąco ręką:

— Daj im spokój! Nie utrzymaliby się na nogach! Mówcie, z czem przyszliście?

— My z naszego Selkomu! — bełkotał Martyn niewyraźnie. — Spiszemy zaraz wasze zboże i remanenty. Ile macie krów! Aa?! — splunął na podłogę. — Zostawimy wam trzy, po sztuce na głowę, a reszta — dla naroda! Poniały?! Ha?!

— Co ty tu robisz, Vero? — zabrzmiał nagle donośny głos pana Alfreda. — Wstań, pijaku, kiedy mówisz do

pani! — mocny chwyt podniósł oszołomionego Martyna z krzesła. — Czapki z głowy! Słyszycie?! A teraz — gadajcie! Słucham — oparł się plecami o ścianę, krzyżując na piersiach ręce. Twarz jego była spokojna i pełna siły.

Martyn wyciągał doń brudną, żylastą prawicę, walcząc z opanowującą go czkawką: — Zdrastwujte, prosze pana! My teraz dwa opiekuny wsi! Selkom nas przysłał zrobić porządek we dworze! Dawajcie nam klucze! Hiik!... za szerokie macie gardła! Spiszemy wszystko! Nie będziecie się już tak obżerać! Hiik!... Czortby ciebie pobrał! — rozzłościł się na dręczące go objawy przepicia.

— *Je te supplie, Alfred, va t'en! Ils sont ivres tous les deux. On ne doit pas les exciter* — zwróciła się pani Vera do męża, który blady, ale spokojny podchodził do chłopa, z widocznym zamiarem wyrzucenia go za drzwi. Mistrz fechtunku, posiadający tajemnice *dżiu-dżitsu,* znany jeszcze w Dorpacie, gdzie studjował agronomję, z nieomylnego oka i celności strzału — wzniecił lęk swym stalowym wzrokiem nietylko w tchórzliwym pijaku, lecz nawet w zażartym przeciwniku wyższej klasy społecznej. Obydwaj skurczyli się i zmaleli.

Doroftej stał tuż za swym panem, gotów w każdej chwili do powtórzenia jego gestu.

— Dla ciebie to robię — powiedział pan domu do żony i, włożywszy obie ręce do kieszeni marynarki, jakgdyby w obawie, aby same nie podniosły się na zuchwalców, wyszedł równym krokiem z kredensu, rzuciwszy porozumiewawcze spojrzenie na Dorofteja.

— A teraz gotowa jestem iść z wami do krowiarni! — zwróciła się dyplomatycznie pani Vera do, nabierających znów hardości delegatów wiejskich.

Był to tylko początek całego szeregu dni ciężkich i trudnych do przetrzymania, gdy coraz to inne pretensje

i rewizje bolszewickich adeptów niepokoiły stary dwór w Czereszeńce, a nalatujące bandy szarpały go jak stada zgłodniałych wilków, obierając z dobra, gromadzonego pracą całych pokoleń.

W każdym takim wypadku pan Alfred i Doroftej we dwóch tylko stawiali czoło, walącej się na dwór zgrai, mogąc jeszcze panować nad nią, bijącym z nich spokojem i pozornem lekceważeniem oszalałych wybryków.

Snadź to zachowanie się imponowało drapieżnym rabusiom i śledzącej bacznie rozwój wydarzeń wsi, gdyż chłopi przyjaciele, których również nie brakło, donosili cichaczem o zasłyszanych osądach.

— Coś „on“ wie i na kogoś czeka, kiedy taki „widważnyj“! — mawiali z podziwem, wichrzący rozważną Czereszeńką agitatorzy. — Jak „on“ nam powiedział: — Bierzcie, jeżeli to wasze prawo! — i ani drgnął od stolika! Pismo pisał dalej, jakby nas nie widział. Do sytości już naspał się na puchach i nachodził po lustrach![1] Teraz na nas przyszła pora!

Po każdem przejściu takiej mniejszej, lub większej chmury, nawianej burzą, „odważny pan“ tulił do siebie żonę i Anię, które przybiegały doń z ukrycia, drżąc o jego drogą osobę.

— Przetrwaliśmy i ten atak pomyślnie — uspakajał je troskliwie. — Doczekamy szczęśliwego końca. Zostaniemy na tej ziemi, gdzie porodziliśmy się i gdzie leżą kości naszych pradziadów!

Sprawa Ani nie rozstrzygała się również decydująco wobec ogromu wydarzeń, zawisłych nad życiem Przedborów. Nie mówiono o tem wcale, chociaż nici wzajemnych uczuć splatały się w coraz gęściejszą tkaninę.

---

[1] Lustrzane posadzki.

Bywały wszelako całe dni wytchnienia, kiedy potwór zamętu cofał swe szpony i znikał z widowni, gotując się tajemnie do dalszych, krwawych igraszek z bezbronnemi myszami. Tylko szkoła polska z panną Adą na czele nie odczuwała tych zmian atmosfery. Wieś pozwalała jej funkcjonować bez przerwy, a bandy nie łakomiły się na zeszyty i książki.

Jednego z takich dni odpoczynkowych po południu pani Vera wybrała się na spacer z panną Adą i z Anią. Była to pierwsza połowa grudnia, śnieg spadł na ziemię z bezmierną hojnością i przykrył ją zwojami skrzących się puchów. Ania w białem futerku i takiejże czapeczce na głowie, zaróżowiona od mrozu, dreptała małemi nóżkami po szerokiej drodze, wyjeżdżonej i zbitej kopytami przelatujących rabusiów. Promienie słońca pląsały w jej złotych lokach, muskając śliczny owal twarzyczki, a dziewczynka poddawała się z zadowoleniem tym ciepłym pieszczotom. Wtem — zawołała radośnie:

— Zajączek umyka do lasu! Widzi pańciunia? Ot tam, tam! — wskazywała rączką ciemny kształt, sunący po śniegu. — Chodź, Bum! Prędko! Zobaczymy, gdzie on usiądzie! — i pobiegła naprzód z psem faworytem.

— Ile w niej wdzięku! — zerwało się z ust pani Very. — Inteligentna z natury, a przytem niesłychanie sumienna. Nie mam z nią najmniejszego kłopotu przy naszych lekcjach. Zasługuje istotnie na lepszą dolę, niż miała w ochronce. Jest tylko niezmiernie skryta, więc nigdy nie wiem, co ona myśli naprawdę!

Cień przemknął po ładnej twarzy nauczycielki ludowej, a wyrzucone przez nią znienacka słowa, świadczyły o dziwnych załomach duchowych, jakie tają się na dnie serca każdego niemal człowieka: — Dowiemy się zaraz! —

spojrzała przelotnie na panią Verę, podnosząc głos w jednej chwili:

— Aniu! Aniu! Wracaj natychmiast! Pani Przedborowa już ciebie nie chce! Możesz iść do ochronki zpowrotem!

Dziewczynka nie zdążyła jeszcze odbiec daleko, a każdy wyraz bił ją niby młotem po głowie. Zawróciła jednak posłusznie i stanęła przed swą opiekunką.

— Czyż to być może?! — badały niespokojnie i smutno szafirowe oczęta. Usta pani Very milczały również, a wpatrzone w nieznane dziecko siwe oczy nie rozwiewały dręczącej je niepewności.

Wówczas Ania odwróciła się wolno jakgdyby z przymusem i żalem, oddalając się krok za krokiem od stojących na miejscu dwóch kobiet. Olbrzymia, połyskująca w blaskach słonecznych roztocz śniegowa, wzbudzała w niej lęk bez granic! Jak trafić do tej ochronki? Gdzie Semihory? Gdzie dom pani Krystyny?! Serduszko jej ścisnęło się nagle pod wpływem rozpaczy. Wszakże jej niema! Wyjechała do Polski!... Usiadła za górką śniegową, wtulając twarzyczkę w puszysty zarękawek i rozpłakała się rzewnie. Nigdy jeszcze tak opuszczoną nie była!

— Aniu! Aniu! Gdzie jesteś?! Odezwij się! Wracaj zaraz, maleńka!

Co to?! Wyrazy te same, tylko głos miły i dźwięczny! Pańciunia woła!

Zerwała się w okamgnieniu i biegła co sił. Promienie słońca zcałowywały ślady łez na dziecięcej twarzyczce.

— Daj mi rączkę kochanie! — odezwała się pani Vera słodko. — Chodźmy do domu!

Szły we trzy w zupełnem milczeniu. Dziewczynka obrzuciła raz jeden wzrokiem, pełnym wyrzutu, zachmurzoną i pobladłą twarz panny Ady. Serduszko jej kołatało

tak mocno, że rozsadzało piersi, a kolanka uginały się pod nią. „Honor“ wszelako nie pozwalał jej z tem się zdradzić.

Pani Vera wnet po powrocie odnalazła męża, zagłębionego w Polityce Ekonomicznej Lubeckiego.

— Moja pani czemś się wzruszyła — skonstatował, biorąc obie jej ręce w swoje. — Co się stało droga moja?

Usiadła obok niego na poręczy fotela i skreśliła słowami przeżytą scenę z objektywizmem najczulszego Kodaka.

Pan Alfred słuchał, coraz bardziej przejęty: — Vero! Pierwszy raz odkiedy się znamy — jestem niezadowolony z ciebie. Jak mogłaś?!... Niegodziwa ta Ada! Gdzież jest to biedne maleństwo? — wstał szybko, a prawy kąt ust drgał chwilami, unosząc wgórę przygładzony wąsik, co oznaczało wewnętrzne wzburzenie.

Żona patrzyła mu w oczy jasnym i czystym wzrokiem:

— Krzywdzisz mię, Fredziu, niesłusznie. Wysłuchaj, zanim potępisz. Dobrze? — przyciągnęła go ku sobie łagodnie. — Nie wystawiłabym rozmyślnie dziecka na taką próbę. Wierzysz mi? Dziękuję. Ale skoro Ada w przystępie zazdrości wywołała zajście, pozwalające mi spojrzeć nareszcie w głąb tej opancerzonej duszyczki — skorzystałam z tego, nie przeczę. Wszakże mamy zamiar adoptować tę nieznaną dziewczynkę! Oddać jej dużą fortunę! Stare, szanowane nazwisko! Wobec tego uważam, że nietylko naszem prawem, ale wprost — obowiązkiem jest przekonać się komu powierzamy nasz honor i naszą tradycję rodzinną. Takie jest moje zdanie i nie odstąpię od niego na włos!

— Pojmuję cię, Vero! W zasadzie masz słuszność! A teraz chodźmy do tego hardego skrzata!

Ania siedziała w swoim pokoju na małym stołeczku, a przez jej główkę sunęły zatrważające myśli. Kto wie, co będzie za chwilę?!... Może ta panna Ada powiedziała

prawdę?!... Może zaraz podjadą sanki i trzeba pożegnać ten dwór kochany i „kasztelana“ i dobrą pańciunię?!... Wrócić znów do panny Franciszki?!...

— Gdzie chowasz się, mała dziewczynko? — zabrzmiał nagle w lekkiej omroczy wczesnego, zimowego wieczoru głos taki wesoły i znany.

Uczuła chwyt silnych ramion, które podniosły ją w górę. Znalazła się wnet na kolanach pańciunia, mówiącego do niej z łagodnym wyrzutem: — Niedobre dziecko! Jak mogłaś uwierzyć, że chcemy ciebie wyprawić samą i pieszo?! Wstydź się, maleńka! Czyż nam doprawdy nie ufasz?

— Nie mówmy o tem, pańciuniu! — szepnęła cicho Ania, przytulając się jasną głową do szorstkiego ubrania mężczyzny.

— Nie pańciuniu, ale „tatusiu!“ Rozumiesz, mężny piechurze?! Oto twoja mamusia! Całujże ją zaraz w rączki i w nosek i w buzię, przepraszając za taką brzydką niewiarę. Ot, tak! Pięknie! Teraz kolej na mnie! Raz, dwa, trzy! Obie rączki na szyję! Proszę mocno całować! Odpłacam wzajemnością mojej córeczce. Jakże tam „honor?“ Uratowany, co? Dzięki Bogu! Przynajmniej z tem nie będziemy mieli kłopotu!

Pieścili oboje dziewczynkę, chcąc jej wynagrodzić przeżytą, bolesną chwilę, rozczuleni jej szybkim oddechem i gorączkowem tętnem małego serduszka. Kotłowały w niem, zmienne jak w kalejdoskopie uczucia i myśli.

— Matka Boska w niebieskim płaszczu!... „Będziesz pod moją opieką!...“ Więc to dlatego?!... A przedtem — tak smutno! Rodzony tatuś umarł, mamuchna opuściła!... Teraz nowi rodzice! I tacy szlachetni! Kochani! Chyba nie porzucą na „drodze życia?...“ Czy można im wierzyć?... Co mówi panna Ada! „Pobawiła się mną jak

pieskiem faworytem!...“ Nie! Pańciuniowie tego nie zrobią!... A rodzona mamuchna?...

Nagle — jak ślimak, wysuwający ostrożnie rożki, mała rzuciła nieśmiałe pytanie: — I my zawsze będziemy się kochali we troje?

— Zawsze, dziecko! — potwierdzili serdecznie.

— I nie rozstaniemy się nigdy? — kręciła guzik przy marynarce „tatusia“.

— Nigdy! — roześmiał się pan Alfred. — Chyba, że pojedziesz do szkół na naukę, albo wyjdziesz za mąż. Bądź spokojna! Ryczywolskiemu damy harbuza! Dobrze, córeczko?

Wigilja na sianie pod białym obrusem i pogodny wieczór sylwestrowy były ostatniemi błyskami, spadającej gwiazdy pomyślności czereszenieckich dziedziców. Rok 1919, krwawy tyran, zbratany najściślej ze Śmiercią, wykazał od pierwszych chwil swego istnienia potworną lubość w zadawaniu mąk i wyszukanego cierpienia. Sypał żarem zagłady i pomsty, ogłaszając równocześnie przebudowę bizantyjskiego ustroju dawnej carskiej Rosji na otwartą dla wszystkich świątynię Komunizmu, w której zamiast Boga panował naczelny budowniczy — Lenin.

Wieś, oślepiona nęcącym programem, obiecującym zmianę „wsiech, wsiech, wsiech“ w ulubieńców Fortuny i Szczęścia, kłoniła się chętnie ku wygłaszanym hasłom. Stosunek do dworu wykoszlawiał się jak w krzywem zwierciadle. Najkulturalniejsze zamierzenia „pana“ jęły podlegać brutalnemu zniszczeniu. W ambulatorjum, prowadzonem z wielkiem staraniem przez panią Verę, urządzono hałaśliwy pogrom flaszek z lekarstwami, wypędzając na cztery wiatry felczerkę.

— „Pany“ mieli znać *bahaćko hroszej*, kiedy wyrzucali na takie głupstwa! — wrzeszczeli agitatorzy. — *Z rozkoszi*

*durijut!* Do czorta z tymi woniuczymy poroszkamy! Tu będzie Selchoz! Bude wże cej pańskiej gospodarki! Teraz my bierzemy wszystko w narodne ręce!

Resztki ocalałej od band zarodowej obory i stadarni rozszarpano pomiędzy siebie, kłócąc się zajadle przy podziale. Rozgromiono murowaną chatę, w której mieścił się „Banczek", założony przez pana Alfreda dla chłopów w celu walki z żydowską lichwą..

— On to robił dla własnej korzyści, a nie dla was! — wmawiali agitatorzy podstępnie. — Niech nawet śladu nie zostanie po tych burżujskich „primankach!"

Starsi gospodarze nie brali udziału w tych „pracach" przy budowie wyśnionego ustroju, oceniając należycie zamiary „pana", mające ich dobro na względzie. Nie ośmielali się wszakże podnieść głosu, sterroryzowani przez zbolszewiczałych młokosów. Napływały bowiem wieści z Kijowa, że Petlura już go opuścił, że regularne oddziały krasnoarmiejców dążą z głębokiej Rosji na Ukrainę. Bandy rabusiów zaczęły znów swą działalność. Okolica dawno opustoszała. Jedynie dwór w Czereszeńce wysterczał jeszcze z morza rozkolebanego chłopstwa, niby samotna, broniąca się do ostatka twierdza.

Krzyki i wycia wpadających band: — Dawaaajcie nam pomieszczika! — obijały się groźnie o białe mury, nie ruszonego dotychczas dworu. Tętent ich koni, przybranych w poposkie, zrabowane „riasy" (kapy), lub w atłasowe kołdry wdzierał się w strwożone serca pani Very i Ani, nie chcących odstąpić ukochanego „tatusia". Doroftej przemocą nieraz zaciągał je do skrytki we dworze i wracał śpiesznie na pomoc do pana. Nadzieje mężnego ziemianina kresowego jęły zwolna upadać.

— Wybaczcie mi, biedaczki kochane! — mawiał po przejściu niebezpieczeństwa. — Mój niedorzeczny opty-

mizm sprawia wam teraz tyle cierpienia. Trzeba było istotnie wyjechać w porę, jak radził Domański. Chodzi mi tylko o was. Co do mnie — dam sobie radę z tą dziką hałastrą, bylebym miał ich czem obdzielać!

Aż wreszcie przyszły jak z nieba chwile wytchnienia.

Latem 1919 roku na południu Kijowszczyzny wytworzyły się luźne oddziały powstańczych wojsk ukraińskich, związanych ideowo z dowództwem Petlury. Wodzami ich byli: atamani Zełenyj, Tiutiunyk, Wołyniec, Szepel,Sokołow, Lewczenko i inni. Jedną z silniejszych organizacyj była grupa Tiutiunyka, skoncentrowana w rejonie Humania, skąd musiała się wycofywać z powodu silnego naporu Chersońskiej grupy bolszewików, złożonej z garnizonu Odesy i miast czarnomorskich, odstępującej również pod naciskiem Dobrowolnej Armji, prącej całą siłą z południa. Powstańcze oddziały Tiutiunyka posuwały się w kierunku powiatu skwirskiego, staczając uparte walki z krasnoarmiejcami o każdą wieś i miasteczko, zajętego poprzednio terenu. Składały się one częściowo z miejscowej, zwerbowanej ludności obdartej i bosej, z karabinami na sznurkach, z oddziału konnego Wołyńca, z artylerji, dowodzonej przez byłych carskich oficerów i z oddziału „Siczy Zaporożskiej", pochodzącego z Galicji, świetnego, ideowego żołnierza. Do tej grupy przyłączyło się kilkunastu Rosjan i Polaków oficerów nie mogących przedostać się do wojsk Denikina, względnie do Polski, a pragnących walczyć z bolszewikami pod jakimkolwiek znakiem. Jednocześnie wojska denikinowskie po zajęciu Humania kroczyły tym samym szlakiem, co powstańcze oddziały, biorąc w ten sposób krasnoarmiejców we dwa ognie. Znacznie przerzedzonej Chersońskiej grupie udało się wreszcie wyślizgnąć z żelaznych ramion i odejść forsownym marszem w kierunku północno-wschodnim, przez

Białą Cerkiew do rejonu pomiędzy Żytomierzem, a Irpieniem, skąd do opuszczenia Kijowa przez Dobrowolców, nękali go stale. Tymczasem jednak toczyli wciąż uporczywe walki.

Jeden z powstańczych oddziałów zjawił się nagle w Czereszeńce z cywilizowanym oficerem na czele. Żołnierz, choć bosy, i marnie odziany, nie palił i nie rabował, a za żywność płacił gotowym groszem. Tajne przymierze z Polską wpłynęło kojąco na jego poprzedni nastrój. Czujna wieś odpowiedziała natychmiast stosownem przewartościowaniem wartości. Zwolennicy spokoju podnieśli głowy. Siewcy czerwonych ziarn bolszewizmu przycichli, jakgdyby poszli na dno. Stary dwór w Czereszeńce odżył na nowo. Jego mieszkańcy zakosztowali po długiej przerwie rozkoszy snu, nie przerywanego staniem na czatach, albo dzikiemi wrzaskami. Sierpień 1919 roku ozłocił się dla nich niezapomnianym czarem prawdziwie „łabędziej pieśni“.

Dwa tygodnie zacisza miały się już ku końcowi, gdy pewnego dnia, nad ranem, gwałtowne szlochanie zbudziło Przedborów. Zapłakana Janka wpadła bez uprzedniego pukania do sypialni, łamiąc z rozpaczą, trzęsące się ręce:

— Zabili Dorofteja! Jezus, Marja! Słyszę i uwierzyć temu nie mogę!

Państwo Alfredowie osłupieli.

— To niemożliwe! Przy Petlurowcach?! Skąd wiesz?! Kto zabił?!

— Żona biedaka przysłała synka przed chwilą! Zabili w piwnicy i zostawili przy zwłokach kartkę: — Tak będzie wszystkim pańskim sobakom! — Doroftej nocował w domu. Pan wie! — zaniosła się płaczem.

— Tak. Pozwoliłem mu na to wczoraj. Tak było spo-

kojnie. Pójdę tam zaraz. Zacny mój przyjacielu! — opanował z trudem wzruszenie. Prawy kąt ust drgał nieustannie, podnosząc wąs w górę.

— Ja z tobą — rzuciła pani Vera, podnosząc na męża oczy, zalane łzami.

Janka, szlochając, ciągnęła dalej: — Petlurowcy już w nocy trzęśli wszystkie chaty, ale kto wyda morderców?! Zresztą — tylko Kiłyna widziała ich, umykających z obejścia. Myślała, że coś ukradli i dlatego przybrali się w czarne maski. Czekała długo na męża, a potem zaczęła szukać!... Miał nóż w sercu i leżał w kałuży krwi!... Biedaku! — lamentowała. — Na taki przyszło ci koniec! Broniłeś nas przed bandami, a siebie nie obroniłeś!... O, Boże Wielki!

Taki był początek czarnej karty z ostatnich chwil niedoli.

## POPIOŁY.

W parę dni po pogrzebie wiernego przyjaciela rodziny Przedborowie siedzieli na ławce w parku milczący i zamyśleni. Ania zbierała ździczałe floksy, rosnące na pięknie dawniej utrzymanych, a dziś zarośniętych klombach, pragnąc je zanieść na grób „kochanego Doroftejka", jak go za życia nazywała. Wtem — tupot biegnących nóg zwrócił ich baczność. Zdyszany Hrehorko, oglądając się wciąż z lękiem poza siebie, przypadł do nich, błagając urywanemi słowami: — Niech się państwo zaraz chowają! Hospody! Walą krasnoarmiejcy! Petlurcy uciekli! Bez boju! Ja był na strychu! Łapał gołębie! Hospody! Sam widział. Ich mało, a tamtych *t'ma!* Hospody! Cała wieś idzie z nimi! Co to będzie?! Niech państwo się zaraz chowają! Oni i mnie zabiliby... — dalsze słowa zginęły wskutek oddalania się uciekającego chłopca.

Pan Alfred wstał i wyprostował się:

— Niech przychodzą. Nie mam nic na sumieniu. Byłem zawsze przyjacielem moich chłopów i wyjdę do nich z całym spokojem. Ale wy, moje drogie, zejdźcie im lepiej z oczu. W tym małym domku będzie wam najbezpieczniej. Sad we władaniu wsi. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że tam jesteście, a ja potem przyjdę do was. Biegnijcie prędko.

— Nie! — zaprzeczyła Vera gwałtownie. — Będziemy razem tu, albo tam! Czas nagli. Wybieraj!

Zawrócił w milczeniu. Podążyli do niewielkiego bu-

dynku śpiesznie. Weszli po schodkach na strych, gdzie leżały słomiane maty i narzędzia ogrodnicze. Przez okrągłe okienko, wycięte w murze, dwór i zabudowania widniały zdala jakby na dłoni. Patrzyli przez nie bez słowa. Ania przyciągnęła drewnianą pakę i wspięła się na nią, zarzucając jedną rękę na szyję tatusia. Zlękła się słów Hrehorka, ale trzymała się mężnie.

Regularna czerwona armja posuwała się przez ziemie ukrainne, walcząc zarówno z Ukraińcami jak i z białogwardiejcami i pełniąc jednocześnie nakazaną sobie misję „walenia starego świata w gruzy". Czyniła to z zaciekłością, biorącą początek w tatarskim szale niszczenia z dodaniem własnego, specyficznego bestjalstwa. Jeśli Petlurowcy wyrażali zdumienie na widok ocalałego dworu w Czereszeńce, to uczucie podziwu przerodziło się u krasnoarmiejców w rozpasaną wściekłość. Ten biały, piękny dwór urągał nakazom Lenina! Jak śmiał on błyszczeć dotychczas na wzgórzu, niby symbol „starego porządku?!"

Cała przestrzeń przed dworem roiła się już od chłopów, wyrostków, bab i krasnych żołnierzy. Starszy „towariszcz", dowodzący pułkiem, skoczył na najwyższy stopień ganku, podżegając słuchaczy do czynu:

— Precz z burżujami! Niech żyje rewolucja! Niech żyje dyktatura proletarjatu! Ta ziemia — wasza! Wszystko, co tu widzicie — wasze! Idźcie i bierzcie! Wy, tylko wy — będziecie pławić się w tych bogactwach! Niech nic nie zostanie, bo za godzinę będą tu same popioły! Hurra! Niech żyje wódz pokrzywdzonych, towariszcz Lenin! Niech żyją *krasnyje rebiata!* Śmierć krowopijcam!

Zaledwo kilka głosów podchwyciło to ostatnie wezwanie. Czereszeńka nie chciała zabijać swego „didycza" (dziedzica), zgadzając się wszakże na obrabowanie go

z czystem sumieniem. — Jeśli ja nie wezmę, to zabiorą inni! — rozgrzeszał siebie niejeden. Szumiąca fala głów zalała wnet wszystkie pokoje. Żylaste palce odrywały jedwabne obicia, baby stroiły się we wzorzyste materje, rozcinając je nożami na kwadratowe chusty. Szable krasnoarmiejców wypruwały włosienne jelita foteli w zaciekłem poszukiwaniu burżujskich skarbów. Jakiś parobczak rozsiadł się przed pięknym Pleyelem, waląc w klawiaturę żelaznemi podkowami juchtowych bucisków. Dwaj chytrze uśmiechnięci „spece“ obchodzili wszystkie ściany, pukając w nie umiejętnie.

— Tu próbujcie! — wskazali miejsce, idącym za nimi kilku żołnierzom, którzy jęli natychmiast wywiercać otwory żelaznemi drągami. — A wy, chodźcie za nami! — i przeszli do jadalni.

Na strychu ogrodniczego domku Przedborowie nie odrywali oczu od swego gniazda, huczącego rozgwarem żołdactwa i chłopów.

— Wynoszą twój hebanowy kantorek, Fredziu! — szepnęła Vera.

— Tem lepiej! Ocaleje i kiedyś mi go oddadzą.

— Powinnam więc być zadowolona, bo widzę, że moja antyczna tualeta podąża tuż za nim! Jadą ze schodów i mahoniowe szafy, stoliki, fotele! Zacni ludzie! Spójrz! Jak upadają pod ciężarem wypchanych worów! Ratują nas jak mogą! Przekonywam się teraz jak zasobnym był dwór kresowy! Po tylu rabunkach i ci miejscowi nieźle się jeszcze obłowią! Okazują nam swoją wdzięczność! — leciutki uśmiech smutnej ironji okolił jej usta.

— Psychologja podjudzonego tłumu! Czy rozumiesz, droga moja, że oglądamy początek końca?!

W tej chwili przeciągły ryk bezgranicznego triumfu buchnął z wnętrza białego dworu. Fala chłopstwa, dźwi-

gającego meble, waliła je z pośpiechem na ziemię, rwąc w okamgnieniu zpowrotem do domu.

— Znaleźli skrytkę z rzeczami, zamurowaną przez Dorofteja! — wyrwało się z pobladłych ust pana Alfreda. — Twoje brylanty, Vero! Skarbczyk za taflą dębową boazerji jest prawie nie do wykrycia, ale kasiarze umieją rozpruwać nawet żelazo! Mogłem skoczyć do dworu przed najściem tych Hunnów! Nigdy sobie nie daruję... Pójdziemy w świat z niczem!... Przebacz mi, Vero!

— Uspokój się, Fredziu! Pamiętałam dobrze o moich klejnotach, gdy Hrehorko rzucił nam swoje: *Mane Tekel Fares!* Czy sądzisz, że pozwoliłabym ci stawiać na kartę twe życie?!

— Nie chodzi o mnie, ale o was, drogie stworzenia!

— My się kochamy we troje, tatusiu! — Ania zacisnęła mocniej rączkę dookoła szyi, panującego nad sobą z wysiłkiem mężczyzny.

— Kochajmy się! Nic nam innego nie pozostaje!

Powtórny ryk oszalałego zachwytu wstrząsnął powietrzem. Zdawało się, iż niewidzialny potwór zniszczenia zarechotał piekielnym śmiechem.

Ręka pana Alfreda, obejmująca żonę, zadrżała boleśnie.

— Skazałem cię na trud, na tułaczkę, na cierpienia! — mówiły bez słów jego oczy.

— Nie dbam o to! Ty żyjesz! — słały mu słodką pociechę, poruszające się w cichym szepcie, usta kobiety.

Prawy wąs Przedbora drgnął kilkakrotnie. Opanował się jednak całą siłą, ćwiczonej od dziecka woli.

— Losy piwnicy też przesądzone! — uznał z rozwagą. — Cóż dalej?! Pijany motłoch — to dzika bestja! Rad jestem, że mam przy sobie rewolwer i parę magazynów z kulami. Tu — pozycja niezgorsza. Domek mu-

rowany. Dachówka. Drzwi dębowe. Strzelam dość celnie — przymrużył oko. — Przypomni się *tir à pigeons!* Zresztą — głos jego wyraził pełnię uczucia i męskiej decyzji. — Nie dostaniesz się w ich ręce żywa, Vero moja!

— O tak, kochany!

— Tatusiu! Ja się ich także boję! Chcę być tylko z wami, z mamusią!

— Dobrze, córeczko! — głaskał ją pieszczotliwie po główce. — Przyrzekłem ci przecież, że nie rozstaniemy się nigdy!

Przygłuszone, ale wyuzdane okrzyki wdarły się do uszu, stojących przy okienku właścicieli rabowanego dworu. Za chwilę beczki z miodem i winem, kopane nogami, wyjących z uciechy parobczaków, staczać się jęły po schodach z hałasem.

— Co oni teraz robią, tatusiu? — pytała Ania, rozszerzając oczy, gdyż zmierzch zaczynał przysłaniać dwór, zgęszczającą się coraz bardziej kurtyną. — Poco te butelki trzymają w rękach? Czy oni będą podlewać kwiatki, aby je także zabrać do domów?

— O nie, córeczko! To bardzo zdolni architekci. Styl naszego dworu nie podoba im się wcale. Okraszą go naftą i spalą poprostu!

Dziewczynka wpatrywała się z osłupieniem i przerażeniem w uwijających się tuż przy białych ścianach żołnierzy. Spalą?!... Więc to możliwe, aby ten dwór prześliczny zniknął z powierzchni ziemi?!... Pokochała go jak Malinki — i straci! Łzy napływały jej do oczu, serduszko wiło się w bezbrzeżnym żalu, ale nie odwracała główki. Trzeba się napatrzeć póki czas jeszcze na te drogie mury, na tą wieżyczkę z bibljoteką na piętrze, trzeba pożegnać cicho marmurową Pomonę, stojącą we wnęce. Trzeba wbić do pamięci szare, wypukłe kwadraty wyprawy

i każdy szczegół i każdą linję, bo dom zaraz umrze jak dziadzio i nigdy już nie powróci!

Czarne sztandary dymu jęły wydostawać się z poroztwieranych naoścież drzwi i okien, unosząc się w powietrzu nakształt kruków zagłady. Wślad za nimi przypełzały z sykiem szkarłatne węże płomieni, owijając dwór coraz gwałtowniej swemi rozjarzonemi splotami. Zaróżowiło się niebo nad płonącą siedzibą polską. Słupy dymu i ognia biły wgórę jak gorejąca, ruda fontanna. Księżyc przysłonięty był smugą chmurki, niby hidalgo na maskaradzie, a Noc ozdobiła czarne domino olbrzymim kwiatem, nalanym purpurą. Pijane wrzaski, zgiełkliwy gwar tłumu, strzały na wiwat, tubalne ryki: Wszystko dla pracujących! — łączyły się z trzaskiem przepalanych krokwi, z hukiem walących się drewien w jakąś niesamowitą rapsodję, dyrygowaną z dna piekieł przez Lucypera.

— Wprawdzie zamknąłem drzwi na dole, ale teraz czas zejść i zabarykadować je, czem się da! — powiedział pan Alfred, odrywając się z ciężkiem westchnieniem od swoistej „strzelnicy". — Usiądź na matach dziecko. Pewno jesteś bardzo zmęczona?

— Nie, tatusiu. Chcę się patrzeć do końca. Jeszcze widać naszą białą Pomonę, a ja ją tak strasznie lubiłam! Widzi mamusia? Zachwiała się! Leci wdół!... Biedna! Roztrzaska się pewno na drobne kawałki!

Przedbór rozglądał się po oświetlonej łuną pożaru izdebce na dole, myśląc czy zdoła ławkami i drabinami wzmocnić obronę. Lekki szelest za drzwiami ściągnął jego uwagę. Skoczył jak ryś, dobywając ukryty rewolwer:

— Kto tam?! Nie wchodź, bo strzelę!

— To ja, Ołeksa — doleciał go przyciszony głos. — *Pryjszoł was spasaty!*

Pan Alfred uchylił drzwi. Chłop w sile wieku, barczysty i zarośnięty, wsunął się szybko.

— Chodźcie za mną, proszę pana! — mówił przekonywającym szeptem. — Wieś nie chce waszej śmierci! Krew im jeszcze nie pachnie! Tak powiedzieli *krasnym rebiatam*. Ale teraz chlają wszyscy wino i miody jak świnie! Czort wie, jaki dur na nich spadnie! Moja Hańdzia powiedziała: Idź, ratuj naszych paniw! Co z oczu — to z dumki! Przyprowadź do nas. Schowamy. Tak ja wnet poszukał Hrehorka i pannę Jankę. Gdzie pany siedzą?! Może tam, a może ówdzie?! Łaził i znalazł, *chwałyty Boha!* Chodźmy prędzej, proszę pana, zanim oni zobaczą dno beczek! Trzeba nam przekraść się jak złodziejom! Ot, dola!

Pomimo, iż podpity tłum hulał na umor, „*towariszcz komandir*" nie omieszkał rozciągnąć sieci, mającej na celu ujęcie „*złowrednych paniw*". Przy wszystkich folwarcznych budynkach i bramach stali na straży czerwoni żołnierze. Ołeksa zbadał snadź tę grę wojenną, gdyż prowadził Przedborów, stąpających za nim z ostrożnością czerwonoskórych, przez sad — naprzełaj. Dawało to im możność przypadania do ziemi i krycia się w gąszczach, gdy zasłyszeli najlżejszy odgłos rozmów lub szelest kroków, nie tak daleko rozstawionych czatowników. Nawet liść, spadający z drzewa, wzniecał w mężnych ich sercach wzajemną o siebie trwogę. Śmierć bowiem — jakże okrutna! — czaiła się w tych zaroślach, stawała wpoprzek tych ścieżek tak znanych i tak kochanych! Storturowane serca biły i zamierały w udręce sekundy, przedłużającej się w nieskończoność.

Wreszcie zabielała chata Oleksy. Z pod cienia, nawisającej strzechy wysunęła się zgrabna postać czarnookiej Hańdzi. Szept jej oznajmił, że droga wolna. Prześlizgnęli

się popod ściany chaty, zdążając ku szopie i wspięli się po drabinie. Pożar i tu przyświecał krwawą pochodnią. Weszli na strych. Gospodarz torował im drogę poprzez zwały siana w najdalszy kąt dużego budynku.

— Tu będzie bezpiecznie! — odetchnął z ulgą i starł rękawem pot z czoła.

— Ołekso! Niech wam Bóg wynagrodzi! Naraziliście dla nas wasze życie! — przemówiła pani Vera zdławionym głosem.

— At! — machnął niedbale ręką jak prawdziwy oczajdusza ukraiński. — *Raz maty rodyła, raz pomeraty!*

— I ja także dziękuję ci, przyjacielu! Zawsze będę pamiętał i kiedyś, da Bóg, odsłużę!

Ołeksa przygładził wierzchem dłoni szorstkie wąsy, aby ukryć zbędne wedle niego wzruszenie: — *Diakuju panu!* Abo to ja nie pamiętam jak pan sprzedawali ludziom za tanie hrosze ten kawał ziemi pod lasem?! A jak ja się spalił, to z czyjego drzewa ta chata i ta szopa, w której teraz stoimy?! A mało to pani nabiedowała się z ludźmi jak chorowali?! — nagle drgnął podejrzliwie i niby kot wielkiemi susami dopadł drzwi, otwierających się zwolna.

— To ty, Hańdziu?! — zaśmiał się z ulgą. — Przyniosłaś wieczerzę? Aż gorąco mi się zrobiło! Czy nasz Mykołka wrócił ze dworu? Posłałem go, żeby nakradł pańskiego dobra, ile się zmieści! Cha, cha, cha! — śmiał się tubalnie. — Będą pany nosili kradzione rzeczy! Stawiajże te miski na skaterce,[1] Hańdziu. Proszę pana i pani, nie pogardzajcie naszym chlebem, solą. *Wybaczajte, szo ne bude tak jak w dwori!*

— A tu śliczne, czerwone jabłuszka dla panienki — odezwała się życzliwie czarnobrewa gospodyni.

---

[1] Obrusek.

— Dobrze wydumałeś! Oj, warta tego! To mądra detyna. Ja nawet nie słyszał, że ona idzie za mojemi plecami!

— Wychodźmy już, Ołekso! — przestrzegała Hańdzia. — Chociaż nasi susidy wszyscy na pogromie, ale zawsze strzeżonego *Boh stereże!*

— A ty myślisz, że ja sam nie polecę zaraz do dworu?! Niech i mnie tam widzą te psie syny! Tylko zasłonię panów sianem do góry! Ot, tak! Dobre! Niech pany śpią spokojnie!

Wyszli oboje, zamykając za sobą drzwi od strychu ostrożnie. Zgrzyt klucza, obracanego w wiszącej od zewnątrz kłódce, zabrzmiał w uszach wydziedziczonych, jak ostatni ton, zamierającej przeszłości.[1]

---

[1] Działalność polskiego dworu na Ukrainie i postacie dwóch chłopów bohaterów autentyczne.

## BEZ DACHU.

— Słabo mi! Duszno! Chyba ten kaloryfer zepsuty, bo gorąco jak w piekle! Otwórzcie okno! Zlitujcie się nademną, moi państwo! — prosiła błagalnie młoda kobieta w eleganckim kostiumie podróżnym. Rozpalone policzki i napół przymknięte oczy świadczyły o prawdzie tej skargi.

— Mamusia chora na serce! Proszę otworzyć okno! — nastawała z opiekuńczą troskliwością, siedząca przy niej dziewczynka.

— Trzebaby wpierw dostać się do tego okna! — rzuciła z przekąsem gruba paskarka, wioząca pod ławkami tanio na prowincji nabyte zapasy dla stolicy. — Natasowali nas jak zapałki w pudełku! Tym kolejarzom szkoda wagonów, a łupią za bilety, ile wlezie!

— Niech tam pani nie psiaczy na rząd polski, moja pani! — zgromił ją stateczny jegomość w maciejówce i wysokich butach. — Wcale nie źle się tu pani czuje, jak widać! Zapomnieliście już wszyscy o łapach niemieckich, a przecież nie tak dawno wyrwaliśmy się z ich żelaznego uścisku!

— Proszę pana! Panie konduktorze! — wołała dziewczynka, zobaczywszy, przeciskającego się przez napchany podróżnymi wagon III klasy urzędnika kolejowego. — Niech pan ratuje moją chorą mamusię i otworzy okno!

— Zgoda, miła panienko! Już idę. Dajcież mi przejść,

łaskawi państwo! No, trochę dobrej woli i — dobra nasza! Co was tak nosi z miejsca na miejsce?! Słowo honoru, pojąć nie mogę! — żartował gadatliwy snadź z natury, konduktor wchodząc z trudem do przedziału, zapełnionego siedzącymi i stojącymi ludźmi. — Niech się pani ustąpi, moja pani! Czy mam skakać po waszych ramionach, jak klown w cyrku?!... Nareszcie — opuścił do połowy okno. — Lepiej już pani? — zapytał, wiodąc uważnym wzrokiem po eleganckiej pasażerce.

— Dziękuję panu. Mogę przynajmniej odetchnąć. Myślałam, że zemdleję z tego upału. — Siwe oczy w złotawej oprawie podniosły się z wdzięcznością na kolejarza.— Może pan jeszcze zechce nastawić rączkę kaloryfera na „Zimno".

— Zardzewiała! Niemiecki wagon! Psiakrewskie porządki! — mruczał pod nosem konduktor, mocując się z dźwigiem. — Jak zbudujemy własne pociągi, to będzie wszystko jak z igły! Jest! Dobra nasza! Zepsuty, żeby cie gęś kopnęła! Ale dojedzie pani jako tako do Warszawy. Już niedaleko. Za dwie godziny — staniemy. — Przyłożył rękę do czapki i rozpoczął mozolną, odwrotną drogę, czyniąc w myśli filozoficzne uwagi: — Pasażerka I klasy tłucze się trzeciakiem! Psiakrewska wojna!

Orzeźwiona chłodnym powiewem mroźnego, lecz słonecznego dnia zimowego, pani Vera spoglądała przez okno w milczeniu. Mazowieckie równiny, przysypane lekką powłoką śniegu, rozścielały się przed jej oczyma jednostajnie pozbawione tej bujności fantazji, jaka otaczała jej dziecięctwo i późniejsze lata na Ukrainie. Czy długo potrwa wygnanie z ukochanej, kresowej ziemi? Chyba nie. Przyjdzie kres ciężkiej tułaczce. Rozkołysany ocean Ludzkości musi nareszcie okiełznać burzące go prądy. Ułożą się one w nowe łożyska, bo życie pójdzie

stanowczo nowemi torami w swym przyśpieszonym, ewolucyjnym rozroście.

— Czy Fredzio otrzyma dobrą posadę? — myślała dalej. — Mamy przy sobie tak skąpe zasoby. Na każdym kroku trzeba się będzie oszczędzać! Wstąpiliśmy w rzędy *des nouveaux pauvres*, tak jak powstali po wojnie nuworisze! Zmierzymy się z życiem! To zdrowo na przyszłość!

Strzeliste wieżyce Warszawy ukazywały się zdała na widnokręgu. Ania wpatrywała się w nie, z bijącem mocno serduszkiem, jakby zahypnotyzowana widokiem rodzinnego miasta. Może się spotka na jakiejś ulicy z mamuchną?... A może mignie przed nią roześmiana twarz Michasia?... On zawsze tak szybko biega! Albo zobaczy z nienacka wysoką, chudą postać stryja Benedykta?... Co w takim razie uczyni?!... A oni?!... Czy ją poznają?!...

— Dlaczego masz takie smutne oczęta, Aniu? — zapytała pani Vera. — O czem tak myślisz? „Sumujesz", córeczko, jak zwykł mawiać nasz biedny Doroftej. Tęsknisz z pewnością za Czereszeńką? Nie dziwię się wcale. Taka już dola kresowców. Od czasów napadów tatarskich, zniszczeni, wygnani — powracali, odradzając się naprzekór wszystkiemu, niby mityczny Feniks z witających ich popiołów!

— Do kogo zajedziemy, mamusiu? — zwróciła Ania rozmowę na inne tory, nie mogąc wyjawić matce istotnej przyczyny swojej zadumy. — Czy w Warszawie również taka moc ludzi, że poruszyć się trudno, jak w tym pociągu?

— To więcej, niż pewne, kochanie. Tylu jest obecnie wygnańców, a wszyscy dążą do stolicy w nadziei znalezienia tam pracy. Nie wiem jak się ułożą nasze stosunki i co doniesie nam tatuś. Mamy dawnych znajomych w Warszawie, więc jeśli Kamieniec zawiedzie, to wynajdą dla tatusia odpowiednie zajęcie. Trzeba się tylko rozejrzeć.

Zajedziemy na kilka dni do mojej przyjaciółki Nuny. Opowiadałam ci o niej. Zobaczysz, jak będziemy przyjęte! Ale oto już dworzec warszawski. Pilnujmy się, dziecko, aby nas w takim ścisku nie okradziono!

„Sałaciarz“ warszawski, wiozący podróżniczki, zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą przy Senatorskiej. Dozorca, znający dobrze hojność „jaśnie pani“ z czasów przedwojennych, poskoczył żwawo ku dorożce, obładowując się trzema, uratowanemi z pogromu walizami z angielskiej skóry.

Służąca w czarnej sukni i białej, haftowanej przepasce na czole, wydała okrzyk radości, poznając miłą i bogatą przyjaciółkę swej pani:

— Jaśnie pani żyje?! Dzięki Bogu! Truchleliśmy wszyscy, czytając opisy mordów i pogromów na Ukrainie! Proszę do salonu. Zaraz oznajmię jakiego mamy gościa! — otworzyła drzwi i poszła śpiesznie w głąb mieszkania.

— Jak pięknie urządzony ten salon, nieprawdaż, Aniu? — mówiła z zadowoleniem pani Vera, wodząc oczyma po nowoczesnych meblach i zawieszonych ze smakiem obrazach. — Poznaję jakieś nowe nabytki. Wojna daje okazje do łatwego kupna, a Nuna odznaczała się zawsze wytwornym gustem. Usiądźmy, córeczko. Chwile szły jedna za drugą, lecz pani domu się nie zjawiała.

— Dlaczego ta pani tak długo stroi się do mamusi? — spytała Ania, zdziwiona.

— Wygderzę ją za te niepotrzebne ceremonje! Mogłaby nas powitać w szlafroku, tembardziej, że każdy jej strój — to marzenie! — Siwe oczy pani Very „zaciągały się chmurami“, jak zwykł jej dokuczać kochany Fredzio. Wreszcie podniosła się stanowczym ruchem z fotela, po-

dążając w stronę dzwonka, gdy nagle drzwi otworzyły się wolno i strojna kobieta, o dziesiątek lat starsza od wygnanki, podeszła ku niej z czułym uśmiechem. Ondulowane ciemne włosy, suknia pełna prostoty, jaką dać mogą tylko wielkie pracownie krawieckie, bucik, obciskający wysoką na podbiciu nogę, dyskretny rumieniec „z pudełeczka" i artystycznie wycienione brwi — wszystko dopełniało się wzajem, podnosząc urodę wykwintnej pani.

— Vero, moja droga! Jakże się cieszę! — ściskały się długo. — To twoja przybrana córeczka? Pisałaś mi o niej. Winszuję ci. Śliczna. Ależ siadajcie, proszę. Czy jedziecie z Równego? Daruj mi, Vero kochana, że nie odpisałam ci na list. Wiesz, jaką byłam pod tym względem analfabetką! Piórowstręt zdecydowany. Jakże, Aniu, podobała ci się Warszawa? Czy znałaś ją przedtem? — Zarzucała je potokiem słów, nie czekając odpowiedzi, zakłopotana i niewyraźna pomimo uprzejmych zwrotów.

— Pozna ją teraz, gdyż zamierzamy się tu chwilowo osiedlić. — Pani Vera objęła życzliwym wzrokiem przyjaciółkę, którą woziła ongi po balach, pragnąc najszczerzej dopomóc ładnej, ale ubogiej pannie w odpowiedniem wyjściu zamąż.

— Jesteś zawsze *belle comme le jour*, Nuno! Czas się po tobie ślizga, nie dotykając młodości.

— Zato ty bardzo zbladłaś i straciłaś swój bajeczny koloryt, moja biedna Vero! Czy rzeczywiście nie zdołaliście niczego uratować?

— Widziałaś walizki w przedpokoju? *Omnia mea mecum porto!*

Wypielęgnowane ręce pani Nuny splotły się nieudanym gestem rozpaczy.

— A twoje brylanty?! Ta przecudna kolja? I ten djadem z kroplami brylantowej rosy? A perły ze szma-

ragdowym fermoir'em? Te olbrzymie dormeusy?! — (wygnanka potrząsała cały czas głową przecząco, ale swobodnie). — Nic nie zostało?! Zupełnie nic?!... Ależ to straszne! Przecież to była fortuna! Mogliście za to kupić w tych czasach ogromny majątek!

— Ocalał tylko zaręczynowy pierścionek. Nie rozstawałam się z nim nigdy, a w najgorszych chwilach zaszyłam do sukni.

— Dlaczegóż nie zaszyłaś wszystkiego?! Jak można być tak nieprzewidującą?!

— Ręczę ci, że znaleźliby wówczas na mnie i może przypłaciłabym to życiem. Mówisz jak ślepy o kolorach, moja kochana. Trzeba być w tem piekle, aby zdać sobie sprawę, czem jest rewolucja. To potwór chytry, wyczuwający doskonale słabe strony swych ofiar. Mówię poważnie.

— Ależ to kolosalna zmiana pozycji. Cóż teraz poczniecie?

— Będziemy pracowali, wierząc, że kiedyś wrócimy do siebie. Fredzio pojechał do Kamieńca. Zna naczelnika Podolskiego Okręgu, Bolesława Kraczkiewicza i ma nadzieję dostania u niego posady. Dałam mu słowo, że zanim to się wyklaruje, odpocznę trochę i w tej myśli zajechałam do ciebie, — patrzyła na panią domu z uśmiechem, który bladł zwolna.

— Wiesz, jakam ci zawsze rada, ale — duże oczy pani Nuny przysłoniły się na chwilę powiekami — to niemożliwe. Ze względu na ciebie, raczej na was! — poprawiła się spiesznie. — Wobec tego szalonego napływu ludzi do Warszawy, zapanowały tu różne epidemje. Mój mąż przepracowany poprostu. Ma ciągłe wypadki dyfterytu, grypy, szkarlatyny! Chorych tu pełno, a niewiadomo, czy nie przyniosą infekcji. Twoja córeczka byłaby narażona...

—Rozumiem i dziękuję ci za troskliwość — przerwała pani Vera stanowczo. — Pozwolisz, że moje walizki zostaną u ciebie? Przyślę po nie, gdy znajdziemy jakieś *locum*. — Zdecydowanym ruchem podniosła się z fotela. Ania naśladowała ją w milczeniu.

— Czegóż się tak spieszycie? — mówiła pani domu. — Stawiasz zawsze wszystko na ostrzu noża. Wiesz? — rozjaśniła się nagle. — Zostańcie na jedną noc, a jutro poszukacie innego mieszkania.

— Dziękuję ci za dobre chęci, ale to zanadto nużące. Wolę ulokować się odrazu. Stały już obie pośrodku wspaniałego salonu, podając sobie ręce na pożegnanie. Ania obserwowała elegancką damę z pod oka.

Więc to jest „przyjaciółka?!“ Jak to dobrze, że ona nie ma ich wcale.

— Żegnaj, Vero kochana! Może przyjdziecie kiedyś na obiad? Zatelefonuj z rana. Cieszę się, że widzę ciebie taką pogodną. Dzielną masz mamusię, Aniu! — pocałowała w głowę dziewczynkę, niereagującą na ten objaw uczucia.

Wyszły na ulicę, przesuwając się wśród przechodniów, tłoczących się na chodnikach.

— Nie pamiętam tak licznego zjazdu w Warszawie! — mówiła pani Vera do dziewczynki, rozglądającej się niespokojnie dookoła. — Rosja i Ukraina zalały Polskę falą wydziedziczonych.

— Dokąd pójdziemy teraz, mamusiu? — spytała Ania nieśmiało. — Zmęczona była nieprzespaną nocą w dusznym i twardym wagonie. Jakże chętnie wypoczęłaby na wygodnem łóżku, ale nie wyjawiała swych pragnień. Mamusia się zmartwi, a co to pomoże?

Zamiast odpowiedzi pani Vera weszła do sklepu i za-

telefonowała: Bristol. Portjernia. Czy mogę dostać pokój?— rozmawiała dalej.

Twarz jej z początku uśmiechnięta, ściągała się wyrazem rozczarowania. Odłożyła na chwilę słuchawkę, mówiąc po małej przerwie: — Hotel Europejski. Portjernia. — Znów identycznie brzmiąca odpowiedź. Nie pomogły wezwania, skierowane do kilku innych hoteli. Wszędzie przepełnienie, brak wolnego kąta, goście nocują nawet w łazienkach.

— Słyszałaś, Aniu? — były znów na ulicy, samotne w tłumie i potrącane przez obcych, śpieszących się ludzi. — Chciałam za wszelką cenę dostać wygodny nocleg, chociaż to lekkomyślność w naszych trudnych, pieniężnych warunkach. Zewsząd odmowa. Wobec tego pójdziemy do kuzynki tatusia. Ona ma złote serce. Fredzio był dla niej zawsze „najmilszym" kuzynem. Przyjeżdżała do nas na wakacje z synkiem i z boną. Ma obszerne mieszkanie, a zajmują je tylko we dwoje z mężem, bo syn, który ukończył gimnazjum, jest na studjach w Krakowie.

Zdawaćby się mogło, iż pani Vera podsyca temi argumentami, słabnącą w niej pewność niezachwianej przyjaźni. Ania nie otwierała zaciśniętych usteczek, trzymając się blisko przybranej matki. Upatrywała wciąż w idących przed niemi osobach podobieństwo do swoich najbliższych.

Doszły wreszcie na Mazowiecką i, pchnąwszy ciężkie, opierające się drzwi, jęły się wspinać po schodach. Naciśnięty dzwonek zadźwięczał krótko. Szybkie, drobne kroki za drzwiami. Szelest odsuwanego zatrzasku. Nagły blask dzienny w przyciemnionej klatce schodowej i znany, kobiecy głos:

— Co za niespodzianka?! To ty, Vero?! Wejdź, proszę! — długie, serdeczne uściski. — Więc uratowaliście

się?! Dzięki Bogu! Cóż to za dziewczynka? Twoja przybrana córeczka? Nic o tem nie wiedziałam. Gdzież jest Fredzio? Rozbierajcie się, moje drogie!

Pani Alfredowa powtórzyła objaśnienie, dane poprzednio pani Nunie. Wchodziły do jasnego salonu, o trzech olbrzymich oknach, przystrojonych koronkową draperją.

— Pojechał do Kamieńca, mówisz? Rozstaliście się? To dziwne. Ja wolałabym tłuc kamienie na szosie, byleby razem pozostać! — przybrała ton matrony, gromiącej à la Skarga.

Ogniki zniecierpliwienia błysnęły w oczach przybyłej:

— To trudno. Wygnańcy radzą sobie jak mogą, kochana Bronko!

— Hm! Zapewne. — poruszyła się na fotelu, a jej duże, niebieskie oczy nadały jej pomimo lat — wyraz ździwionego dziecka. — Może napijecie się herbaty? Ależ koniecznie! Musicie! Ukraińska „*prynuka!*“ — zerwała się z miejsca i wyszła z pokoju.

Pani Vera spojrzała na Anię wzrokiem, pełnym nadziei.

— Zaraz wszystko przyniosą! — oznajmiła po chwili, wchodząc zpowrotem. — Ach, Vero! Płakałam, mówię ci, czytając opisy palonych i rabowanych dworów! Podawali je do gazet niektórzy z przyjeżdżających tu kresowców. Słyszałam, że i ta wasza Czereszeńka przecudna już poszła z dymem. Może opiszesz, co przeszliście? Miałaś zawsze literackie zdolności.

— O, nie. Dziś — byłoby to dla mnie zbyt bolesnem! Z czasem to uczynię może, chociażby dlatego, by spłacić długi wdzięczności.

— Doprawdy? Czyżby ci rozbestwieni chłopi okazali się dla was lepszymi, niż w innych majątkach?!

— Znalazło się pomiędzy nimi dwóch bohaterów, a przecież Sodoma i Gomora ocalałyby, gdyby się znalazł jeden tylko sprawiedliwy — gorący ton zabrzmiał w słowach wygnanki.

Służąca wniosła zastawioną tacę.

— Proszę cię, Vero — pani domu podawała gościowi dymiącą filiżankę, przysuwając uprzejmie srebrne koszyki z pieczywem. — Czy mogę dać ci herbatkę...

— Aniu! — podpowiedziała przybrana matka z uśmiechem.

W tej chwili pan domu wszedł do salonu i zbliżył się do kuzynki żony, podnosząc jej rękę do ust z pewną, afektowaną wytwornością. Był to znakomity adwokat, ceniony powszechnie z powodu sumienności i wytrawnej znajomości prawa. Twarz jego była jakby powleczona maską opanowania, pochodzącą z długoletniej rutyny. Jasne oczy nie miały określonego wyrazu, a usta rysowały się martwą, niewzruszoną linją wśród ogolonych z precyzyjną dokładnością policzków. Opuścił się wolno na fotel i, zakładając nogę na nogę, wydobył ze srebrnej papierośnicy krótki, cienki papieros. Stuknął nim trzy razy o metalowe dno, poczem odwrócił wpół ku pani Verze głowę i rzucił niedbale wygłoszone pytanie:

— I poco trzymaliście się tam tak długo, niby pijany płotu?!

Zdumienie odjęło wygnance mowę. Więc tak ją wita ów przybrany kuzyn, nie mający dawniej dość słów uznania?! W tak lekceważącą formę przybiera swe myśli, ubogie w treści i pozbawione prymitywnego w tym wypadku współczucia?! Wzburzona krew zalała nagle bladość jej twarzy, a twarda odpowiedź zerwała się z ust, przyzwyczajonych do wygłaszania prawdy:

— Masz słuszność, Eustachy! Byliśmy rzeczywiście

pijani! Pijani miłością do ukochanej ziemi! Pijani wiarą, że przetrwamy rozruchy!

Pani domu poruszyła się niespokojnie. Poza jej męża nie uległa najlżejszej zmianie. Kiwając miarowo nogą, ciągnął dalej, puszczając dym z papierosa:

— Cóż na tem zyskaliście, pytam? Ruinę. Co zyskała Polska?! Tłum zgłodniałych biedaków. Napływacie tu bezustanku. Robicie nam drożyznę. Tysiąc rąk wyciąga się po jedną posadę. Gdybym miał odpowiednie wpływy, zabroniłbym kresowcom wjazdu do stolicy. Niech urządzają się na prowincji, jak mogą.

— Toteż Alfred pojechał do Kamieńca, a ja czekam na jego list niecierpliwie. Moja Bronko! Czy przyjmiesz mię jako gościa na tydzień?! Proszę tylko o pokój. Restauracyj w Warszawie poddostatkiem, ale hotele przepełnione. Telefonowałam już wszędzie — napróżno!

Pani domu spojrzała z zakłopotaniem na męża. Jej dziwnie okrągłe, niebieskie oczy straciły wyraz dobrodusznego dziecka, ale ścięły się jakby lodem.

— Żałuję bardzo, ale jutro wyjeżdżam na wypoczynek do Krakowa. Jestem okropnie zmęczona. Wyprzęgam, moja kochana! Eustachy będzie się stołował u kolegi. Ale, wiesz — uradowała się, znalazłszy łatwe wyjście z niemiłej sytuacji — przenocujcie jedną noc.

— Cha, cha, cha! — rozległ się nerwowy śmiech pani Very.

Zimne oczy wysokiej osobistości potępiały ten wybryk w milczeniu. Niebieskie źrenice jego małżonki unikały szczerego spojrzenia, wstającej kuzynki.

— Żegnajcie, przyjaciele! — wstrząsnęła ich dłońmi kolejno. — Śmieję się, bo mi wesoło i rada jestem, że panuje wśród was taka przedziwna harmonja! I to na odległość w dodatku! Przed chwilą Nuna proponowała mi

to samo, co ty, Broneczko! Gdybyście straciły dach nad głową, nie obarczyłybyście Polski zgłodniałymi biedakami! Telepatja i jasnowidztwo popłacają wszędzie. Do widzenia! Chodźmy, Aniu!

Znów ulica, tłum, popychanie łokciami, turkot dorożek, brzęk tramwajowych sygnałów.

— Czy ja się zmieniłam? — myśli pani Vera. — Czy jestem gorsza? Przecież dawniej przyjętoby mnie wszędzie z otwartemi ramionami! Jaka szkoda, że Trojańska, albo Janka nie mają tu krewnych. Tak dobrze było nam w Równem. I tu wynajęłybyśmy od nich jakiś pokoik. „Ludzie bezdomni!“ Tak, to okropne! Gdzie przenocować? Biedna Ania, zmęczona napewno. Jacy oni bez serca! Nuna tyle mi zawdzięcza. Bronka niby tak gorąco kochała Fredzia i... Czereszeńkę.

— Pójdziemy jeszcze do ciotki Józefy, dziecinko! — mówi, ze wstępującą w nią na tę nagłą myśl otuchą. — Ta jest naprawdę zacna. Stoi na czele cichego związku kobiet, oddanych pracom społecznym. Znajdziemy u niej dobrą radę, córeczko!

— Ja już nie wierzę w przyjaciółki mamusi — odpowiada mała z przekonaniem. Drepce wszakże posłusznie na Smolną. Jadą windą na czwarte piętro. Schludnie ubrana służąca otwiera drzwi i, spytawszy kogo ma zameldować, stąpa bezgłośnie po miękkim chodniku, wyściełającym korytarz i wchodzi do ostatniego pokoju. Za chwilę szczupła kobieca postać z siwemi, falującemi włosami, podąża szybko ku stojącym w niepewności wygnankom. W jej czarnych przenikliwych oczach dobra wola obrała sobie niezamącone siedlisko. Tuli siostrzenicę do piersi:

— Moja droga, biedna Vero! Cieszę się z całego serca, że cię widzę nareszcie. Nieraz o was myślałam i modliłam

się żarliwie, abyście wyszli cało z tego rozszalałego piekła! Wiem o was wszystko. Znam nawet Anię z opowiadania. Państwo Domańscy drżeli wraz ze mną o wasze losy. Dzięki Bogu, żeście ocaleli! Rozbierajcie się prędko. Kiedyż przyjechałyście?

— Dziś rano, ciociu kochana. Bardzo jesteśmy zmęczone. Trzecia klasa to nie pierwsza! — wyznała otwarcie pani Vera, całując ręce pani domu i wchodząc do jej saloniku.

— Wojna wykoleiła nas wszystkich, moje dziecko. I mnie wyrządziła krzywdę. Pieniądze zdewaluowały się, akcje straciły zupełnie wartość. Ale daję sobie radę niezgozej. Wynajęłam mój apartament, zostawiając dla siebie te dwa niewielkie pokoje.

— Ach, ciociu droga! Jakaż to szkoda, że już wynajęty. I my szukamy pokoju. Hotele nabite poprostu. Możciocia nam kogoś wskaże, poradzi, bo, doprawdy, nie wiem, gdzie mam się udać? Może Domańscy znają jakieś niedrogie locum? Byleby dach nad głową!

— Moja Vero! Pocóż szukać pokoju, kiedy go już znalazłaś. Mam dwa — oddaję wam jeden z radością. Żałuję, że taki mały i niewygodny. Trudno ci będzie przyzwyczaić się do nowych warunków. Ale znam moją Verę. Jestem o ciebie spokojna. Przerażasz mnie tylko swoją bladością i zmizerowanym wyglądem.

— Ciociu kochana! — łzy zalśniły w siwych oczach wygnanki. — Wiem, jaka to ofiara. Ciocia niebardzo zdrowa, miewa sercowe ataki! Pomimo to... Bóg zapłać! Oto wszystko, co mogę powiedzieć!

— Widzę, że jesteś bardzo zdenerwowana. Czyż to warto roztkliwiać się nad taką zwykłą przysługą? Może chcecie wykąpać się po podróży? Potem dam wam obiad i zapędzę Anię do łóżka, a my trochę porozmawiamy.

Ale twoja mała umie serdecznie całować w rękę! Za co mi tak dziękujesz Aniu?

— Bo ciocia jest prawdziwą ciocią mamusi.

— Jakto? Czyż byłyby „fałszowane“ ciotki? Niby taki „*ersatz*“ powojenny?

— Ja nie wiem, ciociu — tłumaczyła się dziewczynka z zakłopotaniem. — Ale niektóre osoby tak wyglądają, jakby się tylko „umówiły“, że mają być przyjaciółkami, albo krewnymi.

— Jeszcze o tem nie słyszałam. Nadzwyczajne odkrycie, Aniu kochana — mówiła, tłumiąc śmiech pani domu i spoglądając na rozbawioną tem spostrzeżeniem panią Verę.

Po wypoczynku i zjedzonej kolacji zasiadły z ciotką Józefą przy palącym się piecu, mającym udawać wiejski kominek. Równy oddech Ani, która zasnęła w okamgnieniu dolatywał z przyległego pokoju.

— A teraz, droga Vero, czekam z wytężoną uwagą na dalszy ciąg twej opowieści. Skończyłaś w czasie obiadu na głuchym odgłosie zamykanej kłódki. Zostaliście sami na strychu. Wyobrażam sobie, że po tak silnem napięciu nerwów musiało przyjść odprężenie?

— Tak, ciociu. Uczuliśmy się bezpieczni, a to było wprost rozkoszne. Wprawdzie to bezpieczeństwo dość było problematyczne, gdyż czerwoni żołnierze buszowali dalej we dworze, ale nasza obecna pozycja nie szła „w paragon“ z poprzednią. Na otwartej przestrzeni ogrodu mogliśmy być w każdej chwili obskoczeni przez czatujących żołdaków. Życie i — więcej niż życie — stawialiśmy na kartę. Wygraliśmy! Ania zasnęła jak zabita, a my siedzieliśmy, oparci o ścianę, blisko przy sobie, nie zamieniając jednego słowa. Wreszcie uczułam na ręku usta Fredzia i ciche: — Spróbuj zasnąć, Vero! Dobranoc!

— Biedacy! — ciotka Józefa podniosła się odruchowo z fotela i z rozczuleniem ucałowała opowiadającą.

— Ołeksa i Hańdzia karmili nas ukradkiem, przynosząc różne nowiny. Krasnoarmiejcy nie opuszczali sadyby dworskiej, szukając nas zajadle w ogrodzie i zabudowaniach folwarcznych. Czereszeńka stała się ich bazą wojenną, gdyż toczyli uparte walki z pobliskiemi oddziałami Petlurowców. Głosy i śmiechy żołnierzy, przychodzących do chaty Ołeksy po żywność, wstrząsały nami niekiedy. Rewolwer błyskał w ręku Fredzia. Po chwili — cisza wracała nam spokój. Tak upłynęło trzy dni. Czwartego, o świcie zbudził nas pobrzęk otwieranej kłódki. Ktoś wślizgiwał się ostrożnie. Głos Ołeksy zwiastował nam szeptem dobre nowiny. Czerwoni żołnierze wyszli już ze wsi, a żydek z miasteczka „boży się", że „carska armja" stoi w Kijowie.

— Denikinowcy, oczywiście! — wtrąciła, śledząca z zapartym oddechem nić dziejów — ciotka Józefa.

— Tak. Niech „pany" złażą zaraz „tycheńko", bo ja tych swoich „susidów" boję się tak samo jak bolszewików! — powiedział nam Ołeksa. — Ja już był u waszego pana ksiondza w miasteczku i on bardzo prosi, żeby „paniw" przywieźć do niego tylko czut świt, zajeżdżać od strony cmentarza. Ciocia wie, że kościół był fundacją Przedborów, a Fredzio jako kolator — hojny nad miarę. Zamieszkaliśmy na plebanji wobec tego, że dwór był spalony. Wieści o „białej armji" potwierdzały się nieustannie. Starsi, zamożni gospodarze wiejscy cieszyli się, że „wróci dawny porządek". Burzliwsze żywioły — ucichły. Iwaniszka z kilku kompanami opuścił nawet Czereszeńkę, przyłączywszy się do odchodzących bolszewików, gdyż miał na sumieniu śmierć Dorofteja. Korzystając ze zmienionego nastroju wsi, pojechaliśmy do naszego kochanego gniazda. Sterczące nagie ściany i okopcone rumowiska wy-

wołały szlochania Ani. I nam — mgła przysłoniła oczy. Dwie skrytki z ogniotrwałej cegły ziały czeluścią wyrąbanych otworów.

— Na nic się nie zdały wszelkie ostrożności! Jakże mi żal twoich klejnotów, kiedy pomyślę w jakie ręce się dostały!

— Ach, ciociu! „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy!“ Proszę mi wierzyć, że to nie frazes i nie literatura, ale najszczersze moje przekonanie! Zdobycze kultury, jakie Polska straciła na Ukrainie, to nieodżałowana szkoda dla całej ludzkości. A skurczenie się wpływów politycznych i gospodarczych?! A fala zrujnowanych biedaków, zalewająca skołatany okręt powstającej ojczyzny?!

— Przyznaj jednak, że wraz z tymi „biedakami“ przybywają Polsce tęgie charaktery i dobre głowy! Cóż dalej? Opowiadaj moja droga.

— Wtem — Ania przypadła tak skwapliwie do ziemi, że błysnęła nam myśl: A może rabusie zgubili jakiś klejnot?! — Co znalazłaś, Aniu? — Biały kwiatuszek z koszyczka Pomony, mamusiu. Schowam go sobie na pamiątkę, dobrze?

Pewnego dnia starsi gospodarze przyszli ławą na plebanję. — Proszę łaski pana, zdaje się, że to już będzie koniec temu nieszczęściu! — stali z odkrytymi głowami, trzymając w ręku czapki. — Denikiny już ot, ot, przyjdą! Wieś stracha się, co to będzie?! Myż nie szli po naszej woli na pogrom, tylko gnały nas te czerwone sobaki! Pan nie da nam zrobić krzywdy?! — Fredzio uśmiechnął się leciutko, a oni dalej głaskali go pochlebnemi słowami: — Pan dla nas zawsze był jak „ridnij bat'ko“! My pana posłuchamy. Może pole wyorać, może zasiać? Stodoła pusta, aż świszcze, tak te bandy przeklęte pana ograbiły! — Dobra myśl! — osądził Fredzio z uznaniem. — Zasiejcie

swojem ziarnem, a na żniwa podzielimy się po połowie.— Sprawiedliwie pan mówią! My już po gardło mamy tego brechania! Na zimę dają nam ziemię, a na lato znów odbierają! Ona pańska, to my na pańskie słowo przy niej robić będziemy! Wiadomo przynajmniej na jaki to koniec! — Istotnie, w kilka dni potem świetna kawalerja denikinowska wkroczyła do naszego miasteczka, na które padł śmiertelny strach wobec uporczywych pogłosek, że kozactwo znaczy swą drogę trupami żydów. Niejeden syn Izraela szukał schronienia w komorze, lub na strychu, sowicie opłacanego przyjaciela chłopskiego. Pomimo to padło kilkanaście trupów i cała żydowska część mieściny byłaby rozniesiona na szablach, gdyby nie autorytet starszyzny kozackiej. Dowódca oddziału zakwaterował się na plebanji. Był to bardzo kulturalny i przystojny oficer, nienawidzący krasnoarmiejców i ich postulatów. Zaprzyjaźniliśmy się na tej wspólnej „platformie".

— Nic tak nie łączy i nie dzieli, jak kwestje religijne, albo polityczne — zauważyła pani domu.

— Bezwątpienia. Ponieważ byliśmy odcięci od świata, więc słuchaliśmy go z ciekawością i od niego dowiedzieliśmy się o triumfalnym pochodzie Dobrowolnej Armji. Opowiadał nam również o bitwie, stoczonej przez nich z Petlurowcami w Czereszeńce. Otóż po wyślizgnięciu się bolszewików, dwa wojska — ukraińskie i denikinowskie — stanęły naprzeciw siebie. Po kilkudniowem zaciszu Tiutiunyk, komenderujący tą grupą, powołując się na rzekomy rozkaz Petlury, nakazał wystąpienie przeciw białogwardzistom, uznającym „jedinuju, niedielimuju Rosję" podczas, gdy oni walczą o „samostijną Ukrainę". Oddziały powstańcze zajęły pozycję wśród chat i zabudowań dworskich, denikinowcy zaś po spędzeniu z przedpola czatowniczej ich linji, umieścili się daleko dogodniej na wzgórzu

nad stawem, które z jednej strony było pokryte, jak ciocia pamięta, lasem i staremi sokorami, a z drugiej — tworzyło wysoki, górzysty brzeg nad wodą. Dzięki zastosowaniu przez dobrowolców szybko strzelnej broni maszynowej angielskiej, powstańcy zostali wyparci z opłotków wsi i, rozwinąwszy się w tyraljerę, cofali się w kierunku naszego miasteczka. Wówczas to zaatakował ich w konnym szyku Łabiński pułk kubańskich kozaków w „kabardinkach“ (płaskich czapeczkach) na głowie. Charakterystycznem było, że razem z nimi pędził konno w pierwszym szeregu kapelan prawosławny pułkowy z krzyżem w ręku, zachęcając przykładem i słowami do ataku. Głoszone przez Ukraińców zdanie, że kozacy kubańscy, potomkowie Zaporożców, przesiedlonych przez Katarzynę, są naturalnymi ich sprzymierzeńcami jako prawi synowie Ukrainy, zostało krwawo obalone. Nietylko bowiem porąbali oni okrutnie mniemanych swych pobratymców, ale głosili w dodatku z oburzeniem przed całą ludnością miasteczka, że w ten to sposób płacą za rozsiewane pogłoski o ich zdradzie i odstępstwie od celów świętej Rosji!

— Jakiż to ciekawy wynik mądrej polityki państwowej Katarzyny! Ciż sami kozacy, którzy w dawnej Rzeczpospolitej polskiej byli elementem burzącym, stali się z biegiem lat najbardziej lojalnymi strażnikami, narzuconej im przemocą Ojczyzny! — tu ciotka Józefa splotła białe, delikatne ręce z rzeczywistym podziwem.

— Toż samo mówiliśmy z Fredziem! Gorąca wiara owego kozackiego oficera w zwycięstwo „białych“ i nam się udzieliła. Całemi wieczorami dyskutowaliśmy nad podniesieniem naszych majątków z ruin, nad odbudowaniem domu, który miał być identycznie podobnym do spalonego i tak płynęły dni jeden za drugim, a wojska deniki-

nowskie płynęły na północ z myślą schwycenia za gardło czerwonego wilka, który się usadowił na Kremlu.

— A ty odśwież swoje zmęczone gardło kieliszkiem dobrego wina! — zaproponowała ciotka Józefa, stawiając przed siostrzenicą pełny kieliszek i talerzyk z ciastkami.

— Dziękuję, ciotuniu. Doskonałe istotnie. Wracam do naszych dziejów. Było to piętnastego listopada, jak dziś pamiętam. Siedzieliśmy przy herbacie wieczornej w jadalni księdza proboszcza. Nieodstępująca nas Janka, pamięta ją ciocia? — krzątała się przy bufecie. Wtem — zapukano do drzwi. Spojrzeliśmy. Zdumienie nasze nie miało granic! Kozacki nasz przyjaciel wszedł do pokoju. — Pułkownik tu, nie w Moskwie?! — zapytał Fredzio, witając się z gościem serdecznie. — Badawczem, krótkiem spojrzeniem obleciał pokój dokoła. Janka zniknęła. — Odstępujemy! — szepnął zgnębiony. — Zboczyłem z drogi, aby was ostrzec. Jeszcze czas. Likwidujcie, co się da i uciekajcie do Polski! — Zaturkotało przed domem. Ksiądz proboszcz wracał od chorego. Oficer przyłożył palec do ust: — Słowo dżentelmenów! — i zasiadł z pozornym spokojem przy stole. W dziesięć dni potem byliśmy już w lasach Sławuty. Mróz ścisnął ziemię, ale śniegu tak było jeszcze niewiele, że pojechaliśmy wozem, zaprzęgniętym we własne konie. Na spodzie walizki i rzeczy, uratowane z pogromu przez naszą niezachwianą w wierności służbę, poduszki, koce, materace! Na tem wygodnem podłożu — siano i derki stajenne, a na wierzchu nas troje i Janka.

— Co się stało z Trojańską? Pamiętasz jak twój mąż żartował nieraz: — Moja żona poprawia historję. Ma Helenę Trojańską, ale bez wojny!

— Fredzio jest wogóle nadzwyczajny! Dawniej był wzorem bogatego ziemianina na Kresach, dziś — może

imponować każdemu opanowaniem i spokojem w biegunowo odmiennych warunkach! Co do Trojańskiej, to postanowiła dostać się do Humania, gdzie Romanek był w szkole ogrodniczej, a stamtąd miała wyruszyć do Polski. Gdyby się pośpieszyła, doszłaby do mety bez przygód podobnie jak i my, gdyż początkowe zwycięstwa Denikinowców nałożyły jednak hamulec na rozbestwienie najgorszych żywiołów. Nie zjawiła się wszakże w Równem, gdzie zatrzymaliśmy się na wypoczynek w skromym domku siostry Janki, której mąż jest urzędnikiem magistrackim w odrodzonej Polsce. Było nam tam zacisznie w dwóch pokoikach maleńkich i niskich. Piliśmy poprostu niby źródlaną wodę to bezpieczeństwo codzienne od jakiego odzwyczaiły nas drapieżne skoki potwora Rewolucji! Resztę ciocia już wie. Skończyłam i dopiero teraz czuję jak bardzo jestem zmęczona. Dobranoc, moja cioteczko.

— Napij się jeszcze kieliszeczek wina przed snem. To Vermout, bardzo odżywczy. Możebyś poradziła się jakiegoś wybitnego doktora, bo te straszne przeżycia wycieńczyły cię nadmiernie. Wyśpij się dobrze. Wstanę cichutko, aby ciebie nie zbudzić. Dobranoc.



## CHWILA OSOBLIWA.

Kamieniec, d. 12 lutego 1920 roku.

„— Moja najdroższa Vero! Zostałem przyjęty przez pana Bolesława z wielką życzliwością i otrzymałem posadę inspektora rolnego na Okręg Podolski z siedzibą w Kamieńcu. Sytuacja tu jest wogóle niezmiernie skomplikowana i nawet tak energiczny organizator jak pan Kraczkiewicz będzie musiał głowić się często nad rozwikłaniem narastających trudności. Oddziały nasze wkroczyły tu na zaproszenie władz ukraińskich z ministrem Ogijenko na czele. Skutkiem tego panuje w Kamieńcu raczej karbowaniec, niż marka polska, a tworzenie naszego Zarządu Cywilnego traktowane jest jako zamach na ich państwowość. Zupełnie inaczej przedstawiają się sprawy w Płoskirowie, gdzie wojska polskie weszły natychmiast po opuszczeniu go przez Denikinowców. Tu — Ukraińcy zignorowali nasz przyjazd w przeciwieństwie do biskupa prawosławnego Pimona i do rozentuzjazmowanego społeczeństwa polskiego. Uroczyste przemówienie w katedrze biskupa kamienieckiego, księdza Mańkowskiego i raut wieczorny w „Domu Polskim“, mający na celu zaznajomienie władz naszych z wybitniejszymi działaczami miejscowymi — świadczyły o tem najlepiej. Rozejrzawszy się już nieco w stosunkach miejscowych, twierdzę, że jedną z najpoważniejszych przeszkód w organizacji nowego Okręgu, będzie postawa ludności miejscowej wiejskiej. Agitatorzy

postarają się, oczywiście, o podsycanie w nich nieufności do rządu „pańskiego“, który nie zechce spełnić ich zasadniczych pragnień: Ziemia, jako własność prywatna, ale tylko dla „pracujących“. Ład, bezpieczeństwo i spokój. Żadnych podatków, dawania rekruta, wybierania zboża. Brakujące dotkliwie — odzież, sól i nafta — dostarczane w każdej, wymaganej ilości i tanio.

Rozumiesz, droga moja, jaki powstaje z tego galimatjas? Rząd polski ma być bolszewickim dla większej własności, a macierzyńsko praworządnym — dla drobnych posiadaczy! Dogódźże tu wszystkim, kiedy ci „więksi“ domagają się również sprawiedliwości, czyli rewindykacji i odszkodowań za rozgrabione w czasie rewolucji majątki. Ci mają słuszność, a tamci — siłę. Wiemy, że przez kraj ten przewaliła się burza dziejowa. Roi się tu zarówno od koron austrjackich, marek niemieckich, rubli denikinowskich, kubańskich, sowieckich, karbowańców, hrywien, łopatek, hetmanek, jak również od praw „papierowych“, wydawanych przez coraz to inną władzę. Skutkiem tego ludność wiejska kieruje się własnemi, najdogodniejszemi prawami. Potworzyło się mnóstwo małych republik, uzbrojonych w karabiny, kulomioty, a nawet — w armaty polowe. Wszystko to pościągano bezkarnie z pola bitewnego różnych armij, zwalczających się na tym obszarze i, idących następnie w rozsypkę. Dodaj jeszcze instrukcję Naczelnego Komisarza polskiego, że celem naszym jest utworzenie suwerennego państwa ukraińskiego i panujące w społeczeństwie ukraińskiem dwa prądy: Petlury, dążącego do oparcia się o Polskę i — Ogijenki, zdecydowanie nam nieżyczliwego, a będziesz miała obraz tej niepokojącej mgławicy, w jakiej pracować tu musimy.

Kamieniec wprost przepełniony. Znalezienie ja-

kiegoś lokalu pociąga olbrzymie trudności. Z tych wszystkich względów nie chcę was tu sprowadzać i pewien jestem, że podzielasz moje zdanie. Może do wiosny opanujemy sytuację. Zdrowie mi służy i pracuję z całą energją i zapałem, mając taki ogromny warsztat przed sobą. Trzeba będzie przygotować zapasy ziarna do siejby, objąć w zarząd opuszczone majątki, starać się o uratowanie resztek materjału hodowlanego i wreszcie, a może to najpilniejsze, łagodzić konflikty pomiędzy większą własnością, a rozagitowaną ludnością wiejską.

Jak się miewacie, moje najdroższe? Czy Ania jest pociechą swej mamusi, która doznała tyle rozczarowania na wstępie do Polski. Wierzę, że tak jest istotnie. Jeden tylko list miałem od was. Poczta tu źle funkcjonuje dotychczas. Ściskam Was najserdeczniej. Ucałujcie ręce ciotki Józefy w mojem imieniu. Dziękuję Jej gorąco za dobroć dla Was. Piszcie, drogie moje często".

Wasz *Alfred.*

Po otrzymaniu tego listu pani Vera zajęła się wyszukaniem jakiegoś stałego locum dla siebie, co wobec przepełnionej Warszawy, było nielada zadaniem. Wysiłki jej zostały wreszcie uwieńczone pożądanym skutkiem, gdyż znalazła miły pokój przy końcu ulicy Koszykowej. Było to wprawdzie daleko od śródmieścia, gdzieś za halami, ale lokatorka mieszkania, pani Ewa Dąbrowska, wywarła sympatyczne wrażenie na, ostrożniejszej teraz w stosunku do ludzi, wygnance kresowej. Młoda jeszcze, przystojna blondynka, wdowa po urzędniku miejskim, zajmowała z szesnastoletnią córką i pracującym w Magistracie synem, dwa mniejsze pokoje, trzeci zaś opłacał jej komorne za całość. „Sztukowała" jak mogła, będąc zmuszona okolicznościami do tej misternej roboty, obywając się bez służącej

i zachowując mimo to z wrodzonym talentem Warszawianki, elegancki wygląd zewnętrzny.

Ponieważ rok szkolny był dawno zaczęty, więc pani Vera postanowiła nie stracić go nadaremnie i zabrała się do usilnej nauki z Anią, która po jakimś czasie wywołała okrzyk podziwu miłej pani Dąbrowskiej, zaglądającej niekiedy do swej sublokatorki: — My rozmawiamy, a ta dziewczynka nie odwróci głowy od książki! — Zapewne nie dosłyszała go uczennica, zatopiona w Historji Polskiej, gdyż panna Lucyna stanęłaby jej w pamięci.

Nadeszła wiosna, a razem z jej nabrzmiewającemi pąkami, upojne nadzieje zakwitły w sercach kresowców. Ofensywa wojsk polskich na Wschód posuwała się zwycięsko. Dzień wielkiej rewji ósmego maja w Kijowie był triumfem polskiego oręża i Świętem Myśli, co niosła Wolność narodowi bratniemu. Pani Vera pochłaniała gazety z lśniącemi entuzjazmem oczami, Ania biegła wspomnieniem do ukochanej Czereszeńki. Może wrócą tam prędko i odbudują się z popiołów tak jak ongi kresowi egzule, którzy po wysadzeniu przez pana Wołodyjowskiego twierdzy kamienieckiej w powietrze, tułali się długo w Polsce, aż doczekali szczęśliwej chwili. Oswoiła się już z pobytem w Warszawie i chodziła ze swoją mamusią po ulicach miasta, nie rozglądając się dookoła w nadziei spotkania dawnej rodziny. Jakby na wirującej scenie w nowożytnym teatrze pierwszy akt z jej życia odsuwał się od niej szybko, przysłonięty zajmującą teraźniejszością.

Kiedyś, wieczorem, pani Vera uczuła tak mocny ból gardła, że z trudem przełykała herbatę. Potraktowała to lekceważąco. Były wczoraj z Anią w Jabłonnie, zwiedzały śliczny pałac księcia Józefa, a potem siedziały czas jakiś na trawie nad Wisłą i powróciły dość późno napchaną ludźmi kolejką. Zaziębiła się widocznie, ale w maju nie jest to

groźne. Noc wszakże miała męczącą. Dręczyły ją sny niespokojne, budziła się przerażona i zapadała w otchłań senności, gdzie jednak żyła jakby na jawie. Fredziowi groziło jakieś tajemnicze nieszczęście, więc chodziła po nieznanych kościołach, przyklękając przed każdym ołtarzem i błagając żarliwie o ratunek dla niego. Czuła chłód mrożący w kolanach. Obudziła się rano zmęczona. Ania spała jeszcze na drugiem łóżku. Nagły okrzyk matki wyrwał ją z błogiej ciszy uśpienia. Podniosła główkę.

— Skąd te czerwone plamy na rękach?! I na piersiach! Nie zbliżaj się do mnie, Aniu! — (dziewczynka już wyskoczyła w koszulce z pościeli) — Może to zaraźliwe?! Ubierz się prędko, zejdź na dół do jakiejś apteki i zatelefonuj do najbliższego doktora. Co to być może?! Okropnie boli mnie gardło. Czy to nie dyfteryt przypadkiem?!

Ania ubrała się w okamgnieniu i sprowadziła doktora, który rzuciwszy okiem na chorą, cofnął się z przestrachem:

— Szkarlatyna! W dojrzałym wieku tak niebezpieczna, że za kilka dni może pani umrzeć. Zaraz napiszę kartkę do szpitala. Oddział chorób zakaźnych. Ogólna sala, bo o seperatce niema co myśleć. Pani tu nie ma prawa zostać ani jednej godziny. Proszę telefonować do Pogotowia. Karetka przyjedzie. Niech córeczka pani będzie ostrożna. Nie dotykać się mamusi, rozumie panienka? — wytarł jej ręce i swoje kolońską wodą i wyszedł, nie dotykając klamki.

Cisza zaległa w pokoju.

— Aniu — przerwała ją wreszcie pani Vera — Słyszałaś, co mówił doktór? Dopóki jestem przytomna, chcę rozporządzić się odpowiednio. Przeniesiesz się do ciotki Józefy i będziesz codziennie telefonowała do szpitala, a gdyby powiedzieli ci, że stan mój jest beznadziejny, wyślij depeszę do tatusia.

— Mamusia — w szpitalu! Wśród obojętnych i chorych! Ach! mamusiu! To niemożliwe!

Delikatne pukanie do drzwi powstrzymało rozmowę. Na progu stanęła pani Dąbrowska.

— Niech pani nie wchodzi! — zawołała pani Vera — Mam szkarlatynę!

Dzielna wdowa nie stropiła się tem bynajmniej:

— Szkarlatyna jest zaraźliwą dopiero w ostatniej fazie — rzekła spokojnie.

— Doktór wyszedł przed chwilą i kazał mojej mamusi jechać do szpitala. Przecież to okropne! — użalała się Ania.

— Do szpitala? Ależ wszędzie przepełnienie tak nadliczbowe, że mowy o tem być nie może! Powtarzam, co słyszałam od mego doktora.

— Więc cóż mam począć? — rzuciła pytanie jakby do siebie pani Vera.

— Mamusia tu zostanie. Dobrze, proszę pani? — szafirowe oczy wzniosły się z błagalną prośbą na wdowę. — Ja będę mamusię pielęgnowała.

— Dziecko kochane! Nie. Przecież pani ma młodziutką córkę i syna!

— Czy pani sądzi, że mniej mam odwagi od tej małej dziewczynki? Córkę wyprawię do mego brata, syn przeniesie się do kolegi, a pani, gdy wyzdrowieje, zdezynfekuje i odnowi mi ślicznie ten pokój.

— Swoją niezmierną dobrocią wynagradza mi pani oschłość serca, jakiej od bliższych doznałam. Bóg zapłać! Ale obmyślcie inny plan, gdyż drżałabym nieustannie o ciebie, Aniu.

— Ja bardzo jestem odporna na wszystkie zarazy, mamusiu. Proszę mi wierzyć. Nie upewniałabym mamusi, gdybym nie była tego pewna — mówiła gorąco Ania.

— Pani jest poważnie chora i ma widocznie silną gorączkę. Chorzy nie decydują wcale, — rozstrzygnęła sporną kwestję pani Dąbrowska. — Co do mnie wierzę, że nasza kochana dziewczynka nie dostanie szkarlatyny od pani. Wiem z doświadczenia i z obserwacji, że zarazy czepiają się najprędzej tchórzów. Poślę zaraz córkę do mego doktora, prawdziwie zacnego człowieka i oddamy panią pod jego dozór troskliwy. Nie mogłabym z lekkiem sercem wyprawić pani do szpitala. Pojmuję, jak ciężko chorować wśród obcych.

— Może nawet umierać wśród obcych? — przemknęło przez zbolałą głowę chorej. Powieki jej opadły ciężkie, zmęczone, a złotawe rzęsy rzucały cienie na rozpalone policzki.

Traciła chwilami przytomność. Był doktór. Zapisał lekarstwa. Pocieszał. Już go niema, a ona unosi się w powietrzu pośród nieustannego szumu falującego eteru. Dokąd się skryć od tego przykrego brzęczenia. Poruszyła się niespokojnie.

Maleńka postać wstała ze stołeczka, na którym siedziała przy łóżku.

— Proszę wypić lekarstwo, mamusiu. — Powoli zbliżała do ust pełną łyżkę.

— Czy to już ranek? — spytała pani Vera.

— Nie, mamusiu. To księżyc tak ładnie świeci. Proszę starać się usnąć. Ja także będę spała.

I znów wszystko zasnute szarą mgłą skłębionych dziwacznie obłoków. Jak trudno przecinać je ramionami. Jak duszno w tem lepkiem powietrzu... Jęknęła.

— Czy mamusię coś boli? Proszę wypłókać gardło. Lżej trochę, prawda?

— Kolana... — głuchy szept w pokoju.

— Zaraz pomasuję. Doktór tłumaczył mi, jak to zro-

bić. Niech mamusia śpi, dobrze, moja kochana? — i małe rączki wcierały z całą sumiennością maść, przepisaną przez lekarza pani Dąbrowskiej.

Czwartego dnia z rana chora obudziła się nieco rzeźwiejsza. Uśmiech, pełen tkliwości rozchylił usta, spalone gorączką. Na brzegu jej łóżka, z główką złożoną na rączkach, Ania siedząc na stołeczku, usnęła głęboko.

Przeczucie zacnej pani Dąbrowskiej sprawdziło się istotnie. Ania stosując przepisy ostrożności, zalecone przez doktora, pielęgnowała dalej matkę, która bardzo powoli wracała do zdrowia, leżąc bezsilna na łóżku i nie wychodząc z pokoju. W halach na Koszykowej znano ogólnie małą, jasnowłosą dziewczynkę, przychodzącą po zakupy z koszyczkiem w ręku. Rzeźnicy, uśmiechając się do niej, wybierali najdelikatniejszą cielęcinkę, godną podniebienia „chorej mamusi". Przekupki raczyły ją wybornemi jarzynkami, świeżym twarogiem i owocami, a doświadczona gosposia przyrządzała smaczne obiadki w kuchni pani Ewy, nie mogącej się dość nadziwić kulinarnym i praktycznym zdolnościom w tak młodziutkim wieku. Ania uśmiechała się skrycie. Chuda jak kij od miotły i równie twarda „Ansisia" stawała często przed jej oczami, ale nie zdradzała istnienia swej mistrzyni i szkoły przez jaką przeszła. Również list, otrzymany od tatusia przy końcu maja i zaadresowany do niej w osobnej kopercie, schowała przemyślnie, nie dzieląc się jego treścią z matką.

„Przyjaciółki" nie dały znaku życia podczas ciężkiej choroby, ale cierpiąca na osłabienie serca ciotka Józefa pokonywała wysokość trzeciego piętra i odwiedzała siostrzenicę. Raz kiedyś weszła, pogodna jak zwykle i odezwała się ciepło: — Nie posłuchałaś mnie, droga Vero, gdy wyprawiałam cię do doktora wnet po twym przyjeździe do Warszawy. Widzisz teraz, jak to źle się stało,

bo doktór Szumski twierdzi, że nadwątlone twoje siły nie mogły być odporne wobec panującej epidemji. Mam nadzieję, że będziesz tym razem skłonniejsza do przyjęcia dobrej rady? — spoglądała na nią wyczekująco.

— Słucham, kochana ciociu, z pokorą.

— Cieszy mię to prawdziwie. A więc — rzecz postanowiona. Jedziecie nad morze — puszczając mimo uszu wykrzykniki zdumienia, dobyła z sakiewki paczkę mareczek polskich i wsunęła ją pod książkę. — Oddasz mi, gdy wrócisz do Czereszeńki — przemówiła serdecznie.

— Ciociu najlepsza! — A jeśli nie wrócę? Po tylu zawodach lękam się fantazji Marsa!

— Wówczas spłacicie mi powoli. Nie troszcz się o to. Te pieniądze spadły mi niespodziewanie, lokuję je w pewne ręce. Jesteście tak blade i wymęczone, że patrzeć na was nie mogę. Tylko egoizm jest motywem tej drobnej usługi.

— Droga cioteczko! Oby taki egoizm gnieździł się we wszystkich ludzkich sercach!

— Jak ja się cieszę, mamusiu! Zobaczymy nasze polskie morze i Gdańsk średniowieczny. Mamusia nabierze siły, bo uczyłyśmy się przecież, że morskie powietrze bardzo wzmacnia. Trzeba tylko, żeby i ciocia pojechała z nami. Dobrze, cioteczko?

— To niepodobna, kochane dziecko. Któż zajmie się moimi lokatorami?

Po upływie dni paru były już w Pucku. Tu — urywała się linja kolei polskich, a na helski półwysep dostawano się łódką. Silna bryza toczyła wały pienistych wodnych grzebieni w zatoce puckiej i napełniała żagle odwiecznym motorem ruchu. Łódź tańczyła na oddychającej gwałtownie piersi Małego Morza, a spalony na bronz rybak wiózł podróżniczki do Kusfeldu. Murowane domki Kaszubów na przeciwległem wybrzeżu stawały się coraz jaśniejsze

w zarysach. Wreszcie cel jazdy był osiągnięty. Łódź zaryła się dziobem w żółtawe piaski. Mrukliwy, ale opiekuńczy wilk morski przeniósł Anię w ramionach na ziemię, poczem z nikłym cieniem uśmiechu zaproponował toż samo jej matce.

Pani Vera zdumiona była wewnętrznem urządzeniem domków rybackich. Zaszła do kilku, w poszukiwaniu najmilszego pokoju i najsympatyczniejszych gospodarzy. Wszędzie widziała toż samo. Miękkie, obite czerwonym pluszem meble, porządne szafy, lustra stojące i wygodne łóżka. Dbano tu snadź o „gości" w przeciwieństwie do znanej pogardy dla „letników" w podmiejskich miejscowościach Polski. Ceny były również przystępne, chociaż posiłki składały się z solonego mięsa, przywożonego z Pucka, z niesmacznych potraw na sposób niemiecki i z ryb świeżych, gotowanych, lub smażonych, o których nawet Lukullus powiedziałby, że są doskonałe.

Podczas gdy rekonwalescentka ze swą pielęgniarką pławiły się w słońcu i w morzu, groźne chmury od Wschodu zaciągały się nad Polską. Dalekie migotanie błyskawic niosło zapowiedź gromu, mogącego strzaskać serce niepodległej Ojczyzny. Wojska polskie wycofywały się z Kijowa i ziem kresowych, a za żołnierzem, zdemoralizowanym nagłością odwrotu, toczyła się czerwona lawina, wyciskając go z obszarów dawnej Rzeczypospolitej. Pani Vera ze drżeniem czytała gazety. Szarpiący lęk o męża, nie dającego znaku życia, bezbrzeżna trwoga o losy Polski splatały się w tak palące cierpienie, że gorzała w tej męce, niby ów chrześcijański świecznik Nerona. Panowała jednak nad sobą, wiedziona nakazem rozumu w tej chwili osobliwej. Ania, strwożona równie jak matka, nie przejawiała nigdy swych obaw, rozstrząsając je skrycie. Pomimo tej duchowej rozterki plażowały codziennie, zdając

sobie sprawę, że zdrowie jest dla nich obydwóch niezbędne.

— Synek naszego rybaka pędzi do nas, mamusiu — powiedziała raz Ania, która w pasiastym trykocie brodziła nóżkami w wodzie. — Coś niesie w ręku!

— Może list od tatusia? — wykrzyknęła matka, przysłaniając dłonią oczy od słońca i wpatrując się w malca. — Biegnij do niego, Aniu!

— List! Nareszcie! — wołała za chwilę dziewczynka, wręczając niebieską kopertę.

Pani Vera przedarła ją błyskawicznie i bez tchu czytała głośno:

*Łódź, 16 lipca 1920.*

„Moje najukochańsze! Zostaliśmy wszyscy ewakuowani z Kamieńca i dojechaliśmy pomyślnie do Łodzi. Wstąpiłem natychmiast do Armji Ochotniczej. Chwila jest tak przełomowa, że każdy bez wyjątku Polak winien chwytać za broń i stanąć w szeregach walczących. Polska w strasznem niebezpieczeństwie. Zostańcie na Pomorzu, tam będzie względnie najlepiej. Wierzę, że odepchniemy wroga i że powrócę do Was. Tymczasem ściskam Was obie i kocham gorąco". *Wasz Alfred.*

Szloch wydarł się z gardła czytającej: — O, Boże Wielki! Ratuj Polskę i jego! — przylgnęła głową do plaży, wstrząsana łkaniem rozpaczy.

Leżąca opodal Ania podparła bródkę dłońmi i zasłoniła twarz paluszkami. Przerażenie tak zalewało jej serce, jak fala najeźdźców — Polskę.

Więc to możliwe, aby ci bolszewicy okrutni aż tu ich dosięgli? Żeby niszczyli i palili Ojczyznę, jak Czereszeńkę? A tatuś? Może zginie, przeszyty kulami, jak generał Jasiński na Pradze? O, Matko Boża z Jezusikiem na ręku,

ochroń mego tatusia i Polskę! Schowaj ich w swój płaszcz niebieski i ratuj ich, ratuj! — modliła się w duchu, a łzy ciepłe, kropliste, spadały jedna za drugą w nadbrzeżne piaski Kusfeldu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dwie armje doszły do ziem od wieków rdzennie lechickich, a i tu jeszcze czerwony żołnierz parł naprzód. Struchlały serca i drgnął ze zgrozy Duch Polski. Rozwinął skrzydła, owionął natchnieniem Naczelnego Wodza i skrzepił wojsko. Naród cały rzucił do boju o wolność i stał się ów „cud nad Wisłą", niedoceniany przez Europę. A jeśli prawdą jest, iż nic nie przychodzi na tym świecie bez pracy i męki, jeśli istotnie każde dobro okupić czemś należy, to w owej chwili płomiennego wysiłku i jedności, wyższej ponad wszelką prywatę — odwdzięczyła się Polska hojnie za przywróconą jej niepodległość.

I czemże stały się owe słowa, pełne zuchwałej pychy, wyrzeczone przez dyplomatów sowieckich i przez generalissimusa Trockiego, gdy jeszcze naród polski nie zdążył wywalczyć zwycięstwa? Owe słowa, przypominające jaskrawo dwa miecze, przysłane przez chełpliwych Krzyżaków Władysławowi Jagielle w dniu grunwaldzkiego boju?

„Wobec nieustannego przesuwania się linji bojowej, nie możemy wyznaczyć miejsca dla pertraktacyj pokojowych".

Krócej trwała, zawarta w nich groźba, niż trwa mgła poranna. Przeciw wrogiej nawale, grożącej zagładą zdobytej wolności, cały naród polski rzucił swe wspaniałe *Non cedo!* Złamały się szeregi Czerwonej Armji, wyszczerbiły się o pierś obrońców miecze zagłady, upadła wiara w zachwianą potęgę. Z chwilą powstania niebezpieczeń-

stwa na Wschodzie, Polska stała się dawnem *antemurale Christianitatis.*

Horda złowrogich przybyszów potoczyła się do swego łożyska zpowrotem, odsuwając „linję bojową“ z zawrotną szybkością. Za uciekającymi goniły wojska polskie, wzmocnione świeżym dopływem ochotnika, zagrzane w decydujących walkach w pamiętnym dniu 15 sierpnia płomieniem bohaterstwa, przeświecającego jak złota nić w wszystkich „chwilach osobliwych“ rozdartego częstokroć niezgodą, ale zadziwiającego nieraz świat heroizmem — narodu polskiego.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dopiero w jesieni, gdy rozwiązała się Armja Ochotnicza, wrócił pan Alfred do żony i córki. Zastał je w Milanówku, gdzie znajomi pani Very, wyjeżdżający na zimę do Zakopanego, prosili ją o opiekę nad ich willą. Jakże wygnańcy byli szczęśliwi! Polska mogła dalej budować swą potęgę państwową, a oni żyli i kochali się znów we troje. Wszystko przejmowało ich wesołością. Troski dnia powszedniego, odrzucali ze śmiechem. Czemże były one wobec tortury ducha w Kusfeldzie i pod Radzyminem?

Podróżni, jeżdżący pociągiem podmiejskim, widywali codziennie na peronie w Milanówku szatynkę o siwych oczach z małą, jasnowłosą dziewczynką. Witały one uśmiechem radości, wysiadającego z wagonu mężczyznę z teką, brały go z dwóch stron pod rękę, tuląc się do niego i zarzucając słowami, jakgdyby nie mogły dość się nacieszyć jego obecnością. Szli tak we troje, ścigani wzrokiem tych, co nie znali harmonji rodzinnej. Nawet siepiący deszczyk marcowy nie mógł ochłodzić tych przejawów czułości. Pewnego dnia pan Alfred, wysiadłszy z pociągu, oznajmił żonie:

— Stryj Wacław umarł. Otrzymałem depeszę w biurze. Prosiłem o dwa dni urlopu i dziś wieczorem jadę na pogrzeb do Przymilepek. Już wtedy, gdy zajeżdżałem do nich po drodze do Kamieńca, zaniepokoiłem się bardzo stanem jego zdrowia. Szkoda go. Kryształowy był człowiek. Pamiętasz, jak „zbeształ“ nas w liście, że siedzimy w Równem zamiast uważać Przymilepki jako dom rodzinny?

— Biedna stryjenka — zmartwiła się szczerze Vera. — Jej ostatni list taki był smutny, jakgdyby przeczuwała to nieszczęście. Oni się tak kochali, że nie wiem poprostu, czy starczy jej sił na udźwignięcie tego krzyża?

— Chyba jej wielka pobożność złagodzi ten cios. Żal mi bardzo stryjenki. Nie mieli dzieci. Jakże ona będzie samotna na stare lata! Dawne rody wymierają, taka już kolej rzeczy.

Trzeciego dnia po tej rozmowie pan Alfred wrócił o świcie do Milanówka i przed wyjazdem do biura opowiedział o swych wrażeniach żonie, leżącej jeszcze w łóżku. Słuchała go z głębokiem współczuciem.

— Pogrzeb był imponujący. Cała okolica uczciła zasługi swego marszałka. Rodzina stawiła się licznie, tylko ukochanych Romusiów nie było. Wiadomo, że szkodzi im klimat polski w marcu, rozkoszują się tedy świeżemi fijołkami na Rivierze. Zacny generał Waligórski z trudem powstrzymywał wzruszenie przy oddawaniu tej ostatniej posługi koledze. Pan Ryszard Horodelski wygłosił tak piękną mowę nad grobem „wielkiego patrjoty i obywatela“, że stryjenka Konstancja dziękowała mu ze łzami w oczach. Jaka ona przygnębiona i złamana śmiercią męża! Boję się dla niej melancholji, gdy zostanie sama wśród wspomnień w tym starym dworze! Nieoceniona pani Ewelina zabawi tam jakiś tydzień, ale potem musi

wyjechać, bo ma własne kłopoty. Trzeba, żebyś odwiedziła stryjenkę w czasie wakacyj z Anią.

— Najchętniej. Wiesz, jak ją zawsze lubiłam i ceniłam za jej pracowitość i rzetelność w dotrzymaniu danego słowa. Żal mi jej niezmiernie.

Wiosna przyniosła państwu Alfredostwu nieoczekiwane zmiany. Pan Stanisław Rydzewski, kolega uniwersytecki Przedbora, również wygnaniec kresowy, zawiązał Towarzystwo handlowe wołyńskie, czyli „Tohawo“, wedle modnych podówczas skrótów, proponując „Fredziowi“ objęcie posady dyrektora w Ostrogu. Ten — z początku się wahał.

— Mam posadę w C. T. R. — mówił — a jeśli wyjdę, zajmą natychmiast moje miejsce i trudno będzie powrócić. Czy pewien jesteś, że ten interes rozwinie się pomyślnie i trwale?

— Mój kochany. Ludzie teraz na handlu dorabiają się miljonów. Spróbujmy. *Qui ne risque rien, n'a rien.* Musiałem wziąć fachowca jako dyrektora Centrali w Równem, ale jeśli wykażesz zdolności i w tym kierunku, to dlaczegoż nie miałbyś go zastąpić? Wówczas procenty od obrotu przewyższą o wiele pensję.

Pan Alfred przytoczył te słowa żonie, dodając:

— Gdybyś uważała, że warto ryzykować, to zgodzę się na tę propozycję. Dogadza mi ona ze względu na mego ewentualnego szefa. Możebyśmy dorobili się naprawdę jakiejś skromnej, ale własnej chatynki. Jak sądzisz, Vero?

— Wiesz dobrze, że zawsze jesteśmy tego samego zdania. Adasiowie wracają z Zakopanego i trzeba znów szukać innego mieszkania. Własny dach tak mię nęci, że jedźmy szukać szczęścia w Ostrogu.

— Nie, droga moja. Czyż mogę narażać was na niewygody małej mieściny na granicy bolszewickiej w dodat-

ku? Przytem, nie mamy „żadnej rzeczy, która ich jest!“ — podżartował wesoło. — Jakże się urządzimy?

— Fredziu! Czuję, że masz plan gotowy, więc mów zamiast bawić się ze mną w *cache-cache*.

— Przejrzałaś mnie na wylot, wielbicielko szczerości, a zatem słuchaj. Koresponduję często ze stryjenką Konstancją i doniosłem jej o zamiarach Stacha. Ciekawy byłem jej zdania, bo wiesz, że to urodzony finansista.

— Cóż ci odpisała?

— Żebym bez wahania przyjął ofertę kolegi, a ponieważ nie możemy stworzyć odrazu swego *chez soi*, więc prosi najserdeczniej, abyście przyjęły gościnę w jej domu. — Taka jestem samotna — pisze — że będzie to łaska ze strony Very. Czekam na nią z otwartemi ramionami. — Cóż ty na to?

— Jeśli będę jej pożyteczną — to zgoda.

— Oczywiście. Rad jestem z twej decyzji, gdyż będziemy mogli spotkać się czasem we Lwowie, z którym wiązać mnie będą handlowe sprawy. Na święta również łatwiej skoczyć do Brzeżan, niż do Warszawy. A więc — losy rzucone!

— Jak w kinematografie — powiedziała, śmiejąc się żona. —Tułamy się po całej Polsce z jednego końca w drugi i mamy niezwykłe przygody. Gdybyż to można przeczuć, co nas czeka w tych Przymilepkach, a ciebie w Ostrogu?!

## DWÓR W PRZYMILEPKACH.

Przed okazałym budynkiem stacyjnym stały gromadki ludzi, wyczekujących na pociąg osobowy, mający nadejść lada chwila ze Lwowa. Naczelnik stacji, służbista z pod zgasłego tu panowania cesarskiej i królewskiej Austrji, wyszedł na peron z założonemi w tył rękami, szukając wzrokiem napróżno kłębów wieszczego dymu z lokomotywy.

— Kwadrans opóźnienia, psiakość słoniowa! Także porządki! Jak nam powiedzą: *Polnische Wirtschaft!* to każdy się rzuca, jakbyś go żarem posypał! Ta czegoż?! Ta ot macie zaraz *beispielek*[1] cudowny! Już siedemnaście minut przegawronił poczciwiec! Posyłam raport, gdzie trzeba! Takie wypadki muszą być raz nazawsze *ausgekluczt!*[2]

— Po kogo wyjechaliście, Walku? — zapytał ciekawie tragarz, podchodząc do młodego chłopaka, którego liberyjna czapka na głowie była jedyną oznaką przynależności do służby dworskiej. Reszta bowiem ubrania, sklecona własnym przemysłem, świadczyła o filozoficznej pogardzie dla stroju. Tylko wysokie, porządne buty zdradzały uprzywilejowane stanowisko człowieka, stojącego mocno na nogach.

Chytre bronzowe oczki chłopaka biegały na wszystkie

---

[1] Przykładzik. [2] Wykluczone. Żartobliwa parodja niemieckiego „ausgeschlossen“, używana w Galicji.

strony, obrzucając gromadki ludzi kolejnem spojrzeniem.

— Ta mają przyjechać goście z Warszawy. Jakaś dyrektorowa, czy co! Będzie z nią mała panienka! Pani marszałkowa mnie po nich wysłała, a ja mam ich poznać, choć w oczy nie widział!

— Poznasz ich, poznasz, spryciarzu! — klepał go po ramieniu tragarz ze śmiechem. — To nie tak trudno! Ja tobie pomogę i walizki do szarabanu zaniosę! Z wagonu pierwszej i drugiej klasy nie wysypuje się tyle podróżnych! Ale jakże ty konie same zostawił?!

— Czy ja mogę być tu i tam razem, niby ten Pan Bóg?! — rzucił Walek niedbale. — Popilnuje żydek dorożkarz!

Gwizd lokomotywy, zbliżającej się z sapiącym, jakby nadwerężonym oddechem, przeciął odrazu wszystkie rozmowy. Głowy zwróciły się w stronę turkocącego po szynach długiego szeregu wagonów, zwalniających już biegu. Konduktor zeskoczył ze stopni jednego z wozów, wołając donośnie:

— Brzeża-any! Sześć minut postoju!

Za chwilę niecierpliwy głos naczelnika, rzucającego ostre pytania, jął się przeplatać z wyjaśnieniami obrażonego konduktora:

— Ta co my winni, panie naczelniku?! Maszyna ma feler, nie chciała pary puszczać, jakby ją coś zatchnęło! Musieli stawać i przy niej majstrować! Dobrze, że jej nie rozniosło! Taki szmelc bolszewicki! Mieli co w Polsce zostawiać!

— Tragarz! — rozległo się dźwięczne wołanie z okna wagonu III klasy, uczepionego niemal przy końcu długiego węża pociągu. — Proszę tu przyjść! — Mignęła głowa młodej kobiety, usuwająca się wnet z ram okien-

nych, a jasnowłosa dziewczynka, wychylona na zewnątrz szczupłą figurką, machała rączką, jak drogowskazem: — Prędzej! Prędzej! On nie dobiegnie, mamusiu!

Tragarz odskoczył od II klasy i rzucił się pędem w stronę wołania. Wałek nie poruszył się z miejsca skrzywiony i kwaśny:

— To takie goście?! Bryndza! — zamruczał rozczarowany.

Za chwilę jednak widok skórzanych walizek i futer, obciążających ręce i barki tragarza, dolały porcję słodkiego miodu do cierpkiego kielicha goryczy. Wysokie, skrzypiące buty poniosły się chyżo ku idącej wykwintnej kobiecie, a liberyjna czapka znalazła się w ręku, pochylonego w uprzejmym ukłonie stangreta dworskiego:

— Może do Przymilepek?! Pani dyrektorowa z Warszawy?!

— Tak! — kiwnęła głową przytakująco pani Vera, zaskoczona tytułem „dyrektorowej". To określenie było dla niej tak nowem, że obejrzała się mimowoli, chcąc sprawdzić do kogo zwrócono te słowa.

— Panienka pozwoli! — brał z rąk dziewczynki sakwojaż w eleganckim pokrowcu i parasole. Dwa pledy w kratę przeszły natychmiast od młodej kobiety do uśmiechniętego Walusia, który żywo torował drogę wśród tłumu przyjezdnych i gapiów. Zanim pani Przedborowa wyszła na plac, gdzie stawały dorożki, przymilepski, a raczej łepski woźnica z czapką, przekrzywioną lekko na prawe ucho i wyglądającym z pod niej jasnym kosmykiem czupryny — zajeżdżał już przed „gości z Warszawy" flegmatyczną parą kasztanów, ciągnących ogromny, ponad miarę wysoki szaraban. Pani Vera wspięła się lekko po dwóch, szeroko rozstawionych stopniach, Ania zaś wydrapała się

po nich z trudem swemi małemi nóżkami. Objuczony tragarz stał wyczekująco.

— Ej, ty, Cybulka! Ta czego czekasz?! Podjeżdżaj — krzyczał Wałek, machając batem w stronę gawroniącego się na ruch stacyjny, małego chłopaka. — Pani marszałkowa wysłała wózek pod rzeczy — objaśnił, wykręcony do połowy ku okrytym już pledem kobietom. — Wal rzeczy na furę! — rozporządzał się jakby swoją własnością, patrząc zgóry na przyjaciela tragarza. — Dobrze! Dziękuj pani dyrektorowej za suty napiwek i jedźmy, bo — wykręcił się znów na przedniem siedzeniu — będę ja miał co słuchać od naszej pani!

— Ależ ten mały pogubić może nasze walizki! Dajcie tu futra! Jeszcze ktoś ściągnie mu je przez drogę! — oponowała pani Vera stanowczo.

Znienacka odwrócona od koni twarz Walka wyrażała najgłębszy protest:

— On futra przysiądzie! A za wszystko odpowiada ordynarją swoją i ojca! Niech się pani dyrektorowa nie martwi! Nie zginie najmniejszy kawałek!

— Proszę dać tu moje futra! — rzuciła tragarzowi bezapelacyjnym tonem, rozbawiona myślą, że zakurzony „Cybulka“ ma „przysiąść“ jej foki ze wspaniałym lisim kołnierzem i białe baranki Ani.

Strącony z wyżyn autorytetu Walek cmoknął przeciągle na konie:

— Wiii!

Jechano w milczeniu wyborną szosą. Szaraban kołysał się na wysokich resorach, kasztany biegły równo i wolno jakgdyby we śnie, lejce w ręku Walka, rozglądającego się wokoło, zwisały niedbale, a pani Vera z Anią przypatrywały się ciekawie nieznanemu krajobrazowi. Piękne okolice Brzeżan noszą słusznie miano „polskiej Szwajcarji“, za-

chwycały tedy wygnanki, przywodząc im na myśl bujną fantazję tamtej, kresowej ziemi, której ten widok był przypomnieniem, acz w miniaturze. Minęli Czerwonną, bliskie już od Przymilepek miasteczko, gdzie zaprząg pani marszałkowej znany był wszystkim mieszkańcom, oceniającym krytycznym wzrokiem zewnętrzny wygląd jadących gości. Szosa skręcała na prawo i jak biały, szeroki pas, nabijany po bokach zielonemi wierzbami, biegła ku siedzibie stryjenki Konstancji. Brama była wyjątkowo otwarta. Flegmatyczne cuganty zawróciły w nią bez czynnego udziału leniwej dłoni woźnicy. Śliczna, gotycka kapliczka, ukryta w zielonej nawie starych kasztanów, przykuła wzrok wjeżdżających. Parterowy biały dwór z oszklonym gankiem, otoczony półkolem wyniosłych lip, zabłysnął w oddali. Gromadka zwinnych foxterierków z czarnym taksikiem na czele, wyrwała się z rozwartych drzwi domu, pędząc z wrzaskliwem ujadaniem na spotkanie przyjezdnych.

Nie wysilając się zbytnio Walek zatrzymał konie przed gankiem, na którym ukazała się w tej chwili wysoka, majestatyczna postać kobieca w czarnej, długiej sukni, oszytej żałobną krepą. Przyjazny uśmiech rozjaśnił twarz jakby zastygłą w cierpieniu. Wyciągnęły się ręce ku synowicy, zeskakującej lekko ze stopni antycznej bryki:

— Witam cię sercem całem w mym domu, kochana Vero! Ileż wy przeszliście, biedacy! To nie do wiary, poprostu! Fredzio wszystko mi opowiadał. Dzięki Bogu, wypłynęliście teraz nareszcie!

— Wypłynęliśmy, droga stryjenko, ale nie czujemy pod nogami dna! To pozycja nie zanadto przyjemna i odbierająca pewność siebie, proszę mi wierzyć — całowała ręce krewnej, ujęta jej powitaniem i współczująca gorąco, świeżo poniesionej stracie.

Ania stała opodal, wpatrując się w panią domu. Kogoś jej przypomina! Ale kogo?!... Ach, tak! Już wie! Podobna zupełnie do tych wykutych w marmurze, poważnych, zakonnych postaci kobiecych z rodu Żółkiewskich i Sobieskich, które wczoraj oglądała w Farze, zatrzymawszy się umyślnie z mamusią na parę godzin w przejeździe przez historyczną Żółkiew. Też same piękne, regularne rysy, równy nos, oko podłużne i, znamionujący silną wolę podbródek.

— To twoja przybrana córeczka, która cię tak dzielnie pielęgnowała w szkarlatynie? — pochyliła się, całując ją w główkę. — Wiem i o tem! Nic się nie ukryje przed mojem okiem i uchem! Kasiu! Paraniu! Mały Cybulka zajeżdża! Bierzcie zaraz rzeczy i nieście je do pokojów pani!

Dwie wiejskie dziewoje, opięte w białe fartuchy, zakrywające je szczelnie od sznurowanych, czarnych trzewików, aż pod szyję, wybiegły natychmiast z ganku, a pani marszałkowa, stanąwszy na progu, rzuciła surowe pytanie:

— Gdzieżeś tak długo przewałęsał się, Walku?! Powinieneś tu być od pół godziny przynajmniej! Wiesz dobrze, że czas teraz drogi!? Z pewnością musiałaś czekać na tego hultaja, Vero? On zawsze to mi urządzi!

Czarne jej oczy, spoglądające jeszcze przed chwilą na wygnanki z dobrocią, miały teraz stalowe przebłyski. Sądzićby można, iż owo zewnętrzne podobieństwo do zgasłych przed laty wdów rycerskich, które tak mocno uderzyło Anię na wstępie — sięgało w głąb duszy owdowiałej kobiety, spełniającej mężnie — jak jej poprzedniczki — wszystkie, związane ze stanowiskiem obowiązki, pomimo głębi żałobnego cierpienia.

Mały Cybulka zabełkotał coś niewyraźnie, a Walek, nie tracąc fantazji, przyłożył rękę z batem do piersi:

— Jak Boga kocham, proszę pani marszałkowej, pojechałem *recht* na stację! To ja jeszcze czekał na pociąg! Niech pani dyrektorowa powie!

— Tak było istotnie stryjenko. Mieliśmy dwadzieścia minut opóźnienia — pośpieszyła z obroną pani Vera.

— To dobrze. Zatocz teraz szaraban do wozowni i bierz się do orania! Chodźmy, moja droga! Zaprowadzę was do waszego „apartamentu“!

Szły przez amfiladę pokojów, w których piękne, staroświeckie meble i dywany, zaściełające podłogi, mieszały się dziwnie z lichemi, nowemi sprzętami.

Pani domu wskazała ręką ten chaos w stylach:

— Powojenne umeblowanie, Vero! Trzy razy zrujnowała nas wojna! Trzy razy uciekaliśmy z Przymilepek, a za powrotem ściągaliśmy ocalałe resztki w tym jeno celu, aby je znów porzucać, rozdawać na przechowanie, a samym — iść w świat na tułaczkę! Rozumiem też was, moi drodzy i współczuję serdecznie tej waszej niedoli, serdeczniej — niż ktokolwiekbądź inny!

— Stryjostwo powrócili do swego gniazda, choć zbiedzeni i zrujnowani! A my — niewiadomo kiedy wrócimy i czy wrócimy do popieliska?!

Szczupła i biała ręka pani Konstancji podniosła się do piersi, jakby ją coś zadławiło. Westchnęła z trudem, głęboko:

— Oddałabym wszystko, co nam zostało, Vero, za życie Wacława.

— O, tak, stryjenko kochana! Nie mam prawa do skargi. Słusznie mi to przypomina stryjenka. Gdyby tak Fredzio, broń Boże...

Pod wpływem myśli, przeszywającej serce ostrzem strasznego bólu, zarzuciła ręce na szyję owdowiałej krewnej, ściskając ją czule.

— Moja droga Vero! Dziękuję ci za serce. Nie masz pojęcia, jaka jestem samotna, ile mam nieraz kłopotów! Wacław prowadził wszystkie sprawy w urzędach. Ja się na tem nie znam zupełnie. Szczęściem, pan Ryszard Horodelski sam ofiarował mi się z pomocą. Ale — oto wasze dwa pokoje. Zapewne Fredzio przyjedzie do nas na święta? Jak wam się tu podoba? Czy będzie wygodnie? Bądź szczera ze mną.

Usiadły na kanapce przy oknie: Ania wpatrywała się w ogród ciekawie.

— Będzie nam tu doskonale — zapewniała pani Vera z taką prawdą w głosie, że uspokoiła tem gościnną panią domu. Jaki śliczny stąd widok, nieprawdaż, Aniu?

— O, tak, mamusiu. Patrzę na tę białą świątyńkę Cerery, która stoi wewnątrz ze snopem zboża. Przypomina mi to naszą Pomonę z kwiatkami i jabłuszkami.

— Podziwiam stryjenkę, że się tak prędko odbudowała. Gdybyśmy wrócili do Czereszeńki, byłoby stokroć gorzej. Jak tu miło — zachwycała się pani Alfredowa.

— Tym razem było najmniejsze zniszczenie, gdyż bolszewicy nie doszli do nas. Ale wywoziliśmy meble, a dobrze to mówią, że: *Trois déménagements valent un incedie!* Z inwentarzami byliśmy gdzieś hen! aż pod Krakowem. Istne wędrówki narodów! Piękne masz foki, Vero. Jakim sposobem zdołałaś je uratować z pogromu?! Nie przeżywaliśmy rewolucji, a ja w tej wojnie straciłam brylanty i srebro! Wrzuciłam je w stalowej puszce do studni i — nie znalazłam! Ktoś może wyśledził, a zresztą — przypadek! Król Traf rządził nami wszystkimi.

— Jaką stryjenka ma słuszność! I my zakopaliśmy futra, a przecież uszły rabunku! Zato ogniotrwałe skrytki wykryto gładko! Wszystko, co nam pozostało — wskazała ręką stojące walizki — zawdzięczamy wierności

służby. Moja klucznica i panna służąca rzuciły się jak hjeny do rozbijanych szaf, ale wieś odpędziła je z wrzaskiem. Mały kozaczek, dziewczęta ogrodowe i pokojówki o wiele były szczęśliwsze, gdyż rabowały bez przeszkód na podstawie humanitarnego „prawa równości“, oddając nam potem wszystko za rządów Denikinowców. Uratowali nam całą bieliznę, pościel, suknie, ubrania. Część rzeczy — wziął Fredzio, a część — została na przechowaniu w Warszawie, u kochanej ciotki Józefy.

Pani marszałkowa słuchała uważnie, przyglądając się jednocześnie, zapatrzonej w stare drzewa Ani.

— Może pobiegasz trochę, Aniu! — zwróciła się do dziewczynki. — To bardzo zdrowo, a wyglądasz na anemiczną. Korzystaj z powietrza, dopóki można. Ostatnie dni pogody. Potem nastaną błota, zawieje, mrozy... Brr! — wstrząsnęła się. — Czy pamiętasz, Vero, nasz wspólny pobyt na Rivierze francuskiej?! Monte Carlo? Wycieczki samochodem?! *Le Palais de la Lumière?!* Te pyszne *mouton'y i jambon'y*, jak je wychwalał mój Wacław! Po całorocznej pracy ten jeden miesiąc wakacyj był tak uroczy, jak gdybyśmy byli uczniami na ferjach! — rozrzewnienie przy myśli o tem zgasłem już „szczęściu we dwoje“, zamgliło jej oczy, ale opanowała się wkrótce, nie chcąc z wrodzoną sobie delikatnością i skrytością uczuć rzucać wciąż na słuchaczki cień osobistego smutku.

— Jaka ona poważna i milcząca — spojrzała na Anię, która, znalazłszy mały stołeczek, przysunęła go do kanapki i usiadła tuż przy pani Verze. — Zupełnie inna, niż ogół dzieci! Cóż?! Nie chcesz stanowczo wyjść do ogrodu?!

— Mnie najlepiej przy mamusi — odpowiedziała dziewczynka.

Usta pani domu otwierały się już, aby przemówić,

gdy różowa i świeża jak jabłuszko letnie Parania, weszła do pokoju:

— Czy można podawać obiad? Już po dwunastej, a pani marszałkowa gniewa się, kiedy nie pilnujemy godzin.

— Poczekajmy chwilę na naszych zwykłych gości. Chodź, Paraniu, przygotujemy wszystko — brzęknęła kluczykami. — A wy, moje kochane, poprawcie tualetę i zaraz przychodźcie do jadalnego pokoju.

— Zdaje mi się, Aniu, że będzie nam tu dobrze — odezwała się z zadowoleniem pani Vera, myjąc ręce i zlewając wodę do blaszanego wiadra. — *A ton tour, ma petite!* Skromnie tu, ale serdecznie. Nic dziwnego. Powojenne warunki.

— Ja nie wiem — powiedziała dziewczynka wahająco. — Może nam tu ktoś będzie dokuczał? Nie stryjenka, o, nie! Ale od kiedy mamusi przyjaciółki takie były niedobre, ja wszystkiego się boję! Ciągle myślałam, patrząc przez okno, czy będziemy tu szczęśliwe, czy nie?

— Szczęśliwe?! Ja radabym mieć tylko zdrowie i dobrą posadę dla tatusia, abyśmy mogli być razem. Ten stary wiejski dwór przypomniał mi Czereszeńkę i tęskno mi za nią.

— Nie warto przywiązywać się do rzeczy ziemskich — spadło z ust dziewczynki melancholijne zdanie. Twarzyczka jej postarzała, a oczy patrzyły wdal ciemne i nieprzeniknione. Myślała o swej ciężkiej, dziecięcej przeszłości.

— Popraw włosy i chodźmy. Stryjenka jest bardzo punktualna — nagliła pani Vera, otrząsając się ze zdumienia, w jakie wprawiły ją posłyszane słowa.

Jadalny pokój w Przymilepkach był ogromny i umeblowany wielkiemi, masywnemi meblami. Potężny kredens gdański zajmował nieledwie całą poprzeczną ścianę.

Rozciągnięty stół wspierał się na toczonych, dębowych nogach, a krzesła o wysokich poręczach zdawały się być zakrojone na miarę dawnych rycerzy kresowych.

Pani Konstancja wskazała synowicy pierwsze miejsce przy stole, siadając niżej, po lewej stronie. Ania umieściła się naprzeciw matki, na „szarym końcu". Dwa wolne jeszcze nakrycia zapowiadały nieznanych gości. Parania przynosiła kolejno półmiski z kuchni. Menu było krótkie, ale obfite i smaczne.

— Ten stary kredens przetrwał wszystkie burze wojenne — zabrała głos pani domu, zauważywszy prześlizgujące się po nim spojrzenie młodej kobiety. — Pękł tylko na dwoje blat marmurowy, na którym dzicy żołdacy rąbali drwa do kominka!

— Jak to dobrze, że wchodziły tu najwidoczniej w grę tylko siekiery i kolby, a nie „czerwony kur" jak u nas! — westchnęła pani Vera.

— Wierz mi, moja droga, że niewielka byłaby różnica. Zastawaliśmy trzykrotnie ściany bez drzwi i okien i dziurawy dach. Wacław tak kochał to nasze domostwo, że za każdym razem dźwigał je z gruzów z jednakowym zapałem.

— Przysłowiowa zaradność Przedborów! — uśmiechnęła się żona pana Alfreda.

— Tylko tu czuł się dobrze. Miał dom i pracę społeczną jako marszałek w powiecie. Na tułaczce gryzł się i martwił ponad miarę. To podkopało jego zdrowie... — urwała, odetchnąwszy głęboko. Wzrok jej padł na niezajęte miejsca przy stole.

— Opóźniają się dziś moje chwilowe stołowniczki. Pamiętasz zapewne, Vero, panią Paulinę z Halszką?

— Nie przypominam sobie. Tyle osób bywało dawniej u stryjostwa.

— Jesteś niewdzięczna, moja kochana, bo zachwycały się zawsze przedemną twoją prześliczną cerą i twoim wdziękiem! To żona weterynarza pułkowego, który wystąpił z wojska razem z Wacławem i tu się osiedlił. Wacław lubił go i nadal protegował w całej okolicy. Umarł przed kilku laty, a wdowa z córką zostały. Pomogliśmy im zbudować miły domek tuż za naszym folwarkiem. Umiały się też odwdzięczyć, gdyż wykazały dużo serca w ostatniej chorobie Wacława. Toteż prosiłam je, aby towarzyszyły mi przy wszystkich posiłkach, tak byłam spragniona widoku życzliwych twarzy.

— Muszą to być dobre osoby, kiedy stryjenka tak je chwali.

Zanim marszałkowa zdołała otworzyć usta, nagła fala wrzaskliwego szczekania, przeplatana groźnem warczeniem, buchnęła w powietrzu.

— Idą — powiedziała pani Konstancja z dobrotliwym uśmiechem. — Moje faworyty dają im szkołę. Czegoś ich strasznie nie lubią!

Za chwilę pani Paulina Wierciochowa wkroczyła do jadalni, podchodząc z ostentacyjnem wyróżnieniem do pani domu. Była to wysoka, pulchna blondyna o nieco wulgarnym typie urody. Za nią szła jej córka, siedemnastoletnia, przystojna panna, ze szpecącym ją złośliwym grymasem na ustach. Obie przypadły do rąk marszałkowej, całując je z mieszaniną pietyzmu i niesmacznej poufałości. Na siedzących gości nie zwracały pozornie uwagi. — Proszę nam darować to karygodne opóźnienie — mówiła starsza. — Musiałyśmy schować do piwnicy na zimę, przywiezione nam kartofle.

— Niechże panie zajmują swoje miejsca — zapraszała uprzejmie gospodyni domu. — Przypomnę was pamięci mojej krewnej z Ukrainy, która jest tak dobra, że

przyjechała tu na czas jakiś, chcąc mi rozjaśnić moją samotność. Vero...

Pani Wierciochowa wpadła w słowo impetycznie:

— Dobrzy to krewni, kiedy dawniej tak rzadko tu się pokazywali! — i dotknęła lekceważąco ręki zdumionej wygnanki, nie rozumiejącej przyczyny tak brutalnego zachowania się.

Wyraz twarzy pani marszałkowej nie zdradzał żadnego wrażenia. Pochylona zlekka nad filiżanką, piła swoją herbatę poobiednią spokojnie. W gruncie rzeczy jednakże ten wybryk postawił ją w trudnej pozycji. Nie mogła karcić starszej osoby, pielęgnującej z całem oddaniem jej umierającego Wacława. Z drugiej strony — dotknięta była niegrzecznością, wyrządzoną synowicy w jej domu. Przejście do porządku dziennego nad tą niemiłą sprawą — uważała za najlepszą możliwość dyplomatyczną.

Szafirowe oczy Ani przenosiły się niespokojnie od uśmiechniętej pogardliwie twarzy matki do niezbadanego oblicza stryjenki Konstancji. Zdawała się nie widzieć nowoprzybyłych, siedząc wyprostowana, z jakiemś, powziętem zgóry postanowieniem.

Psy wbiegły nagle całą bandą do jadalni, witane chętnie przez marszałkową jako w porę zjawiająca się dywersja. Uśmiechała się do swych faworytów: — Wynoś się Lordzik! — głaskała zgrabnego foksterierka, który wskoczył na jej kolana. — Nie dajesz mi skończyć herbaty! Liżesz moje ręce?! Dobrze, dobrze! Pamiętam! Greta! Co za pomysły?! Wdrapywać się na plecy i lizać mi szyję?! Tak się nie robi! Śnieżek! Proszę nie ciągnąć mnie za suknię! A ty, mały pochlebco! — pochyliła się nieco ku czarnemu taksikowi, który stał przed nią wytrwale na tylnych łapkach. — Spójrz, Aniu, jak Bączek prześlicznie służy! Prosi o cukier. Przyjdź tu i daj mu kawałek!

Dziewczynka wstała natychmiast, podchodząc do stryjenki Konstancji z rozweseloną minką. Przyklękła przed Bączkiem, karmiąc go cukrem i pieszcząc, a potem zaczęła głaskać jego towarzyszy:

— Śliczny Lordzik, śliczny! A Gretusia także milutka, prawda? Śnieżek?! Dlaczego odwracasz się odemnie?! To bardzo niegrzecznie, piesku!

— Masz ich łaski! To coś nadzwyczajnego! — mówiła pani domu z dobrocią. — Zwykle, gdy są na moich kolanach, warczą na każdego obcego.

— Nic dziwnego, stryjenko! Ania kocha wszystkie zwierzęta, a co do piesków, to prawdziwa z niej „psia matka!" — zaśmiała się pani Vera.

— Zupełnie jak ja! — pochwaliła marszałkowa. — Kiedy tak, to wkładam na ciebie obowiązek karmienia naszych przyjaciół. Tu masz bułkę, mleko, śmietankę dla Lordzika! To mój stróż. Śpi w moim pokoju w nocy. Na kredensie stoją resztki polędwicy wieprzowej. Możesz tem okrasić kartofle.

— Niejeden urzędnik lichsze ma utrzymanie, niż pies pani marszałkowej! — rzuciła matka Halszki, spoglądając wyraźnie na panią Verę.

— Niejeden wygnany kresowiec! — poprawiła ta ostatnia, podejmując ciśniętą jej rękawicę.

Halszka uśmiechała się złośliwie, milcząc wymownie. Pani domu wychyliła do dna swoją herbatę, poczem obróciła głowę w stronę Ani. Dziewczynka karmiła pieski na uboczu, zajęta tylko niemi pozornie. Błysk uznania przemknął przez czarne oczy patrzącej.

— Czy panie wiedzą — zwróciła się uprzejmie do żony i córki weterynarza — że ta mała dziewczynka nie odstąpiła swej matki w ciężkiej zaraźliwej chorobie?

Nie zlękła się szkarlatyny! To naprawdę czyn, godny pochwały.

— Nie widzę w tem nic nadzwyczajnego! — odezwała się z przekąsem pani Wierciochowa. — Nie chwaliłabym za to Halszki, choć pewna jestem, że znalazłaby się tak samo! Obowiązek córki dla matki, przyjaciółki dla przyjaciółki i basta! Czy pani marszałkowa pamięta, jak odwiedzałam ją, gdy zapadła na czarną ospę?!

— Czyż mogłabym o tem zapomnieć! — odparła pani domu z łagodnym wyrzutem.

— Nie zgadzam się ze zdaniem pani! — zaprzeczyła z ożywieniem Vera, mierząc nieustępliwym wzrokiem pulchną blondynę. — Córka pani jest już dorosła, a moja — miała wówczas zaledwie dwanaście lat! W takim wieku odwaga i poświęcenie powinnyby się cenić podwójnie, niby lata na wojnie!

— Słusznie! — orzekła krótko marszałkowa, wstając od stołu i odsuwając ciężkie krzesło.

Na to hasło ruszyli się wszyscy.

— My już się pożegnamy — matka z córką podchodziły do gospodyni domu, schylając się ku jej rękom. — Pani marszałkowa ma towarzystwo, nie jesteśmy teraz (z naciskiem) — potrzebne! Całuję rączki.

— Całuję rączki pani marszałkowej — powtórzyła układnie Halszka.

— Co wam przychodzi do głowy? — przeczyła żywo pani Konstancja. — Zawsze mile was witam. Przychodźcie na kolację, bardzo was proszę.

— Dziękujemy. Całujemy rączki — i wyszły z jadalni, żegnając panią Verę niedbałem skinieniem głowy.

— Co to znaczy, moja stryjenko? — zapytała również z naciskiem młoda kobieta. — Czem zasłużyłam na takie impertynencje? — (Słowa: Jak stryjenka może zezwalać

na podobne traktowanie swych gości? — zrywały się same z ust, żądnych wypowiadania prawdy, ale szacunek dla starszej krewnej nakładał na nie hamulec).

Postawiona *au pied du mur* pani domu objęła synowicę serdecznie:

— Nic sobie z tego nie rób, droga moja! To brak towarzyskiej ogłady!

— Tylko tyle?! — pani Vera wstrząsnęła się z oburzeniem, gdyż ta niepojęta dla niej wyrozumiałość dolała oliwy do ognia — Ależ, stryjenko! Czyż można ochrzcić te wszystkie kąśliwe przycinki takiem łagodnem mianem?! Nie, to zła kobieta poprostu!

— Mylisz się, Vero! Pani Paulina była najlepszą córką, siostrą, żoną i matką — broniła nieobecną marszałkowa — Poświęcała się dla rodziny, odmawiając sobie wszystkiego, byleby im dobrze było. A teraz — życie gotowa oddać dla szczęścia jedynej córki!

— Stałości! Twoje imię — Konstancja! — uśmiechnęła się mimowoli wygnanka. — Fredzio uwielbia stryjenkę za tę jej niewzruszoną linję przyjaźni. W każdym razie ta pani miłą znajomą nie jest! A ten jej z pańska niedbały ukłon! — i pani Vera naśladowała z komiczną precyzją zmrużenie oczu i sztywny, krótki ruch głową.

Zaśmiały się obie szczerze.

— O tak, doskonale! Traktuj to lekko, kochana moja! Jeśli przypuszczasz, że chcą ci dokuczyć, czego nie sądzę, to tylko w ten sposób wytrącisz im broń z ręki! Chciałabym, aby w moim domu dobrze ci było, Vero! Muszę objechać pola — zmieniła szybko temat rozmowy. — Czy chcecie ze mną pojechać małym wózeczkiem? Widzę, że sprawia to wam przyjemność. Biegnij, Aniu z pieskami do stajni i każ zajeżdżać Różką. Powiozę was sama.

Wózeczek toczył się gładko po szosie, pani Vera z Anią

oddychały z rozkoszą wiejskiem powietrzem, zachwycając się rozległym i urozmaiconym widokiem, a pani marszałkowa w czarnym, wełnianym swetrze i popielatej, związanej pod brodą chusteczce, rozmyślała poważnie nad wytworzoną niespodziewanie sytuacją w jej domu.

— Jak z tego wybrnąć?! Ta narwana trochę Paulina atakuje bezsprzecznie Verę, która nie da jeździć sobie po głowie! Energiczna jest, prawdomówna, a przytem ambitna i zanadto drażliwa. Co to dziwnego?! Tyle przeszła, biedaczka! Taka piorunująca zmiana pozycji w świecie! Mogłaby Paulina dać jej spokój naprawdę. Ale — nie będzie powstrzymywała tej ostatniej najmniejszem słówkiem! Sypnęłyby się dopiero wymówki! A cały gniew spadłby tembardziej na Verę. Chce się jej pozbyć widocznie. Niech się jednak Paulinie nie zdaje, że może rządzić w jej domu! Vera zostanie. Podwoi dla niej serdeczność, a do tamtych zastosuje niezmiennie uprzejme obejście. Czy zażegna to chmury? Wątpliwe. Tak pragnie spokoju... Jedynie spokoju... Dlaczego Wacław nie żyje?! Czyż ośmieliłyby się traktować w ten sposób żonę jego rodzonego synowca?! „Zbeształby“ je po swojemu napewno! Energiczna twarz męża i jego, po wojskowemu wyprostowana postać stanęły nagle przed oczyma jadącej. Zapatrzyła się w tę drogą wizję z uśmiechem tęsknoty na ustach...

— Jaki to ładny las, stryjenko! — przerwał jej rozmyślania dźwięczny głos synowicy.

Wstrząsnęła się i oprzytomniała, patrząc wokoło bystremi już oczyma. Przyzwyczajona do codziennych, gospodarskich objazdów Różka, zawiodła ich sama pod cienie sosen. Stąd — blisko już było do pola, leżącego odłogiem przez wojnę. Perz rozplenił się na niem wprost rozpaczliwie. Chodziły tu kultywatory i brony, a kilka

robotnic z grabiami ściągało na drogę uporczywe zielsko.

Zdala rysowała się postać wysokiego mężczyzny, wymachującego gwałtownie rękami. Jego zaciśnięte pięści groziły wściekle, idącym za końmi parobkom.

— Co to się stało? Jakaś awantura! — zaciekawiła się pani Vera.

— Zwykła rzecz! — marszałkowa spędziła batem z grzbietu Różki, nękającą ją dużą muchę. — To mój ekonom tak zachęca ludzi do pracy.

— Oryginalny system! — zaśmiały się obie z Anią.

— I niefortunny w dodatku, bo tak się do tych krzyków przyzwyczaili, że nie wywierają na nich żadnego wrażenia. Bardzo mi ciężko z tem gospodarstwem. Wstaję codziennie o czwartej, aby przypilnować dojenia krów, a potem cały dzień spędzam w polu i na tym wózku. W południe i wieczorem — znów mam oborę.

— Pocóż stryjenka tak się przepracowuje? Szkoda zdrowia i sił doprawdy.

— Nie zmrużyłabym oka inaczej. Śpię tylko wówczas, gdy padam na łóżko bezmiernie znużona.

Pani Vera zamyśliła się i trwała w milczeniu podczas dalszego objazdu. Zmierzchało już, gdy wózeczek wjechał zpowrotem do Przymilepek.

— To domek pani Pauliny! — marszałkowa wskazała nieznacznie skierowanym batem, tonące w zieleni obejście.

— Ładny mają sad. Jak tu miło! — osądziła szczerze wygnanka.

Wózeczek potoczył się dalej, a głowy, mieszkających w „miłym dworku“ kobiet, śledziły go wzrokiem przez szyby okna.

— Będziemy teraz na drugim planie! Licho przyniosło tą Verę! — mruknęła ze złością nieopanowana Halszka.

— A tak się już wszystko dobrze układało! — wtórowała matka .— Pani marszałkowa przywiązałaby się do ciebie, gdyby nie miała innych towarzyszek. Jesteś daleko ładniejsza od tej bladej i milczącej Ani! Mogłabyś z czasem zostać dziedziczką! Ale ja jej dopiekę tej dumnej Verze! Zobaczysz, jak stąd prędko wyskoczy! Niech mi nikt nie staje na drodze do twego szczęścia, bo zmiotę go jak obrzydłe śmiecie!

— Niech mama weźmie na powstrzymanie! Mamie się zdaje, że można tak siekać ludzi, jak kotlety na desce! Uważałam, że marszałkowa niezadowolona była z aluzyj mamy. Radzę kilka dni pauzy.

— Mądra z ciebie dziewczyna i wyrażasz się literackim językiem. Jaka to dla mnie chluba, że zdobyłam się na kształcenie ciebie we Lwowie. Będziesz dziedziczką na Przymilepkach, moja prześliczna Halszko! Dla pani marszałkowej świętej pamięci mąż — to świętość, a my zasłużyłyśmy na jej serce! O, tak! Zresztą — zacny to był człowiek. Opiekował się nami jak ojciec. Dajże mu, Panie, spokój wieczny! — wzniosła pobożnie oczy do góry, splatając obie pulchniutkie ręce.

## PRAWO MIMICRY.

Trzykrotny sygnał samochodowy zabrzmiał przeciągle na szosie.

— Romusiowie przyjechali! — wykrzyknęła radośnie pani marszałkowa, zrywając się z łóżka, na którem umieściła się przed chwilą na poobiednią „gazetkę i drzemkę“, korzystając z południowej przerwy w majowych robotach.

— Kasiu! Paraniu! — wołała, poprawiając szybko przed lustrem jasne włosy, w których, pomimo podeszłego już wieku, nie przebłyskiwała ani jedna srebrna nitka. — Lećcie co tchu do bramy! Państwo Rzeczyccy czekają! — wyszła z pośpiechem ze swej małej sypialni (najgorszego pokoju, jaki był w Przymilepkach) dążąc na ganek.

Za chwilę piękny samochód, lśniący jasnym szafirem karoserji, wpadł w otwierane gościnnie podwoje żelaznej bramy i stanął cicho przed wejściowemi drzwiami.

— Witajcie, moi kochani! — mówiła radośnie pani domu, obejmując czule, wysiadającą z eleganckiego pojazdu, równie jak on wykwintną parę. — Jakże się cieszę, że was widzę! Czy już jesteście po obiedzie?

— Nawet po trzech obiadach! Niech się ciocia nie kłopoce! — zapewniał wysoki, przystojny brunet, całując ręce ciotki serdecznie.

— Wpadliśmy tylko na godzinkę, przejazdem ze Lwowa do Krakowa! Jak ciotuś się miewa? Lepiej ciocia wygląda! Dzięki Bogu! Oczy troszeczkę weselsze! Ciociu kochana! — młoda kobieta, o frapującej urodzie blon-

dynki w rozkwicie, przeplatała te wykrzykniki powtarzanemi co moment uściskami. Wspaniałe dormeusy w jej uszach siały tęczowe iskry.

— Co tam mój wygląd! — lekceważące machnięcie ręką — Niechże się wam przypatrzę! Cerę masz niby centofolja, Loro kochana! Do twarzy ci, Romusiu, z tem opaleniem na słońcu! Jacyż wy poczciwi, że nie zapominacie o mnie! Ale chodźmy do salonu.

— Zostańmy lepiej na ganku — zaproponowała pani Laura żywo. — Takie pyszne te olbrzymie, stare kasztany. Widok stąd mamy cudowny. Zielona, uroczysta świątynia. Doprawdy, ciotuś, nieraz mi się zdaje, że pod takiemi oto drzewami składano pogańskie ofiary!

— Masz słuszność, Loro! Gdyby tak jeszcze noc i tajemnicza poświata księżyca! Te szmaragdowe, żywe pilastry byłyby stokroć piękniejsze! — dodał jej mąż jakby w natchnieniu.

— Ileż w was młodości i poezji! — marszałkowa obrzucała siostrzeńców macierzyńskiem, zachwyconem wejrzeniem.

Nie można się było temu dziwić. Romanowie Rzeczyccy byli pod względem urody tak idealnie dobraną parą, że nazywano ich żartem: Małżeństwo Romeo i Julja. Ślub ich na Wawelu, przed dwunastu laty zawarty, ściągnął do wnętrza świątyni tłumy ciekawych, żądnych widoku arystokratycznego orszaku w kontuszach i oblubieńców tak pięknych, jak w sensacyjnej powieści. Pan młody — syn ukochanej, nieszczęśliwej w pożyciu małżeńskiem z kuzynem i przedwcześnie zgasłej siostry pani Wacławowej Przedborowej — żenił się z niebogatą hrabianką, skoligaconą wszakże z najpierwszemi rodami w Polsce. Ten atut, poważny dla „towarzystwa“, nikłą miał wartość dla światłych Przedborów. Zalety duchowe, a przede-

wszystkiem wzajemne uczucie — stawiali oni na pierwszym planie. Rzeczywistość przewyższyła ich oczekiwania pod tym względem. „Romusiowie“ kochali się szczerze, stworzywszy w pięknym swym Miłodworze pod Krakowem życie, wielkopańskie może, ale rodzinne i wysoce uczciwe. Jedynem ich rozczarowaniem był brak męskiego potomka, dla podtrzymania starej tradycji, wygasającego już rodu, o którym pani Konstancja, Rzeczycka z domu, wyrażała się często z mocą przekonania:

— Rzeczyccy przeszli przez historję ojczystą nieprzekupni i czyści. Nie przypięli sobie hrabiowskiego tytułu, rzuconego jak ochłap przez tych lub tamtych zaborców! Fałszowane blaski „galicyjskich hrabiów“ nie skusiły ich również. Zdawało się już prawie pewnem, że śliczna, mała Loreczka, która w rok po ślubie rodziców, zjawiła się na świat w miłodworskim pałacu, stanie się z biegiem czasu jedyną jego panią i właścicielką. Omawiano nawet sprawę przyłączenia (w przyszłości!) jej nazwiska do mężowskiego, gwoli zachowania pamięci o starym rodzie, sięgającym aż w czasy ostatnich Piastów. Przebąkiwano wszakże, iż świetność pozorna Miłodworu jest nieco podminowana. Wielkopański tryb życia, nie liczenie się z groszem, luksusowe wyjazdy zagranicę, a przedewszystkiem zażyłe stosunki z magnackiemi domami, drążyły nieznacznie wyrwę w mocnych poprzednio finansach.

Pani Konstancja nie dawała wiary, dochodzącym jej uszu pogłoskom, traktując je jako „bajki“ i wierząc w zmysł praktyczny „Romusia“. Mąż jej zgoła inaczej zapatrywał się na tę sprawę:

— Jeśli wszystko straci — nauczy się pracować! — mawiał, wyprostowany z żołnierskiego nawyku, rześki i pełen energji w osobistych i „*de publicis*“ zajęciach — Tylebym miał frasunku!

— Bój się Boga! — zaplatała wymownie ręce — Romuś miałby stracić ten cudny, rodowy Miłodwór?! Czyż na to pozwoliłby Henio?! Bezdzietny przecież! Dwaj bracia, a tacy odmienni. Ten — lata z żoną konno po polowaniach, albo gospodaruje i zbiera pieniądze.

— Wiem, wiem, moja droga! — kręcił głową z uśmiechem — „Romuś“ to oczko w głowie! Inne prawa dla niego, niż dla całego świata! Dobrze to mówią, że na słońcu są plamy, a na mądrości ludzkiej głębokie szczerby!

Istotnie — każdy, patrzący z boku bezstronnie, musiałby przyznać, iż syn ukochanej siostry był „oczkiem w głowie“ pani marszałkowej, której oblicze przysłonięte zwykle mgłą smutku, jaśniało teraz radością i ożywieniem.

— Tak rzadko was widuję, moi drodzy. Wdzięczna wam jestem i za tę chwilkę. Jaka to szkoda, że dzieli nas taka znaczna przestrzeń!

— Nie skarż się, ciotuś! Jesteśmy tu czwarty raz od jesieni. Czyż to mało?

— Dla mnie — tak! Ale żartuję. Wiem dobrze, jakie macie zajęte życie. Czy zadowoleni jesteście z nowego rządcy?

Rozmowa krewnych toczyła się wartko.

— Aniu! — zawołała nagle pani Laura, widząc biegnącą z głębi ogrodu dziewczynkę w towarzystwie nieodzownej gromady poszczekujących psiaków. — Chodź do nas! Prędko! Chcę cię ucałować, kochanie! Gdzież jest twoja mamusia? — spytała po chwili, obejmując zdyszaną Anię.

— Dzień dobry państwu! — ukłoniła się swobodnie. — Mamusia wraca z krowiarni. Dziewczęta niosą konwie z mlekiem do centryfugi, a ja przed lekcją ścigałam się z naszemi pieskami. Maks! Daj mi spokój! Podrzesz sukienkę!

— Jak ty go nazywasz? — spytała zdziwiona marszałkowa. — Przecież to Lordzik!

— Wiem, stryjenko, ale wczoraj po kolacji, kiedy stryjenki nie było w jadalni, pani Paulina śmiała się ze mnie, że pieszczę Lordzika, bo to faworyt pani marszałkowej.

— *Quelle pimbêche!* — wyrwało się z ust pani Lory.

— Więc ja go przezwałam Maks. To będzie niby mój piesek i będę mogła go pieścić i karmić!

— Szkoda, że nie jesteś mężczyzną, Aniu! Znakomity byłby z ciebie dyplomata! Na tem właśnie polega cała ich sztuka, aby jeden i ten sam objekt chrzcić rozmaitemi mianami! — rzucił wśród ogólnej wesołości pan Roman.

Tymczasem przygłuszone brzęczenie obracanej wirówki, dolatywało przez ściany na ganek. Pani Romanowa serdecznym głosem przynaglała Anię:

— Poproś mamusię do nas, kochanie. Miło nam będzie z nią się zobaczyć i przegawędzić chwilę. To niezwykle inteligentna osoba. *Tout ce qu'il y a de plus distingué, ma tante* — dodała po odejściu dziewczynki.

— Ja myślę! — przytaknęła żywo marszałkowa — Dzielna kobieta w calem tego słowa znaczeniu. Pomaga mi we wszystkiem. Mogę jej zaufać i czasem odpocząć, gdyż wywiązuje się z każdej sprawy tak dokładnie, że ja sama lepiejbym tego nie uczyniła. Wierz mi, mój drogi. Swoją dobrocią i wesołością osłodziła mi ten pierwszy rok mej żałoby.

— Oho?! — pan Roman spojrzał na ciotkę z podziwem. — Doprawdy?

Lekkie, śpieszne kroki dały się słyszeć w przedpokoju i pani Vera w szarej, skromnej sukni wbiegła na ganek. Uprzejme powitania zmieszały się z miarowem warczeniem kręcącej się centryfugi, a dawna „pani“ ukraińskiego dworu zaproponowała wesoło:

— Czy można podać tu państwu herbatkę? Pieczemy z Anastazją doskonałe sucharki wedle przepisu naszego Pantaleona. Zdaje mi się, że ujdą tym razem defektów! Przypilnowałam naszą kucharkę, która jest filozofką w kulinarnej doskonałości.

— Obejdziemy się bez herbaty, miła pani Vero. Niech pani posiedzi tu z nami. Jesteśmy o panią zazdrośni. Tak, tak! — pani Lora groziła palcem z uśmiechem — Ciocia przed chwilą obgadywała panią.

— Obgadywała — tak jak ciocia potrafi to czynić! Wynosiła panią pod niebiosy! — dorzucił jej mąż pośpiesznie.

— Masz kluczyki, Aniu. Słyszę, że wirówka umilkła. Schowaj śmietankę do kredensu i przyślij nam tu herbatę.

— Dobrze, mamusiu. Tylko pieski nakarmię mlekiem — i znikła we wnętrzu dworu, otoczona gromadą czworonogich przyjaciół.

— Ta mała jest zachwycająca ze swemi pieskami. Powinnaby pani obstalować jej portret. *Elle serait à croquer!* — unosiła się pani Laura.

— Jakież ma pani wiadomości od męża? — zapytał uprzejmie pan Roman. Jego czarne oczy mieściły w sobie tyle przyjaznego zainteresowania się, że siwe, głębokie źrenice wygnanki odpowiedziały mu szczerą wdzięcznością.

— Fredzio był w Przymilepkach na wielkanocne święta. Zadowolony z posady, gdyż ma kulturalnego szefa, który go umie ocenić. To było przed miesiącem, ale każdy dzień może przynieść zmiany. Otrzymałam wczoraj list, że przenoszą go do Dubna, ponieważ zwijają oddział w Ostrogu. To mię niepokoi. Stryjenka twierdzi zupełnie słusznie, że dobry interes rozwija się, ale nie kurczy bez żadnego powodu.

— Przykro mi, że to słyszę, gdyż pod względem finan-

sowych zdolności Merkury mógłby brać lekcje u mojej ciotki — wtrącił młody Rzeczycki. — Możebyśmy pomyśleli o odwrocie, Loro? — spojrzał porozumiewawczo na żonę. — Mam czas co do minuty wyliczony, gdyż zamówiłem na dziś wieczór kupca na kawał lasu.

— Ależ poczekajcie chwilkę. Wnoszą herbatę. Napijcie się przed drogą — prosiła marszałkowa, przysuwając małe stoliki i stawiając na nich filiżanki. — Skosztujcie ukraińskich sucharków. Doskonałe. A co porabia Loreczka? — oczy jej zabłysły na myśl o jedynej wnuczce.

— Ma teraz przemiłą angielkę. Zdrowa i wesoła, dziękuję cioci za troskliwość. Bardzo wyładniała. Główka jak z obrazów Greuza! — unosił się rozpromieniony ojciec, biorąc przez grzeczność podawane mu ciastka.

— Mamy nadzieję, że ciocia sama się o tem przekona i odwiedzi nas latem w Miłodworze, nieprawdaż, ciotuś? Najmilej nam będzie i panią powitać u siebie — przemówiła piękna Laura do Very ze światową uprzejmością, wstając z ogrodowego fotela i przygotowując się do drogi.

— Rada dusza do raju, ale lekcje z Anią nie puszczają! — zaśmiała się ta ostatnia, żegnając się z gośćmi. — Po wakacjach oddajemy ją do klasztoru Maltanek, więc dużo mam z nią pracy, gdyż obie jesteśmy ambitne i postanowiłyśmy zdać egzamin do czwartej klasy — epatująco, jeśli można tak się wyrazić.

— I nie wypiliście herbaty — mówiła z żalem marszałkowa, ściskając czule siostrzeńców. — Kiedyż zajrzycie do nas? — pytała, wychodząc za drzwi ganku, aby do ostatniej chwili nacieszyć się ich widokiem.

Państwo Romanowie wsiadali do samochodu, owijając kolana pledem, będącym ostatnim wyrazem mody i dobrego smaku.

— Teraz kolej na ciocię. *A tour de rôles!* Dowidzenia, ciotuś! Do zobaczenia, pani Vero! Pa, Aniu! — posłali małej pocałunek od ust.

Motor zawarczał cicho i sprawnie. Samochód ruszył z miejsca niby wielki koliber, przecinający z lekkim szmerem powietrze.

— Prawda, jacy oni mili, jacy serdeczni? — rozczulała się marszałkowa, wpatrując się w bramę, za którą dawno już zniknął wykwintny pojazd.

— Nadzwyczajnie uprzejmi — potwierdziła Vera, nie wyjawiając całej swej myśli. Nauczyła się już powściągać swą prawdomówność, ale przychodziło to jej z niemałym trudem.

Pani Konstancja westchnęła ciężko i wsunęła rękę pod ramię synowicy.

— Wracajmy do codziennych kłopotów — rzuciła okiem na płaski zegarek, wydobyty z głębokości kieszeni. — Druga bez kwadransu! Czas leci. Idźmy powoli ku stajni. Trzeba wyprawiać konie i ludzi w pole. Ach! Zapomniałam! Ewelka przyjeżdża!

— Kiedy? — ucieszyła się pani Vera.

— Dziś o piątej. Wyjedziesz po nią, moja kochana, nieprawdaż? Dziękuję ci szczerze. Ona ma zawsze tyle pakunków, a przytem polubiła was bardzo. Zabierz i Anię z sobą. Lekcje można odłożyć na jutro. Ten mały uparciuch ciągle siedzi nad książką! Gdyby nie psy faworyty, nie wyszłaby wcale na świeże powietrze!

— Dużo przedmiotów do opanowania, coprawda. Ale, że Ania jest uparta, temu nie przeczę wcale. Może są jakieś sprawy, albo zakupy w Czerwonnej? — zmieniła z ochotą rozmowę.

Pani marszałkowa złożyła ręce przepraszająco:

— Jest cała litanja na moim biurku. Wyzyskuję cię,

moja Vero! Ale pan Horodelski naznaczył sobie tak śmiesznie małe wynagrodzenie, że rada jestem, gdy go jaknajmniej obarczam!

— Stryjenko droga! Nie mówmy o tem, bo gdybym nie była pomocną stryjence — wyjechałabym zaraz!

— Niechże Bóg broni! Wstrętny to egoizm z mej strony, ale chciałabym nie rozstawać się z tobą wcale! A teraz — wracaj do domu i — zbierajcie się prędko, a ja przypilnuję Walka, aby nie marudził zbyt długo. Urzędy w Czerwonnej funkcjonują do trzeciej, więc musicie pośpieszać.

Nie upłynął kwadrans, gdy jasne łby spasionych kasztanów, ciągnących antyczny szaraban, wychynęły z przymilepskiej bramy, zawracając truchcikiem na szosę.

— Mamusiu! Dlaczego państwo Rzeczyccy nie przenocują nigdy w Przymilepkach, a wpadają zawsze na chwilkę, jakby po ogień? — zaczęła Ania poufną rozmowę. — Widzą przecież wybornie jak stryjenka ich kocha. Rozpromienia się poprostu, gdy na nich patrzy!

— Myślałam to samo po ich wyjeździe. Radość jej zgasła odrazu, jakby ktoś zdmuchnął płonącą świecę, — odpowiedziała pani Vera.

Mówiły po francusku ze względu na Walka, który raz wraz obracał głowę na prawo, nastawiając ciekawie ucho. Ciężkie przejścia życiowe wyrobiły w pani Alfredowej nowy pogląd na wychowanie przybranej córeczki. Niech rośnie, bez różowej przepaski ideałów na oczach, mając je otwarte na wszystko. W realnem życiu, ale nie w wacie. Niech uczy się już teraz odróżniać własnym krytycznym sądem ziarenka Dobra od sypiących się wraz z niemi tak licznie — ziarenek Zła. Do niej, jako do matki, należy tylko zwracanie uwagi na cechy jednych i drugich.

Przytem jako indywidualistka z natury dawała Ani dużo swobody.

— Nie chcieli nawet wypić herbaty! — ciągnęła dalej Ania. — Tak żal mi było stryjenki, mamusiu!

— Spieszyli się bardzo. Może naprawdę mieli jakiś termin co do minuty. W każdym razie nie możemy zdradzać przed stryjenką tych naszych wątpliwości w najlżejszej nawet formie.

— Mamusiu! — szafirowe oczy dziewczynki, zwrócone nagle ku matce, wyrażały obrazę.

— Mała Niedotykalska! — zaśmiała się miło pani Vera. — Stosowałam to przecież do nas obydwóch.

Ale Ania już się zamknęła w upartem milczeniu.

Pani Alfredowa, jakgdyby nie przywiązując do tego wagi, mówiła dalej swobodnie.

— Rada jestem niezmiernie z przyjazdu pani Eweliny. Oczywiście — nie jest ona dla stryjenki słońcem jak „Romuś", ale zawsze to jasna gwiazdka z horyzontu młodości. Wychowywały się razem, mieszkając na wsi, w sąsiedztwie, razem wchodziły w świat jako dorosłe panny i dzieliły się z pewnością wrażeniami pierwszej miłości. Cioteczno — rodzone siostry i wierne przyjaciółki zarazem. Los miał dla nich niejednakowe oblicze. „Tuni" — nie odstępowało dotychczas szczęście, podczas gdy „Ewelka" srodze była doświadczana przez życie. Jakie to dziwne i od czego zależy? — zamyśliła się, wzlatując skrzydłem myśli ponad rojowisko ludzkich walk i utrapień, ponad krzyżujące się, powikłane ścieżki, deptane mozolnie, utrudzonemi stopami.

Twarzyczka Ani rozchmurzyła się powoli. Wybitny umysł matki zawierał dla niej czar niezaprzeczony. Ich wspólne pogawędki były jej najmilszą rozrywką. Wrodzona inteligencja rozwijała się stopniowo, zaprawiana do

ujmowania każdej sprawy z szerokiego punktu widzenia. Jej dziecinna uraza i wrodzony upór znikały jak dym, chowającego się poza linję widnokręgu okrętu.

— Dla mnie to również wielka przyjemność, mamusiu. Ciocia Ewelka taka dobra, wesoła i umie mamusię ocenić.

— Tak mówisz, dziecinko, jakgdybyś czyniła wyrzuty stryjence. To niesłusznie, Aniu. Zastanów się chwilę. Oddała nam przecież dwa wygodne, duże pokoje, a sama się mieści w ciasnym pokoiku za kuchnią. Czyż nie jest to dowód uznania i delikatności zarazem?

— Dlaczegoż nie broni mamusi przed ukłuciami tych nieznośnych „mieszkanek dworku?“ — upierała się przy swem zdaniu dziewczynka.

— Widocznie ma jakieś swoje powody. Czy pamiętasz słowa wieszcza Adama: „Aby mnie sądzić trzeba być nie ze mną, lecz we mnie!“ Ale oto wjeżdżamy do Czerwonnej. Dwadzieścia minut po drugiej — (spojrzała na zegarek). Doskonale. Mamy czas wszystko załatwić. Zostawcie mnie przed Kasą Chorych. Stamtąd pójdę pieszo do asekuracji, a ty, Aniu, jedź na pocztę i zostaw po drodze spis wiktuałów w sklepie spożywczym. Niech przygotują paczki, zabierzemy je, wracając. Znajdę was na rynku. Stań, Walku!

— Trrr! — zakomenderował od niechcenia Walek, przyciągając lekko, zwisające lejce.

Pani Vera zeskoczyła ze stopni wehikułu, znikając za drzwiami skromnego budynku, na którym przytwierdzony był, rzucający się w oczy napis: Kasa Chorych w Czerwonnej. Załatwiła sporną kwestję, tyczącą się jednego z parobków, umiejętnie i szybko, poczem udała się do agenta „Towarzystwa Asekuracyjnego z Krakowa“. Tu już nie było najmniejszej trudności, chodziło bowiem

tylko o stronę formalną. Złoty zegareczek na ręku (nabyty w Genewie kiedyś, przed wojną) wskazywał trzy kwadranse na trzecią. Zadowolona z tak prędkiego ukończenia poleceń, szła przez zakurzone ulice miasteczka, mijając okazalsze od innych gmachy Urzędu Skarbowego i poczty. Dojrzała zdała kasztany i Walka, rozwalonego na przedniem siedzeniu w pozie nie zanadto stylowej. Zamajaczyły przed nią wyprostowane, służbiste sylwetki Archipa i Hrehorka na koźle. Uśmiechnęła się do miłego wspomnienia. Przecięła rynek na ukos i weszła do „Spółki Kupców w Czerwonnej".

— Całuję rączki! — dało się słyszeć na wszystkie strony. Kierownik i sprzedający chłopcy kłaniali się „młodej pani z Przymilepek", która umiała znaleźć dla każdego uśmiech i grzeczne słowo.

— Dałam już spis, mamusiu. — Ania podeszła do matki. — Proszę zapłacić rachunek. Pomyślałam sobie, że może lepiej załatwić to zaraz, a nie wieczorem. Oto czeka gotowy. Ciocia Karusia tak się śpieszy zawsze do Przymilepek! Czy dobrze zrobiłam, mamusiu?

— Doskonale. Zużytkowałyśmy każdą minutę. A teraz jedźmy, bo mamy jeszcze przed sobą wizytę w Brzeżanach. Stryjenka poleciła mi zawieźć słynne przymilepskie szparagi generałostwu Waligórskim.

Wyszły ze sklepu, żegnane ukłonami i sypiącemi się jak groch słowami: Całuję rączki! Całuję rączki! Szanowano tu snadź, regulującą wszystkie rachunki gotówką panią marszałkową.

— Dzień dobry pani. Co panią tu sprowadziło o tej porze? — zabrzmiał za ich plecami głos, stłumiony nieco, jakby umyślnie.

Obejrzały się szybko, poznając odrazu z tego odrębnego brzmienia, kogo ujrzą przed sobą. Wysoki blondyn

w średnim wieku, z ledwo widocznym nad górną wargą zarostem i z rzedniejącemi, uczesanemi „na przedziałek" włosami, podawał pani Verze rękę, trzymając w drugiej elegancki kapelusz. Jeśli byle jaka kamienica może być wyprawiona na żółto, albo na szaro, to dlaczegoż Słowianin nie mógłby zostać przemalowanym na Anglosasa?! A jeśli najwytrawniejsi znawcy wpadają czasem w błąd z powodu mistrzowskich falsyfikatów, to czyż stokroć zawilszy świat ducha nie daje pola do tego rodzaju pomyłek? W każdym razie pan Ryszard Horodelski uznawany był w całym powiecie brzeżańskim za „*first class*" Anglika i gentlemana. Jego wykształcenie pochodziło z Oksfordu, jego ubrania — z Londynu, opanowanie jego było przysłowiowem, a nawet głos, przygłuszony zlekka, ochrypł z pewnością nad angielską Tamizą, ale nie u brzegów szarej i mokrej, ale rodzimej Wisły. Jak w tym „*made in England*", sztywnym futerale, mogły pomieścić się i żyć ze sobą w zgodzie dusze anglosaska i polska — to pozostanie jedną z tajemnic astralnego świata.

W odpowiedzi na uczynione miarowym głosem pytanie, pani Vera odrzekła żywo:

— Jedziemy do Brzeżan, na stację. Przyjeżdża pani Ewelina Holsztyńska. Załatwiałam tu Kasę Chorych i asekurację. Jutro mam sprawdzić wysokość dochodowego podatku. Stryjenka łamie ręce narzekając, że to rozbój! Majątek zniszczony przez wojnę istotnie! Nasza zacna marszałkowa tak jest delikatna, że nie chce utrudzać pana nad miarę. Ale muszę już pana pożegnać. Spieszę się bardzo — wyciągnęła doń rękę uprzejmie.

Piwne oczy pana Horodelskiego wpatrywały się w mówiącą tak nieruchomo, że Ani, studjującej gorliwie zoologję przypomniała się nagle sowa. Zastygła w chłodnej

koncentracji twarz ożywiła się wreszcie a usta poruszając miarowo wargami, wymówiły z obojętnością:

— Chce mi pani odebrać kawałek chleba? Służę pani! — ręka, obciągnięta żółtą, jelonkową rękawiczką, ujęła pod ramię zaskoczoną tym pseudo żartem Verę, pomagając jej wsiąść do szarabanu. Ania obiegła go w lot dookoła, aby się obejść bez tej pomocy.

— Wiii! — cmoknął Wałek, zdejmując z rozmachem czapkę przed wszechwładnym plenipotentem, a pani Alfredowa, odzyskawszy w mig wrodzoną sobie rzutkość, cisnęła jak piłkę do stóp, nie ruszającego się z miejsca Anglo-Polaka:

— Pan jest za wielki, aby dbać o takie okruchy! — przyłożyła figlarnie palec do piersi, co trwało sekundę, gdyż natychmiast zwróciła się z jakiemś pytaniem do Ani.

— Niebezpieczna! — ułożyły się w mózgu pana Ryszarda czarne, skupiające się w jednym szeregu litery i zgłoski.

Opanowanym, sztywnym ruchem wzniósł rękę do góry. Na ten znak podjechał doń, stojący opodal wolant, zaprzężony w parę karych, rasowych koni. Stangret w liberyjnem, letniem ubraniu, zachęcał je przygłuszonem klaskaniem języka do uważnego biegu.

— Dokąd jaśnie pan każe jechać? — zapytał, przechylając się nieco z kozła.

— Do domu — padł zwięzły rozkaz.

## NOWI PRZYJACIELE.

Flegmatyczne cuganty pani marszałkowej wjeżdżały do Brzeżan. Walek poprawił się na koźle i ciaśniej przyciągnął lejce. Nie można już tu było liczyć na instynkt przemyślnych zwierząt tak jak w Przymilepkach, albo w Czerwonnej, gdyż bywano tu znacznie rzadziej. Trzeba było, niestety, wejść z musu w rolę uważnego woźnicy. Biało pomalowane sztachety, okalające willę generałostwa Waligórskich, ukazały się wkrótce oczom podróżnych. Wałek zeskoczył, otworzył bramę i, wziąwszy lejce do ręki, szedł obok koni, które wjechały do wnętrza.

— Trrr! — rzucił lejce do szarabanu i zamknął starannie bramę. — Wiii! — machnął batem, siedząc już na swem miejscu i podjeżdżając przed ładną, obrośniętą *caprifolium* willę. Na tarasie przed domem siedzieli właściciele, czytając gazety, które wnet odrzucili, podnosząc się na widok znanego dobrze zaprzęgu. Mały piesek, kudłaty niby biała włóczkowa poduszka, zerwał się z legowiska i pomknął, szczekając na konie.

— Jakaż to miła niespodzianka! — mówił wesoło generał, witając się z panią Verą. — Jak się masz, Aniu! Pójdź precz, Bella! — ofuknął suczkę, wyskakującą na tylnich łapkach przed Anią schodzącą z wehikułu. — Weź już ją na ręce, ty matko psiego rodu, bo nie da ci żyć na świecie!

— Śliczna Bella, śliczna! Oczki ma jak tareczki! — Prawda, Bellotko?! — pieściła ją dziewczynka.

Pani generałowa ściskała miłych gości, wypytując o Przymilepki i ich dziedziczkę, a generał, weredyk i „kpiarz“ pierwszorzędny napadł na Walka z impetem:

— Jak ty wyglądasz, morusie?! Istny strach na wróble, a nie stangret z porządnego dworu! Czy to nie mogłeś się przebrać, kiedy jedziesz z paniami do miasta?!

Wałek zdjął czapkę z respektem:

— Ta co ja winien, panie generale?! Ja chciał skoczyć do czworaków, ale pani marszałkowa nie dała! Jedź, taj jedź, bo czasu niema! Ta co ja miał robić, panie generale?! Rozkaz, panie generale! Siadł, taj pojechał, jak wylazł od brony!

Oczy szczupłego, prostego jak trzcina pana domu, spoglądały drwiąco na Walka z poza dużych, rogowych okularów:

— Nie bujaj, filucie! Wstyd mi za ciebie! Żebyś mi się tak nigdy nie pokazał, bo już po żołniersku natrę ci uszu! — rozgniewał się naprawdę.

— Odjedź, Walku i stań przy kuchni. Dadzą ci zaraz herbaty — przerwała dyplomatycznie uniesienie męża drobna i zgrabna pani generałowa. Spieszczone jej imię: Ludwinia — było jakby symbolem dobroci i wdzięku, jakie taiły się zarówno w miłem jego brzmieniu jak i w osobie niemłodej już kobiety.

— Co tam porabia pani marszałkowa? — zapytał generał, ochłonąwszy w mig z gniewu i siadając obok pani Very. — Biedaczka! Czyż ona może utrzymać w karności tych wszystkich baciarzy?! Nie babska to rola, ale tęgiego mężczyzny!

— Stryjenka doskonale wywiązuje się z tego zadania, generale. Proszę mi wierzyć! — zapewniała pani Vera. — Zabija ją tęsknota za mężem — to prawda!

Generał uderzył się ręką w świecącą łysinę:

— Co to dziwnego, kiedy ja, przyjaciel i kolega pułkowy, nie mogę się z tem oswoić! Jak oni z sobą żyli! Jedna myśl, jedno serce, jednakie cele! Niemal codziennie jeździłem do Wacława w ostatnich tygodniach przed jego zgonem. Ilekroć razy spojrzałem na tę twarz szarą, nalaną, na opuchnięte, ledwo suwające się nogi — krajało mi się serce jak nożem! Bezradność zupełna! Medycyna nie zna lekarstwa na chorobę nerkową. Co za tragedja! Stać i patrzeć z założonemi rękami jak gaśnie cenny, niezastąpiony człowiek!

— Biedna stryjenka! Ona taka skryta, nie podzieli się z nikim swym bólem. Walczy sama w cichości. Raz tylko jeden otworzyła mi swoje serce. Było to wieczorem, już po dziesiątej. Ania zasnęła, a mnie skusiła przecudna noc majowa. Wyszłam do ogrodu i usiadłam na ławce. Wpatrywałam się w księżyc, sunący wśród chmurek na niebie, jak pływak zalewany falami. On świeci i w Czereszeńce! — myślałam. Patrzyłam na gwiazdy takie dalekie i mrugające świetliście. A może w tej chwili Fredzio patrzy również na nie w Ostrogu?!

— Hm! — chrząknął znacząco generał. — Żeby tylko nie patrzył na inne gwiazdy?! Słyszałem, że do Ostroga pojechał świetny kabaret z Warszawy!

— Stefanie! — pani Ludwinia zmrużyła nieco czarne oczy, aby dojrzeć wyraz młodej kobiety, ale wnet się uspokoiła. — Niech mu pani daruje ten wybryk! Nie wiem doprawdy, czy mógłby żyć bez tego nieustannego drwinkowania i żartów!

— Generałowi wszystko wolno! — odezwała się z serdeczną intonacją pani Vera. — Zaprzyjaźniliśmy się tak niedawno, dopiero w Przymilepkach, a doznałyśmy od państwa tyle serca i gościnności, że zawsze pamiętać o tem będziemy.

— Poco takiej ślicznej kobiecie serce zgrzybiałego emeryta?! To tylko balast bez żadnej wartości! — śmiał się ochoczo generał. — Dalibóg, lepsza daleko filiżanka herbaty. Zuzia wnosi ją właśnie na tacy. Doskonale. Przekonamy się zaraz dowodnie.

— Przerwałeś pani Verze takie ładne opowiadanie. Proszę — tu cukier, a tu świeży cwibak i kruche paluszki. Aniu! Weź swoją filiżankę i jedz, co ci smakuje. Jesteś tu przecież jak w domu. Prosimy panią o dalszy ciąg, pani Vero.

— Więc siedziałam na ławce i marzyłam trochę. Wtem — jakaś postać wysunęła się z alei lipowej na smugę poświaty. Porwałam się z ławki. — Stryjenka nie śpi? O tej porze?! Co się stało?! — Nie mogę usnąć, droga moja. Myślę wciąż o Wacławie. Ach, Vero! — zacisnęła boleśnie ręce. — Jakaż to straszna tęsknota za zmarłym! Z każdym dniem jest mi ciężej i gorzej. Jak żyć bez niego?! — płakała, zwiesiwszy głowę na moje ramię.

— At! — generał uderzył się ręką w łysinę i wstał szybko z miejsca, aby ukryć wzruszenie. Chodził od krzaka do krzaka róży, zrywając najpiękniejsze okazy.

Wreszcie stanął przed panią Verą, rozmawiającą z gospodynią domu:

— Bukiet kwiatów od wielbiciela! — położył wiązankę na stole. — I kropla krwi serdecznej w dodatku! Pokłułem się, do licha!

— Ja zaraz umoczę chusteczkę w zimnej wodzie i przyłożę do ręki pana generała. Dobrze? — spytała Ania. — Mam tu czyściutką — wydobyła z kieszonki.

— Dziękuję, aniele! Wojak, który przeszedł z jedynym synem całą wojnę europejską i wyskoczył z niej bez szwanku — pogardza opatrunkami! Powiedz mi lepiej, miłosierna panno, czy pijesz wiadrami mleko stosownie

do przepisu doktora?! Hm?! — patrzył na nią przenikliwie. Światełka dzienne błyszczały w szkłach okularów, tak iż dziewczynka miała przed sobą dwa połyskujące krągłe okienka.

— Ja nie lubię mleka — przyznała się rezolutnie. — Tylko dla mamusi piję dwie filiżanki codziennie.

— To źle, uparciuchu! Czy to tak trudno zamknąć szafirowe oczyska i łyknąć więcej? Co, koziołeczku?! Ej! szkoda, że nie jesteś rekrutem! Kazałbym ci stanąć na baczność i otworzyć szeroko usta, a wachmistrz wlewałby ci to mleko do gardła! Rozkaz, panie generale! Niema to jak wojsko i basta! Ale i w klasztorze poznasz subordynację. Trzeba będzie ze wszystkiem się zgadzać: — Słucham, Matko! Dobrze, Matko! Dziękuję, Matko! — naśladował udatnie cienki głosik dziewczęcy.

Wszyscy zaśmiali się chórem, a pani Vera odezwała się:

— Ta subordynacja przypomniała mi pana Ryszarda Horodelskiego. Podwładni chodzą u niego z pewnością „po nitce“, jak to mówią. Spotkałyśmy go przed chwilą w Czerwonnej.

— Tego polskiego lorda? — zaśmiał się generał. — Jakże przedstawia się moda w Anglji?

— Miał śliczne jasno popielate trzewiki — wtrąciła Ania — a rękawiczki i garnitur jak z igły! Jednakże to bardzo miło tak elegancko wyglądać.

— Tak się napewno ubiera książę Walji! — podżartował pan domu. — Mam dobre oko i węch — przyłożył palec do orlego nosa. — To spryciarz, moje uszanowanie! Jak często przyjeżdża do was? — spojrzał na panią Verę.

— Raz na miesiąc zaledwie. Kontroluje gospodarstwo i daje plan robót. Ale uważam, że teraz coraz częściej prosi stryjenkę do siebie. „Ważny interes“. Tłumaczy się brakiem czasu.

— Mówiłem! — generał wzniósł wskazujący palec go dóry. — Tędy cię wiedli! Objeżdża panią marszałkową częściej, niż pola! Uważacie!! Ciotka — siostrzeńcy. Podminowana fortuna — Loreczka. Mądry i śliczny jedynak Jerzyk — małżeństwo. Chociaż nasza Golicja i Głodomerja szczyciła się prawie taką kastowością jak Indje, ale powojenna demokracja zmieniła poglądy, a bolszewicy dolali wrzącego ukropu do ciężkiej patoki arystokratycznych uprzedzeń. Przytem — Horodelscy napewno są lepsi od Żółkiewskich i Rzeczyckich we własnem mniemaniu, bo Horodło powstało przecież przed Żółkwią i przed Rzeczycą! Co? Jak się wam zdaje?!

— Zadziwił mnie on dziś niezmiernie — powiedziała szczerze pani Vera, przytaczając dosłownie rozmowę z plenipotentem w Czerwonnej.

— Niech się pani ma na baczności. Pierwszy strzał! Wojna wypowiedziana! — śmiał się generał, błyskając szkłami rogowych okularów.

— Doprawdy nie wiem, czy generał żartuje, czy chce mnie nastraszyć?!

— Nastraszyć?! Panią?! Tej sztuki nikt nie dokaże! Ale zamrozić można każdą śmietankę nawet ukraińską i towarzyską! Jeśli podejmie się tego jaśnie pani Eliza z baronów von Doehl — Horodelska, to radzę zmykać! Wątpię, czy żona Lota, zmieniona w słup soli, rada była z takiego figla, ale to wiem z wszelką pewnością, że nie chcę oglądać żony Alfreda, zmienionej w słup lodu!

— Co ty wygadujesz, Stefanie? Uszy więdną naprawdę! Pani Eliza zapomniała już dawno o swem pochodzeniu niemieckiem i jest dobrą Polką. Przecież syn ich skończył studja w Krakowie i dopiero teraz pojechał do Szwajcarji na politechnikę. Ma być inżynierem morskim i bu-

dować okręty. Dlaczego pani Horodelska mrozić ma swem obejściem gościa marszałkowej — też nie pojmuję?!

— Jerzyk, przezacne chłopczysko i śliczny jak malowanie. Wiesz dobrze, że za nim przepadam. Mówcie sobie, co chcecie, ale w naturze dzieją się takie dziwy, o jakich „ludzkie ucho nie słyszało!“ Ojciec — fanfaron, matka odrzuciła trzy „k“ niemieckie, przybierając z patrjotyzmu trzy polskie „p“: przystojna, próżna i pyszna, a chłopak — jak złoto!

— Ależ my im nie stajemy wcale na drodze — twierdziła spokojnie pani Vera. — Przymilepki są dla Fredzia zbyt małym warsztatem pracy, a ja jeżdżę w interesach stryjenki do Czerwonnej i do Brzeżan, bo mnie o to prosi. Zresztą — nie mogłabym być rezydentką!

— *O sancta simplicitas!* Czyż pani nie rozumie, że ten „galantuomo“ chce się stać „jedynym i nieodzownym“ dla pani marszałkowej!? Nie nęcą go Przymilepki, gdyż sam ma dość grajcarów. Stanowisko plenipotenta fortuny Mniszków i udział w zarządzie kilku towarzystw, przynoszą mu ciężkie pieniądze. Nie chodzi tu wcale o złote jajka, ale — *pro honore domus* — o rasowe kurczątko!

— Słowem — wszystko jest próżność i w próżności jest wszystko! Czy tak powiedział Salomon? — uśmiechnęła się pani Vera.

— Masz bujną fantazję, mój drogi! — wzruszyła zlekka ramionami pani Ludwika. — Słuchałam twoich wywodów niby ciekawej powieści. Ale tymczasem spójrz na zegarek, bo pani Holsztyńska przyjeżdża na stację o piątej.

— Ciocia Ewelka. Mają panie jeszcze kwadransik — położył przed sobą zegarek. — Prawdziwa gościnność polega na tem, aby gościa wyprawić w porę. Będę się tego trzymał sumiennie. Biedna kobieta! Ubrała się w pałki

hrabiowskie, a los smagnął ją pałką i to kilka razy. Zrujnowany arystokrata chciał hulać i zdradzać za jej pieniądze. Ale ciocia Ewelka nie w ciemię bita. Wolała zostać ze swym Hulajpolem, niż z mężem hulaką bez Hulajpola!

— Powtarzasz się jak pan Jowialski. Wszyscy to wiemy — skarciła męża łagodnie pani domu w obawie, że ten drastyczny epizod małżeński zgoła jest niepotrzebny dla uszu Ani.

— Kiedy tak, to żegnajcie się, moje panie. Wprawdzie dość jeszcze czasu, ale: *Wenn zwei Frauen sagen zum Wiedersehen, so bleiben sie noch lange stehen!* — zaśmiał się na cały głos, wstając i obchodząc willę od strony kuchni.

— Walek! — huknął, przykładając do ust obie dłonie. — Zajeżdżaj, nicponiu!

Tymczasem dwie kobiety wiodły najożywieńszą rozmowę:

— Doskonale. Bardzo mi się przyda. Kiedyż się ona zjawi? — kończyła generałowa, rozpoczęte w nieobecności męża zdanie.

— A co? Nie mówiłem? Jeszcze nie skończyłyście, moje panie? Któż to ma spaść do zacnych Przymilepek? — dopytywał się jednak ciekawie.

— Krawcowa z Tarnopola. Trzeba przygotować wyprawkę klasztorną dla Ani. Materjały na wagę złota po wojnie. Fredzio przyśle nam wszystko, a potem będą mu to odtrącali z pensji. Nie dalibyśmy rady inaczej.

— Jedźcie, już jedźcie, bo się spóźnicie! — przynaglał generał.

— Stryjenka prosi państwa na obiad w niedzielę. Przyślemy konie. Czy zgoda.

— Najchętniej — odparł pan domu, zarzucając pled na siedzące w szarabanie matkę i córkę. — Jak pani młodo

wygląda! — zauważył nagle. — Najlepiej skokietować tego Anglika! To myśl, dalibóg, pierwsza klasa! Jedź, Walek! Do niedzieli!

Kasztany ruszyły. Biały puszysty kłębuszek z czarnemi oczkami biegł za niemi, poszczekując wytrwale.

— Dowidzenia Bellotko! Pamiętaj o niedzieli! Musisz koniecznie przyjechać z wizytą do naszych piesków! — wołała Ania, odwrócona i przechylona przez wysokie oparcie szarabanu.

— A nie wlecz się, Walek, jakby z garnkami na targ! Pociąg wnet przyjdzie! — huknął na pożegnanie generał.

Szaraban wyjechał z bramy i potoczył się śpieszniejszem nieco tempem, gdyż każde słowo „pana generała“ posiadało moc egzekutywy dla Walka, przywodząc mu na myśl często odwiedzaną „pakę“ za czasów jego własnej żołnierskiej służby.

— Mamusia wie — zaczęła rozmowę po francusku Ania — że ja od dziś będę jeszcze lepsza dla cioci Ewelki. Zawsze ją lubiłam, ale teraz bardzo żałuję w dodatku. Jaka ona biedna, mamusiu!

— Dobrze, córeczko. Chciałabym tylko wiedzieć dlaczego jesteś taka obojętna, a nawet sztywna wobec stryjenki? Przecież ciocia Ewelka nie jest naszą krewną, a to „ciotkowanie“ wynikło z obopólnej, wielkiej sympatji?

— Bo, mamusiu, takie skakanie niektórych na czterech łapkach przed „panią marszałkową“ jest dla mnie wstrętne. Przecież ja na to patrzę. Stryjenka gotowa pomyśleć, że i ja się jej przypochlebiam. Wolę trzymać się zdaleka.

— Czyż nie można wybrać pośredniej drogi? Ale ty jej nie uznajesz zupełnie. Dwie ostateczności! Białe, albo czarne! Źle ci z tem będzie w życiu, córeczko!

— Ja już taka jestem, mamusiu!

Szaraban dojeżdżał do stacji i jednocześnie niemal długi szereg wagonów z buchającą kłębami dymu lokomotywą na czele, wychynął z poza budynków, hamując stopniowo swój rozpęd.

— Teraz to się nie spóźnił, cholera! — zdławił Walek pod nosem przekleństwo, wyskakując jak kot z szarabanu i wołając do oczekującego już dawno małego Cybulki:

— Pilnuj koni i pledów, bo jak co zginie... —i, nie dokończywszy efektownej pogróżki rzucił się pędem w stronę peronu.

Za nim biegła Ania i podążała śpiesznie jej matka. Z okna wagonu II klasy wyglądała przystojna, nieco otyła brunetka, machając białą chustką dla orjentacji i wodząc bystrem spojrzeniem po uwijających się na stacji podróżnych.

— Walek! Wałek! Prędzej! Mam dużo pakunków! — ruchy białą chustką stały się nakazujące, podobnie jak głos wesoły, ale mieniący się akcentami energji.

— Całuję rączki jaśnie pani! Gdzie są te pakunki? Raz, dwa, trzy — ściągał z górnej półki walizki — cztery, pięć! — wypadł z wagonu, dźwigając kilka.

— Stój! Jeszcze masz *rugzag* i kosz z flancami! — wołała za nim Holsztyńska.

— Ja zaraz wrócę! — wskoczył zpowrotem, chwytając resztę.

— Ciociu! Ciociu! Dobry wieczór! My tu jesteśmy z mamusią! Stoimy pod oknem, żeby nie robić zamieszania w wagonie! Proszę prędziutko wychodzić!

Pani Holsztyńska wyjrzała błyskawicznie przez okno. Jej twarz o wybitnych rysach rozjaśniła się nagłym przypływem zadowolenia:

— Jak się masz, Aniu?! Dobry wieczór, kochanej pani! Już idę! — obrzuciła z uwagą wnętrze przedziału

i, przekonawszy się, że wszystkie jej rzeczy zostały wzięte, opuściła pośpiesznie wagon.

Serdeczne uściski mieszały się ze słowami:

— Byłam już niespokojna, nie widząc Walka na peronie! Panie się trochę spóźniły przez tego marudę, z pewnością!

— Wcale nie, ciociu! To mamusia tak się zagadała z panią generałową, że aż pan generał musiał nas wyprawiać!

— Nie obgaduj mamusi, niedobra dziewczynko! Może to zegarki winne, bo wyjechałyśmy w porę!

— Jakże zdrowie i usposobienie mojej drogiej Tuni? Czy nie jest już tak bezgranicznie przygnębiona?

— Pozornie — trochę weselsza. Ale w gruncie rzeczy — smutna. Przyjazd kochanej pani będzie dla niej ogromną pociechą.

— I dla mnie pobyt w jej domu, to radość prawdziwa! Zdaje mi się chwilami, że nasza beztroska młodość powraca! Tyle mamy sobie do powiedzenia! Muszę koniecznie poprosić Tunię, aby zniżyła ten piętrowy szaraban! — zmieniła nagle ton głosu, stawiając nogę na wysoko od ziemi przykręconym stopniu i dźwigając z trudem niewielką figurkę. — Dzięki Bogu! Już siedzę! — oddychała szybko, gdyż miała początki astmy. — Gdzież są moje tobołki, Walku?

— Zdane pod rachunkiem Cybulce. Siedem sztuk i jedno pudełko — meldował służbiście woźnica. — Jaśnie pani może być spokojna! Jaśnie pani zna nasze porządki!

— Dobrze. Ruszaj! Chciałabym jaknajprędzej uściskać moją kochaną Tunię! Jak ty jedziesz? Bój się Boga! Nie dowleczemy się chyba, po północy! Wio! — klasnęła po furmańsku językiem. — Wypuszczaj konie! No! Bo

jak ci lejce odbiorę, to dopiero przekonasz się, jakiego kłusa mają te wypasione kasztany!

— Wiii! — zamachnął się batem w powietrzu. — Proszę jaśnie pani! — tłumaczył odwrócony postawą, z chytrze połyskującemi, niewielkiemi ślepkami. — A kto mi da ten funt tytoniu, co pani marszałkowa rozdaje każdego miesiąca za krągłe boki szkapisków i za porządnie utrzymywane wozy?

— Dostaniesz odemnie, tylko jedź prędzej, marudo!

— Dziękuję jaśnie pani! Będę miał dwa. Ta jak ja mogę przyprowadzić pani marszałkowej sterczące gnaty zamiast ot, takich konisków?! Ja, proszę jaśnie pani, swego wstydu nie sprzedam!

— Daleko im jeszcze do tego! Możnaby z każdego garnek tłuszczu wytopić! Jedź choć troszkę prędzej, na miłość Boga! — usiłowała go nadaremnie przekonać.

— Niech się ciocia nie irytuje. To cioci szkodzi. Porozmawiamy sobie i czas zejdzie, aż się ciocia nie spostrzeże. Wieczór taki cudowny, tak zielono i świeżo wokoło. „Przepiękny miesiąc maj“, jak śpiewa Heine.

— Proszę! Taka z ciebie poetka, Aniu? Jakże tam z kursem szkolnym?

— Już drugi raz go bierzemy — skonstatowała z zadowoleniem pani Vera. — Ania jest bez zarzutu, jako uczenica. Uczyć ją i rozwijać, to prawdziwa przyjemność. Cieszę się, że mogę ukazać jej szeroki horyzont poglądów. Zaczerpnęłam je sama ze starej *Alma Mater* jagiellońskiej i z wdzięcznością wspominam zawsze moich ówczesnych profesorów.

— A do klasztoru, czy już Ania została przyjęta? Podobno wielki tam napływ zgłoszeń i wstęp utrudniony.

— Poszło nam jakoś łatwo. Ciotka Fredzia, Karme-

litanka, wstawiła się za nami i uzyskała zgodę przełożonej z łatwością.

— Jakże się miewa ten miły, dowcipny, a taki przystojny mąż pani? Gdybym była młodą panną, zakochałabym się w nim na umor!

— Dziękuję pani drogiej za pamięć i za pochlebne zdanie. Ma być przeniesiony na inną placówkę. Nie wiem doprawdy, czy mam się z tego radować, czy smucić?

Tak gawędziły przyjaźnie, a szczerze. Kasztany biegły leniwo i sennie, Walek pomachiwał od czasu do czasu batem, kurz jak szary obłok wlókł się za szarabanem, a Przymilepki zbliżały się z każdym obrotem kół wehikułu. Nareszcie wybiła chwila, gdy obie przyjaciółki i krewne rzuciły się sobie w objęcia:

— Ewelko!

— Tuniu!

Było to rozczulające i przemiłe zarazem, gdy się patrzyło na te dwie kobiety, o wiele bliższe grobu niż kolebki, dochowujące sobie wzajem stałości w uczuciach. Wiązanka barwnego kwiecia, z jaką weszły przed laty w świat — młode, hoże i nie znające życia — przeistaczała się zwolna w garść zawiędłych nieśmiertelników wspomnienia, ożywionych jedynym pozostałym świeżym kwiatem — przyjaźni.

— Droga moja Ewelko! Ty nawet nie pojmujesz, czem jest dla mnie twoja obecność! Coś promiennego spływa na mnie! Dziecięce lata, nasz dom w Różannej, moi rodzice — zmartwychwstaje wszystko!

— Tuniu kochana! Czyż mogłabym nie zajechać do ciebie? Tak dobrze czuję się w twym domu! Taka jestem samotna na świecie! Mam wprawdzie siostrzeńców i siostrę, ale oni pochłonięci są zdobywaniem stanowiska i za-

szczytów w odrodzonej Polsce, a siostra — oddała się zupełnie dewocji. A twoi Romusiowie, co porabiają?

Szły wolno, pod rękę, kierując się do jadalnego pokoju.

— Wpadli dziś do mnie na chwilę, przepraszając, że mają jakieś ważne zajęcia. Nie dziwię się im wcale. Oni młodzi, bogaci, szczęśliwi, życie ich nęci! A ja — stara, złamana ciosem kobieta!

— Gdybyś wiedziała, jak się nieraz buntuję, że nie mam dziecka! Własnego, rodzonego dziecka! Gdy widzę często na ulicach Lwowa to mrowie dzieciarni, okrutny żal czuję do losu, że tak mię pokrzywdził!

— I moje wdowieństwo byłoby lżejszem, gdybym mogła podzielić tęsknotę za zmarłym z jego synem, lub córką! Dziecko Wacława! Może byłoby podobne do niego? Ileż czerpałabym z tego pociechy!

— Alfredowie znaleźli na to sposób wyborny. Zdaje mi się, że ta miła dziewczynka ich nie zawiedzie? Nie przyszło mi to do głowy w młodości, a teraz, oczywiście — zapóźno!

— Obawiałabym się tak ryzykownej decyzji. Zdarza się przecież, że własna krew, własny potomek „nie uda się", jak to mówią. Cóż dopiero obca, z niewiadomego „*milieu*" istotka? Czyż można budować na tak niepewnej podstawie?

— A cóż jest na świecie pewnego? Na każdym kroku ryzyko na nas czyha. Moje życie — to chyba przykład najwymowniejszy! Któż mógł posądzić tego rozkochanego pozornie „Romea", który groził samobójstwem w razie odmowy, że jego wszystkie, niestrudzone zabiegi były li tylko tańcem przed złotym cielcem Mamony?! Tak, moja Tuniu! Przeznaczenie rządzi nami wszechwładnie!

Wchodziły już do jadalni, gdzie pani Vera stała przy

otwartych drzwiczkach kredensu, a jej córeczka ustawiała na stole, wyjęte przed chwilą słodycze i ciasta.

— Nigdy się z tem nie zgodzę! — przeczyła stanowczo pani Konstancja. — Każdy z nas ma rozum i wolę, które powinny dopomagać mu w zwalczaniu trudności. Proszę cię, droga moja, siadaj na swojem miejscu. Aniu! Niech podają kolację.

Za chwilę Parania, opięta w białym, recepcyjnym fartuchu, wniosła srebrny rondelek. — Pysznie zrobione te zraziki nelsońskie! — chwaliła, jedząc z apetytem smakoszka. — Pewno zmieniłaś kucharkę, Tuniu?

— Nie, moja droga. Zawsze ta sama Anastazja, tylko nieoceniona Vera zmienia ją w Pantaleona!

— Tatuś go przezwał: „Panteon wiadomości kulinarnych“ — odezwała się Ania, korzystając z każdej możności powrotu myślą do najmilszej Czereszeńki.

— Rzeczywiście, bardzo się wyćwiczyła. Cieszy mię to ze względu na zapowiadających się gości — powiedziała pani Vera.

— Cóż to za goście? Kogo spodziewasz się, Tuniu?

— Dostałam list od Marty. Pisze, że jej męża przenoszą z Krakowa do Dyrekcji kolejowej lwowskiej. Wielką mi to sprawiło przyjemność, bo częściej będziemy się widywali.

Niedwuznaczny grymas ukazał się na pełnych ustach pani Eweliny:

— Jeśli mam być szczerą, to mniej mię zachwyca ta twoja faworytka, niż te świetne poprostu zraziki! Ale wiem, że masz do niej słabość, droga Tuniu.

Pani marszałkowa złożyła ręce prosząco:

— Czyż może być inaczej? Przypomnij sobie, Ewelko, że jej ojciec kochał Wacława jak brata! Oddany mu był całem sercem. Tyle mu zawdzięczamy w naszych tarapa-

tach wojennych. Jeśli ocaliliśmy część inwentarzy, to jego zasługa. Mieliśmy zawsze wagon do dyspozycji.

— Pewno. Taka wielka figura w ministerstwie kolei!

— Widzisz. Cóż prostszego, że teraz po jego śmierci, chcę zrewanżować się wobec jego żyjącej, ukochanej córki? Napomyka w swym liście nieśmiało, że radaby przyjechać do mnie na dłużej. „Czy nie będziemy ciężarem dla czcigodnej pani, jeśli spadniemy do Przymilepek we troje?“ — pyta.

— We troje? Syn przecież w korpusie kadetów? — Pani Ewelina utarła szybko nos chustką, wodząc nią zamaszyście po ustach, co oznaczało tajone, acz silne niezadowolenie.

— We troje z kuzynką, której nie znam i nie widziałam. Panna Hermisia jest młoda, ma lat dwadzieścia i trzy, przystojna i bardzo łagodna. Sierota. A przecież, moja Ewelko, znasz to ludowe zdanie, że sierota w domu — to Błogosławieństwo Boże!

— Widzę stąd, że twoja nieśmiała Marta kręci tą sierotą i tobą, aż miło! No, ale na tego rodzaju kataraktę, jaka wzrok ci przysłania, operacji dotychczas nie wynaleźli! Prr! Ho! Ho! — mitygowała siebie już żartobliwie.— Zanadto się rozgadałam. Daruj mi tę krytykę, moja najlepsza Tuniu! Jesteśmy w tak ścisłem kółku! Wiem, że przed panią Verą mogę być szczerą — popijała małemi, szybkiemi łykami herbatę. — Kiedyż się ich spodziewasz?

— Przy końcu czerwca, gdy Bolek dostanie urlop.

— Radzę ci, zostaw ich pod opieką pani Very i pojedź na parę tygodni przynajmniej do Miłodworu. Odpoczniesz tam, rozerwiesz się, myśl oderwiesz od smutków, od trosk, kłopotów codziennych! Dobrze ci to zrobi, przekonasz się.

— Romusiowie zapraszali nietylko mnie, ale i Verę

serdecznie. Jeszcze nie powzięłam stanowczej decyzji. A ty jedziesz teraz do Hulajpola, nieprawdaż?

— Tak. Klnę czasem w duszy tę wojnę! Prawda — dała nam ona wolną Ojczyznę, ale i naharatała nas tęgo! Mówię sobie to jedno, to drugie ot, tak, naprzemian! Cóż — bohaterem nie jestem! Pałac i budynki — zrównane z ziemią! Pola okopami poryte i ani jednego końskiego ogona! Tarnopolszczyzna od strony Rosji dostała odrazu cięgi. Dzierżawca z tenuty wznosi zabudowania, a ja skleciłam maluśki domek i — na stare lata — kręcę się z groszem, a raczej bez grosza! Chciałam się nawet w różnych tych sprawach poradzić ciebie, moja kochana, bo choć psycholog z ciebie dość średni, ale za to handlowiec — genjalny!

— Odłóżmy tę walną rozprawę na jutro — zaproponowała pani marszałkowa z niezmierną delikatnością tonu. — Czy zgadzasz się na to, Ewelko? Wstaję o czwartej i taka jestem wieczorem zmęczona, że czasem oczy mi się kleją.

— Doskonale! — przytaknęła żywo pani Ewelina, podnosząc się z rycerskiego ciężkiego krzesła. — Powiedzmy sobie dobranoc, bo i ja chętnie wypocznę. Pakowanie się przed drogą nuży mię bezgranicznie. Dobranoc, kochana pani Vero! Dobranoc, Aniu.

— Może przynieść cioci jutro raniutko kawę do łóżka? — spytała dziewczynka troskliwie. — Przyjdę z pieskami. One bardzo ciocię kochają, tylko zajęte kolacją — spojrzała na faworytów, chłepczących łapczywie przygotowane im przez opiekunkę jedzenie.

— Przyjdź, kochanie. Znajdziesz słodką niespodziankę w walizce — ucałowała serdecznie Anię, która po chwili zbliżyła się do pani domu:

— Dobranoc stryjence.

— Dobranoc, Aniu! — musnęła ją lekko ustami po włosach, a — następnie uściskała szczerze synowicę, zwracając się wreszcie z uśmiechem do przyjaciółki:

— Odprowadzę cię, Ewelko. Chodźmy! — wzięła ją czule pod ramię. — Czy dobrze ci tu będzie? — pytała, wprowadzając gościa, do przeznaczonego dlań pokoju. — Spij spokojnie i nie martw się, dobrze? *Plaie d'argent n'est pas mortelle!* Zawsze pocieszam tem Verę! Do jutra, moja kochana! — zamknęła drzwi i weszła do siebie, zasuwając grubą kotarę.

Uklękła wnet do modlitwy. Płomień niewielkiej lampy oświetlał jej czysty, jakby rzeźbiony profil, wzniesiony ku Chrystusowi na krzyżu, występującemu ze złotych ram obrazu z dziwną plastycznością Boskości i męki. Niezbędne, skromne umeblowanie przypominało surową czystość zakonnej celi.

— Wieczny odpoczynek, racz mu dać, Panie!... — szeptały usta kończąc tem codziennem, żarliwem błaganiem długie, wieczorne rozmowy z Bogiem.

Ukryła twarz w dłoniach i pracowite oczy, stroskane przez cały dzień przyziemnemi sprawami, zwróciła w głąb własnej duszy.

Jak dobrze było żyć i pracować w cieniu zdobytej przez Wacława powagi! Dlaczego zamarło na wieki to kochające i mężne, to szczerozłote, otwarte dla wszystkich serce?! Dziś — tylko spokoju łaknie osamotniona, tęskniąca za nim bezbrzeżnie — wdowa. Tak! Tylko spokoju!... Jeszcze lat kilka — może mniej nawet — ziemskiego życia, a potem — złączenie z ukochanym w wieczności.

Byleby tu, na tym padole łez, zapracować na tę niebiańską Ojczyznę, ile sił starczy! Odejdzie wówczas radosna, szczęśliwa, nie tak jak teraz, gdy dusza jej smutną jest aż do śmierci!... Tylko w modlitwie zaczerpnie chwi-

lami pociechę. Odejdzie — bezdzietna... „Schyl głowę przed wolą Pana Twego!“ Więc chyli się kornie. Rozda swoje dostatki, nie zapomni o nikim, gdy dzień wyzwolenia będzie już bliski! Z pobłażliwością istoty, napoły jeno żyjącej na ziemi, przenika ukryte nadzieje, tające się w jej otoczeniu!... Gdy spocznie na cmentarzu w Czerwonnej, obok trumny, chroniącej najdroższe zwłoki — niech wówczas żywi cieszą się tem, co zbierali oboje z taką skrzętnością, tem wszystkiem — co radowało w młodości i ich dwojga, tętniące szczęściem serca!...

A światłość wiekuista niech mu świeci na wieki! Amen!

## PRZEMARSZ UŁANÓW.

Po wąskiej, polnej drożynie, rzuconej jak szara taśma nad urwistym brzegiem Wieprzka, toczył się mały wózeczek. Hermisia, brunetka z grubym warkoczem, oplatającym głowę, zaróżowiona od słońca, powoziła z zacięciem fachowego woźnicy. Obok niej pani marszałkowa w białej, muślinowej chusteczce, związanej pod brodą, rozglądała się bacznie po mijanych, parobczanych ogrodach. Z tyłu siedziała Ania, chłonąc wzrokiem ulubiony wiejski krajobraz i licząc melancholijnie ubiegłe już, niestety, tygodnie wakacyj. Kara klacz, Różka, dobrze już dwudziestoletnia, faworytka pani domu, stawiała kroki dość ceremonjalne, uważając widocznie, iż ostrość biegu przystoi jeno niedoświadczonej młodości. Nagle panna Hermisia wykrzyknęła ostrzegawczo, aczkolwiek bez niechęci:

— Jakiś wojskowy pędzi ku nam w cwał, proszę pani marszałkowej!

Stryjenka Konstancja zwróciła szybko bystre, czarne oczy w stronę, ku której wyciągał się — niby odłamek masztu z tonącej łódki — żółty bat powożącej.

— Ciekawam bardzo w jakiej to sprawie? — rzuciła pytanie, jak rybak wędkę, zgóry jednak powątpiewając w dodatni wynik połowu. — Parę dni temu żołnierze z Czerwonnej przypuścili atak do moich sosenek, ścinając im wierzchołki w czasie manewrów z takim impetem, jak ongi Podbipięta — bisurmańskie głowy! Posłałam

wczoraj do pułkownika swój protest. Może to goniec z odpowiedzią, choć nie sądzę, by taki szalony pośpiech w uniewinnianiu się był cechą wojskowości.

Dziwnem zdawaćby się mogło, że pani Wacławowa, której mąż służył w armji austrjackiej, była teraz stale „na bakier“ z synami Marsa. Ale dawniej znała go z czasów, gdy jego adepci tworzyli elegancką, pobrzękującą szabelkami, „dekoracyjną“ raczej armję. Nabrała zaś wstrętu do tego rozpasanego syna Junony, niszczącego jej bezczelnie Przymilepki trzy razy w przeciągu ostatniej wojny.

Tymczasem jeździec na koniu rósł z każdą sekundą w oczach, wpatrzonych w kłusującą sylwetkę niewiast i młody, zuchowaty oficer przypadł do wózeczka:

— Porucznik Strzelecki ze 114 pułku ułanów — przedstawił się, wznosząc z kurtuazją rękę do czapki. — Wysłano mię naprzód jako kwatermistrza. Nasz pułk pod dowództwem pułkownika Czarneckiego wyszedł ze Lwowa, podążając na manewry nad granicą sowiecką. Za parę godzin tu stanie. Czy mógłbym zakwaterować dowódcę i kilku oficerów we dworze?

— Będzie mi najmilej przyjąć u siebie tych panów — rzekła uprzejmie pani marszałkowa, odganiając jednocześnie myśli, które jak natrętne muchy zlatywały co moment na pole jej widzenia: — A to dopiero w porę! Dlaczegoż nie w przyszłym tygodniu? Dziś mamy owies i łąkę i wozowicę!...

— Nawracaj, Hermisiu! — wydała rozkaz mężnie. — Trzeba natychmiast przygotować gościnne pokoje.

Porucznik wołał za odjeżdżającym wózeczkiem, jadąc nieopodal konno:

— Mamy ze sobą kuchnię polową i menaż. Proszę nie frasować się obiadem!

— Pośpieszaj, Hermisiu! Co tam ten młody wyplata?! Muszę przecież ich ugościć. Czyż nie mogli uprzedzić?! Tak się nie robi. Trzydziestu przynajmniej oficerów spada na dom nie krzyknąwszy nawet: „Baczność“! To są wszystkie zachwalane wojskowe manjery!

Trzydziestu oficerów! Ania suwała po dnie wózeczka małemi nóżkami w czarnych prunelkach przypominając sobie kroki taneczne. Uśmiechała się zlekka do porucznika, kokietującego podlotka rycerską postawą ułana na koniu. Nowy duch wstąpił w powolną zwykle Hermisię. Ściągnęła lejce z taką energją, że świetnie wytresowana Różka pojęła odrazu, że stał się fakt niezmiernej doniosłości, wymagający od niej kolosalnego wysiłku. Rwała tedy naprzód, co sił starczy, radując się w swem końskiem sercu, że dwór jest jeszcze dość blisko.

— I gdzież ten wymuskany porucznik? — stryjenka Konstancja spojrzała poza siebie. — Trzeba było zaprosić go na śniadanie.

— Pojechał na wieś. Poszuka zapewne chat, w których ma umieścić swoich kolegów — objaśniła Ania z wesołą minką.

Wpadły jak wicher na podwórze folwarczne i karkołomnym lukiem zajechały przed dwór. Piękna pani w swawolnym negliżu, trzydziestopięcioletnia wedle kościelnych zapisek, młodsza od wiosny pod misternie stosowanym pudrem i różem, siedziała w cieniu kasztanów, maniukiurując opalowe klejnoty wydłużonych paznogci. Obok niej spoczywał na leżaku zawiędły mężczyzna, blondyn o spłowiałej, albinoskiej urodzie.

Pani Vera z koszem pełnym wczesnych jabłek, wracała z sadu.

Dziewczęta skoczyły z wózeczka na ziemię, przekrzykując się wzajemnie:

— Pani Marto! Mamusiu! Szalona nowina! Cały pułk ułanów wali do nas konno i pieszo i jak się da, po lwowskiej szosie! Za dwie godziny tu będą!

Oczy pięknej pani zabłysły fosforycznie. Wykarminowane usta rozchyliły się ponętnym uśmiechem do owej wizji, zapewne, jadących czwórkami ułanów, gdy wrodzona jej subtelna przebiegłość wywołała nagłą zmianę wyrazu twarzy:

— Moja biedna, droga pani! — splotła ręce z ubolewaniem. — Potrzebny doprawdy taki straszny kłopot!

— Martusiu poczciwa! Zawsze mnie pożałujesz! Jak myślisz, Vero, gdzie ich tu ulokować? Twoja w tem głowa. Masz specjalny talent w tym kierunku. Możeby zaprosić dowództwo na obiad? Nie! Zamało czasu! Lepiej — na kolację? Co? Jak sądzicie?

Pani Marta w zadumie, ze ściągniętemi uroczo, podczernionemi brewkami, zgłębiała *pro* i *contra* tej propozycji. Mąż przypatrywał się jej trochę drwiąco. Pani Vera z widocznem znudzeniem, odegrywaną komedją. Dziewczęta czekały wyroku z bijącem sercem.

— Jeśli to pani marszałkowej nie znuży zanadto, to pomysł kolacji jest poprostu bajeczny! Gotowa jestem w tej chwili — pani Marta gestami białych rąk podkreślała swoje oferty — piec torty, kręcić lody, nakrywać do stołu! Proszę mną rozporządzać, najdroższa pani!

Marszałkowa uśmiechnęła się z rozczuleniem: — Złote masz serce, Marteczko! Zawsze myślisz o innych! Więc będzie huczna kolacja. Przynajmniej raz zabawicie się w tych smutnych teraz Przymilepkach! — westchnęła. — A zatem, do pracy! — weszła śpiesznie do dworu.

Za nią podążyła pani Vera i, znalazłszy się w przedpokoju, ściszyła głos, mówiąc serdecznie: — Młodzi napewno zechcą potańczyć, a obawiam się, że to stryjenkę

będzie drażniło? Taki kontrast pomiędzy ich wesołością, a...

— Niech tańczą! — przerwała pani domu z dobrocią — Wyszłam już przecież z grubej żałoby, a niepodobna skazywać wszystkich na wyrzeczenie się świata. To dobre dla mnie — smutek powlókł jej regularne rysy. — Ale dziękuję ci, Vero!

Tymczasem doletnia sarenka wskoczyła na stopnie ganku i, zwrócona rozpromienioną twarzą do dziewcząt, szeptała im z uniesieniem: — Potańczymy! Poflirtujemy! Rozkochamy w sobie ułanów, aż hej! Idę, lecę, najdroższa pani! — wołała już głośno, za oddalającą się w głąb dworu marszałkową, znikając sama za drzwiami.

Tuż za nią wbiegły, przejęte doniosłemi wypadkami Hermisia z Anią. Mąż altruistki został samotny. Był w kwaśnym humorze, gdyż dziś właśnie dokuczała mu niemiłosiernie wątroba, a przytem i pożycie z żoną — mimo jej podmalowanej słodyczy — pozostawiało wiele do życzenia.

— Zawsze jednaka! — mruknął sarkastycznie. — Jak arka Noego smołą, tak i ona zewnątrz i wewnątrz — fałszem wysmarowana!

Sądny dzień nastał w przymilepskiej kuchni! Okrzyki: — Gdzie mój fartuszek? Kasiu! Zarzynaj kurczęta i kaczki! Ucierajcie żółtka z cukrem na lody! Paraniu! Wody... więcej wody! Nie plącz mi się pod ręką, Aniu! Biegnijcie do pana ekonoma! Niech przygotuje miejsce w stajni na konie! Hermisiu! Leć do szafy po śmietanę! To mój wydział, pani Marto! Upiekę ciastka *Non plus ultra!* Anastazjo, pal w piecu. Pamiętaj, że musi być bardzo gorący! Ta czem ja napalę, proszę pani dyrektorowej?! Ot temi patykami, co na nich jeszcze wczoraj ptaszek śpiewał?! Proszę pani marszałkowej! Podejmuję się upiec

torty „Delice“! Dobrze, Marteczko! Piecz, co chcesz, ale prędzej! Proszę pani marszałkowej! Pani naczelnikowa posyła mnie po drzewo do drewutni! Idź, Kasiu! Masz klucze, Aniu! — okrzyki te, wyrywające się z ośmiu niewieścich łon, tworzyły wielotonową, acz miłą w swej obiecującej treści — wrzawę. Zamieszanie, przypominające odległe już czasy narodzin świata z chaosu, trwało aż do chwili, gdy ktoś huknął pod oknem:

— Ułani jadą!

Wypadli wszyscy z kuchni. Dziewczęta służebne na dziedziniec — pani marszałkowa z damami dworu do dalszych pokoi, zrywając po drodze fartuchy i gładząc, rozwichrzone, po zdjęciu czepeczków kuchennych, włosy. Już przed gankiem wjazdowym muzyka pułkowa grzmiała, oddając honory, wnoszonemu do pokoju pułkownika sztandarowi. W otwartych gościnnie drzwiach polskiego dworu, stał wsparty na lasce, generał Waligórski, który przed chwilą przyjechał z Brzeżan i witał z rozczuleniem dawnych towarzyszy broni. Zacna twarz promieniała radością. — A to mi się udało! — powtarzał, ściskając ręce pułkownika Czarneckiego, majora de Laveau, adjutanta, porucznika Kosseckiego i, podchodzących ku niemu kolejno, spieszonych kawalerzystów. W tej, jakoby rodzinnej gromadzie, jaką bezsprzecznie jest każdy pułk, dla którego Śmierć niezawsze bywa macochą, a Sława zawsze matką, wspomnienia poległych we wspólnych bojach kolegów, powstają jak żywe przy powitaniach żyjących. Toteż i teraz uśmiechy, podszyte wzruszeniem, błąkały się na ustach dzielnych żołnierzy. A sławnym był z odwagi ów pułk 114! W ostatniej wojnie z bolszewikami przybrał był nazwę „Niebieskich Ułanów“, a to z tej racji, iż wskutek zasłaniania odwrotu wojsk polskich z pod Kijowa i wypadów na osaczających krasnoarmiejców,

szaleńcy owi szli gromadnie do nieba. Stopniał tedy pułk 114 do jednej trzeciej ilości, ale przyszedłszy do Polski, jął znów chłonąć najtęższych kompanów.

— I gdzież te kobiety?! — gderał Waligórski. — Strzeżcie się, moi drodzy! Ujrzycie tu różne cuda! Jest miedzianorzęsa kasztelanowa ze złotowłosym pazikiem u boku! Jest wiejska dzieweczka ze dworu! Pokaże się nawet, wabiąca do zguby dziwożona! A to się stroją dopiero! Nareszcie! — zakrzyknął weredyk, na widok grona niewiast, wchodzących śpiesznie, do rojącego się od ułanów pokoju.

Cichy dwór w Przymilepkach zatętnił życiem. Spieszeni żołnierze rozkładali się taborem na wypoczynek. Wtoczyła się kuchnia polowa. Dojrzano już przez otwarte okno różowy buziak Parani i kucharz pułkowy, frant nielada, wpadał co chwila do dworskiej kuchni, zezując bokiem na ordynansa, który tam zajął na ławie pozycję zaczepną i stałą. Też łebskie było chłopczysko, a przytem kawał obieżyświata. Był nawet w Belgji i jej pogwałcona neutralność wbiła mu się jak gwóźdź do głowy: — Czy panienka jest utralna, czy neutralna? — zahaczył grzecznie Paranię.

— A to co takiego?! — odparła rezolutnie ze śmiechem.

— Jak panna nie wie, to ja już nie będę tłumaczył. Panienki tu siedzą jak w lesie, a ja był daleko, aż we Francji! Tam każdy furman tylko po francusku bajdurzy, a wody nikt nie grzeje, ale pędzi z wiadrem do rzeki. Dlatego ona nazywa się Syk-wanna, że kąpać się w niej można jak w wannie! Gorąca, aż piecze!

— A pan to bajdurzy po polsku! — odezwała się z niechęcią Anastazja, której układ ust sprawiał, że mełła wyrazy, niby sprawna maszynka. — Słyszał to kto, żeby fur-

man... Ta niby nasz Wałek?! — parsknęły wszystkie trzy śmiechem.

— Kasiu! Nakarmcie ordynansów pułkowych! — pani Vera zajrzała do kuchni.

— Mamy tylko jednego, proszę pani dyrektorowej. Tamci jedzut u siebie! — odparła, więdnąca już zlekka dziewica, z zadartym nosem i upiększanem nadaremnie specyfikami z Czerwonnej — obliczem.

Zgoła inny ton rozmów brzmiał w staroświeckim salonie, gdzie zebrali się po obfitej, wiejskiej kolacji domowi i goście. Dwudziestu ośmiu „Niebieskich ułanów“ uwijało się wśród grona niewiast, niby koniki polne, ćwierkające między kwiatami na łące. Żołnierze sławni na polu bitwy, okazali się i w tej szermierce niezrównanymi mistrzami. Pożądany sukurs w postaci czterech dorodnych, jak ziarna pszeniczne dziewcząt — przybył nagle pod wieczór niewieściej załodze. Pan Jakób Wanna, zamożny dzierżawca Dominikańskich folwarków, nie wiedząc o postoju ułanów, przyjechał na pogadankę sobotnią do Przymilepek. Pan Jakób ród swój wywodził ze Szwecji i mawiał nieraz, iż Wannowie nie są niczem gorszem od — Wazów. Jednym poszczęściło się w życiu, drugim — nie. Oto wszystko. Dla podtrzymania duchowego związku z poprzednią ojczyzną, nosił ów polski Szwed bródkę w klin i zadzierżysty wąsik, w czem upodobniał się wielce do portretów Karola Gustawa. Pani Marta wzbudziła szmer podziwu, zjawiając się w wieczorowej, najmodniejszej tualecie. Przystanąwszy w pośrodku salonu, odwinęła z gracją haftowany szal z perłowego ramienia i wzrokiem potoczyła dokoła, podobna słońcu, co marnotrawnie rozsyła promienie.

— Zalotna wiochna! — rzucił do pani Very półgłosem generał Waligórski. — Gdyby nie to przeklęte lum-

bago, poszedłbym sam w koperczaki! Ręczę pani, że byłaby rada! Tu chodzi o ilość zdobyczy! — wstał nagle i, opierając się mocno na lasce, podszedł do królowej salonów:

— Jakże powodzi się synowi pani? Tęgi chłopak! — zwrócił się do oficerów, błyskając filuternem z poza rogowych okularów spojrzeniem. —Jest w szkole kadeckiej we Lwowie. Będzie zeń żołnierz — pierwsza klasa!

Major de-Laveau skłonił się dworsko: — Syn pani kadetem?! To chyba żart, kochany generale, *a prima aprilis* dawno minęło!

— Taka ze mnie, niestety, staruszka! — zaśmiała się skroś perły ząbków. Słodycz nie zniknęła z jej twarzy, tylko z lśniących w źrenicach iskierek, sądzićby można na jakim niebotycznym stosie przekorny generał płonie w jej wyobraźni.

Fortepian zahuczał posuwistym fox-trottem, wykonywanym z temperamentem przez najstarszą Wanienkę. Młodzi ruszyli ochoczo w tan.

— Będziesz pewno siała rutkę, córeczko! — powiedziała pani Vera. — Ułani mają w czem wybierać! Widzę, że porucznik Strzelecki podąża w naszą stronę. Hermisia już się uśmiecha do niego.

— A ja już tańczę, mamusiu! — rzuciła za chwilę zwycięsko Ania, unoszona w ramionach wysokiego kwatermistrza.

Gromadki ułanów, przypatrujących się zabawie, stały na uboczu tu i ówdzie. Padały półgłośne uwagi i żarty. Zwycięska, podobnie, jak Ania, młodość, nie czuła przemarszu, uczynionego ze Lwowa, zapomniała o dalszej drodze o świcie.

— Spójrz, Stachu! Nasz pułkownik atakuje piękną

Cererę! Oho! Co za uśmiech wniebowzięty! Pierwsze szańce zdobyte!

— Zazdrość syczy w twym głosie! Ręczę, że rozłożyłbyś się chętnie w cieniu tych bujnych kłosów na prawem ramieniu!

— Nie! Parol ułański! To zanadto wymagająca niewiasta! Spójrz na jej męża! Wysuszyła go na szczapę! To niedołęga dopiero!

— Mylisz się! Na siedem piesków mojej babci, przysięgam ci, że to mąż silnej woli! On stale i wytrwale palcem w bucie kiwa, a but ma przeklęcie ciasny! Imię też wybrał sobie prorocze. Bolejący Bolek! Ha ha!

— Możliwe. Ale ja wolę tę czarnuszkę, Hermisię! Takie to spokojne, a takie wesołe! Chętniebym ją obłaskawił, aby mi sama szła do ręki, niby sarenka! Dwa dni postoju i palnę oświadczyny dziewuszce!

— Dobryś! A tamte wszystkie, którym już oświadczyłeś się we Lwowie?! Ładny wianuszek?! Co?! Gdyby się tak razem zebrały! Winszuję!

— Ciszej! Ta zacofana panienka z okienka nie spojrzałaby w moją stronę! I tak paruje moje zaloty!

— Słuchajcie! Co to za pani w tej jasno zielonej sukni z cudnemi, siwemi oczami? Siedzi przy generale i bawią się znakomicie!

— To matka tego miłego brzdąca z loczkami! Oni są z Kijowszczyzny i stracili ogromny majątek w rewolucji rosyjskiej!

— Wnet idę do niej! Pogadamy o Kijowie! To jej sprawi przyjemność!

— O Kijowie?! Czyż twoja lanca dotknęła tej ziemi, bujaczu! Masz mleko pod nosem i nie byłeś przecież na wyprawie kijowskiej!

— Naczytałem się moc opisów! Chcę się przyjrzeć

szykownej niewieście, która w dodatku wydała na świat taką cacaną Anię! Istna laleczka! Gdyby tak pocisnąć sprężynkę, ukrytą w dołeczku nad brzuszkiem, napewno zaśpiewałaby jak prawdziwa lalka: — Pa--pa! Ma—ma! La-la-la-la!

— Tobie tylko dziewczęce dołki w głowie, zbereźniku! Odpokutujesz na stare lata taki bezecny żywot!

— Ba?! Czy doczekam starości?! Raczej w niebie, będę się raczył za karę drogą mleczną!

— Jak wam się podoba ta najmłodsza Wanienka?! Z przyjemnościąbym ją pocałował!

— Warjacie! Odradzam ci to stanowczo! Ten szwedzki papa wrzepiłby ci takiego klapsa, ażbyś zdrętwiał cały! Patrz?! Jak on staje w portretowej pozie?! Prawa ręka, zasunięta za surdut, lewa — odrzucona wtył! Te szwedzkie manjery wzbudzają we mnie cześć!

— Gadajcie koledzy! Miło nam tu było, co?! Trafiła się okazja, jak stara małmazja! A te dziewczątka?! Ach! buzi mi daj, to szczęście, to raj! Ale trzymaj język na uwięzi niby podwórzowego kundysa, miły bracie!

Noc, czarownica, z wlokącą się za nią mroczną zasłoną, lecąca na połyskliwym sierpie księżyca, przemknęła szybko. Na widnokręgu ukazała się, zarumieniona od pośpiesznego biegu, radosna, jak wiejska młódka — jutrzenka.

— Zatrąbić wsiadanego! — rzucił rozkaz pułkownik.

Zacichł ulegle fortepian. Rozplotły się tańczące pary. Za chwilę — sztandar, wyniesiony z pokoju dowódcy, załopotał łagodnie na rannym wietrze. Uroczysta fanfara powitała ten symbol honoru i waleczności pułku. Ułani dosiadali koni, formując się w lot czwórkami. Dziewczęta z panią Martą na czele słały ku salutującym wszystkim rycerzom — strzeliste wiązanki pożegnalnych uśmiechów i spojrzeń.

— Prosimy nie zapominać o Przymilepkach w powrotnej drodze z manewrów — rzekła gościnnie pani marszałkowa.

Szwedzki papa, stojąc obok niej, powiewal wyciągniętą ręką: — I w Staroszynie oczekujemy was nieodwołalnie, moi panowie!

Krzyżowały się jeszcze ostatnie wykrzykniki:

— Dziękujemy! Bóg zapłać za gościnę! Żegnajcie! W drogę! Marsz!

Adjutant skoczył na komiu wtył szeregów.

Ruszyli ułani. Pod nawisającemi nad mimi zielonemi płetwami dwurzędnych, odwiecznych kasztanów, z parskaniem koni na dobrą wróżbę, wśród miarowych odgłosów ich stąpań, jechali powoli ku bramie. Na przedzie muzyka pułkowa grzmiała skoczną piosenkę. Wojacy podchwycili ją chórem:

— Ułani, ułani, malowane dzieci,
Niejedna panienka za wami poleci!
Niejedna panienka i niejedna wdowa
Za wami do piekła polecieć gotowa!
Kochają was panny, lecz kochają skrycie,
Każda za ułana oddałaby życie.
Hej, hej, ułani, malowane dzieci...

Z żołnierskich piersi leciała po rannej rosie dźwięczna melodja na pola, na łany, na bory, na lasy — leciała wdał jak chmara rozświegotanych jaskółek, wyprzedzając bohaterskie szeregi obrońców niepodległości Polski.

## ODRĘBNY ŚWIAT.

Klasztor Maltanek, zbudowany na wysokiej górze, widny był zdala wnet po przejechaniu miasta. Dorożka, wioząca panią Verę i Anię, wydostała się na dobrze utrzymaną szosę, tocząc się gładko, acz niezbyt pośpiesznie. Krajobraz przedstawiał się mile oczom jadących. Zorane gdzieniegdzie pola wykazywały urodzajną glebę, piękny las na horyzoncie potwierdzał to pierwsze wrażenie, a biały poważny budynek klasztorny, okolony zielonemi wieżycami świerków, zdawał się być symbolem higjeny i zdrowia. Przez duży ogród, założony na stokach góry, wjechano do wnętrza posiadłości Maltanek. Siwy koń dorożkarski piął się leniwo po szerokiej alei, mającej doprowadzić do celu podróży, a serce Ani biło mocno w piersi pomimo, iż spokojna twarzyczka nie zdradzała doznawanych przez nią uczuć przykrości i lęku. Znów miała być sama wśród obcych! Ileż razy w jej życiu powtórzy się ta ciężka próba duchowa?! Ileż razy jeszcze zmuszona będzie do „liczenia tylko na siebie?!" Jakże nieprzeniknionym jest ten niemy głaz, rzucany jej przez los na burzliwym szlaku życiowym! Co kryje się teraz za nim?! Trzeba obejść go odważnie i spojrzeć w twarz Przeznaczeniu! Ciocia Ewelka wierzy w nie, a stryjenka Konstancja przeciwnie — twierdzi, że człowiek na to ma wolę i rozum, aby zapanował nad okolicznościami! Któraż z nich ma słuszność?!

— Bardzo mile wyglądają te dziewczynki, spaceru-

jące grupami po ogrodzie klasztornym. Niektóre są urocze poprostu! — przerwała milczenie pani Przedborowa, obrzucając bystrem spojrzeniem zadumaną córeczkę. — Koleżeństwo ma swój czar i zostawia wspomnienie na całe życie. Przekonasz się o tem, Aniu!

— Dotychczas mamusia była moją „dziewczynką“ i nie odczuwałam potrzeby innej przyjaciółki! To jeszcze jedno dziwactwo wśród mnóstwa wad, podkreślanych z amatorstwem przez „mieszkanki dworku!“

— Dziwię się, że zaprzątasz sobie niemi głowę w chwili tak bliskiego naszego rozstania — niechętne skrzywienie wygięło usta pani Very.

— Bo mamusia nie wie, co mi pani Paulina oznajmiła wczoraj na pożegnanie: — Ucz się, Aniu, wytrwale i pilnie, abyś nie potrzebowała wisieć u pani marszałkowej na klamce!

— To już bezczelność poprostu! — błysk gniewu strzelił z siwych oczu jadącej. — I cóżeś ty jej na to odpowiedziała?

— Ani jednego słowa. Zrobiłam się taka „nieprzenikniona“ jak mi to mamusia czasem wyrzuca i karmiłam dalej Lordzika, bo to było w kuchni, mamusiu. Ją to najwięcej złości, doprawdy.

— Jak ona śmie rzucać takie aluzje! Pomimo dobroci stryjenki marzę o chwili, gdy będziemy u siebie z tatusiem. Ta powojenna drożyzna uniemożliwia stworzenie najskromniejszego nawet gniazda.

— Biedna mamusia! — szepnęła Ania tak cicho, że słowa jej nie doleciały uszu młodej kobiety. Uczuła tylko pieszczotliwe dotknięcie maleńkiej rączki. Zwróciła się żywo całą postacią w stronę dziewczynki:

— Aniu! Postaraj się zwalczać twój upór! Byłabyś taka miła, taka pociągająca! Dobrze?!

— Postaram się, mamusiu!

Kolankowaty siwek, nie wierzący snadź w przeznaczenie, o czem świadczyło coraz wolniejsze tempo jego obiecującego z początku kroku, usłuchał z zadowoleniem głosu swego chlebodawcy i stanął na miejscu, wbijając w ziemię drżące ze starości nogi. Masywne, dębowe drzwi trzypiętrowego, okazałego budynku rozwarte były naroścież, gdyż tego dnia ruch przed klasztorem był niezwykły. Wracały z wakacyj letnich dawne uczennice i przywożono nowe.

Pani Vera wysiadła żywo z dorożki i weszła do wnętrza zakładu. Czarna postać zakonnicy z powłóczystym welonem dążyła na jej spotkanie, schodząc wolno z białych marmurowych schodów. Była to matka d'Espailles, francuska rodem, prawa ręka przełożonej, a nawet — jak twierdzili wtajemniczeni — istotna kierowniczka klasztoru. Na jej uprzejme przywitanie pani Vera odpowiedziała tak wytworną francuszczyzną, że zadziwiła nią Paryżankę, umiejącą ocenić zalety światowe.

— Pozwoli Matka, że się przedstawię. Alfredowa Przedborowa z Ukrainy. Przywożę moją córeczkę w nadziei i pewności, że pod światłym kierunkiem Matek, wyrośnie na równie niepospolitą dziewczynę, jak te wychowanki Maltanek, z któremi spotykałam się w świecie!

— *Vraiment, chère madame?!* Bardzo to dla nas pochlebne! Miłą ma pani córeczkę! Słyszałyśmy już o jej zdolnościach i inteligencji, rozwijanej przez panią. (Ania pocałowała Matkę d'Espailles w rękę uległa, ale obojętna). *Tel arbre — tel fruit! Bonjour, chère petite! Nouns serons amies, n'est — ce pas?*

— To serdeczne powitanie jest dobrą wróżbą — oznajmiła pani Vera radośnie. — Mam do Matki wielką prośbę. Moja dziewczynka jest wątła, chociaż nic jej nie

dolega, ale doktór zalecił ostrożność i sen, dłuższy niż na to zezwala regulamin klasztorny. Czy mogę spodziewać się pobłażliwości w tym względzie?! Przeszliśmy tyle pod bolszewickiemi rządami, a raczej pod dzikim, terrorystycznym bezrządem?! Wiemy, co to głód, nędza, bezdomność! Straciliśmy piękny majątek! — prosiła nietyle głosem, ile spojrzeniem pysznych siwych oczu, ocienionych złotawemi rzęsami.

Twarz Matki d'Espailles sposępniała nagle, jakgdyby chmura nasunęła się na jej wypogodzone oblicze. Rygorystka z natury, ascetka z przekonania, nie uznawała żadnych wyjątków z reguły klasztornej, chyba w jednym wypadku, gdy były one związane z dobrem i rozwojem klasztoru.

— Wobec pani wyjaśnień sądzę — powiedziała miarowym tonem — że sanatorjum byłoby stosowniejsze dla córeczki pani, niż zakład wychowawczy.

— Wygnańcy nie mają środków na tak kosztowne kuracje! — odparła pani Vera, przybierając mimowoli obronną postawę. — Szkoda przytem czasu! Zresztą nasz doktór nie skazał Anię na przerwę w naukach. Można pogodzić studja z dbałością o zdrowie. Czy będę mogła widzieć się w tej sprawie z Matką Przełożoną?!

— Oczywiście, *cherè madame!* Wątpię, aby miała odmienne zdanie. Znam ją *â fond. Je présume qu'a son grand regret, elle sera obligée de declinér votre demande.*

Pomimo tych zapewnień energiczna wygnanka uzyskała zgodę przełożonej na umieszczenie Ani w „małej" sypialni, gdzie parę jeszcze dziewczynek miało wraz z nią korzystać z dobrodziejstwa snu, dłuższego o całą godzinę od wymienionej w regulaminie. Stary kresowy ród Kuleszów, z którego wywodziła się Matka Przełożona Maltanek nie stracił widocznie dla niej uroku rycerskiej

legendy, gdyż wysłuchała uważnie i ze współczuciem skrótu tragicznych dziejów obojga Przedborów, przyrzekając zwrócenie bacznej uwagi na wątłą ich latorośl.

Posłuchanie u przełożonej zabrało sporo czasu i gdy pani Vera zeszła na parter, do salonu, nie zastała już tam Ani. Wspólna kolacja w refektarzu zgromadziła wszystkie uczenice przy dziesięciu dużych stołach. Czas naglił, by wracać do Dębicy i poszukać odpowiedniego noclegu, ale troskliwa przybrana matka nie mogła opuścić swej dziewczynki bez serdecznego uścisku i dodania jej odwagi. Wyczuwała bowiem znakomicie niepokój, wrzący w tej szczelnie zamkniętej duszyczce. Wreszcie znana dobrze zgrabna, szczuplutka figurka stanęła w otwartych drzwiach olbrzymiej sali i, przebiegłszy szybko przestrzeń dzielącą ją od istoty tak bliskiej i prawdziwie kochanej — przytuliła się do niej w milczeniu.

— Muszę powiedzieć ci już dobranoc, córeczko! Dębica będzie dziś przepełniona osieroconemi matkami, których córki urządzą też na swoją rękę tu, w klasztorze, rodzaj kociej muzyki! Zobaczymy się jutro. Przyjadę po obiedzie i zostanę z tobą, aż do wieczora — gładziła Anię po jasnych włosach, dobra i macierzyńska w każdem słowie. — Czy podobały ci się twe koleżanki? Może masz miłe, wesołe, sąsiadki przy stole?! A kolacja?! Czy smaczna?! Nie jesteś głodna, nieprawdaż?! A może gardełko się zacisnęło ze wzruszenia?

— Nie, mamusiu! Jadłam, ale nie smakowało mi wcale. Dużo było wszystkiego, tylko niedbale przyrządzone i zimne!

— Czyż to może być? Nie wybredzaj moje dziecko.

— Ja zawsze mówię prawdę, mamusiu. A koleżanek taka moc i taki szalony gwar był w refektarzu, że głowa

mię rozbolała. Jestem tak zmęczona, że nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Więc żegnam cię, dziecinko kochana! Nasz siwek wypoczął sobie i czeka na mnie cierpliwie — wstała, kierując się ku wyjściu.

— Odprowadzę mamusię — wsunęła rączkę pod ramię pani Very, czując w tej chwili wzrastający smutek na myśl o jej jutrzejszym odjeździe.

Na drugi dzień o świcie poważne tony wielkiego dzwonu, umieszczonego nad klasztorem, wyrwały Anię z głębokiego snu. Odsunęła śpiesznie białą firankę i wychyliła ostrożnie główkę. Obszerny *dortoir*, podzielony na liczne alkowy, tonął w mroku i w ciszy. Tylko tuż obok, za przepierzeniem słychać było lekki szmer ubierającej się osoby.

— Widocznie nie dla nas przeznaczony ten sygnał! Dzięki Bogu! — pomyślała dziewczynka, wyciągając się z zadowoleniem na wygodnem łóżku.

Zasnąć jednak nie mogła. Uporczywa myśl o rozstaniu się z mamusią i nieświadomość co do nowego układu życiowych warunków podnieciły jej czujność tak silnie, że chęć do snu zniknęła w mgnieniu oka.

Powtórne dźwięki małego dzwonka w dortoirze postawiły ją odrazu na równe nogi. Dotychczasowa senna cisza zmąciła się nagle wtargnięciem w nią Życia. We wszystkich alkowach zawrzał ruch gorączkowy. Słychać było chlupanie wodą, tupot bosych nóg, przyciszone rozmowy, szelest nakładanej bielizny...

Ania ubierała się zwinnie i nagle — omal nie wydała głośnego okrzyku przestrachu. Ręka w czarnym habicie, trzymająca kropielnicę ze święconą wodą, wsunęła się do jej alkowy i — znikła za chwilę.

— Trzeba było pewno umoczyć palce i przeżegnać się — zrozumiała poniewczasie.

Ochłonąwszy z wrażenia, dziewczynka wyszła na salę. Koleżanek przybywało nieustannie, a wszystkie gromadziły się przy drzwiach wyjściowych. Pośrodku dortoiru przechadzała się Matka von Eschenbach, nakazując łagodnie: — *Silence, mes enfants! Mais mais mais on ne parle pas au dortoir!* — klaskała przytem w dłonie, jakgdyby podkreślając te słowa. — *Faites vos rangements!*

— *Avancez, mes enfants!* — powiedziała — nareszcie, widząc, że wszystkie są gotowe i stuknęła głośno „signal'em".[1]

Dawne uczennice, pojmujące znaczenie tego odgłosu, tajemniczego dla „nowych", ruszyły natychmiast z miejsca, schodząc na niższe piętro do *salle d'études*. Tu — napływały z innych dortoirów karne szeregi wychowanek, z towarzyszącemi im Matkami, z których każda, rzuciwszy stereotypowe: — *Merci, mes enfants!* — znikała z sali. Władza przechodziła w ręce, specjalnie do tej misji przeznaczonej Matki Roullières, wysokiej kościstej Bretonki, niesłychanie sumiennej i pedantycznej.

— *Faites vos rangements! Rangez vous, mes enfants!* — wygłaszała tonem, nie znoszącym opozycji, która nie postała nawet w umysłach dziewcząt. Z subordynacją niemal wojskową tworzyły odpowiednio do wzrostu szeregi, grupując się klasami i narzucając śpiesznie, wydobyte przed chwilą z pulpitów welony. Klasnął „signal" w rękach Matki Roullières i długi wąż granatowych mundurków jął wychodzić karnie ze szkolnej sali do kościoła, na ranną mszę świętą. Prowadziły najwyższe, na

[1] Rodzaj maleńkiego drewnianego pudełeczka z umieszczonemi wewnątrz obrazkami Najśw. Serca Jezusowego i Serca Matki Boskiej.

końcu — szły małe. Wielki ołtarz w kościele zawsze był pięknie przystrojony kwiatami z własnego ogrodu, czarował też wychowanki, budząc w nich uczucie pobożnego zachwytu i mistyczny nastrój. Podczas nabożeństwa pełna skupienia cisza panowała w kościele. Na jej tle odcinał się donośnie głos księdza, odprawiającego świętą ofiarę, a dzwoneczki na podniesienie zdawały się przyzywać zebrane tu dusze w lepsze, zaziemskie krainy. Kłonił się nisko ku ziemi, przemożnym rozkazem zniewolony, łan czarnych, albo białych na wielkie święta welonów. Codzienna komunja święta miała na celu zaprawianie młodziutkich istot do pracy duchowej nad sobą. Dziewczęta klęczały do końca mszy świętej, a potem siadały w ławkach, oczekując na suchy odgłos „signal'u". Wówczas to granatowe szeregi opuszczały sprawnie przybytek modlitwy, dążąc na pierwsze śniadanie do refektarza. Każdy stół miał prezydentkę i sous-prezydentkę, wybrane z pośród uczennic. Krótka modlitwa i — kawa z mlekiem. Chleba poddostatkiem, a z przeznaczonej dla każdej uczennicy żółtawej kulki, tworzyła się — jak określały dowcipnisie — „chmurka maślana". „Signal" Matki Roullières zezwalał wyjść do ogrodu ponieważ była to niedziela. Ania błąkała się po alejach rozległego parku, gdzie jednak miejsce przechadzek ściśle było oznaczone, nie starając się zapoznać z koleżankami. Jej wybitnie indywidualna natura dławiła się w ramach klasztornego regulaminu, ogłuszona dzwonkami i „signalami". Samotna i milcząca usiadła na ławce, oparła się łokciem o poręcz, przysłoniła ręką oczy i odbiegła myślami w przeszłość.

Głuchy trzask furty w Piasecznej, zamykającej się za nią po odjeździe „mamuchny", odtworzył się w jej pamięci ze zdumiewającym realizmem. Przecierpiała wówczas tak wiele „biedna ptaszyna w klatce", jak mawiał

z żałością poczciwy Jacenty, ale czuła się daleko swobodniej, niż tu, w tym klasztorze. Tam — były chwile, gdy rozluźniano więzy dozoru, tu — nie zanosi się na to wcale.

Sama tego pragnęła! Tak! Prosiła gorąco swoją mamusię, aby ją oddała do tego zakładu! Trzeba być logiczną i poddać się ciężkim warunkom. Cztery lata — nie wieczność! Miną — jak wszystko mija, a uzyskany dyplom będzie tem cenniejszą nagrodą. Uczyć się będzie wytrwale, pozna obce języki. To najważniejsze. Później kursy handlowe i — świetna, świetna posada! A święta?! Boże Narodzenie nie za górami! Cztery miesiące. To nie tak wiele! Pojedzie do Przymilepek, tatuś dostanie urlop, będą razem we troje! Ach! jaka szkoda, że i tam są ciernie... Dlaczego im dokuczają?! Stryjenka powinna więcej cenić mamusię. Kochana Czereszeńka! Jak tam było cudnie i miło! Cóż robić?! Taki nasz los!

— Do klas! Do klas dziewczynki! — rozległo się naraz głośne wołanie.

Gdzieś w dali zadźwięczał doniośle dzwonek, a w ślad za nim doleciał głos Matki Roullières: — *Ranges vous, mes enfants!* — poparty suchem klaśnięciem „signalu".

Ania porwała się z ławki jakgdyby zacięta szpicrutą. Jeszcze tego brakowało, aby jej czyniono wymówki za przekraczanie regulaminu! Dość będzie, gdy się mu podda z zaciśniętemi ząbkami! Wystarczy na jedną małą, ale samodzielną dziewczynkę!

Wszystkie uczenice gromadziły się w dwa szeregi przed budynkiem klasztornym, który je wchłaniał przez otwarte drzwi niby czeluść owego słynnego pieca w Sparcie, gdzie matki wrzucały sześcioletnie chłopięta, by je oglądać kiedyś z dumą w glorji wojennej sławy.

— Grupujcie się, dziewczynki! Każda klasa razem!

Pójdziecie na pierwsze piętro! — tłumaczyły dawne wychowanki „nowym“.

Ania znalazła się wraz z koleżankami w sali obszernej i jasnej. Gospodyni IV klasy, Matka Korytowska, przeczytała swym uczenicom program na cały rok szkolny, wymieniła kolejno ilość i godziny lekcyj, zaznajamiając się z nowoprzybyłemi i rozmawiając przyjaźnie z temi, które znała z lat poprzednich. Ogromnie inteligentna, o szerokich horyzontach myślowych, rzeczowa w wykładach — przedstawiała typ profesora, ceniącego wiedzę ponad wszystkie inne ziemskie zdobycze. Wyrazista jej twarz o wydatnych rysach i bardzo pięknych źrenicach, obrzeżonych długiemi rzęsami, umiała wzbudzić w powierzonych jej dziewczętach szacunek i posłuch. Trzymała klasę w ręku, zbierając wzamian nawet od najniesforniejszych uznanie dla swej wyższości duchowej i umysłowej. Na ten pochlebny sąd zasłużyła rzetelnie, albowiem potrafiła zaszczepić w swych wychowankach przekonanie, iż mają się uczyć nie dla dobrej „noty“, ale poprostu — dla siebie.

— A teraz rozpakujcie się, moje dziewczynki i poukładajcie swoje rzeczy w pulpitach! *Rangez vous, mes enfants! Faites vos rangements! Nous alons à la salle d'études!* — zakończyła swe przemówienie Matka Korytowska.

Te słowa, poparte nieodzownym „signalem“, stały się jakby sygnałem do, wybuchającej naraz wrzawy dziewczęcych głosików. Wychowanki, ustawiając się w szeregi, mówiły wszystkie naraz, korzystając z przywilejów pierwszej, powakacyjnej niedzieli. Kierowniczka ich znosiła ten hałas z wyrozumiałym półuśmiechem na ustach.

— Matko?! Dlaczego Ela Woroniecka dotychczas nie przyjechała?!

— Nie nudź Matki! Czyż nie wiesz jak jej trudno wyrwać się z domu?!

— Matka nie napisała do mnie ani razu! Dlaczego, Matko?!

— Ile nowych dziewczynek mamy w naszej klasie?!

— Ja już porachowałam! Dziesięć przybyło! Nieprawdaż, Matko?!

— Cudowne miałam wakacje! Jeździłam konno po całych dniach!

— A ja byłam nad morzem, w Jastarni!

— A ja wracam ze ślubu mego kuzyna, Radziwiłła! Wytańczyłam się za wszystkie czasy!

Te wykrzykniki nie przeszkadzały automatycznemu niemal formowaniu szeregów, poczem Matka Korytowska zawołała:

— *Avancez en silence, mes enfants!* — dając powtórny znak „signalem“, że wśród zaległego milczenia, uczennice mogą już ruszyć z miejsca i dążyć do *salle d'études.*

Tu — stały jedne za drugiemi trzyosobowe pulpity, znaczone numerami podobnie jak wszystkie ubrania i rzeczy, należące do wychowanek klasztoru. Na poprzecznej ścianie wisiała piękna kopja Rafaelowskiej Madonny della Sedia, a na wzniesionej pod nią estradzie ustawiony był stół i krzesło dla dyżurującej tu, na zasadzie kolejności — Matki. Ania odszukała swój numer 54 i zajęła boczne miejsce. W milczeniu układała książki i zeszyty w swoim pulpicie. Wokoło niej szum rozmów nie ustawał na chwilę, zabarwiając się niekiedy kaskadą przytłumionego śmiechu. W rzeczywistości najściślejsze milczenie panowało zwykle w pulpitowej sali, ale ten pierwszy dzień po wakacjach był jakby pomostem między klasztorem, a światem, i kompromisem surowego regulaminu z powracającemi doń wychowankami. Matka Delacroix, Paryżanka o wykwint-

nym sposobie bycia, staranna w ubiorze, świetna nauczycielka francuskiego języka, przechadzała się po sali w milczeniu.

Siedząca po prawej stronie Ani dziewczynka brała żywy udział w tem pierwszem koleżeńskiem zebraniu. Kręcąc się na swej ławce, rzucała tu i tam zabawne, trafne słówko, wzbudzając jeszcze większy przypływ tłumionych chichotań. Śmiały się przytem jej jasno zielone oczy, pogłębiały się małe dołeczki na mleczno-różanych policzkach, wstrząsała się zuchowato ruda czuprynka, a delikatne nozdrza sprytnego, lekko zadartego noska, drżały od tłumionego również śmiechu.

— Przepraszam cię, Mruczku! — zaczepiła Anię wesoło, gdy się ich łokcie mimowoli zderzyły. — Jesteś „nowa" i zupełnie „klapnięta!" Wszystko w porządku! Jak się nazywasz? Skąd przyjechałaś? — Oczy ich się spotkały.

— Podobna trochę do Hali — pomyślała Ania i pod wpływem zrozumiałej sympatji odpowiedziała chętnie: — Jestem Ania Przedborówna z Ukrainy.

— Przedborówna?! Czekaj, no, czekaj! Coś o nich słyszałam! Mój stryj zwarjowany na punkcie rodów polskich! Śpi z herbarzem pod głową! *Ni plus, ni moins, ma chère!* To, zdaje mi się, antyczna szlachta kresowa? Czy tak? Ooo! Co za malszansa! Obrali was bolszewicy z majątku, niby pomarańczę ze skórki! Wiem! Pani Marja Branicka z Białej Cerkwi, to jakaś *cousine* mego papy. Co ona tam przeszła, biedaczka! Te łotry chciały jej gwałtem „wypuścić kiszki z brzucha!" *Quelle horreur!* Tak ryczeli, goniąc za nią po całym pałacu! Ale schowała się w porę i z przyjemności — figa! *Bonjour,* Hela! — rzuciła nagle w bok powitanie. — Ślicznie wyglądasz! Przybyło ci z jakie dwa kilo conajmniej.

— Już naostrzyłaś żądełko, litewski komarze?! — od-

parła wesoło, bez cienia urazy, ładna, ale nieco zbyt pełna brunetka. — Zatęskniłam w Krynicy za twemi „powiedzonkami!"

— *Charmée, mon amie!* Przygotowałam dla was solidną porcję przez lato! — zwróciła wmig głowę ku przysłuchującej się Ani:

— Muszę ci się przedstawić, Mruczku! *Avant tout* — dobre maniery! Tak nas poucza Matka von Eschenbach, Wiedenka i ongi dama dworu biednego Franciszka Józefa. Zobaczysz, z jaką dystynkcją unosi zlekka habit i chyli się w dworskim, wytwornym reweransie! Naśladujemy ją wszystkie, bo tak musimy dygać przed Matką Przełożoną. Co ja chciałam powiedzieć?! Aha! Już wiem! Nazywam się Jadzia Puciatówna z Litwy. Ród też stareńki, a i podskubany jak wy. Bracia Litwini nie uznają testamentu Zygmunta Augusta i nienawidzą nas zamiast kochać! Skonfiskowali nasze majątki, ale „Puciata zawsze się jakoś przekołata!" Mieliśmy kęs ziemi na Wołyniu, ot, taki sobie niezły kąsek, bo piętnaście tysięcy dziesięcin! Dawniej kręciliśmy nosem na te „piaseczki" i polowaliśmy tam na cietrzewie. Teraz — rodzina patrzy łaskawiej na ten szmat „miłej Ojczyzny"! Uśmiechasz się, Mruczku? To dobrze. Śmiech to zdrowie, jak twierdzi mój papa, a ty jesteś blada i szczupła. Śmiej się, złotowłosy paziku!

— Dokąd ona idzie?! — wyrwało się nagle Ani, pełne zdziwienia pytanie na widok jednej z dziewczynek, która wzięła przed chwilą ze stolika na estradzie małą deseczkę ze zwisającą błękitną wstążeczką i znikła wkrótce za drzwiami.

— Do „Fontanki"! To jedyne miejsce, gdzie wolno nam iść bez opowiadania się Matce, a i tam znajduje się nieustannie Siostra. Dziwisz się, *ma chère?* Prawda, że je-

steś „nowa“! Ja ci to zaraz wyklaruję z ochotą. Każda Matka ma swój dział, a my przechodzimy z jednej opieki pod drugą *sans pouvoir crier: — Pitié, ma Mère!* — Przy lekcjach — Matka, na rekreacji — Matka, przy obiedzie — Matka, nawet w nocy w dortoirze — Matka! Ja sobie nieraz myślę, jakie to poświęcenie i jakie one muszą być szalenie zmęczone, bo wstają na ranne modły o czwartej!

W tej chwili wysoka, szczupła dziewczynka porwała się od swego pulpitu, zerknąwszy poprzednio na zegarek, umieszczony w bransoletce na ręku i wypadła z sali. Niemal natychmiast zabrzmiał dzwonek, wiszący na korytarzu, a nieco odmienne, słabsze tony małego dzwoneczka oddalały się, zacichając wśród grubych murów.

— Czy to ona tak dzwoni?! — spytała się Ania z zaciekawieniem. — Dlaczego? Jak się ona nazywa?

— Nazywamy ją Anula „Stary Koń“! — wyjaśniła Jadzia, przymrużając śmiejące się oczy.

— Stary Koń?! Taka ładna dziewczynka?! Nic nie rozumiem! Dlaczego to brzydkie przezwisko?!

— Zdaje się, to ich herb! — rzuciła Jadzia niedbale. — A przytem Matki włożyły na nią obowiązek manewrowania dzwonkami. To mały, to duży, to na korytarzu, to w salach! Otwiera nawet ze strachem Bożym drzwi do Kominoty i dzwoni, odwracając świątobliwie głowę! Oto jest wynik genewskiego zegarka na ręku.

— Co to „Kominota“?! — dopytywała się Ania z rosnącem zainteresowaniem.

— No, *Comunauté!* Rozumiesz?! Ściśle oddzielona część klasztoru, przeznaczona li tylko dla zakonnic! — oświecała Jadzia nowoprzybyłą koleżankę, przyglądając się jej życzliwie. — Podobasz mi się! Wiesz, że ta linja brody — dotknęła lekko palcem twarzy Ani — dowodzi,

że masz charakter, a nawet hm! uporek! To lubię! Ślamazarne podloty nie w moim guście! Mam zdolności malarskie i wcale nieźle chwytam podobieństwa. Może będę kiedyś Bilińską, albo Boznańską, *ma chère?*

— Jadziu! Przestań już gadać z tą „nową" i opowiedz nam lepiej coś zabawnego — prosiły ją dziewczynki z sąsiadujących pulpitów.

— *Donnez moi la paix, mes enfants!* — wychyliła się zwinnie w ich stronę. — Do Bożego Narodzenia długie cztery miesięce! Wypaplamy się na „kąże" do syta! A ta mała nie zna nikogo i jest całkiem „speszona"! Przypomnijcie sobie jak było z wami na wstępie?! Hm?! *C'est ça, mes amies!* — odwróciła się znów mleczno-różową twarzyczką ku Ani, w serduszku której wzrastało przyjazne uczucie.

Szafirowe jej oczy spojrzały z wdzięcznością na koleżankę:

— Dziękuję ci, że chcesz ze mną rozmawiać!

— *Pas de quoi, ma chère!* Wiesz jak się nazywa dziewczynka, która będzie siedziała pomiędzy nami? Janka Zaleska, też z Ukrainy. Taka sama niemowa, jak i ty! Wieją wichry na bujnej Ukrainie i dlatego pewno trzymaliście usta stale zamknięte, aby się nie przeziębić?! Co?! Na środkowych miejscach siedzą „dzieci Marji", albo „medale świętego Stanisława". A ta przed nami, oparta o ścianę — to Hela Myszkowska. Śliczne ma nóżki, a sama grubulka! Dlatego nazwałyśmy ją „Dynią". Podobna do cyganki z temi ognistemi, czarnemi oczami i z tym grubym, kasztanowatym warkoczem. Chcę zrobić jej portret. Nosek ma jak marzenie. Jej ojciec jest ministrem w odrodzonej Polsce, a ona też pomysłowa! W przeszłym roku straszny był skandal, chcieli ją wylać! Matka znalazła w jej sakwojażu zupę chlebową we wszystkich flaszeczkach, a kotlety i troszkę kompotu z pieprzem zamiast cynamonu w słoiczkach! Zasypała ją pytaniami:

— A na co to? W jakim celu?! — Nasza Hela stoi jak ten Dewajtis, ani drgnie, ani się zawaha. — Chciałam zawieźć do domu — mówi — niech się przekonają, jakie to okropne, bo mnie nie wierzą! A-wan-tu-ra!

— No i co? — Ania wstrzymywała dech w piersiach.

— Nic. Została, jak widzisz. Córka ministra, to nie szpilka, która wypadnie z poduszki!

— A ta zupa i te kotlety?!

— Także zostały i nie zmieniły smaku. Matka Wright, Angielka, czy Holenderka, zarządzająca klasztorną kuchnią, ma silny charakter! Trzeba to cenić! „Charakter — to ster w łodzi życiowej“! jak wmawia we mnie mój papa. To dopiero *gentleman jusquau bout des ongles, ma chère!* A co słowo — to dowcip! Niektórzy twierdzą, że to cecha rodzinna! — tu Jadzia spuściła oczy i zesznurowała z robioną skromnością usta.

— Czyż to być może?! — przysłuchiwała się Ania niedowierzająco. — Najlepszy klasztor w Polsce, a ty mówisz, że jedzenie okropne?

— Rzecz gustu! jak twierdzi mój papa. „Nie trzeba sobie dogadzać“! — pouczają nas Matki. Zresztą — różnie bywa! A co do klasztoru, to prawda, że powodzenie ma szalone poprostu! „Skończyłam zakład Maltanek“! To bardzo dobrze uważane jest „w świecie“! Toteż pchają się tu wszyscy jak na wyścigach! Z początku było tu osiemdziesiąt dziewczynek, potem sto, a w tym roku aż sto i trzydzieści. Masz tu Radziwiłłówną, Zamoyską, Potocką, Branicką, dwie Wodzickie, trzy Chołoniewskie, dwie Tyszkiewiczówne, pięć Sobańskich, Chłapowskie, Brzozowskie i Grocholskie z Podola, Cieńska, Dziekońska itd. *Des nom rrronflants, ma chère!* Teraz ty w dodatku przybyłaś. Przedborówna lepsza napewno od różnych pnących się „nuworiszek“, których tu również nie brak!

— Moja mamusia uważa, że trzeba własne zasługi dorzucić do starożytności pochodzenia! — wsunęła Ania pełne przekonania słowa.

— Twoja mamusia ma rozum! Mój papa także gwiżdże na utytułowanych próżniaków! Mówi, że to kaleki! Spójrz na prawo! Tam rozmawia z Matką drobna, szczuplutka blondyneczka z ciemno-zielonemi oczami. Widzisz? To Luna Boska. Wołamy na nią czasem Zosia Boska, znasz Trylogję, nieprawdaż? A czasem przepowiadamy jej, że gdy tu zostanie i przybierze imię Marji, to klasztor będzie miał swoją własną Matkę Boską! Co ty na to, milczący Kozibródku?

— Prędko wyszukałaś i dla mnie przezwisko, ty litewski komarze! — odcięła się rozweselona Ania.

— Widzę, że i ty miałabyś cięty języczek, gdybyś go nie trzymała tak mocno za zębami! A co do przezwisk, to Matki bardzo tego nie lubią, nawet zabraniają, ale nie mogą wykorzenić tradycyjnego zwyczaju wychowanek klasztornych. Niech się trochę pośmieją, nieprawdaż? Mój papa powstrzymuje stanowczo każde słówko krytyki naszego tu życia. Ale niechby tak kochany papa stanął trzydzieści razy dziennie do „*rangements*“ i nie skrytykował! Powiedziałabym wtedy:

— Cześć ci, bohaterze!

— Trzydzieści razy! — powtórzyła oszołomiona Ania — Przesadzasz!

— To policz sama! — poradziła ze szczyptą ironji Jadzia. — Lepiej byłoby pobiegać na świeżem powietrzu. A tak — szkoda czasu i atłasu!

Tymczasem Anula „Stary Koń“ wybiegła znów z sali. Dzwonek na korytarzu zakołysał się rozgłośnie, poprzedzając srebrzyste dźwięki małego dzwoneczka, który zabrzmiał w *salle d'ètudes*, potrząsany sumienną rączką

wychowanki klasztornej. Trzepotał się dalej metaliczny i czysty, dopóki Anula nie obleciała wszystkich sal i nie dotarła do „Kominoty".

Za chwilę Matka Roullières ukazała się w progu:

— *Le dîner, mes enfants!* — klasnęła signalem, schylając głowę w ukłonie przed wychodzącą i również kłaniającą się jej Matką Delacroix.

W sali zawrzało. Dziewczynki kończyły śpiesznie porządkowanie w pulpitach, inne szły do „fontanki" myć ręce, „nowe", onieśmielone i nie wiedzące jak się mają zachować — wstawały z ławek, czekając na dalsze zarządzenie zwierzchniczki.

— *Rangez vous en silence, mes enfants!* — drugie nakazujące klaśnięcie.

— *Avancez maintenant! Silence!* — trzeci znak wszechwładnym signalem wprawił w ruch, stojące nieruchomo dziewczynki, które wyszły miarowym krokiem z sali, schodząc na dół, do refektarza.

Tu — szeregi złamały się wjednej chwili, a uczennice jęły zajmować wyznaczone im zgóry miejsca. Hałas odsuwanych krzeseł obijał się wśród ogólnego milczenia o białe ściany i tylko rozkazujący głos Matki d'Espailles, dyżurującej w jadalnej sali, wibrował donośnie:

— *En silence, mes enfants! En silence!*

Wreszcie nastała zupełna cisza. Klasnął upragniony tym razem signal:

— *Vous pouvez parler, mes enfants!*

Szalony gwar trysnął naraz w refektarzu. Prezydentki baczyły pilnie, aby rozmowy toczyły się li tylko po francusku. Nowy signal Matki d'Espailles pozwolił sousprezydentkom rozdawać potrawy, z czem nie miały wielkich trudności, gdyż wazy, półmiski i salaterki stały oddawna na stołach, jeszcze przed ukazaniem się grana-

towych szeregów. Ania, zobaczywszy ulubioną pomidorową zupę, podała swój talerz Heli Myszkowskiej, sousprezydentce jej stołu z nieśmiało wygłoszoną prośbą o „solidną porcję“. Otrzymała przelewający się talerz zpowrotem przy wtórze uprzejmych słów starszej wiekiem i klasą „Dyni“:

— *Bon appétit, mon enfant!*

To koleżeńskie życzenie okazało się wnet przykrą złośliwością, gdyż zupa była tak niefortunną mieszaniną octu, cukru i pieprzu z pomidorami, że głodna dziewczynka z trudem ją przełykała.

— Holendersko-angielski smakołyk! — szeptała do niej wśród ogólnego gwaru Jadzia. — Powinniby dać nam teraz soda-whisky, *ma foi! C'est un manque de logique absolu! N'est ce pas, mon amie?* Widzę, że jesteś patrjotka i wołałabyś nasz zwykły, czerwony barszczyk? — Nie pokonałaś nawet połowy tej „solidnej porcji“! — dodała, a różowe nozdrza jej sprytnego noska drżały od powstrzymywanego śmiechu.

— *Pourquoi vous ne mangez pas, mon enfant?* — spytała Anię Matka d'Espailles, podchodząc do wstającej z krzesła dziewczynki.

— *On m'a donné une trop grande portion* — tłumaczyła się zmieszana.

— *Quand on demande beaucoup il ne faut rien laisser dans son assiette, mon enfant!*

Pieczyste z indyków, hodowanych na własnej fermie Maltanek, smakowało Ani ogromnie, chociaż zdołało już przestygnąć. Zaśmiała się krótko po słowach Jadzi:

— *Quelle dommage*, że ta *magnifique dinde* wypuściła ostatnią parę, *ma chère!* — poczem zajadały obie w milczeniu.

Za to deser wprawił „nową“ wprost w osłupienie.

Były to bowiem powidła, rozrzedzone wodą, z tonącemi w nich kawałkami bułki.

— Kolonjalna legumina! — żartowała Jadzia. — Konserwy, suchary i woda z Amazonki! *Un, deux, trois — c'est fait, ma mignonne!* Jedzmy, bo niczego innego nie dostaniemy i będziemy głodne. Poprosisz swoją mamusię, aby ci przysyłała „paczki". Jedne tem się ratują, a inne dopłacają śniadaniowe dodatki. *Que faire?!* Matka Wright jest patrjotką! Wprowadza narodowe angielsko-holenderskie potrawy!

— Całe szczęście, że Matki pozwalają na „paczki"! — odetchnęła lżej Ania, gdyż pieprzna zupa paliła jej podniebienie. Obiad był już skończony i dziwna mieszanina obfitości i kulinarnego niedbalstwa przejawiała się w zaskrzepłych, zostawionych na półmiskach potrawach. Widok ten uderzył wprost dziewczynkę, zaprawioną od najmłodszych lat do gospodarstwa i praktyczną z natury. Często słyszane zdanie stryjenki Konstancji: Niech się najmniejszy okruch nie marnuje! przy jednoczesnym widoku hojnego dzielenia się z potrzebującemi własnym dobrobytem i dachem — stawały wciąż Ani w myśli. Skrzętna jak mrówka pani marszałkowa wywarła snadź na nią bezwiedny wpływ, rozwijając poglądy, oparte w tym wypadku, na podobieństwie wrodzonych cech charakteru.

Signal Matki d'Espailles i hałaśliwy ruch krzeseł wtargnęły brutalnie w jej rozmyślania. Wstawano do krótkiej, dziękczynnej modlitwy, po odmówieniu której dźwięknął nowy signal:

— *Rangez vous, mes enfants! En silence, mes enfants! Vous pouvez aller au jardin!*

Tej pierwszej niedzieli brano w ryzy zwolna, przyzwyczajając do regulaminu nowoprzybyłe uczenice.

Karne szeregi wyszły przed klasztor i rozsypały się tu w nieładzie.

— Jadziu! Chodź do naszego „*camp!*“ — wołały dziewczynki, ciągnąc natrętnie koleżankę, znaną z mistrzostwa w „*Balle à la guerre*“, grze na świeżem powietrzu, zastępującej tu wszystkie sporty.

— Nie pójdę! Bawcie się same! Mam inne zajęcie!

— Ona tak oprowadza tę „nową“ jak Wirgiljusz Danta, — wygłosiła flegmatycznie Madzia Woroniecka, zwana dla swej urody „*Tota pulchra*“ (wszystka piękna) i nagle podniosła rękę do ust z przerażeniem.

Ośmioklasistki, mające przygotować się w tym roku do matury gimnazjalnej, rzucały sobie wzajem uśmieszki. Porównanie, w obecności czterech dyżurujących w ogrodzie Matek, zawierało istotnie sporą dozę komizmu.

— Szkoda, że nie oprowadzasz jej jako Beatrycza — odezwała się łagodnie jasnowłosa, o anielskiej urodzie Nuleńka Krasińska, zapisana oddawna do „dzieci Marji“.

Przechadzająca się wśród uczennic swej grupy, Matka Kraszewska, blondynka średniego wzrostu o białej, jakby porcelanowej cerze ze ślicznemi rumieńcami, spojrzała na swą uczennicę jasno błękitnemi oczyma:

— Cieszy mię, że tak dobrze znasz Boską Komedję, Nuleńko i wiesz gdzie w III części wędrował Dante, — uśmiechnęła się białemi jak perły ząbkami, nie podnosząc już poprzedniej „*gaffe'y*“, stojącej w milczeniu wychowanki.

Dziewczęta odpowiedziały jej również uśmiechem, gdyż lubiły ogromnie tę zrównoważoną i mądrą inspektorkę klasztorną, układającą co roku plan nauk dla klasztoru wedle państwowego programu szkolnego. Imponowała im swym dowcipem i umiejętnością podania w niewinnych słowach odpowiedniej, dotkliwej nieraz nauczki.

— Chodźmy na górę — szepnęła Jadzia do Ani. —

Wyjmiemy resztę rzeczy. Niektóre możesz ulokować w szafeczce w alkowie. Bielizna zostaje w „lanżerji“ pod wyłączną opieką Matki Albertini. Jej ojciec jest wielką figurą w gwardji papieskiej *et c'est tout dire, ma chère!*

— „Lanżerja“? — powtórzyła Ania, wsłuchując się w dziwaczne brzmienie — Co to jest?

— No, „*lin-ge-rie*“*!* Rozumiesz? Zajmuje całe górne piętro klasztoru, a porządek tam *sans reproche*, Kozibródku! Nie dostaniesz ani jednej sztuki własnej bielizny, jeśli nie dygniesz przed Matką Albertini i nie poprosisz o koszulę, albo o stanik!

Obie dziewczynki pobiegły na pierwsze piętro. Układanie rzeczy w alkowach i w *salle d'études* zajęło im sporo czasu, tembardziej że Jadzia opuszczała niekiedy nową swą koleżankę, witając się z nieustannie przybywającemi z różnych pociągów, dawnemi towarzyszkami. Uściski, słowa ździwienia, pytania, zachwyty, żale nad minionemi już wakacjami — napełniały salę odgłosem usuniętego z tych murów „świata“, powracającego teraz wszelako niby ruchliwa i głośna, chwilowa i zmienna fala.

Metaliczny, czysty głos dzwonka rozbrzmiał poważnie nad tym młodzieńczym gwarem, jako głos surowego, ale dobrowolnie obranego zwierzchnika.

— Będzie jakaś zmiana! — Jadzia zjawiła się obok Ani, patrzącej w milczeniu na te liczne obce, nieznane jej twarze. — Zaraz Matka Roullières stanie w progu i powie...

— *Rangez vous, mes enfants!* — zadźwięczał rozkaz zakonnicy, wchodzącej do sali. — *Faites vos rangements en silence! Nous allons aux classes! Avancez mes enfants!*

I znów długi wąż granatowych mundurków jął sunąć po korytarzu, zmniejszając się stopniowo, wchłaniany przez drzwi różnych klas. Ania znalazła się wkrótce

w znanej już sobie IV klasie. Matka Korytowska jęła rozdawać uczenicom potrzebne książki, tłumacząc jakiego rodzaju mają być niezbędne do nauki kajety.

— Zaprowadzę cię do Matki d'Arpé — powiedziała Jadzia — Kupimy u niej kajety, gumę, ołówki, słowem wszystko, czego potrzebujemy.

— Mamusia zaopatrzyła mnie przezornie, nieprawdaż? — podała piórnik.

— Bodaj to mieć mamusię! — westchnęła Jadzia tym razem bez żartobliwych dodatków. — Brakuje ci jednak kajetów. Chodź! Poznasz nową Matkę. Tamte są wysokie i bardzo postawne, a ta maleńka, jakby zasuszona w zielniku!

Gdy powróciły z zakupów, dzwonek rozległ się w klasie.

— Sygnał na podwieczorek! Zaraz będzie *rangement.* Czy sprawdzasz ilość *ma chère?* — figlarne zielone oczy zaglądały przekornie do szafirowych poważnych źrenic Ani. —Jestem tu od pierwszej klasy. *Un vieux loup, mon amie,* tylko nie morski, ale lądowy, *n'est ce pas?!*

Milczące szeregi zeszły de refektarza i siadły przy stołach. Signal Matki d'Espailles rozwiązał dziewczynkom usta. Refektarz wypełnił się szumnym pogwarem, jakgdyby wleciał doń rój rozbrzęczanych pszczół.

Ania piła herbatę z suchym chlebem, zasępiając się z każdą chwilą.

Dlaczego mamusia tak się ociąga z przyjazdem? Już czwarta wybiła! Przecież dziś rozstać się muszą na długo! Niedobra mamusia! Jak tęskno za nią! Jak tu obco! Jak dziwnie! A może mamusia już dawno czeka w salonie, tylko regulamin ma i na to swoją godzinę?!

Zatopiona w myślach, nie dostrzegła wejścia Matki Skórczewskiej, która, zbliżywszy się do dyżurującej w re-

fektarzu Matki de Castillo szepnęła jej parę słów. Tamta pochyliła na znak zgody głowę w czarnym welonie:

— *Le numero 54— au salon!* — wydała dobitne rozporządzenie.

Ania porwała się z krzesła i wyleciała z sali. Drzwi od salonu były napół uchylone. Cisza tu panowała jakby w świątyni. Przez hall wejściowy przesunęła się niby bezcielesne zjawisko postać zakonnicy w czarnych, powłóczystych szatach.

— *Il faut toujours saluer, quand vous nous rencontrez, mon enfant!* — padły z pod białego rąbka chłodne, pouczające wyrazy z ust Matki d'Espailles.

Ania, dobiegająca już drzwi salonu, zatrzymała się nagle i pochyliła w obowiązującym ukłonie, poczem wpadła bez przeszkód do olbrzymiego salonu, rzuciła się pani Verze na szyję i — zaszlochała, wtulając głowę w jej ramię.

Przybrana matka zlękła się nie na żarty. Takie potoki łez i szlochania u tej skrytej, mężnej dziewczynki?!

— Co się stało, córeczko?! Chyba masz jakąś wielką przykrość?! Może ktoś cię dotknął boleśnie?! Powiedz, dziecinko! — tuliła ją do serca zmartwiona i niespokojna.

— Nie... mamusiu... — wydarły się wśród łkań dwa słowa z piersi Ani.

— Więc dlaczegoż tak placzesz, kochanie? Coś się w tem kryje! Nie rozpaczałabyś tak byle czego!

— Nic... nic... mamusiu! To przejdzie!... — łkania stawały się coraz rzadsze. Dziewczynka opanowywała się z każdą chwilą. — Proszę się mnie nie pytać — ocierała chusteczką oczy. — Nie mówmy o tem, mamusiu! Dobrze, moja kochana? — pieściła ją i całowała z taką tkliwością, że pani Vera była tem zdziwiona i rozczulona do głębi.

— Kocha mnie więcej, niż przypuszczałam — pomyślała ze szczerą radością, ściskając gorąco swoją córeczkę.

— Ale jak ty dziwnie wyglądasz, Aniu! — spostrzegła nagle gładkie, jakby przyklejone do głowy, uczesanie dziewczynki — a z tyłu warkocz, spleciony ciasno, z czarną kokardą. — Któż tak pokonał twoje niesforne, prześliczne loczki?

— Jedna z Sióstr, mamusiu! Znalazła chwilę, aby mię wyszczotkować i bardzo się niecierpliwiła, że moje loki takie uparte. Ale chodźmy lepiej do ogrodu, mamusiu, dobrze? Moje koleżanki przy podwieczorku. Będziemy same. Opowiem dużo rzeczy mamusi. Taką mam zabawną towarzyszkę przy stole i w *salle d'études!* Mamusia nie ma pojęcia. A czy mamusia wie, co to „*rangements*“*?* Nie? To coś okropnie nudnego! A niech mamusia zgadnie, co to znaczy: *Signal*, *lanżerja*, *kąże*, *kominota*? — recytowała, akcentując z polska francuskie wyrazy.

— Nic nie rozumiem! Cóż to za dziwolągi?! Poczekaj, zastanowię się. Powtórz raz jeszcze pomału!

— Dobrze, ale w ogrodzie. Tam daleko przyjemniej na otwartem powietrzu, niż tu, w tych murach. — Wstały obie i przeszły do hallu. — Tędy, mamusiu — prowadziła panią Verę, dążąc ku wyjściu.

Wtem — przeciął im drogę ksiądz, udający się do kaplicy. Na jego widok Ania przysiadła nagle w tak głębokim ukłonie, że tą sprawnością zadziwiła znów matkę.

— Widzę, że już nałożyli wędzidło na mego dzikiego kociaka! — zaśmiała się lekko.

— Ach, nie, mamusiu! Ja tylko nie chcę, aby mi robiono ciągle uwagi!

Zasiadły na ławce, blisko przy sobie. Dziewczynka mówiła wbrew zwyczajowi dużo, pragnąc wykorzystać każdą, pozostającą do odjazdu matki sekundę. Pani Vera słuchała, biorąc gorący udział w opowiadaniu córeczki. W oddali rysowały się mglisto góry i błę-

kitniała kręta nitka Wisełki. Na bliższych wzniesieniach pasło się bydło. Widać było chodzących za niem i leżących na trawie pastuszków. Biała taśma drogi do Dębicy wiła się wśród pól niby grzbiet stugłowego stworu, obarczonego zielonemi głowicami wierzb odmłodzonych. W całym parku klasztornym rosły niezliczone i różnorodne krzewy, wnosząc urok swego barwnego kwiecia od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Czas leciał zawrotnie, jakgdyby wdział stumilowe buty olbrzyma.

Wtem — tony dzwonka zajęczały w powietrzu. Tak przynajmniej odczuła te dźwięki wrażliwa Ania. Niewielka postać zakonnicy, osłonięta welonem, wyszła z klasztoru i zbliżała się do siedzących. Ujrzały wkrótce jej twarz, pomarszczoną z wieku, ale miłą i uśmiechniętą poczciwie.

— Wołają na kolację. Wizyty — skończone — oznajmiła łagodnie.

Pani Vera podniosła się z ławki i objęła bladą, lecz panującą nad sobą Anię:

— Żegnaj, córeczko! Pisz często i obszernie! Do Bożego Narodzenia nie tak daleko. Wyjadę po ciebie na dworzec. Bądź zdrowa, dziecinko moja!

Dziewczynka całowała ją w milczeniu gorąco, serdecznie, wreszcie rzuciwszy zdławionym głosem:

— Dowidzenia, mamusiu! — wyrwała się z jej objęć i pomknęła — nie oglądając się poza siebie — ku klasztorowi.

## PANICZ W PRZYMILEPKACH.

Rok szkolny minął i Ania przyjechała na „duże wakacje“ do Przymilepek. Wyrosła i rozwinęła się umysłowo, ale była nie ożywiona i dziwnie milcząca.

— Jakiś nowy fason! — podżartowywał z niej generał. — Czy to u was taka moda w klasztorze?

Usta dziewczynki otworzyły się, aby wymówić obojętnie: — Po mnie to wszystko spływa jak woda po łabędziu.

— Oho ho, ho! — generał kręcił krotochwilnie głową. — No, proszę! A to dopiero odporne kobieciątko!

— Coś udaje! Przewrócona głowa! — wmawiały podstępnie dwie Wierciochowe w marszałkową, badającą dziewczynkę krytycznym wzrokiem.

— Dojrzała duchowo! — myślała przybrana matka. — Dopiero teraz pojęła, że straciliśmy niezależność i że walka z życiem nie jest tak łatwa!

Mylili się wszyscy. Ania była poprostu zmęczona całym klasztornym systemem, ale postanowiła nie zdradzać się z tem przed nikim w nadziei, że dwumiesięczny wypoczynek i pobyt na wsi pokrzepią jej nadwątlone siły. Odruchowa niechęć do nowych ewentualnie warunków i otoczenia powstrzymywała ją od zmiany zakładu. Dojrzała tedy istotnie ale w kierunku przedwczesnej samodzielności, wzrastającej na tle życiowych wydarzeń od dziecka i wrodzonych cech charakteru. Pod wpływem troskliwych starań pani Very, zmartwionej mizernym wy-

glądem córeczki, Ania zaczęła przybierać na wadze a blada twarzyczka okraszała się powoli rumieńcem, niby przygrzewana słońcem papierówka. Rok ten nie przyniósł pożądanych zmian pani Verze. Mąż jej przeniesiony przez zarząd do Dubna stwarzał tam i rozwijał nową placówkę handlową, wykazując tyle rzutkiej pomysłowości że osiągał dla firmy znaczne dochody. Osobiste wszakże pieniężne wpływy przedstawiały się znacznie gorzej. Uposażenie pracowników w pierwszych latach po wojnie było niewspółmierne z wyśrubowaną ceną wytworów przemysłu. Kształcenie przybranej córki w dobrym, ale kosztownym zakładzie pochłaniało lwią część pensji pana Alfreda. Nie mogło tedy być mowy o „własnej chatynce“ gdy każda zarobiona i dewaluująca się powoli marka miała przynajmniej dziesiątek przeznaczeń. Ale dawni właściciele Czereszeńki nie umieli wypełniać obowiązków połowicznie. Wychowanie Ani musiało stać na takiej wyżynie jakgdyby była rodzonem ich dzieckiem. Myśl o jakiejś posadzie zabłysła raz w głowie pani Alfredowej, ale marszałkowa przyjęła to załamaniem rąk z wyrzutem, mąż zaś — kategorycznym protestem.

Przeciągający się pobyt wygnanki w Przymilepkach, jął niepokoić bliższe i dalsze otoczenie pani Konstancji, która zżywała się najwidoczniej z wesołą i dzielną krewną. Coraz ostrzejsze, zgrabnie rzucane przymówki obijały się o słuch ambitnej i drażliwej kobiety. Marszałkowa łagodziła jak mogła przykre częstokroć nastroje.

— Zanadto bierzesz do serca te wszystkie drobiazgi! — mówiła. — Przecież rada ci jestem z całej duszy- a tylko ja rządzę w tym domu!

— Rządzą i inni ale tak chytrze że stryjenka się nie spostrzega! Czyż to jest miłe, gdy pani Paulina zarzuca Ani oschłość i niewdzięczność z natury dlatego, że celuje

w matematyce i chwalą ją za to w klasztorze?! Oryginalny związek pomiędzy charakterem, a zdolnościami! A ten brak delikatności w pani Marcie, wdzierającej się natrętnie w zakres mych obowiązków domowych? A te lodowate, niezmienne pytania pani Elizy Horodelskiej: — Jakże powodzi się mężowi pani? Kiedyż pani do niego pojedzie? — Noga moja już u nich nie postanie tembardziej, że i pan domu od jakiegoś czasu zbywa lekceważąco każde moje słowo, przysłuchując się z namaszczeniem wyrazom stryjenki! Niestety! Za mną — nie stoją już krowy z ogonami!

— Bój się Boga, Vero! Co ty wygadujesz?! Czyż doprawdy wartość osobista nic nie znaczy u ludzi?!

— Nic. Krowy z ogonami przeważają na świecie szalę rozumu, dowcipu i zalet duchowych, kochana stryjenko! Z tego właśnie powodu powstał od wieków taniec przed złotym cielcem!

— A Romusiowie?! Zawsze są dla ciebie uprzedzająco grzeczni. To musisz przyznać moja droga Vero! Co za takt! Jaka dobroć! — unosiła się rozkochana ciotka.

— Przyznaję, że są doskonale wychowani i prawdziwie światowi! — orzekła szczerze wielbicielka prawdy.

Ruchliwy jej umysł znalazł wreszcie w osamotnieniu wiejskiego życia pochłaniającą pracę. W godzinach wolnych od zajęć domowych wzięła się do tłumaczeń angielskich powieści Hall Caine'a, niedowierzając wszelako swym siłom. Nagły wykwit talentu był dla niej rewelacją. Artyzm przekładu wywołał zachwyt lwowskiego wydawcy. Stryjenka Konstancja zachęcała synowicę gorliwie do rozwijania sił w kierunku dającym jej prócz duchowego lotu nieco własnego grosza. W owym to czasie zdecydowała się sama na plan, podsuwany jej oddawna przez panią Martę. Jedyną przeszkodą w jego spełnieniu mogła

być nadmierna drażliwość Very, ale uparta w przeprowadzaniu swych zamiarów marszałkowa nie wątpiła, że i tym razem pokona wszystkie trudności.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia czerwcowego wybrały się obie krewne najwcześniejszym pociągiem do Lwowa. Synowica miała tam zabawić dni parę dla omówienia spraw wydawniczych, zaś pani Konstancja kazała wysłać po siebie konie na stację wieczorem. W domu zostawały na gospodarstwie Hermisia, coraz częściej zjeżdżająca do Przymilepek i śpiąca jeszcze w najlepsze Ania.

Było dopiero około piątej rano. Nagle drzwi od bocznego ganku rozwarły się zwolna, ukazując czarny łebek Bączka, torującego sobie wyjście. Za nim wymknęły się w zgrabnych lansadach trzy białe foksiki, a na końcu wyszła spokojnie panna Hermisia i, osłoniwszy ręką oczy, patrzyła przez sztachety na szosę. Widać tu było, wlokącego się po niej zwykłym tempem Walka i siedzące w szarabanie dwie kobiece postacie.

— Dobrze mówi pani Ewelina, że trzeba mieć świętą cierpliwość z tym Walkiem! — wzruszyła ramionami i poszła śpiesznie w stronę folwarku.

Psy biegły naprzód, poszczekując z uciechy. Zawrócili wszyscy w aleję lipową, gdzie słońce czesało złotemi palcami czuby drzew po przespanej w cichości nocy. Tu panna Hermisia zwolniła nieco kroku, ważąc w swym umyśle wszystkie zadania:

— Najpierw obora. Zapisać ranny udój. Obejść sad. Obliczyć przypuszczalny urodzaj. Potem łąka. Ekonom ma tam dziś rozdać siano chłopom za trzecią kopicę. Trzeba wziąć po obiedzie wózeczek i pojechać z Anią. Centryfuga w południe. Dopatrzeć obiadu, bo Anastazja partoli bez pani Very. Zdaje się już wszystko. Pani marszałkowa próbuje mych sił, ale dam sobie doskonale ra-

dę! — myślała zarozumiale. — Chciałabym tu zostać. Marta namawia panią Konstancję, ale idzie to jakoś opornie. Nie chce wyrządzić przykrości pani Verze. Jest panią w swym domu i tyle ceregieli! Nie pojmuję! Dla mnie to obojętne. Pani Vera ma męża, a ja jestem uboga sierota i muszę myśleć o sobie.

Obora wyrosła nagle przed oczyma zamyślonej dziewczyny i panna Hermisia weszła, starając się kontrolować z całą uwagą dojenie krów i sumienność dojarek. Ta czarnowłosa „panienka z okienka", jak ją przezwali swawolni ułani, zmuszona była istotnie do myślenia o sobie, gdyż przeszłość jej i teraźniejsza chwila nie przedstawiały się zbyt różowo. Dziecięce lata, omroczone nieustannym rozdźwiękiem pomiędzy rodzicami, ich rozstanie, powtórne wyjście zamąż matki, opuszczonej następnie przez lekkoducha, jej śmierć, ślub ojca z teatralną divetką — sprawiły, iż Hermisia straciła wiarę w nierozerwalność rodzinnych związków i w uczciwość męskich przyrzeczeń. Mężczyźni zasługiwali wedle niej na bezapelacyjne lekceważenie, toteż małżeństwo nie wchodziło w sferę jej planów, chyba?...

Ale możliwość spotkania kogoś tak niezwykłego wydawała się dziewczynie równie prawdopodobną jak poznanie królewicza z bajki. Przeszła więc wiośnianą młodość, nie zaprószywszy sobie oczu, ani serca żadnym młodzieńcem. Posada u pani marszałkowej dałaby jej spokój i byt dostatni, zwijała się tedy żywo, chcąc zasłużyć na jej pochwałę wieczorem.

— Nareszcie skończyła pani swoje przedobiednie zajęcia, panno Hermisiu! — leżąca w hamaku Ania podniosła oczy z nad książki. — Ślicznie tu latem, ale w zimie tak smutno, że zanic nie chciałabym mieszkać w Przymilepkach na stałe!

— Ciekawa jestem, jaki zawód sobie obierzesz? — Hermisia rozłożyła się na trawniku, poddając twarz działaniom słonecznych promieni.

— Wyjdę zamąż! Dobrze i z miłości! — cisnęła Ania figlarnie nieprzyjaciółce Hymenu, która w jednej chwili usiadła zpowrotem.

— Z miłości? — skrzywiła pogardliwie usta. — Jesteś niedoświadczona, Aniu i nie wiesz zupełnie, co to jest ta zachwalana „miłość!“

— Ale mamusia jest doświadczona, a twierdzi zawsze, że tylko małżeństwa z miłości dają prawdziwe szczęście!

— Takie małżeństwo jak twoich rodziców — to zdumiewający wyjątek! — panna Hermisia powróciła do dawnej, leżącej pozycji. — Wszystkie inne związki „do śmierci“ są jakiemś tragicznem nieporozumieniem! — westchnęła.

— W ostateczności — mówiła Ania poważnie — są przecież rozwody.

— Aniu! — Hermisia śmiała się, rozbawiona. — I ty to wygłaszasz?! Ty, wychowanka klasztorna?!

— Ależ rozwody nie mogą być czemś tak potwornem, kiedy małżeństwa, pobierające się potem w protestanckim obrządku, mają dzieci. Pan Bóg widać im błogosławi pomimo rozwodu!

— Doprawdy?! — szalony wybuch śmiechu „doświadczonej“ Hermisi dotknął Anię, której twarz wramce ze złotych loczków, wyrażała urazę.

— Nie pojmuję z czego pani się śmieje? Wogóle — zdania pani są często dziwne! Pewna jestem, że pomimo tych wiecznych ujadań na mężczyzn, zakochałaby się pani z przyjemnością. Oho! Śluby panieńskie w nowej edycji!

— Proszę panienek! — bosa Parania stanęła przed rozprawiającemi antagonistkami. — Jakiś obcy pan młody i ładny wszedł przez ganek od kuchni i czegoś chce od panienek!

Obcy pan młody i ładny! Chichot Hermisi i obraza Ani zmieniły się w okamgnieniu w palące zaciekawienie. Któż to być może? Taki gość był rzadkością w Przymilepkach, gdzie prowadzono jednostajne, pracowite życie.

— Zaraz przyjdziemy. Proś tego pana do jadalni — rozporządziła się jako starsza Hermisia, podczas gdy Ania, schodząc żywo z hamaku, dogadywała wesoło:

— Tak się zaczynają najciekawsze hiszpańskie dramaty! Bohater spada z obłoków jak gruszka z drzewa i miło-o-ość przeszywa serce dziewicy. Niech się pani trzyma ostro, panno Hermisiu, bo ja czuję, że to jest w życiu pani przełomowa chwila.

Strzepnęły obie letnie sukienki i ręką poprawiły włosy, poczem skierowały się chyżo przez ganek wejściowy ku jadalni.

Młody, wysoki blondyn wstał z kanapy i skłonił się dworsko:

— Panie pozwolą, że się przedstawię. Jestem Karol Strawiński, delegat Towarzystwa Przymusowej Asekuracji Państwowej od ognia — patrzył z uśmiechem w oczy zaciekłej nieprzyjaciółce mężczyzn, która zdążyła już ocenić myślącą twarz nieznanego gościa.

Ania zachwycała się w duchu elegancją sportowego ubrania i rasowym profilem młodego delegata, a ów mówił swobodnie, lecz bez natręctwa:

— Dowiedziałem się już na folwarku, że pani marszałkowej nie ma w domu, ale mam nadzieję, że pani jako jej wyręczycielka — skłonił się zgrabnie przed Hermisią —

pozwoli mi łaskawie na zdjęcie wymiarów i planów ze wszystkich budynków? — czekał z szacunkiem na jej odpowiedź.

Panienka z okienka namyślała się dłuższą chwilę: — Zdaje mi się, że tak! — odparła uprzejmie. — Pani marszałkowa tak jest lojalna wobec władz polskich, że nie stawiałaby z pewnością oporu, tembardziej, że to „przymusowe!" Zresztą — wróci sama dziś o siódmej do domu i pan się z nią porozumie.

— Ba! Czy powróci? — głos delegata wyraził subtelne powątpiewanie. — Kobiety lubią wogóle zmieniać plany!

— Widzę, że pan nie zna stryjenki! — wystąpiła z obroną Ania. — Tygrys mógłby stanąć na drodze do Przymilepek, a pomimo to stryjenka nie zawahałaby się przejechać mu pod nosem, gdyby tylko powrót swój na ten dzień oznaczyła!

— Niezwykła kobieta! — zawyrokował z uznaniem. — Ale po energji, z jaką pani broni swej krewnej, widzę, że ta cnota jest tu dziedziczna. — Musnął wymownem spojrzeniem Anię, która w nagłem zakłopotaniu, wstrząsnęła parę razy loczkami. — A teraz panie pozwolą — ciągnął dalej — że pójdę na folwark.

— Wnet podadzą obiad — powstrzymała go panna Hermisia. — Pani marszałkowa jest nadzwyczaj gościnna i miałaby mi za złe, gdybym nie zaprosiła pana.

— Będzie mi najmilej — rzekł, dopowiadając wejrzeniem: — W waszem towarzystwie, urocze stworzenia!

Obiad przeminął z błyskawiczną szybkością. Pan Strawiński podróżował po całym świecie, rzucał tedy przepyszne obrazy na ekran wyobraźni dziewczęcej. Przesuwał się Egipt z tajemnicami grobów królewskich, sznury karawan ginęły wśród syczących poświstów wichru. To

znów — lecieli we troje, jakby na czarodziejskim kobiercu do dalekich, nieznanych Indyj. Szumiały słowa, opiewające piękno, kutych w kamieniu świątyń, grozę uroczych dżungli, nienawiść do cudzoziemców w sercu krajowców!

Zasłuchały się obie. Hermisia zapomniała o łące i centryfudze. Ania rada była, że jej romantyczne przewidywania tak się sprawdzają. Wreszcie młodzieniec zerwał się z krzesła: — Obowiązek przedewszystkiem! Idę na folwark!

— Jakaż to szkoda, że stryjenka nie słyszała tych cudnych opowiadań! — odezwała się z żalem Ania. — Tyle podróżowała w młodości!

— Zato teraz jeździ często do Lwowa. I w tem jest pewien urok! — zaśmiał się cicho.

— Śliczny mi urok! — zaprzeczyła Ania. — Jechać do banku po pieniądze i to na podatki!

— Widocznie pani marszałkowa dobrze się rządzi i ma świetną markę w finansowych kołach, jeśli mogła obecnie uzyskać pożyczkę. A może skończy się tylko na obietnicy?

— O, nie! — Hermisia szerokim ruchem ręki wyraziła swe oburzenie. — Ludzie się liczą z panią marszałkową. Któż ośmieliłby się trudzić ją nadaremnie?

— Rad będę poznać tak czcigodną osobę! — zapewnił młodzieniec uroczyście. — Czy można przez ogród dostać się na folwark?

Wyszedł, a dziewczęta zostały same.

— Cóż pani mówi, panno Hermisiu? — szafirowe oczy Ani badały wyraz twarzy młodej dziewczyny. — Ja twierdzę, że to jest zachwycający człowiek!

— Tacy najłatwiej wyprowadzają w pole! — odparła krótko Hermisia.

— Mnie nie wyprowadzi! — westchnęła jakby z żalem Ania. — Jeszcze trzy lata klasztoru! Ale gdyby zwrócił się na serjo do pani?... Co?... Byłoby wesele!

— Musiałby mnie przekonać, że innym jest od tej całej konfraterni męskiej — zapewniła łagodniejszym tonem, zachwiana w swej nieustępliwości przeciwniczka płci brzydkiej.

Jadalny pokój w przymilepskim dworze przypomniał sobie tego wieczoru dawne, wesołe czasy. Wśród śmiechów i żartów czekali zebrani w nim młodzi na przyjazd pani domu. Nagle delegat wstał szybko i pochylił głowę w pełnej szacunku postawie. Dziewczęta poszły za nim wzrokiem.

— Stryjenka? Skąd? Jakim sposobem?! — Ania podbiegła ku niej, biorąc z ręki parasol.

— Widzicie trzpioty! Można was zejść niespodzianie! Hermisiu! Weź mój worek podróżny!

Hermisia wyciągnęła już ręce, gdy delegat przeciął jej drogę zręcznym manewrem: — Pieniądze! — rzucił krótko osłupiałej marszałkowej. Błysnął znienacka rewolwer.

Dziewczęta wrosły w ziemię. Na twarzy pani domu nie znać było lęku, choć oczy „delegata“ wyrażały zdecydowaną groźbę. Sięgnęła do przepaścistej kieszeni w sukni i podała pugilares, nie spuszczając z napastnika wzroku. Ów zajrzał błyskawicznie do wnętrza:

— Gładko i bez lamentu! — rzekł. — Mądra z pani kobieta! Dawniej strzelano na wiwat w korki od trzewiczków białogłów — dziś inaczej wyrażę moje uznanie! — tu padł strzał z rewolweru w sufit.

Posypał się tynk. Strwożone dziewczęta przypadły z obu stron do marszałkowej, która objęła je ramionami, czekając na dalszy bieg wypadków. Poddawała się przemocy, nie tracąc wrodzonej przytomności umysłu.

— Jaka ciocia odważna! — błysnęła myśl w głowie Ani.

Przenikliwy ryk trąbki automobilowej zabrzmiał przed dworem. I nagle... Nie! Pani marszałkowa do końca życia pojąć nie mogła takiej sprawności reżyserowania.

Trzech policjantów wyskoczyło z otwartych drzwi salonu, waląc się na plecy mniemanego pana Karola. Trzech innych runęło mu na piersi, wybiegłszy z korytarza obok jadalni. Kotłująca się masa ludzka szamotała się czas jakiś w groźnem milczeniu — wreszcie rewolwer bandyty wypadł na posadzkę z głuchym odgłosem.

Naczelnik policji wołał z triumfem: — Dostaliśmy cię nareszcie, paniczu! — Zasalutował służbowo: — Komendant ze Lwowa. Czy panie wiedzą, kogo u siebie gościły? Oto — słynnego z dowcipu, przebiegłości i odwagi „Panicza!“ Nałóżcie mu zaraz kajdanki! Mamy cię, zbóju!

— Precz z łapami! — zadźwięczał spokojny głos więzionego. — Zwyciężyliście mnie w tej chwili, ale niewiadomo co przyniesie następna!

— Nie bądź tak wymownym bratku! Prowadźcie go! Samochód przed dworem, a „paka“ dawno już czeka we Lwowie!

Pani marszałkowa wystąpiła krok naprzód: — Panie komendancie! Ten pan zabrał mi pugilares z pieniędzmi. Włożył go do lewej kieszeni ubrania.

— Złodzieju! — warknął złowrogo komendant i wsunął z rozmachem rękę do kieszeni rabusia. — Czy ten? — zapytał uprzejmie.

— Tak! — poszkodowana wyciągnęła radośnie ręce.

Naczelnik policji przycisnął *corpus delicti* do swej bohaterskiej piersi. — Łaskawa pani daruje! Ten objekt — potrząsał nim w powietrzu — musi przejść przez różne fazy naszego resortu!

— Utrudniacie nam życie tą swoją formalistyką! Jutro mam ważne wypłaty. Jak z tego wybrnę?!

— Każdy uwzględni tak niezwykłe okoliczności, łaskawa pani! Jedziemy, chłopcy!

— Proszę o pokwitowanie przynajmniej! — marszałkowa wrzala nie ukrywanem oburzeniem na biurokratyzm władzy.

— Najchętniej! — na oddartej kartce skrobnął formalne pokwitanie z ogoniastym podpisem.

Pokój opustoszał. Dziewczęta stały ze spuszczonemi oczyma.

— Wygadałyście się?! — padły spokojne wyrazy z ust pani Konstancji.

Pełne skruchy: — Tak! — wionęło w odpowiedzi.

— Mam nadzieję, że ta lekcja życiowa pozostanie wam nazawsze w pamięci. A teraz — uściskajcie mnie. Rada jestem, że te pieniądze nie przepadną. Z takim trudem je zdobyłam. A teraz można podawać kolację. Zadzwoń, moja Aniu!

Nowy ryk samochodu wdarł się w pogodę nastrojów, brzmiąc dziwnie żałośnie.

— Czyżby nad Przymilepkami pękł wór niespodzianek?! — zakrzyknęła pani marszałkowa, wyprowadzona z równowagi nareszcie.

Gromada policjantów z Czerwonnej wpadła burzliwie do jadalni. Na czele jej pędził nasępiony, znany dobrze naczelnik:

— Co pani zrobiła z „Paniczem?!“ — huknął wcale niegrzecznie tuż nad uchem szanownej obywatelki.

Marszałkowa cofnęła się wtył z wyniosłą godnością:

— Odjechał przed chwilą do więzienia z komendantem policji ze Lwowa.

Gruby naczelnik palnął się w łeb z taką pasją, że tylko

sarmacka czaszka mogła wytrzymać podobny cios bez uszkodzenia opon mózgowych:

— Do stu miljardów strzyg i upiorów! — wybuchnął strasznym głosem. — Jaki komendant?! Oszuści! Szubieniczniki, psia ich babunia! Przed chwilą miałem telefon ze Lwowa: — Łapać Panicza! Jest w Przymilepkach! A pani go wypuściła! Na rogaty łeb piekielnego Boruty — wściec się można na całe życie! Złapże go teraz jak wicher w polu!

Pani Konstancja osunęła się na krzesło:

— Moje dziesięć tysięcy! — jęknęła zdławionym głosem.

— Jeszcze i dziesięć tysięcy! — grzmiał dalej naczelnik. — Pięknie się pani marszałkowa urządziła!

— Ależ ich było ośmiu i to uzbrojonych — tłumaczyła, wracając do przytomności. — Gdybym nawet nie padła ofiarą podstępu, to brak nam było siły do pokonania tylu napastników!

Naczelnik zamilkł, upokorzony przegraną. Jego czerwona, obwisła twarz przypominała gulgocącego wściekle indyka. Niby stadko zmokłych kur — stali za nim, milcząc, podwładni. Niepowodzenie odebrało im zwykłą czupurną fantazję.

Dziewczęta spojrzały na siebie. Komizm sytuacji przysłonił tragedję zrabowanych marek. Ogarnęły wzrokiem wyprowadzonych w pole „polikusów" i zaraźliwy śmiech wyrwał się im z gardła. Były nieznośne i przemiłe zarazem, gdy usiłowały powstrzymać się nadaremnie. Mimowolny uśmiech pojawił się na ustach pani Konstancji, a ten i ów z nasępionych funkcjonarjuszy, podnosił rękę do przyciętego wąsa, chcąc ukryć gorszącą w tym wypadku wesołość.

— W drogę! — syknął ostro tęgi naczelnik. — Nie jesteśmy już potrzebni! — smagnął wzrokiem dziewczęta

i wyszedł żołnierskim krokiem z pokoju. Parania zjawiła się z dymiącym półmiskiem:

— Niechta nasza biedna pani marszałkowa poje sobie coś smacznego! My w kuchni wszyscy myśleli, że to się jakoweś wesele szykuje, a tu widzita go! Wiemy jaki panicz tu był i ile na tem zarobił! Nie na panienki, a na samą panią polował! A fajny na gębie piekielnik przeklęty!

## NAUKA I KLASZTOR.

Szary świt zimowy przecierał okna ledwo dostrzegalnym brzaskiem, gdyż było dopiero kwadrans po szóstej rano i pulpitowa sala, tonęła w półmroku. Tylko światełko niewielkiej lampki przed obrazem świętej Filomeny płonęło jasnością. Wśród głuchej ciszy rozbrzmiewał miarowy, jednostajny głos Matki d'Espailles, wypowiadający po francusku bardzo piękne myśli na tematy religijne. Pochylone pod czarnemi welonami głowy i nieruchome postacie dziewczęce zdawały się wyrażać najgłębsze zasłuchanie, co było wszelako przeważnie złudzeniem, albowiem uczennice po większej części zmęczone nauką i nie wyspane — drzemały, skulone. Kaloryfery nie zdążyły jeszcze o tak wczesnej porze ocieplić dużej pulpitowej sali. Jedynie „dzieci Marji" zapisywały coś niekiedy, gdyż podczas ich zebrań Matka d'Espailles jako przewodniczka tej kongregacji, kontrolowała stopień uwagi wybranych dzieci klasztoru. Ania należała w tym wypadku do owej większości, dającej pozory zamiast treści. Pomimo obietnicy Matki Przełożonej nie umieszczono jej w małym dortoirze, gdzie wyjątkowo parę dziewczynek miało przywilej dłuższego snu, niż wszystkie. Dopiero klaśnięcie signalu prelegentki budziło do życia drzemiącą jeszcze jej świadomość, oznajmiając chwilę wspólnej, porannej modlitwy. Teraz następowało *rangements en silence* i pochód szeregami na mszę świętą do kościoła. *Rangements* — i śniadanie. *Rangements* i *un petit tour en silence au jardin,* albo krót-

kotrwałe ćwiczenia gimnastyczne. *Rangements* i do *salle d'études. Rangements* — i do klasy na godzinę lekcji. Historja. Matka Korytowska zadawała pytanie: — Madziu Woroniecka! Powiedz mi, jakie wpływy zostawiła Reformacja w Niemczech? Co podkopała?

— Matko! Ja się tego nie uczyłam.

— Jakto?! A co masz dziś zadane na lekcję?

Na to Madzia recytowała prędkim głosem początek wyuczonego rozdziału.

Matka słuchała cierpliwie: — Widzisz, dziecko, że umiesz. Poprzednie rozdziały umiałaś również, trzeba więc było złączyć je razem i wyprowadzić tę linję, jakiej od ciebie żądałam.

— Kiedy to dla mnie zatrudne, Matko!

— Moje dziecko! Ja chcę wyrobić w was samodzielne myślenie i umiejętność przetrawiania każdej lekcji, a nie wyuczenie się jej „stąd — dotąd".

W zupełnej ciszy i poważnem skupieniu całej klasy Matka zadaje dalej podobne pytania innym uczennicom, które w mniej lub więcej udatny sposób pokonywują trudności myślowe. Zerknąwszy na zegarek, leżący przed nią na stole, przewraca kilka kartek podręcznika historji i mówi: — Na następnej lekcji będę was pytała o skutkach Reformacji w Polsce. Proszę się dobrze namyślić, aby odpowiedzi były logiczne. Sądzę, że ten rozdział nie będzie dla was zbyt duży?

Dzwonek zabrzmiał na korytarzu i Matka wstała z katedry: — *Rangez vous, mes enfants! Nous allons à la salle d'études.*

Tu — siedziała na estradzie Matka dyżurująca przesuwając paciorki różańca w ręku i odbywało się studjum przygotowawcze do następnej lekcji. *Rangements* — na drugie śniadanie na korytarzu. Powrót do *salle d'ètudes.* Po godzinie ode-

zwal się dzwonek. Do sali wchodziła Matka Roullières. *Rangements* — i odprowadzała uczennice do drzwi sali, gdzie powierzała je, czekającej już Matce Kraszewskiej, z którą szły do klasy na godzinę literatury. Zdolności pedagogiczne, polegające na umiejętności zachęcenia dziewczynek do współpracy z sobą, cechowały wykładowczynię. Wśród wyczekującego milczenia, Matka stawia pytanie: — Aniu Przedborówna! Daj mi skrót Jana Bieleckiego, ze zwróceniem uwagi na charakterystykę danej epoki w Polsce.

Ania wstaje i namyśla się chwilę. Zaprawiona do analizy i syntezy przez wykłady pani Very, oświetlające szeroko każde zagadnienie, wypowiada płynnie myśli i poglądy inteligentnej piętnastoletniej dziewczynki.

— Możesz usiąść. Teraz Basia Skrzynecka przedstawi mi tło historyczne poematu.

Wywołana uczenica wstaje i powoli, zacinając się nieco, rysuje słowami obraz niejasny i zagmatwany.

— Śmielej mów, moje dziecko. Nie mogę cię dobrze zrozumieć. Wyjawiaj swoje zdanie otwarcie. Dopiero w ten sposób możesz się czegoś nauczyć.

Ta zachęta niewiele pomaga. Basia nie jest w stanie pokonania w tym wypadku mgławicy myślowej, ale skoro chodzi o treść Bieleckiego wyraża się daleko jaśniej.

— Możesz usiąść i przysłuchiwać się uważnie słowom Jadzi Puciatówny. Powiedz mi, jakie są pierwiastki realne w tym poemacie, a gdzie się zaczyna fantazja poety?

Jadzia wstaje i, zerkając chwilami na rozłożony na pulpicie utwór Słowackiego, wyrzuca z pośpiechem nawal oryginalnych, choć czasem niedojrzałych spostrzeżeń.

— Słyszysz, Basiu? — zwraca się Matka łagodnie. — Chociaż Jadzia nie zna tak dokładnie treści poematu jak ty, ale ma o całości swój własny sąd, a to najważniejsze!

A teraz przejdziemy do wykładu i dowiecie się zaraz, co ja myślę o tym utworze pod każdym względem.

Dzwonek przerywa interesujące i głębokie poglądy Matki Kraszewskiej, której słowom przysłuchuje się cała klasa z natężoną uwagą. *Rangements* — i do sali pulpitowej. Tam porządkują wszystkie w swoich pulpitach, idą myć ręce do Fontanki. Sygnał Matki Roullières zwołuje spóźnialskie. *Rangements* — i zejście do refektarza na obiad. Nareszcie: — *Vous pouvez parler mes enfants!* — *Rangements* i *balle à la guerre* w jesieni i latem, albo spacer w „trio“, gdzie jest najstarsza, średnia i najmłodsza, pół godziny po ogrodzie. *Rangements* — i do *salle d'études*. Półgodzinne studjum. *Rangements* — i do wolnej sali na roboty. Tu odbywały się praktyczne zajęcia, jak cerowanie i poprawianie własnej odzieży, a Matka czytała głośno po francusku przygody chłopca, który wreszcie został księdzem. Dzwonek. *Rangements* — do *salle d'études*. Studjum. *Rangements* — i z Matką Palacky, Czeszką, pochód do klasy na matematykę. Szczupła i blada wykładowczyni z czarnemi oczyma, w okularach na zgrabnym, suchym nosie, przystępuje do tablicy i zaczyna pisać na niej zadanie. Pomimo to szum w klasie nie ustaje.

Głos Czeszki, akcentujący zabawnie polskie wyrazy, rozchodzi się przytłumionemi kręgami wśród gwaru tłumionych szeptów i śmiechów, korzystających ze słabości Matki dziewczynek.

— *Sluchajti, moji dieci!* Zegarek razem z branzoleto koštuji „a“ marek. Ile koštuje zegarek, a ile branzoleta, jeżeli zegarek jest drożsi od branzolety o „b“ marek? — pisze wprawnie na tablicy; mówiąc bez odwracania głowy:

— Dzieci, piście! Pierwše równanie: $x + y = a$. Dwie niewiadome. Rozumici? — Hałas coraz bardziej się wzmaga. Chodzenie po sali. Jedna szuka ołówka, inna atramen-

tu, aby pod tym pretekstem rozmówić się z koleżankami co do, mającego wkrótce nastąpić, „kąże". Tylko kilka poważniejszych dziewczynek zachowuje się spokojniej.

Matka Palacky zniecierpliwiona, odwraca się nareszcie twarzą do klasy:

— Jadzia Puciatka! Cego ty sie tak śwendaś?

— Szukam, Matko, swego zeszytu. Któraś z koleżanek mi go zabrała.

— Siadaj zaraz. Nie prześkadzaj innym. Sluchajti! Drugie równanie: x — b = y. — Matka znów sobie przerywa i patrzy tym razem groźniej na klasę:

— Malina Gośtośka! Co ty tam robiś?!

— Piszę zadanie, Matko! (tylko co skończyła rysować konia).

— Prośe opuścić klase!

Złotowłosa blondynka wyszła. Pomimo tego ostrzeżenia cisza nie zapanowała w sali, gdyż uczennice, nie lubiące wogóle matematyki, wykręcały się od dawanych im zadań na studjum, tłumacząc wykładowczyni, że były przeciążone innemi lekcjami, co łagodna zbytnio Matka przyjmowała wyrozumiale, a co nie wpływało dodatnio na rozwój wiedzy matematycznej u wychowanek.

Matka Palacky pisała dalej na tablicy. Zwykle bywała tak pochłonięta wymową cyfr i logiką rozumowania, że nieodzowny na jej godzinie szum w klasie, nie dochodził do jej słuchu. Dziś wszakże usposobienie miała wręcz odmienne. Odwróciła się nagle, gniewna i zdecydowana:

— Luna Bośka! Za drżwi!

Zafrasowana uczennica wyszła powoli, a Matka podjęła na nowo przerwane zadanie. Chwilowe wrażenie już minęło i za jej plecami sala szumiała przytłumionym gwarem. Tego było w tym dniu — zawiele. Łagodna wykładowczyni przystąpiła do ataku:

— Zosia Potoćka! Do szali!

— Basia Skśinećka! Za drżwi!

— Renia Poziećka! Prosze wyjść!

— Jadzia Puciatka! Z klasy! — i tak dalej, aż w klasie zostały dwie, czy trzy, do których Matka zwróciła się z pochwałą: — Tilko Ania Szetbor i Manula Skibnieśka pracowite, reśta — leniuchy!

Wypędzone uczennice szły do „Fontanki“, bojąc się, oczywiście, stanąć w *salle d'études*, gdzie dyżurująca Matka zapisałaby w karneciku tak przedwczesne zjawienie się. Tam — korzystając z przymusowej, ale przynajmniej raz jeden wspólnej dla całej klasy rekreacji, gadały i śmiały się tak wesoło, że siedząca tu Siostra musiała je powstrzymać: — *Silence, mesdemoiselles! On ne parle pas à la Fontaine!*

Sprawa ta jednak doszła do wiadomości Matki d'Espailles, która wezwawszy całą klasę, przedstawiała jej poważnie niestosowność tego zachowania się z tak dobrą i świetną, jako matematyczka, wykładowczynią. Przytem zadrasnęła strunę narodowej ambicji, rzucając pytanie: — Jakież ta cudzoziemka będzie miała wyobrażenie o polskich dziewczętach?!

Skruszone przeprosiny były wynikiem tego nieprzyjemnego incydentu.

Po lekcji matematyki następowało nieodzowne *rangements* i powrót szeregami do sali pulpitowej. Studjum. *Rangements* — do refektarza na podwieczorek, stanowiący kawałek suchego chleba z jabłkiem, lub gruszką, albo z filiżanką herbaty. *Rangements. Un quart d'heure de promenade en silence. Rangements* — do *salle d'études*. Tu studjum dla wszystkich uczennic, albo wymarsz do klas na lekcje obcych języków i muzyki. *Rangements* — do sali pulpitowej. Dwie godziny studjum. *Rangements* — na lekcję religji, która była codziennie przed kolacją. *Rangements* — do

*salle d'études.* Porządkowanie i mycie rąk w Fontance. *Signal* i *rangements* — do refektarza na kolację. *Rangements* — do różnych klas na rekreację i gry, z nakazanem przystosowaniem się do skali pojęć najmłodszych, aby wesołość była ogólna. *Rangements* — do sali pulpitowej. Wieczorna modlitwa. *Rangements* — do dortoirów. Czterdzieści minut na umycie się i rozebranie *en silence. Bonne nuit, mes enfants!*

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W niedzielę po mszy świętej i po śniadaniu cały pensjonat zbierał się (nie zapominając nawet wtedy o „*rangements*") w dużej sali recepcyjnej, gdzie dla uczennic poustawiane były półkolem ławki, dla Matek zaś naprzeciw nich — krzesła. Wchodziła Matka Wielebna, szczupła, wysoka, nie mająca, rzekłbyś, kropli krwi w ascetycznej, myślącej twarzy. Na jej widok wszystkie dziewczęta w granatowych mundurkach z białemi kołnierzami składały głęboki ukłon, poczem na znak, dany uduchowioną ręką, zabierały miejsca na ławkach. Matka Wielebna skinieniem głowy dawała powtórny znak Matce d'Espailles, że można zacząć wywoływanie klas na noty.

— Klasa siódma! — powiedziała głośno Matka d'Espailles po polsku, gdyż niedziela była dniem, poświęconym wyłącznie polskiemu językowi.

Wywołana klasa ustawiała się półkolem na wolnem miejscu w sali i, przysiadłszy w głębokim ukłonie, słuchała pilnie not tygodniowych, odczytywanych przez Matkę d'Espailles, poczem szereg granatowych postaci przesuwał się koło Matki Wielebnej, dygając przed nią, biorąc z jej ręki kartkę z notą, powracając do poprzedniej linji półkola, kłaniając się znów z wersalską dworskością i zasiadając wreszcie na ławkach.

Przez ogień tej ceremonji przechodziły kolejno wszyst-

kie klasy, a po jej ukończeniu cały pensjonat w *rangements* szedł do pulpitowej sali, skąd adeptki udawały się na zebranie swej kongregacji. Ania nie należała do żadnej, ponieważ sprawa ta postawiona była odrazu na fałszywej (wedle jej mniemania) drodze. Matka Doucet zapytała ją w pierwszych tygodniach przybycia do klasztoru, czy nie chciałaby wstąpić do, prowadzonej przez nią, kongregacji Aniołów? Dziewczynka odparła w najlepszej wierze, że nie wie, czy na to zasługuje? Te słowa, powtórzone Matce d'Espailles, zostały przez nią uznane jako zbyt dumne. Oczekiwano od wychowanki pokory i prośby, ale Ania nie umiała prosić, a przytem sądziła, że takie wyróżnienie powinno być następstwem li tylko przykładnego sprawowania się i pilności w nauce. Tak więc — przy znanym uporze Ani — sprawa ta utknęła na martwym punkcie i dopiero przy końcu roku, na prośbę całej klasy, zaliczono dziewczynkę do owej kongregacji.

Wolne godziny w niedzielę i święta przeznaczone były na czytanie i pisanie listów do rodziców i krewnych. Wieczorem, odbywało się w recepcyjnej sali zebranie z Matką Wielebną, która najprzód streszczała wiadomości polityczne, następnie czyniła uwagi co do listów, pisanych do rodziców, a przechodzących przez kontrolę klasztorną, wytykając w nich błędy stylowe i ortograficzne. Zachęcała dalej do pokonywania wad charakteru, do poskramiania łakomstwa. Nietrzeba dogadzać „swemu języczkowi" i upominać się w listach o „paczki". Wszędzie są pierwiastki odżywcze, a jak są przyrządzone — smaczniej, czy gorzej — to obojętne. Zaznajamiała słuchaczki z wieściami, otrzymanemi z różnych klasztorów Maltanek, rozsianych po całym świecie. Przechodziła do listów od dawnych wychowanek, podkreślając związek duchowy, łączący je nadal z klasztorem. Dziękowała niekiedy za piękny

podarek, ofiarowany przez cały pensjonat w dniu jej imienin, albo świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocnych w postaci „idealnych szeregów“, „idealnego *silence*“, „idealnie uważnych klas“, mszy i komunji świętej. Przy samym końcu — jeśli się zbliżał odpowiedni termin — pytała z cieniem uśmiechu na bladych ustach: — Co chciałybyście mieć w dniu waszego *congé?* Mówcie śmiało i szczerze!

Na tle ogólnego milczącego rozweselenia, wyrywały się głosy indywidualniejszych dziewczynek:

— Prosimy, Matko, o dzień takiej swobody, że możemy robić wszystko, co nam przyjdzie do głowy! Ręczymy tylko za nasze życie! — poddała plan najpierwsza Hela Myszkowska, wstając ze swego miejsca.

Wnet za nią Jadzia Puciatówna podniosła się żywo z ławki:

— Prosimy, Matko, żeby tego dnia nie było dyżurów Matek i żebyśmy były zupełnie same!

— Prosimy, Matko, o duży spacer do lasu po śniegu! — zaproponowała nieśmiało jedna z małych, która tęskniła w klasztorze za życiem wiejskiem.

— Niech będzie lepiej kulig sankowy i używanie na saneczkach! — sprzeciwiła się jej sprytna i wysportowana Ala Stadnicka.

— Prosimy, Matko, o pozwolenie oddania w tym dniu naszego deseru ubogim dzieciom! — przemówiła słodkim głosem Nuleńka Krasińska.

Ponieważ w regulaminie klasztornym każda godzina miała swoje przeznaczenie, więc w tej chwili odezwał się dzwonek, zwiastujący koniec zebrania. Do sali weszła Matka Roullières, wygłaszając zwykle: — *Rangez vous, mes enfants!*

Chociaż zebrania te miały na celu wzmocnienie nici,

wiążących uczennice z ich najwyższą przełożoną, ale w sercu Ani nie zażgnęły cieplejszego promyczka. Nie weszła ona bowiem w duchowe życie klasztoru, spełniając wszystkie obowiązki regulaminu jak mogła najlepiej. Matka Espailles miała zwyczaj wzywania do siebie uczennic na poufną gawędę. Wypisywała ich numery na tabliczce, zawieszonej przed jej pokojem, a Matka dyżurująca przekreślała je, zawiadamiając jednocześnie o naznaczonej konferencji. Cicha Ania umiała jednak znaleźć chwilę, aby własnoręcznie przekreślić swój numer, broniąc się w taki sposób od wtargnięcia do jej duszyczki. Mądre słowa Matki Wielebnej, nacechowane teologiczną cnotą miłości chrześcijańskiej, nie wystarczały również wrażliwej dziewczynce, znającej siłę żywego ognia serc kochających gorąco rodzonych i przybranych rodziców. Uczestniczyła tedy w zebraniach li tylko ciałem, gdyż przebywała wówczas duchem często gdzieindziej. Zresztą — było to jej osobiste wrażenie, a każda z wychowanek odczuwała w odrębny i indywidualny sposób, otaczającą je atmosferę klasztorną.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W dniu imienin założycielki klasztoru Maltanek odbywało się najbardziej uroczyste „kąże“, tak pożądane przez wszystkie dziewczynki. Wstawały one późno i bez medytacji szły do kościoła w białych welonach. Po mszy świętej — pochód *rangements* do refektarza, przystrojonego festonami z kolorowych bibułek. Wśród ciszy, pełnej wyczekiwania, Matka d'Espailles dzwoniła małym dzwoneczkiem:

— *Vous avez aujourd'hui votre jour du congé, mes enfants!* Pierwsze będzie *cache-cache,* potem zebranie z Matką klasową, a po obiedzie kulig sankowy.

Szalony gwar, śmiechy, krzyki, nawoływanie się wza-

jemne przez wszystkie stoły, latanie po refektarzu bez żadnej racji, a po śniadaniu gonienie po schodach, napełniały klasztor od góry do dołu. Matki zjawiały się niekiedy dyskretnie, przechadzając się między rozbawionemi wychowankami z pogodną twarzą, a złamany w tym dniu rygor klasztorny, taił się jeno w głębokich fałdach ich długich, czarnych habitów. Podczas *cache-cache*, polegającem na ukryciu kilku kartek z wypisanemi na nich cyframi, zgiełk szukających i bieganie po całym klasztorze, dochodziły do apogeum hałaśliwej swobody. Szczęśliwe poszukiwaczki dostawały nagrody w postaci, ulubionych przez dziewczynki obrazków świętych z własnoręcznemi napisami Matek, figurek, książeczek i innych drobiazgów. Na zebraniu z Matką klasową rozmawiano swobodnie, poruszając różne tematy z klasztornego i świeckiego życia. Obiad był znacznie lepszy i torty figurowały na deser, ale największym wdziękiem tego upragnionego „kąże", była możność wyboru rozrywki. Nie dzwonił co godzina nad uchem nieznośny dzwonek. Wolno było czytać, pisać, rozmawiać we dwie, a nawet spać w dzień w dortoirze, do którego wstęp bywał zwykle o tej porze wzbroniony.

Po udałym i niesłychanie ożywionym kuligu sankowym cały pensjonat wrócił na podwieczorek. Spacer na mroźnem powietrzu zaostrzył apetyt, więc dziewczynki zajadały ze smakiem chleb z masłem, kakao i owoce. Hela Myszkowska skinęła na Jadzię i Anię:

— Chodźcie ze mną! Zobaczycie, jak się zabawimy! Lala! — zawołała do rozmawiającej z koleżanką, podobnej do siebie brunetki, flegmatyczniejszej wszakże w sposobie bycia. — Idziemy! — i we cztery wybiegły z refektarza, dążąc po schodach na ostatnie piętro. Tu — przystanęły, oddychając szybko.

— Za mną! — komenderowała Hela. — Dam wam

lepszy podwieczorek, niż ten na dole! Prędko! Chowajcie się do Fontanki, a ja tam zaraz przyjdę.

Fontanka przy dortoirze świętego Kazimierza była pusta, gdyż całe życie pensjonatu koncentrowało się przy klasach, na pierwszem piętrze. Lala, wiedząca znać jako najbliższa przyjaciółka, co „piszczy w trawie", spróbowała, czy lufcik otwiera się z łatwością. Za chwilę wpadła Hela, niosąc w ręku duże pudełko, zamykające się na misterny i trudny do otworzenia zamek. Pod pachą trzymała paczuszkę z ciastkami domowej roboty, a z kieszeni mundurka wyglądały łebki kolorowych flaszeczek.

— Uczta Nerona! — zapowiedziała patetycznie, naciskając sprężynkę. Wieko się podniosło i nieco przerzedzone już czekoladki ukazały się oczom zaciekawionych dziewczynek. — Przysłane na uświetnienie „kąże" przez ojczulka! — rzuciła wyjaśniająco. — Złożyłam je do mego drewnianego skarbca. Hokus pokus! — nacisnęła po raz drugi sprężynkę. — Patrzcie!

— Papierosy?! — krzyknęła Jadzia z podziwem. — Skądże je masz?!

— Przywiozłam z domu w tem samem pudełku. Podwójne dno, więc uszły baczności Matek. No, palcie! Doskonałe! — puszczała wonny dymek. — Lala! pchnij lufcik!

— Phi! Nic nadzwyczajnego! — zadecydowała po chwili Jadzia. — Wolę gest — usiadła na taborecie, zakładając prześmiesznie nogę na nogę i ruchem wytrawnego palacza zbliżając do ust papieros — niż ten ciepły, gorzkawy smak! Nie wiem dlaczego tak się zachwycasz?!

— Są gusta i guściki — wtrąciła spokojnie Lala, paląca z równą jak jej przyjaciółka lubością. — Dlaczego nie naśladujesz nas, Aniu?!

— Nie będę paliła — oświadczyła Ania stanowczo. —

Raz spróbowałam i bardzo mi to nie smakuje. Nie będę nigdy modnisią, a wogóle nie lubię zmuszać siebie do czegokolwiek na świecie. Likieru — tobym się chętnie napiła.

— *Eviva l'arte!* — zaśmiała się Hela. — Pijże, uparty Kozibródku! — i wydostała z kieszeni flaszeczki.

— Oszalałaś, Hela! Czy mamy wymalować się wewnątrz farbami i atramentem? — pytała Jadzia, zanosząc się od dźwięcznego chichotu.

— Pokosztuj, Brutusie, który przeciw mnie występujesz, a wtedy osądzisz! — nalewała zawartość flaszki od atramentu w malutkie wazoniki do kwiatków, wielkości kieliszka, ustawiane w pulpitach uczennic przed fotografjami rodziców lub krewnych. — No?! Cóż teraz powiecie!

— Pyszne! — uznała Ania z zachwytem. — Nalej mi jeszcze!

— Nam również! — Lala z Jadzią podały osuszone już wazoniki. — A to dopiero zabawa! Matki nie przypuszczają nawet, co się tu święci!

— Zakąsić trzeba czekoladkami, aby zatrzeć ślady naszego przestępstwa! — doradzała wytrawna w figlach Hela. — *A propos!* Czy wiesz, Aniu, kto mi doradził tak sprytne ukrycie likierów? Twój kuzyn, Andrzej Gozdawski. Pracuje teraz jako rządca u mojej ciotki na Wołyniu i opowiadał mi dużo o waszej cudnej Czereszeńce i o swych własnych, ukochanych Kureniowcach. Biedni wy! A raczej — biedni my, bo i nasze majątki skonfiskowali Litwini. Nie mamy, niestety, fortuny w polskich „piaseczkach“, jak rodzina Jadzi. Ale wiecie, moje kochane? Wynośmy się już z tej Fontanki i chodźmy do koleżanek, bo Matki gotowe nas szukać! Chociaż dają nam dziś swobodę, ale — duch ich — wzniosła rękę z powagą do góry — czuwa wiecznie nad nami!

— Słuchajcie! Ja wam coś mądrego poradzę! — oznaj-

miła znienacka Ania. — Wyjdźmy na chwilę, a potem wróćmy powąchać, czy niema zapachu dymu? Dobrze?

— Rozum przemawia przez usta niemowląt — odezwała się Lala, z cichą żartobliwością, leżącą w jej charakterze.

Rada okazała się trafną, gdyż dym nie ulotnił się jeszcze, więc nieletnie spiskowczynie postanowiły zostawić otwarty lufcik w nadziei, że sprawdzająca porządki Siostra zamknie go wieczorem.

Po kolacji Jadzia z Anią nie chciały bawić się w gry towarzyskie, choć tego dnia wyjątkowo były one daleko ciekawsze, gdyż Matki nie wymagały zniżania się starszych dziewczynek do małych i rekreacja odbywała się klasami.

— Jak to miło, że przynajmniej dziś niema tego nudnego *trio* — zwierzała się Ania koleżance. — Mamusia tak mi zachwalała uroki koleżeństwa, a my przecież nie znamy koleżeńskiego życia. Co może mnie łączyć z „małą" z pierwszej klasy?

— To prawda. Dlatego korzystamy z każdej chwili, aby porozmawiać z sobą cichaczem nawet w czasie lekcji, albo w *salle d'études* za podniesionemi pulpitami.

— Szkoda, że Matka każe ci wtedy opuszczać salę! — roześmiały się obie, a Jadzia dodała: — Jako sumienność chodząca wstałaś z ławki i wygłosiłaś spokojnie: — Matko! Ja także mówiłam.

— Cóż z tego? Chciałam być solidarna, ale Matka przemilczała to moje wyznanie.

— A ja szepnęłam ci, wychodząc: — Jeden raz więcej, czy jeden raz mniej — to już nie gra wielkiej roli! Ale wiesz? Tak się skrzyczałam i zgadałam przez cały dzień, że okropnie boli mię gardło!

— To drobiazg! — pocieszała ją Ania. — W dortoirze

dam ci trochę utlenionej wody. Zrobisz sobie płókanie i przejdzie do jutra bez śladu. Mnie zato w głowie szumi od tego okropnego hałasu. Liczę chwile, gdy będę mogła położyć się do łóżka.

— Widocznie rygor klasztorny ma swoje dobre strony! — Jadzia westchnęła komicznie. — Wyobraź sobie, że zatęskniłam do *silence!*

— A do *rangements?!* — podsunęła Ania figlarnie pytanie.

Jadzia wstrząsnęła energicznie i przecząco głową, trzymając się ręką za gardło.

— Mam pyszną myśl! — Ania nachyliła się do koleżanki i szepnęła jej z ożywieniem. — Chodźmy do Ninetki. Ona wyleczy ciebie lepiej odemnie, bo ma pełno specyfików w szafeczce. Jej rodzice trzęsą się nad nią poprostu. Co mówisz na ten plan, Jadziu?

— Świetnie! Idziemy! — wybiegły z sali recepcyjnej, dążąc po korytarzu do ostatnich drzwi koło „Kominoty". Weszły bez pukania. Na ich widok malutki japoński piesek zawarczał groźnie.

Pokój był niewielki. Stało w nim pianino, na którem ćwiczyły się zwykle wychowanki, a z boku znajdowała się alkowa z łóżkiem. Spoczywająca na niem ładna brunetka, przepasana odznaczeniową wstęgą, powiedziała omdlewającym głosem:

— Pomponik, cicho! Wiecie, nóg nie czuję tak się zlatałam w *cache-cache.*

— Mniejsza o nogi, kiedy boli gardło — zdecydowała Ania, wskazując na przełykającą z trudem Jadzię. — Widać, że obie używałyście „kąże" w całej pełni. Ratuj ją, Ninetko, bo milczenie Jadzi ma w sobie coś zastraszającego!

Podczas, gdy rozpieszczona nuworiszka szukała chęt-

nie odpowiedniego leku wśród mnóstwa flaszeczek, Ania bawiła się z jedwabistą psinką.

— Jaka ty jesteś szczęśliwa, Ninetko — mówiła. — Nietylko masz własny pokoik w klasztorze, ale i tego faworyta Pomponika w dodatku. A mnie nie pozwalają spać dłużej, chociaż mamusia tak o to prosiła. Powiedz mi, jakim sposobem dokazałaś tego cudu?

— To rzecz mamusi, nie moja — zbyła ją dyplomatycznie wybranka losu.

W tej chwili dźwięki wielkiego i małego dzwonka wpadły do uszu, zajętych ciekawym tematem dziewczynek.

— Wołają nas na modlitwę — odezwała się Ninetka, wyskakując skwapliwie z łóżka. — „Kąże“ się skończyło. Chodźmy.

Do sali pulpitowej zbiegły się wszystkie uczennice. Matka d'Espailles weszła również majestatycznym krokiem i oznajmiła:

— *Le jour du congé est fini. Nous allons faire notre prière du soir, mes enfants* — uklękła na przygotowanym dla niej klęczniku, a za jej przykładem poszły wszystkie dziewczynki.

## CIERNISTE DROGI.

Podczas, gdy Ania, łamiąc się wewnętrznie, zdobywała wiedzę w klasztorze, w Przymilepkach nie było również wesoło. Jakiś dziwny guz, powiększający się z dniem każdym na piersi, zaniepokoił marszałkową, która pojechała wreszcie z synowicą do Lwowa. Natychmiastowa operacja musiała odbyć się bez chloroformu wobec wady sercowej pacjentki. Drżącą jak liść z bólu, ale mężną i bez jednej łzy w oku prowadziła pani Vera do jej pokoju w szpitalu, objąwszy wpół serdecznie i pocieszając w całem oddaniem. Wieczorem posługacz szpitalny oznajmił, że państwo Rzeczyccy są na dole i proszą panią Przedborową o chwilkę rozmowy.

— Jacyż oni poczciwi — odezwała się cicho, ale radośnie chora. — Depeszowałam do nich wczoraj. Kochają mnie widocznie, kiedy przyjechali z Krakowa. Jaka szkoda, że o tej porze nie wolno odwiedzać chorych!

Pani Vera zbiegła szybko po schodach i przywitała się ze stojącymi w przedpokoju szpitalnym krewnymi pani Konstancji.

— Jakże czuje się ciocia? — zagadnął troskliwie pan Roman. — Co mówi doktór o tej narośli?

— Sądzi, że to złośliwy nowotwór. Rak, albo sarkoma. Nie twierdzi jednak tego stanowczo.

— Ach! to okropne! — wykrzyknęli oboje z rzeczywistem przejęciem. — Niechże pani będzie ostrożna,

pani Vero kochana, i nie dotyka się cioci po operacji. Słyszałam od mego doktora, że wówczas rak może być zaraźliwy.

— Nie pomyślałam o tem — odpowiedziała z prostotą. — Dzięki Bogu samopoczucie chorej jest dobre. Jakiż to silny organizm! Wybiera się do domu za tydzień.

— Dzięki Bogu! — odetchnęli z widocznem zadowoleniem. — Nie zapomnimy nigdy dobroci pani dla naszej kochanej ciotki! — pan Roman całował ręce pani Alfredowej ze szczerą wdzięcznością.

— Poświęcenie prawdziwe! — dodała pani Lora. — Okropne powietrze w tym szpitalu. Co za odory! — delikatnemi nozdrzami wąchała z grymasem specyficzne, jodoformowe zapachy. — Chodźmy już, Romusiu, bo pani Vera napewno zmęczona temi strasznemi wrażeniami i zechce położyć się wcześnie.

Naczelny chirurg szpitala namawiał gorąco zamożną pacjentkę, aby udała się do profesora Heinricha Muntza w Berlinie, znanego specjalisty w dziedzinie naukowych badań nad niedocieczoną jeszcze przyczyną zjawiania się raka w organizmie człowieka. Wobec przewidywanych męczarni pani Konstancja uległa jego słowom i wraz z synowicą pojechała do Niemiec. Po przejściu zwykłej formalistyki na granicy dwóch państw, pokazujących sobie od wieków, zachłanne kły z jednej strony, a obronne pazury — z drugiej, pani Vera, jadąc pociągiem, wyglądała z taką ciekawością przez okno, że siedzący naprzeciw dwóch Polek otyły, dobroduszny Saksończyk, zagadnął ją uprzejmie:

— Widzę i słyszę, że panie są cudzoziemki. Czy po raz pierwszy są panie w Niemczech?

— O, nie. Moja krewna dużo podróżowała przed wojną, a ja byłam kilka razy w Weisser Hirsch pod Dre-

znem. Bajeczny tam był porządek i bardzo lubiłam ten zakład. Przyglądam się obecnym Niemcom i konstatuję, że o ile przedwojenne były w pickelhaubie, to dzisiejsze — są w miękkim kapeluszu na głowie.

— *Famos! Colossal!* — przytakiwał Drezdeńczyk z zachwytem. —Jaka trafność spostrzeżeń! Ale czy pani sądzi przez jedno mgnienie oka, że energja narodu, zdławiona traktatem wersalskim, umarła na wieki? Nie! Ona tylko poszła pod ziemię. Zadziwimy jeszcze świat naszemi wynalazkami w przyszłej wojnie odwetu.

Przyjechano wreszcie do Berlina i wizyta u profesora nastąpiła bez wielkich trudności. Pani Vera znalazła sposób, aby wślizgnąwszy się do gabinetu przyjęć, prosić uczonego o nie wyjawianie krewnej istotnego stanu rzeczy w razie niepomyślnej djagnozy. — Oszczędzimy jej niepotrzebnych męczarni duchowych — skończyła.

Profesor z tem się zgodził, a jego szczupła, wygolona twarz i oczy mądre, a tak jasno niebieskie, jakgdyby zaczerpnęły tej barwy z pogody wewnętrznej, rozniecиły w Polce najsympatyczniejsze wrażenie. Uspokojona jego słowami i przeprowadzoną kuracją, pani Konstancja wróciła z otuchą do miłych jej sercu Przymilepek, poddając się wszakże kilkurazowym jeszcze operacjom we Lwowie, wobec odnawiającej się uporczywie po każdem wycięciu narości. Tak przeszła zima. Pan Alfred i Ania przyjeżdżali na święta do marszałkowej, wdzięcznej swej towarzyszce nie zdawkowemi słowami, ale cichą stałością wiernego w przyjaźni serca.

Na duże wakacje Ania przyjechała tak mizerna, że pani Vera załamała ręce:

— Jak ty wyglądasz, kochanie? Czy chorowałaś? Taka jesteś okropnie blada!

— Matki w klasztorze także są blade i anemiczne,

mamusiu, a przecież żyją. Nic mi nie będzie. Proszę się uspokoić. Wypocznę na wsi.

— Wstąpimy zaraz do doktora w Brzeżanach. Chwalą go bardzo. Nie można zwlekać, gdy chodzi o zdrowie.

— Silna anemja — powiedział doktór po sumiennem zbadaniu dziewczynki. — O której pani wstaje w klasztorze?

— Przed szóstą — wyjawiła, ociągając się nieco, Ania.

— Jakto? — zdumiała się przybrana matka. — Obiecano mi przecież, że zrobią dla ciebie wyjątek. —(Ania w milczeniu zaprzeczyła głową). Dlaczegoż nie powiedziałaś mi o tem?

— Czy mamusia tak mało ma zmartwień? — rzuciła ogólnikowo dziewczynka. — Poprawię się na wsi. Prawda, panie doktorze?

— Zapewne. Ale radzę nie ryzykować dalej. Wystawię świadectwo, zalecające sen do ósmej rano, co wpłynie na Matki z pewnością. A teraz spać, pić śmietankę, odżywiać się forsownie i brać żelazo. Po miesiącu proszę mi się pokazać.

Wakacje tego lata były wyjątkowo nie ożywione. Pani Marta pojechała z mężem do Krynicy — rzekomo dla jego nadwątlonego zdrowia — i pisywała stamtąd do swej „drugiej matki“ ogromne listy, donoszące, że jest królową dancingów. Panna Hermisia objęła chwilowe zastępstwo jakiejś chorej urzędniczki na poczcie i na urodziny marszałkowej w lipcu stawili się tylko generałowstwo, ciocia Ewelka i państwo Horodelscy z Jerzykiem, który przed paru dniami przybył z Zurychu.

Wierciochowe zjawiły się przed obiadem na chwilę, ceremonjalne i sztuczne. Przyjazne ich stosunki z panią domu oziębły nieco z ich tylko winy, ale przypisywały to

pani Verze, obrzucając ją przy każdej możności szyderczym wzrokiem i docinkami.

— Pani dobrodziejko! Siedźmy cicho i nie budźmy licha! — złożył swe życzenie generał, wysiadłszy wraz z żoną z powozu.

— Od jakiegoś czasu, dzięki Bogu, słowa te dadzą się do mnie zastosować — oznajmiła marszałkowa pogodnie.

Na tę wieść stary przyjaciel wpadł w humor iście młodzieńczy. Pod koniec wystawnej kolacji i po łyknięciu paru kieliszków niezłego wina, rzucił znienacka pytanie, siedzącej naprzeciw pani Verze:

— Moja droga pani! Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani nie jedzie do męża?

Zagadnięta spojrzała nań bystro i, zorjentowawszy się wnet, o co chodzi, odparła bez namysłu: — Czy to jest wieczór sylwestrowy, aby spełniały się różne życzenia? — tu zerknęła dyskretnie na panią Elizę.

Rozmowy urwały się nagle. Tylko Jerzyk z Anią, uroczą w różowej sukience, niepomni na otoczenie i promienni wiośnianą młodością, roztrząsali dalej jakieś interesujące tematy.

Generał brnął dalej, błyskając filuternie oczami z poza rogowych okularów:

— Przecież mężowi pani wiedzie się doskonale. Kupił już żelazne łóżko i primus. Moja droga pani, czegoż pani dotychczas zwleka? — śmiał się tak ochoczo, że nawet lśniąca pod światłem wiszącej lampy łysina zdawała się brać udział w tej wesołości.

Pani Vera odpowiadała dowcipnie; pani Eliza, zamrożona jak doskonały poncz rzymski, ukazywała niby Janus dwa zmienne oblicza: jedno dla żartownisiów, drugie dla pani domu, która bez żadnej przesady — była na mękach. Ale któż na świecie zdołałby powstrzymać

zacnego weredyka, skoro chciał zaaplikować odpowiednią nauczkę?! Nie było takiego atlety. Toteż pan Ryszard Horodelski tak wrzal pod swą anglosaską powłoką, jakgdyby wcielił się weń cały Wezuwjusz, mający zalać dwa miasta, czy też dwoje ludzi, rozognioną lawą. Podniecał go jeszcze widok syna, znajdującego jawną przyjemność w rozmowie z tą nic nie znaczącą, ubogą dziewczyną. Trzeba go będzie zaraz wyprawić nad morze. Ciocia Ewelka, zajadając tort „Dobosz", upieczony przez panią Verę, zachwycała się zharmonizowaniem w niej praktycznej i duchowej strony. Co chwila zwracała się do pani Elizy z prośbą o potwierdzenie jej sądu, co ta czyniła w milczeniu wbrew własnej woli, niby automat, kiwający miarowo głową. Pani marszałkowa, usiłując zepchnąć rozmowę na inne tory, zrozumiała po raz pierwszy, jak niezawodzącem było łoże Prokrusta, gdyż w takiej atmosferze nie wytrzymałaby długo. Skończyła się wreszcie ta urozmaicona biesiada i wszyscy przeszli do salonu. Została tylko pani Vera, stojąca przed otwartym kredensem.

Nie słyszała cichych kroków, stąpającego po dywanach mężczyzny, z twarzą tak rozpaloną gniewem, że stopiła się w nim angielska *first class* maska. Dopiero głos jego, przeładowany elektrycznością i podniecający się coraz bardziej, wstrząsnął nią zarówno treścią, jak tonem:

— Kolacja była rzeczywiście pyszna! Torty udane! Świetna z pani gospodyni pod każdym względem. Najlepiej zatem jedź, pani, do męża! Gotuj, pani! Pierz, pani! Prasuj, pani! Bądź, pani, w nędzy! — i odwróciwszy się natychmiast od zamarłej w bezruchu kobiety, dopadł szybkiemi krokami drzwi od salonu, znikając za niemi. Jeden wyraz, ciśnięty z pogardą, doleciał wszakże uszu tego zrównoważonego naśladowcy Anglików.

Po niedługiej przerwie generał zajrzał do jadalni,

a widząc panią Verę, porządkującą w kredensie, zaczął śmiać się za jej plecami:

— Przytarliśmy im rogów, nieprawdaż, droga pani? Zacna ciocia Ewelka też kłusowała niezgorzej w naszej zawadjackiej trójce! Humory skwaszone w salonie. Oj! Będę miał przeprawę z panią Konstancją! Ale za to Jerzyk z Anią bawią się wyśmienicie! Gotowi się kiedyś w sobie zakochać! Ha ha! Toby był kawał dopiero! Nie mógłbym służyć im na weselu, bo umarłbym pierwej ze śmiechu. Co się stało?! — odskoczył zdumiony, gdyż pani Vera zwróciła się nagle ku niemu, z błyszczącemi gniewnie oczami i głośnym wybuchem:

— Tego tylko brakowało, naprawdę! — powtórzyła mu wiernie, usłyszaną przed chwilą radę wraz z efektowną jej intonacją.

— Dżentelmen! Niech go wszyscy djabli! — trzepnął się ze wściekłością w łysinę generał i, przemierzywszy wielkiemi krokami jadalnię, pochwycił ręce pani Very, ściskając je mocno.

— Tem samem i ja go poczęstowałam bez tego soczystego dodatku wszelako!

— Słyszę ruch w salonie. Odsuwają fotele. Jadą zapewne do domu. Wyjdę do nich, bo pani marszałkowa gotowa mnie zbesztać! A to, dalibóg, komedja! — i generał opuścił jadalnię, spotykając się we drzwiach z młodziutką, po koleżeńsku traktującą siebie parą.

— Chciałem się z panią pożegnać — mówił Jerzyk, całując rękę złotorzęsej wygnanki i patrząc jej w oczy ze szczerą sympatją. — Za parę dni przywiozę tu siodło i będziemy jeździli konno z panną Anią. Nie sprzeciwi się pani łaskawa temu, nieprawdaż? To sport bardzo zdrowy.

Pani Alfredowa objęła życzliwym wzrokiem, stojącego

przed nią chłopaka. Z całej jego postaci wysportowanej i zgrabnej biła młodzieńcza wiara we własne siły, jakgdyby istotnie „ludzkości i życia ogromy przenikał od końca do końca“. Jego źrenice barwy ciemnego bursztynu, piękne i energiczne zarazem, równy nos, tchnące pogodą i zdrowiem usta, brwi zakreślone jak dwa śmiałe, ciemne łuki — tworzyły pociągający obraz tego udanego jedynaka państwa Ryszardów.

— Mamusia nie będzie się bała dla mnie jazdy konnej? Prawda, mamusiu kochana? — dopytywała się Ania, zachwycona myślą o nowej rozrywce.

Zanim pani Vera zdążyła wypowiedzieć swe zdanie, Kasia wbiegła do jadalni, oznajmiając śpiesznym, przekonywującym głosem:

— Proszę panicza! Państwo siedzut już w powozie i bardzo się niecierpliwiut, że panicza nie widać!

— Zaraz idę! Więc zgoda, łaskawa pani? — Do prędkiego zobaczenia, panno Aniu! — i nie czekając na potwierdzenie wybiegł z jadalni.

Turkot, odjeżdżającego powozu nie zakończył wszakże burzy z piorunami, jaka przesunęła się tego wieczoru nad starem domostwem Przedborów. Całe towarzystwo weszło do jadalni, a pani Konstancja pogroziła palcem generałowi:

— Ejże, przyjacielu! Mam z panem na pieńku! Podziwiam takt pana Ryszarda.

— Dżentelmen! — parsknął śmiechem generał. — Gdyby pani marszałkowa wiedziała... — i powstrzymał się wobec błagalnego wejrzenia pani Very.

— Jak możesz brać pozory za prawdę moja Tuniu! — zaprotestowała energicznie ciocia Ewelka. — Gdyby promienie wzroku mogły zabijać mielibyśmy jutro pogrzeb pani Very!

— A niech Bóg broni! Nie podniecajże jej, droga Ewelko, bo i tak źle jest usposobiona do tego...

— Wyrafinowanego człowieka! — dokończył śpiesznie generał i roześmiał się tak zaraźliwie, że i ofiara anglosaskiego gniewu poszła za jego przykładem.

— Nie mogę dziś was zrozumieć — odezwała się z niezadowoleniem pani domu.

— No, to chodźmy spać, pani dobrodziejko! Kto śpi, ten nie grzeszy! To da się zastosować i do nas i do tego łagodnego Anglika! — mówił generał z udaną pokorą, całując ręce pani Konstancji i żegnając się ze wszystkimi.

Jerzyk nie pokazał się już w Przymilepkach. Wakacje się skończyły i Ania, doskonale wyglądająca i wzmocniona na siłach, odjechała do klasztoru. Natomiast Hermisia powiększyła szczupłe grono mieszkanek wiejskiego domostwa. Pani Konstancja jeździła z nią w pole, wyręczając się często młodą dziewczyną, posyłając ją nawet po zakupy do Czerwonnej i, powtarzając zdziwionej tem synowicy: — Szkoda twego czasu, kochana Vero. Pisz dalej.

Wreszcie, pewnego dnia w jesieni, marszałkowa weszła do pokoju gościa, i usiadłszy na wygodnym fotelu, zagaiła rozmowę serdecznym tonem:

— Moja droga Vero. Nie umiem wyrazić ci mego uznania i wdzięczności dla ciebie. Przykro mi niezmiernie, że z powodu tych operacyj, które, oby nie w złą godzinę wymówić — jakoś ustały, nie masz czasu na twą artystyczną pracę. Wzięłam tedy Hermisię do pomocy. Młoda jest, niech się zwija i wstaje ze świtem, a my będziemy wolniejsze. Szkoda twej inteligencji do centryfugi. Spożytkujesz ją na coś lepszego.

Od początku tej niespodziewanej przemowy, synowica słuchała jej czujnie, z uchem nastawionem na kryjące się

w niej pobudki, które wedle drażliwej i ambitnej kobiety przedstawiały się zgoła inaczej. Zdecydowała się szybko.

— Droga stryjenko! Nie potrafiłabym zostać tu w roli rezydentki. Wyjadę zatem do Fredzia! — (Robota Marty — przemknęło jej błyskawicznie przez głowę. — Ta lepiej zna się na ludziach, niż zacna marszałkowa i wie, jak mnie stąd wysadzić! Obawia się rosnącego do mnie przywiązania swej „drugiej matki". Niesłusznie. Znam przecież jej ostatnią wolę).

Marszałkowa zaniemówiła na chwilę, poczem splotła ze smutkiem ręce: — Czy tak ci źle w moim domu, że chcesz stąd uciekać? — spytała.

— Jest mi tu doskonale i dlatego właśnie nie mogę brać wszystkiego, nie dając nic wzamian! — twierdziła z uporem pani Vera.

— Jaka ty jesteś drażliwa, moja droga! Czy nie wystarcza ci stanowisko najbliższej krewnej? Dopóki żyję, chcę dzielić się z wami mym domem. Któż ma prawo wkraczać w nasze osobiste sprawy?

— Otoczenie stryjenki. Wykluczam kilku moich przyjaciół. Tamci chcą się mnie pozbyć i basta. Wyobrażam sobie ich przycinki, gdyby się dowiedzieli, w jakiej roli mam tu pozostać!

— Udawaj, że to ciebie nic nie obchodzi. — Marszałkowa wzruszyła lekko ramionami.

— Nie potrafię udawać, kochana stryjenko. Napewno skończyłoby się jakąś poważną awanturą, a stryjenka tak pragnie spokoju. Lepiej wyjechać.

— Więc jedź! — uderzyła w żartobliwy ton pani Konstancja. — Daję ci urlop, ale na krótko. Kiedyż powrócisz?

— Za parę miesięcy odwiedzę stryjenkę.

— Tylko „odwiedzisz?" Mam nadzieję, że zmienisz

zdanie. To nierozsądne, co chcesz uczynić, droga moja. Pomyśl o Fredziu. Jak on się cieszył, że unikniesz tułaczki i masz u mnie dobrobyt. Nie dba o siebie i pracuje z dawną pogodą ducha, myśląc tylko o was!

— Będziemy razem bili się z życiem, kochana stryjenko.

— Tęskno mi będzie za tobą, ale postępuj jak uważasz za najwłaściwsze — powiedziała dotknięta i zmartwiona marszałkowa.

Obiad przeszedł w milczeniu, a po deserze Hermisia wstała:

— Zaraz przyniosą mleko. Pójdę do centryfugi, proszę pani marszałkowej.

— Nie — powstrzymała ją Vera. — To mój obowiązek.

— Pani nie chce mnie dopuścić do Przymilepek — ozwała się z dąsem nowa pomocnica.

— Myli się pani. Jutro wyjeżdżam. Ale dopóki tu jestem, chcę być pożyteczną do końca — i wyszła podniecona z jadalni.

Wieczorna poczta przyniosła gazety i listy, które pani Vera, dostawała ze skórzanej torby, rozdając je stosownie do adresu. Pani Konstancja zagłębiła się w otrzymanym z Monte Carlo długim liście pani Lory, opisującym arystokratycznem pismem urozmaicony tryb życia w krainie słońca. Hermisia czytała kartkę od pani Marty, a pani Alfredowa zainteresowała się jakimś wierszykiem na eleganckiej pocztówce. Przeczytała go z ironicznym uśmiechem, odwracając, by spojrzeć na adres i nagle, spłonąwszy ogniem ciemnego rumieńca, podała kartkę stryjence:

— Proszę głośno przeczytać! — rzuciła tak bezapelacyjnym tonem, że pani Konstancja oderwała się z żalem od listu siostrzeńców i spojrzała na nią zdziwiona. Wzięła kartkę z pewnym niepokojem do ręki:

— Laury Nobla skroń ci wieńczą... zaczęła czytać, a skończywszy — odetchnęła. — Czemże się tak przejmujesz, moja droga? Głupi i niesmaczny wierszyk. Anonim w dodatku. Wrzuć go do kosza. Spali się jutro w piecu.

— Proszę teraz przeczytać adres! — z niemniejszem podnieceniem nastawała Vera.

— Najwielmożniejsza Pani Vera Przedborowa, rezydentka w Przymilepkach — przeczytała marszałkowa i wybuchnęła: — Nikczemność! — oczy jej zamgliły się łzami. — Tak wielka i niezasłużona przykrość spotkała cię w mym domu! Boli mię to, Vero! Gdyby żył Wacław... i, nie dokończywszy objęła synowicę gorąco. — Gdybym znała autora, zerwałabym z nim napewno, ale nie złapaliśmy nikogo za rękę.

— I nie złapiemy! — orzekła Vera spokojniej. — Te ręce są tak śliskie, jak węże. Teraz jednak przyzna stryjenka, że miałam słuszność, patrząc krytycznie na jej otoczenie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ania po dwóch latach skończyła klasztor i przyjechała z chlubnem świadectwem do Krasnegostawu. Tam bowiem los rzucił od roku jej przybranych rodziców. Humor i dowcip pana Alfreda zmalały, oczy straciły dawne wesołe blaski, a tik nerwowy w ustach powtarzał się teraz bez poważniejszej przyczyny. Tak wielkie zmiany od wielkanocnych wakacyj, kiedy widziała go po raz ostatni, zatrwożyły dziewczynę. Przyjazd jej rozjaśnił nieco zasępioną twarz „kasztelana“: — Jakże teraz będzie, mała dziewczynko? — pytał żartobliwie. — Nie mogę już tak ciebie nazywać, bo jesteś dorosłą panną. Ale dlaczego wciąż pokaszlujesz?

— Może przeziębiłam się trochę, ponieważ kalory-

fery zepsuły się w naszej sypialni klasztornej i trzeba było spać w nieopalanym pokoju.

— Czyż nie mogłaś poprosić, aby cię przeniesiono? — dziwiła się pani Vera.

— Zapomniałaś chyba, że nasza córka nie umie prosić — wtrącił z odbłyskiem dawnego humoru pan Alfred.

— To bardzo źle w tym wypadku. Nie pojmuję, Aniu, jak można być tak lekkomyślną! Teraz widzę że wychudłaś w dodatku. Dlaczego pisałaś, aby nie przysyłać ci paczek?

— Bo nie miałam apetytu, mamusiu.

— Nie martw się, Vero. Jadę dziś do Lublina na posiedzenie zarządu Towarzystwa Rolniczego i zajdę do doktora Wierzbickiego. Zapiszę nasze nazwisko w godzinach przyjęć i pojedziecie do niego. A tymczasem — żegnajcie. Wracam do biura, a potem wyjeżdżam. Zobaczymy się dopiero wieczorem.

Kobiety zostały same. Usiadły na sofie, stworzonej domowym przemysłem z materaca na nóżkach, przykrytego dywanem z Czereszeńki kochanej.

— Czy zauważyłaś, Aniu, ogromną zmianę w usposobieniu tatusia? — zabrała głos matka.

— Ależ to się rzuca w oczy, mamusiu. Bardzo jestem zmartwiona. Jaka tego przyczyna?

— Niekulturalność szefa. Taki ma nierówny charakter, że możnaby go określić, jako „narwańca", jak to mawiano na naszej kochanej Ukrainie. Nie wiadomo poprostu, w jaki sposób można go zadowolić. Co dziś jest dobre, to jutro — złe i naodwrót. Upatrzył sobie coś do tatusia i nęka go z amatorstwem. Tatuś myśli o innej posadzie, ale w tych czasach nie jest to łatwem.

— Musimy wszystko znosić spokojnie, mamusiu. Taki nasz los. Ale to się zmieni napewno. Proszę w to wierzyć.

Jaka szkoda, że pan Stanisław Rydzewski musiał sprzedać założoną przez siebie firmę i to wówczas, gdy tatuś miał zostać dyrektorem Centrali!

— O, tak. Inaczej pracowało się z rozumnym, kulturalnym szefem, który umiał ocenić tatusia. Jak nam dobrze było w Dubnie. Pamiętasz te nasze spacery na Kępę nad Ikwą? Taki malowniczy, szeroki krajobraz, a zapach od wody i ziemi jak na Ukrainie! A ten mały nasz domek wśród starego ogrodu!

— A ta pyszna wigilja, jaką mamusia nam przyrządziła na blaszanej kuchence? — dokończyła Ania z wesołem zacięciem. — Strasznie się cieszę, że mam przed sobą tylko jeden rok kursów handlowych, a potem będę wam już pomocą.

— Mała dziewczynka wyrosła na przyjaciółkę swoich tatusiów, a z czasem zostanie opiekunką dwojga staruszków — śmiała się pani Vera, tuląc do siebie przybraną córkę z uczuciem matki.

Przegawędziły tak dzień cały, gospodarując jednocześnie w skromnem, ale czystem mieszkaniu i dozorując ministra spraw kulinarnych w postaci hożej i wysokiej jak tyczka od chmielu Michasi, dziewoi z lubelskiej gleby, z krótko uciętą, niby końską grzywą nad czołem, pozbawionem guzów mądrości. Było im wesoło i dobrze razem, tylko kaszelek Ani tak martwił panią Verę, że musiała dla jej spokoju jeść gogiel—mogiel i płókać gardło.

Późnym wieczorem pan Alfred wszedł do niewielkiej jadalni z miną tak pełną dawnego humoru i kresowej fantazji, że obie kobiety powitały go z radością.

— Zwycięstwo na całej linji! — rzekł triumfalnie, ściskając je kolejno. — Nie chciałem wam przysparzać troski przedwcześnie, ale dyrektor Warenicki wymówił mi przed miesiącem posadę.

— Tobie?! Za twoją najsumienniejszą i rozumną pracę?! — wstrząsnęła się żona z oburzeniem. — Jakąż podał przyczynę?

— Pretekst raczej — poprawił ją z uśmiechem. — Błahy, trzeba przyznać. Jeden z moich zamożnych klijentów nie wykupił w porę wekslu. Ślusarz zawinił, a kowala chciano za to powiesić, ale się nie dał, bo twarda bestja! Moje sprawozdanie kwartalne wykazało maksimum dochodów przy minimum kosztów, bijąc w ten sposób wszystkie inne filje. Zarząd wyraził mi swe uznanie, na co przedstawiłem list dyrektora zwalniający mnie ze stanowiska. Wiecie, jak się tłumaczył?

— Że nie wiedział jeszcze o takim świetnym wyniku, chociaż to żadne tłumaczenie! Dyrektor powinien znać swych podwładnych — rzekła pani Vera niechętnie.

— Zgoła inaczej. Oto — chciał mnie „po-do-pin-go-wać!“ Cóż wy na to?

— Idjota! — wybuchnęła żona otwarcie.

— Może po tej kompromitacji przestanie wreszcie dokuczać tatusiowi?

— Na jakiś czas — zapewne. Ale nie wierzę w stałość takiej reformy. To człowiek bez prawdziwej kultury, ogładzony zewnętrznie. Wbija we mnie szpilki z upodobaniem i zawiścią, ponieważ byłem dawniej „magnatem“ kresowym. Przejdźmy jednak do ciekawszego tematu. Jutro o piątej — wizyta u doktora. Szczęśliwy traf, bo wogóle trudno dostać się do niego. A teraz bawcie mnie przyjemną rozmową. Gdzie jest obecnie wesoła jak szczygieł Jadzia „Puciatka“. Co porabiają inne koleżanki? Czy zawsze czekacie z takiem upragnieniem na „kąże?“ Czy figlujecie na lekcjach matematyki? Opowiadaj, dorosła panno.

— My się nie powtarzamy, tatusiu. Zbyt wiele mamy inicjatywy. Kiedyś Madzia Woroniecka rozsypała przed

lekcją historji proszek „A psik!“ na estradzie. Matka Korytowska poczuła odrazu drażniący pył wkoło siebie, ale z całym spokojem przyłożyła chustkę do nosa, stawiając kolejno pytania, jak zwykle. Dziewczynki kichały jedna za drugą, a Matka ucierała nos, przejęta dziejami „stu dni“ Napoleona i głucha napozór na przejawy ogólnego kataru. Skończyło się tem, że byłyśmy zawstydzone, a Matka triumfowała po cichu.

— Dobrze wam tak, figlarki! Może przedstawisz nam inny jeszcze obrazek waszej „inicjatywy?“

— Już późno. Odłóżmy to do jutra. Niech Ania wypocznie po drodze — zaprotestowała pani Vera.

Na drugi dzień z rana dziewczyna wypiła z tak jawnym przymusem doskonałą kawę, że stroskana tem matka, wyprawiła ją dla „wzmocnienia apetytu“ na dłuższą przechadzkę do lasu. Dzień był prześliczny. Lipiec zapowiadał się pogodny i niezbyt upalny, falujące morze złotych kłosów roztaczało się tuż za miasteczkiem i tylko gdzieniegdzie w przeciętej kosą wyrwie, stały pierwsze kopy nowego żyta. Ania szła ochoczo po szosie, wchłaniając powietrze, nasycone wonią dojrzałego zboża, gdy nagle elegancki samochód przeleciał koło niej. Wytwornie ubrany mężczyzna w starszym już wieku jechał nim w stronę Krasnegostawu. Spojrzenia ich starły się błyskawicznie. Jakieś dalekie, niewyraźne wspomnienie zamajaczyło w pamięci idącej dalej swobodnie dziewczyny i rozwiało się w okamgnieniu.

— Miła twarzyczka. Kogoś mi przypomina. Może to koleżanka Krzyśki? — rozważał, oddalający się chyżo podróżnik i myśli jego frunęły lotem ptaka do ukochanej córki, odrywając się bezpowrotnie od napotkanej po drodze blondynki.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Punktualnie o oznaczonej godzinie, pani Vera weszła z Anią do gabinetu doktora Wierzbickiego, który wstał od biurka na ich spotkanie i przywitał je z wrodzoną uprzejmością. Był to wysoki, pięknie zbudowany mężczyzna, z nieco już łysiejącemi, starannie uczesanemi włosami, dystyngowany i jednocześnie swobodny w ruchach. Pożądany kompan na wszystkich koleżeńskich zebraniach, nęcący matki i córki *epuzer*, nie ożenił się wszakże dotychczas, oddając się z prawdziwem zamiłowaniem swemu fachowi. Opowiadano cuda o jego bezinteresowności i dobroci, a intuicja i talent medyczny w połączeniu z głęboką wiedzą, stwarzały zeń gorliwego przyjaciela licznych pacjentów. Objął Anię mądrem wejrzeniem i, rozpytawszy się o szczegóły z dotychczasowego życia dziewczyny, przystąpił do wszechstronnego badania. Twarz jego o regularnych, śmiałych rysach zasępiła się lekko.

— Teraz zmierzymy temperaturę — rzekł, zakładając termometr pacjentce — i porozmawiamy trochę. Czy pani dobrze odżywiała się w klasztorze? Proszę mnie zrozumieć. Potrawy mogły być najzwyklejsze, ale czy były smacznie i starannie przyrządzone?

— Nie — padła jakby wbrew woli zwięzła odpowiedź.

— A o której godzinie wstawała pani?

Ania zawahała się chwilę: — Przed szóstą — odparła z przymusem.

Pani Vera splotła ręce wstrząśnięta i niedowierzająca własnemu słuchowi: — Jakto? Przecież miałaś świadectwo doktora, nakazujące ci dłuższy spoczynek z powodu anemji.

— Tak. Ale w ostatnim roku Matka d'Espailles zdecydowała, że dobrze wyglądam i że mogę wstawać na medytację.

— Dlaczegoż nie napisałaś mi o tem? Jak mogłaś rozporządzać się tak samowolnie, Aniu?

— Bo listy idą przez cenzurę klasztorną, a Matki zawsze nam powtarzały: Nie zatrzymujemy nikogo. Komu tu źle, niech jedzie do domu. Czyż warto było zmieniać zakład, mamusiu? Ostatni rok! Myślałam, że to mi nie zaszkodzi — tłumaczyła się dziewczyna łagodnym głosem, patrząc z żalem na zasmuconą matkę.

— Oto są wyniki, gdy do wychowania młodzieży biorą się osoby, których wokacją jest umartwienie ciała — powiedział doktór Wierzbicki spokojnie i objektywnie. Nie pierwszy to wypadek w mojej praktyce, że słabsze organizmy nie wytrzymują takiego systemu.

— Ależ doktorze, — mówiła pani Alfredowa z przejęciem. — Wobec powojennego zepsucia, pragnęłam umieścić moją córkę w czystej atmosferze, a gdzieżbym ją znalazła, jeśli nie w klasztorze?

— Pod tym względem zgadzam się z panią najzupełniej. Jako lekarz dużo mógłbym powiedzieć niestety, o demoralizacji wśród obecnej młodzieży. Zarzucam jednak klasztorom, że strona fizyczna nie stoi w nich na takiej wysokości jak strona duchowa, a znam ten system z opowiadań zachwyconej nim jednej z moich pacjentek, panny Nuleńki Krasińskiej. Nie pojmuję wprost dlaczego wy, rodzice, nie kładziecie silnego nacisku na dobre jedzenie, na odpowiednie ilości cukru i masła, tych krzepiących i odżywczych pierwiastków dla rozwijających się organizmów?! Wiem od innych pacjentek, że skarżą się rodzicom na złe jedzenie, a oni im nie wierzą.

— *Mea culpa!* — przyznała pani Vera. — I ja nie wierzyłam, a nawet strofowałam Anię za kaprysy i wybredzanie.

— A przytem — ciągnął dalej doktór z ożywieniem —

wymagajcież, na miły Bóg! — więcej ruchu na świeżem powietrzu, a mniej owych sławnych „rangements!“ Nie oddajecie przecież waszych córek do klasztorów na zakonnice, tylko mają one powrócić do społeczeństwa jako czynne jednostki, a „zdrowy duch w zdrowym ciele“ jest prawdą ogólnie znaną — tu wyjął termometr i rzuciwszy okiem na słupek rtęci, postawił djagnozę: — stan podgorączkowy. Z tego powodu brak apetytu. Gruczoły powiększone. Lewy szczyt podejrzany. Krótko mówiąc *Hannibal ante portas*, czyli pierwsze objawy gruźlicy. Przerwać dalsze studja bezwzględnie.

Pani Vera pobladła i zacisnęła usta. Ania, zrozpaczona, wpatrywała się milcząc w doktora. Jak on przesadza! Czuje się przecież dobrze, a ten kaszel minie napewno. Jej marzenia rozwiewały się w nicość. Nietylko nie może być pomocą, ale stanie się ciężarem dla tych kochanych, zmęczonych życiem tułaczem rodziców!...

— Panie się niepotrzebnie wzruszają — mówił doktór Wierzbicki miękkim, przekonywującym głosem. — W tem stadjum gruźlica daje się zwalczyć. Bieda w tem, że często lekceważą ją wtedy chorzy, a nawet — co gorsza — lekarze. Będzie pani miała w Zakopanem liczne ilustracje do tej mojej teorji. Proszę ją tylko zapamiętać, panno Aniu.

— W Zakopanem? Więc pan doktór tam mnie wysyła? Ależ to dla nas zbyt kosztowne. Proszę zaordynować mi kurację w domu — przedstawiała, zmartwiona.

— Co ty mówisz, dziecko! Niema oszczędności, gdy idzie o życie! — pani Vera usiłowała powstrzymać łzy, kręcące się jej pod powiekami. — Osiemnaście lat i początki gruźlicy. Czy uda się ją pokonać?!...

— Znajdziemy radę na wszystko — ciągnął dalej przyjaciel chorych, budząc mimowoli otuchę swym to-

nem. — I w Zakopanem można ulokować się niedrogo w „Jutrzence“. Właścicielka jej, pani Proskurzyna, założycielka sanatorjum „Zdrowie“ dla otwartej gruźlicy, oddała na ten cel całą swą fortunę po śmierci jedynej córki, zgasłej przedwcześnie na galopujące suchoty. W „Jutrzence“ przyjmują tylko lżejsze wypadki. Jeśli więc panna Ania przebędzie w Zakopanem od września do czerwca i wykaże, w co nie wątpię — rozsądek w kuracji, to ręczę słowem Eskulapa, że wynik okaże się pomyślny. Tylko dancingów — zabraniam!

— Słowa doktora brzmią pocieszająco — rzekła uspokojona nieco matka.

— I sprawdzą się, a wówczas może otrzymam piękne wejrzenie tych szafirowych oczu? — żartował, patrząc na Anię. — Zakopane latem mocno jest zakurzone. Przepiszę teraz naświetlania lampą kwarcową i zabiegi w domu. Co do jedzenia, to należy tak postępować, jak za czasów króla Sasa, czyli jeść, pić i popuszczać pasa! Od września — górskie powietrze, werandowanie, odpoczynek kompletny i odżywianie, jak wyżej. Pozna pani w Zakopanem córkę mego znajomego z Lublina, która również wybiera się do naszego polskiego Davos na zimowe leże. Uszki do góry, panienko! Będzie jeszcze czas na naukę. A proszę mi się pokazać za parę tygodni.

## „JUTRZENKA“ W ZAKOPANEM.

Na dużej, zalanej słońcem werandzie drewnianej willi w stylu zakopiańskim, rozstawione były leżaki, a na nich spoczywały kuracjuszki, owinięte szczelnie futrami. Październikowy dzień ciepły był i pogodny w tej górskiej kotlinie, zasłoniętej granitową piersią olbrzymów skalnych. Na szczytach Tatr leżały już śniegi białe, przeczyste, stężałe łzy niebios, nie znające szarzyzny przyziemnej kurzawy. Nad nimi tkwiło nieruchome sklepienie, niby olbrzymi szafirowy parasol, rozpięty na promieniach słonecznych.

Ania, zawinięta w baraniczkę, uratowaną z Czereszeńki, werandowała z rozkoszą, błądząc chwilami wzrokiem po spiętrzonych falach górskiego łańcucha, to znów, przyjmując wesoły udział w ogólnej rozmowie. Przed trzema tygodniami przyjechała do „Jutrzenki“, gdzie wobec napływu młodych kuracjuszek, nie było już dawno wolnego kącika. Ale oddana sprawie, założycielka „Zdrowia“, umiała temu zaradzić, wynajmując w sąsiedniej willi dwa duże, słoneczne pokoje z osobną werandą. Tu — umieszczono Anię wśród niewielkiego grona towarzyszek, z któremi zaprzyjaźniła się wkrótce, zniewolona wzajemną sympatją i trybem życia, ułatwiającym zażyłość. Na dłuższe posiłki chodziły do „Jutrzenki“, administrowanej przez panią Martynę Skierkową, zażywną kresowiankę z Białej Rusi, młodą jeszcze brunetkę o czarnych oczach i śpiewnym akcencie. Gospodarna i dobra, lecz

bierna z natury, wysadzona z siodła przez bolszewików, trwożna o przyszłość dwunastoletniej córki, uczęszczającej do miejscowego gimnazjum — trzymała się dyplomatycznej zasady nie narażania się komukolwiekbądź ze swego otoczenia, co było kardynalnym wobec jej stanowiska błędem. Pani Proskurzyna, zapracowana w „Zdrowiu“, kontrolowała „Jutrzenkę“ przelotnie i zrzadka, ufając swej zastępczyni.

Dziewczęta gawędziły, przerzucając się niefrasobliwym śmiechem i dowcipnemi często słówkami.

— Możebyście zamilczały na chwilę — prosiła siedemnastoletnia Irka, zbliżając do oczu, leżącą na kolanach książkę. — Nie przeczytałam ani jednej stronicy, a wiecie przecież, że nie chcę za nic stracić roku seminarjum. — Ładna jej twarzyczka z wąskim, równym noskiem i czarnemi oczami wychylała się z barankowego kołnierza, wiośniana i ożywiona rumieńcem na matowej cerze.

— Lepsza śmiechu jedna chwilka, niż mądrości całe stosy! — przetrawestowała znany wierszyk przystojniutka blondynka z usianemi, ku jej rozpaczy, piegami na twarzy i pąsowemi ustami. — Masz jeszcze dość czasu przed sobą, aby ten lud ukochany kształcić na Nieboskiej Komedji!

Irka westchnęła: — Nie znasz walki o kawałek chleba, Zosiu! Od dziecka byłaś w dostatkach, jako córka wziętego adwokata w Lublinie. A moja biedna, najdroższa mamusia głowi się nieustannie, czy skromna emerytura po mężu wystarczy na wszystkich! Trzech synów na uniwersytecie i — moja choroba w dodatku...

— Wielka choroba! — zaprotestowały zgodne głosy. — Nie masz wysokiej temperatury i pojedziesz do matki zupełnie wyleczona, Ireczko.

Czarne oczy seminarzystki, dziwnie przymglone i smętne, jak miewają je ci, na których padnie daleki błysk

Śmierci, spojrzały na towarzyszki ze szczerą wdzięcznością

— Tylko naśladuj mnie w systematycznej kuracji! — dorzuciła ostrzegawczo starsza i poważniejsza nieco od innych blondynka z uciętą równo czupryną, o jasnych oczach i nie wybitnej urodzie. Była to urzędniczka z Rembertowa, idąca przez życie o własnych siłach i utrzymująca pracą niedołężną matkę i młodszego znacznie braciszka.

— Słyszycie?! Baba Jaga wsiadła już na swego konika — zaśmiała się ochoczo Ania. — Pędź, latawcze białogrzywy! Skacz przez góry, leć przez niwy! A ty nasza babciuuu... wyciągnęła dźwięcznie wysoką nutę.

— Cicho, złoty dziaduniu! Czyż nie wiesz, że śpiewać na powietrzu niewolno? Ale patrzcie! Katarzyna niesie na tacy drugie śniadanie. Chwała Bogu! Już umieram z głodu!

Niemłoda służąca, przysadkowata i gruba, w chustce podwiązanej pod brodą i w porządnym serdaku, wnosiła na werandę gorące mleko, chleb z masłem i z wędliną.

— Bóg zapłać, Kachno, Kasieńko! — wołała Zosia, odrzucając z czoła falujący promień złotych włosów, które były tak obfite i piękne, że wbrew modzie splatała je w dwa grube warkocze. — Cóż to za bajkowe powietrze w tem Zakopciu kochanem! Wszystko, co zjadamy, ginie bez śladu jak w studni!

— Poczekajcie, kochanieńkie. Ja wam wraz swojej szynki doniosę — powiedziała śpiesznie, wydobywając się z trudem z futrzanego worka panna Maryla, siostra księdza z Wileńszczyzny. Ubrana w staroświecką suknię po kostki, przyozdobioną zawsze śnieżnym kołnierzykiem i mankiecikami, w chustce zawiązanej po krakowsku na ciemnych włosach, aby się nie „kurzyły“, przeszła już wiek dla gruźlików niebezpieczny, gdyż przyznawała się do

wystukanej trzydziestki. Była nauczycielką ludową w małem miasteczku na „świętej Litwie“.

— Kosztujcie. Prawda, że pyszna? — mówiła po chwili, krająć nożem przezroczyste kawałki wędzonej szynki. — A jak pachnie jałowcem? Któżby pomyślał, że kilka lat temu zrobiona? Co, kochanieńkie? Proszę jeść, panno Ańko.

— Kilka lat?! Pani nas chce truć, panno Marylo! — mówiła Ania z udaną zgrozą, zatapiając pomimo to bieluchne ząbki w pogardzaną rzekomo wędlinę.

— Iście litewski smakołyk — przyznała Jadzia, vel Baba Jaga, z zachwytem. — To z wszelką pewnością udany przepis jakiegoś ostatniego Wajdeloty? Nieprawdaż, panno Marylo?

— Widzicie? Fotogeniczna Lucia wraca ze spaceru po Krupówkach — zauważyła Irka.

— Ciągle się wałęsa zamiast werandować porządnie. Nie pojmuję, jak pani Martyna może na to pozwalać?

— Moja chata z kraju, ja *niczoho ne znaju!* — zanuciła cichutko wygnanka z Ukrainy.

W tej chwili omawiana towarzyszka podeszła do werandy i zatrzymała się przed nią. Była to ciemna szatynka z niebieskiemi oczami w czarnej oprawie. Najgorętszem jej marzeniem była karjera filmowa, do której gotowała się nieustannie, przybierając dla wprawy efektowne uśmiechy i pozy. Ojciec jej ożenił się po raz drugi, a starsza siostra, pracująca w Równem, w starostwie, zaopiekowała się młodziutką dziewczyną, pozbawioną domowego ogniska.

— Przeleciałam się trochę i mam teraz wilczy apetyt — mówiła Lucia, której pulchne, wilgotne usteczka tak były stale złożone, jakgdyby miały wygłosić: *pomme.* — Nie rozumiem, jak można tak leżeć godzinami bez ruchu? —

Zalotny uśmiech rozchylił pąsowe wargi, za któremi błysnęły dwa rzędy ząbków-perełek.

— Masz swój odrębny system kuracji, ale przekonamy się jakie będą wyniki! Idź na śniadanie do „Jutrzenki", moja Luciu i wracaj do nas na werandowanie — gderała na nią dobrotliwie Jadzia.

— Słucham z pokorą! — Lucia stanęła na baczność z istotnym wdziękiem. — Coś „nasza mama" dziś nie w humorze? Czyżby temperaturka spłatała psikusa?!...

Baba Jaga spojrzała na zegarek i wykrzyknęła niezadowolona:

— Już po dwunastej! Pięć minut spóźnienia! Ależ się zagapiłam! Gdzie mój termometr?! Jest! Mierzmy coprędzej! — włożyły wszystkie szklane rurki w usta, pod język, prócz Ani, której nie zachwycał ten sposób.

— Zgryście je — śmiała się — i nie będzie wcale gorączki.

Zapanowało chwilowe milczenie. Posłuszna sława filmowa — odeszła. Słońce wysyłało z góry fale jasności i ciepła, śniegi skrzyły się, niby pola djamentowe, rozesłane na szczytach, a szafirowe otocze ziemi sklepiało się nad nią, jak wytchnięta przez Stwórcę, powiewna bania.

— Tylko 37.1 — odetchnęła z ulgą Jadzia, rzuciwszy okiem na słupek rtęci. — Dzięki Bogu! Gorączka spada. Będę mogła zapewne prędko wrócić do pracy.

— Ja mam 37,3 — mówiła zafrasowana Zosia. — Skoczyła czegoś! Nie pojmuję, czem sobie tak zaszkodziłam? Wczoraj było tylko 37.2.

— Zmartwiłaś się kabałą Ani, która przepowiedziała ci, że twój najdroższy cię zdradzi! — przekomarzała się wesoło Jadzia, której myśl, że jest jedyną oporą rodziny nie dawała w chorobie spokoju, a która wobec polepszenia, traciła na swej ostrości.

— Mój Boże! — wykrzyknęła z rozpaczą Irka. — Mam 36.8! Okropna gorączka!

— Ależ zastanów się Irko! Z taką gorączką możesz żyć sto lat i więcej!

— Doczekasz się dziesięciorga dzieci przynajmniej, ty okropny tchórzu!

— Co wy tam wiecie?! Ja powinnam mieć w najlepszym razie 36.4! Mam wogóle niską temperaturę. Biedna mamusia! Ja chyba nigdy nie wrócę do zdrowia! — i łzy zalśniły w smętnych oczach dziewczyny.

— Nie martw się, kochanieńka. Pan Bóg dobry. Zdrowie powróci, tylko bądź cierpliwa — pocieszała ją serdecznie pobożna siostra księdza. — Ot, ja mam 37.4 i zgadzam się z wolą Boską.

— Pani jest sama na świecie, a moja najdroższa mamusia umarłaby z żalu za mną! Pani nie wie jak mamusi jest ciężko! Jeden z moich braci, Szymek, taki idealista, że nie znosi widoku nędzarza. Rozdaje wszystko, co sam posiada, a potem trzeba sprawiać mu odzież na nowo. Ja tak pragnęłam być podporą mamusi, pociechą w troskach!

— Już pierwszy dzwonek na obiad — powiedziała Zosia, rada z odwrócenia tematu rozmowy, denerwującej łubianą przez wszystkie Irkę. — Chodźmy do pokoju poprawić włosy i umyć ręce. —Ach, prawda! Zapomniałyśmy o Ani, a ta milczy jakby wodę do buzi nabrała. Jakże tam gorączka, klasztorna panno?

— Wciąż jednakowo, 37.2 — odparła beztrosko Ania. — To żadna gorączka i nie wiem, dlaczego mamusia tak się tem przejmuje. Przecież czuję się doskonale.

— Podzielam jej zdanie — orzekła stanowczo Jadzia.— Dzieciak z ciebie, Aniu!

Okrążyły willę i przez boczne drzwi weszły do zimnego,

nie opalanego korytarza. Stąd było wejście do zajmowanych przez nie pokoi.

— Znów drzwi naroścież otwarte! — wyrzekała Jadzia. — Chłód pędzi do pierwszego pokoju. Co to będzie w zimie?! Jaka szkoda, że w „Jutrzence" wszystkie kąty zajęte. Tam — zupełnie inaczej, a tu możemy złapać takie zapaleńko, że gromadnie pójdziemy do nieba. Pani Skierkowa miała niby zrobić z tem porządek, ale czekaj babiego lata!

W pierwszym pokoju, umeblowanym tylko drewnianemi, zakopiańskiemi sprzętami, mieszkały panna Maryla, Lucia i Ania. W przyległym, zupełnie do tamtego podobnym — ulokowały się Jadzia, Irka i Zosia.

— Spieszmy się — przynaglała towarzyszki Baba Jaga. — Obejmuję teraz nad wami komendę. Zaraz po obiedzie werandowanie do kolacji, a potem — o dziesiątej mamy być w łóżkach. Ania zawiele tańczy z Tanieczką, a ciekawe kabały trwają zbyt długo. Rezultat — podniesiona temperatura! Basta, moje panny! Wasza mama kładzie od dziś na te wybryki bezapelacyjne veto!

— Dziś właśnie mamy zapowiedzianą wizytę doktora — przypomniała Zosia.

— Jaki to nieprzyzwoity doktór, żeby tak późno odwiedzać chorych! — powiedziała z oburzeniem panna Maryla. — Koniecznie chce nas zastawać w negliżach.

— No, dajmy na to! Pani tak nigdy nie widział. Zawsze w zapiętej sukni pod szyję. Czy on panią tak bada, gdy chodzimy do niego w „Jutrzence"? — pytała figlarnie Ania.

— Insza to rzecz w dzień, a insza — wieczorem! — broniła się siostra księdza, wycierając starannie umyte ręce.

— Drugi dzwonek! Chodźcie już prędzej! — wołała Jadzia i pierwsza dała początek.

W dużej, czysto nakrytej sali jadalnej, podbiegła do wchodzących dziewcząt młodziutka Rosjanka z niezwykle bujną, jasną czupryną, usiłując mówić dobrze po polsku: — Jak się masz, Aaniczka? (z akcentem na pierwszej literze). Ty wiesz, że zrobili mi odmę na górze, w „Zdrowiu"? Słuchaj Aaniczka! Obracali mnie jak wieprzka, ja tobie mówię, a potem — paf! wsadzili igłę między żebra! Ale ty wiesz?! Ja nawet nie czuła, że mnie to boli, taki był ładny ten główny doktór! Ach! Zakochać się można, ja tobie mówię, Aaniczka!

— Jakże ty się czujesz, Tanieczka, po tej operacji? — zapytała ze współczuciem Ania.

— Doskonale. Mogę zaraz tańczyć. Ach! Jak ja szalenie lubię tańczyć!

Po kolacji nakręcano patefon. Zagrożone gruźlicą i gorączkujące kuracjuszki tańczyły jedna z drugą w takt oryginalnej modnej melodji. Tanieczka chwytała Anię, prosząc ją zadyszana i łapiąca oddech z trudnością: — Jeszcze tylko dwa kółka! Dobrze, duszeczka?

— Dosyć już, Tanieczka! Siadaj i odpocznij! Ania teraz ze mną potańczy, a wy przypatrujcie się i podziwiajcie! — wołała Irka, podniecona atmosferą zabawy i obejmowała towarzyszkę jako kawaler, w posuwistym one-stepie.

Pani Skierkowa wodziła pogodnem spojrzeniem po rozbawionych dziewczętach, nie czyniąc im żadnych uwag, tylko Baba Jaga, nie tańcząc samą, powściągała je z niezadowoleniem: — Już późno! Chodźmy spać. Proszę was, moje drogie, zróbcie to dla mnie, jeśli nie dbacie o siebie.

Najdłuższe były wieczory, gdy doktór zapowiadał swe

przyjście. Dziewczęta przysłuchiwały się kabale Ani, przejęte wróżbami. Zosia w strojnym negliżu, z falą złotych włosów, spływających po plecach, wpatrywała się w karty, podparta na ręku i zadumana. Kochali się gorąco z młodym wojskowym z bogatej rodziny, sprzeciwiającej się jego małżeńskim zamiarom. Pomimo to młodzi pisywali do siebie płomienne listy, wyznając miłość i stałość, aż do grobowej deski. Lucia leżała już w łóżku w niebieskiej, muślinowej koszuli, pożyczonej na ten wieczór od Ani, odtwarzając w milczeniu filmową scenę nieszczęsnej suchotnicy, oczekującej przyjścia zrozpaczonego narzeczonego. Skromna panna Maryla z kolorową kokardką pod brodą, przechadzała się, zrzędząc niechętnie: — Nieznośny doktór! Kiedyż on przyjdzie? Niemożna się rozebrać i zasnąć spokojnie!

Nareszcie zjawił się wyelegantowany doktór Ignacy. Pracował sumiennie w „Zdrowiu", gdzie byli ciężko chorzy i gdzie baczne oko pani Proskurzyny uniemożliwiało najmniejsze bodaj zaniedbanie obowiązku. Ale tu — w „Jutrzence" traktował lekko „powiększone gruczoły", „nie oddychające szczyty", „wapniejące ogniska", stan podgorączkowy i tym podobne objawy groźnego wroga ludzkości. Ania nazywała go „stary kawaler", gdyż był łysy i miał po trzydziestce, chociaż inne dziewczęta twierdziły, że łysina nie koniecznie oznacza wiek podeszły i że doktór może się bardzo podobać. — Chyba takim, które straciły nadzieję na coś lepszego! — upierała się Ania.

— Dobry wieczór paniom — podawał rękę każdej z kolei i zasiadał przed stołem. — Kabała, jak widzę! Może złotowłosa Pytja odkryłaby mi tajemnice mojej przyszłości? — odezwał się, trzymając Anię pod czarem swego wzroku.

— Panie doktorze! Czegoż pan się jeszcze spodziewa od życia? — ironizując lekko, odpowiadała zagadnięta, kładąc na bok karty.

— Hm! Jakże się panie miewają? Doskonale, nieprawdaż? A czegoż panie jeszcze nie w łóżkach?

— Czekałyśmy na pana doktora — podkreśliła nachmurzona panna Maryla.

— Czegoż panie się mnie krępują? Doktór — to nie mężczyzna. Spóźniłem się, bo byłem strasznie zajęty.

— Miałam dziś o dwunastej podwyższoną temperaturę o cztery kreski, panie doktorze — żaliła się Irka. — Trzydzieści sześć i osiem!

— At! — machnął ręką. — Uważam, że pani jest przewrażliwiona, panno Irko — i podszedł do Luci, witając się z nią czule: — Oto przykładna pacjentka. Już leży w łóżku, nie tak jak panie.

— Nic dziwnego, panie doktorze, bo cały dzień lata zamiast werandować, jak my to czynimy! — broniła towarzyszki Baba Jaga.

— Więc śpijcie, moje panie. Życzę przyjemnych snów! Rad jestem, że wszystko tak pomyślnie zastałem — pożegnał się ze wszystkiemi kolejno i wyszedł, rzucając ostatnie, niezadowolone spojrzenie na obojętną twarzyczkę Ani.

Nastał początek grudnia. Mróz, dochodzący do trzydziestu stopni, tak był ostry, że kąsał jak wilk lodowatemi kłami, wieczorem i w nocy. Ujarzmiało go tylko słońce, czyniąc zeń krzepiącego dawcę zdrowia. Bezwietrzne dni były tak piękne, że kuracjuszki z „Jutrzenki“ postanowiły urządzić wycieczkę saniami do Kościeliskiej doliny, ale ten miły projekt zepsuła Irka. Zmierzywszy temperaturę dnia tego z rana, ujrzała podwyższenie o jedną kreskę. Zaniepokojona, pozostała w łóżku. Odłożono wycieczkę,

ale gorączka wzmagała się stale. Doktór stwierdził grypę, zapisał lekarstwa i okłady na piersi. Siostra ze „Zdrowia“ nie zjawiała się wszakże, pani Skierkowa nie wkraczała w prawa doktora, który „zna się przecież na stanie chorego lepiej, niż ona“, a biedna dziewczyna zażywała sumiennie proszki i brała mikstury, wychodząc niekiedy z musu na mroźny, nieopalany korytarz. Tym razem młodość zwyciężyła chorobę. Gorączka jęła opadać zwolna i powróciła do upragnionej przez Irkę wysokości 36.3. Znudzona długiem leżeniem, wstała i poszła na werandę. — Ależ dostaniesz burę od doktora, że wstałaś bez pozwolenia, Irko! — skarciła ją Jaga. — On nawet tego nie zauważy!— powiedziała z goryczą seminarzystka.

Dziewczęta, mające się już wkrótce rozjeżdżać, siedziały wieczorem przy stole, zajęte przygotowywaniem wzajemnych dla siebie podarków. Ktoś zapukał do drzwi i wszedł doktór: — Dobry wieczór paniom! — zagaił wesoło. — Ach! Kogoż widzę?! Panna Irka ubrana! Jakże się cieszę, że pani już zdrowa! — wstrząsnął jej rączką. — Cóż to za śliczne murzynki?! — zwrócił się do Ani, robiącej szydełkiem barwny strój dla naguska. — Czy mogę prosić o taką pamiątkę?

— Nie chcę rozdawać całemu Zakopanemu pamiątek — wyrzekła dziewczyna chłodnym tonem, oburzona do głębi lekceważeniem przez doktora stanu zdrowia towarzyszki.

Dotknięty Eskulap okręcił się na pięcie, porozmawiał kilka minut z pacjentkami i wyszedł, nie badając Irki, która zaczęła się śmiać ironicznie:

— Cóż Babo Jago?! Któraż z nas miała słuszność?

Na trzeci dzień po wizycie doktora Irka zapadła na dobre. Temperatura rośnie zastraszająco. Powrotna grypa.

Tymczasem wyjeżdżają kolejno Jadzia, Zosia i Lucia, a na ostatku panna Maryla. Z całej paczki zostaje tylko Ania, która przenosi się do chorej Irki, duszącej się od kaszlu po całych nocach i plującej już krwią. Doktór postanawia ulokować ją w „Zdrowiu“, gdzie są na miejscu wszystkie zabiegi lecznicze i odpowiedni dozór. Ania odwozi saniami mdlejącą towarzyszkę, której błyszczące gorączkowo oczy i silne wypieki na twarzy zdradzają piorunujący rozwój choroby. W sanatorjum umieszczają ją natychmiast w osobnym pokoju, przeznaczając stale dozorującą pielęgniarkę.

— Dziękuję ci, Aniu — przemówiła szeptem Irka i ująwszy z wysiłkiem rękę dziewczyny, przytuliła do niej spalone od żaru usta.

Ania pocałowała ją na pożegnanie, aby dać dowód w ten sposób, że stan jej nie jest tak ciężki, poczem wróciła do siebie. Widok dwóch opustoszałych pokoi, gdzie przedtem tyle było gwaru i wesołości, a teraz tak wiele smutnych wspomnień, wywarł na niej przykre wrażenie. Wobec tego, że stan jej zdrowia poprawił się znacznie, mogła zająć się wyszukaniem jakiegoś niedrogiego pensjonatu, co przy wrodzonej przedsiębiorczości, uczyniła natychmiast. Po kilku dniach przeniosła się do willi „Zacisze“, której właścicielka, biorąc pod uwagę dłuższy pobyt Ani, zgodziła się na równie przystępną, jak w „Jutrzence“ cenę. Dziewczyna wysłała list do rodziców, donosząc im o zmianie swego *locum,* ale nie motywując powodów, aby ich nie zatrwożyć. Wiadomość ta wywołała u dwojga Przedborów odrębne zdania. Toteż w nadesłanej wprędce odpowiedzi pani Vera potępiała samowolę córki, pan Alfred zaś wyraził mniemanie, że musiały być ku temu słuszne powody, które radby poznać najprędzej. Ania odpisała po swojemu zwięźle, ale serdecznie, koń-

cząc temi słowy: — Tatuś bliższy jest prawdy, niż mamusia. Opowiem o wszystkiem, gdy powrócę do domu.

Dziewczyna zanurzyła się po latach wielu znów w słońcu i w niefrasobliwej swobodzie. Ach, tak! W swobodzie — przedewszystkiem! Tłumiona przez rygor klasztorny indywidualność wybuchała teraz nadmierną często wesołością i perlistemi śmiechami. Jeśli chodzi o atmosferę, panującą w „Zaciszu“, to możnaby nazwać je raczej „Zagłośne“. Ogromna, zalana blaskami słońca oszklona weranda, ukwiecona dookoła wazonami, stanowiła salę jadalną dla licznych gości, przyjeżdżających tu na wypoczynek, albo na zimowe sporty. Czasem wkradł się pomiędzy nich jakiś chory, ukrywający swe niedomagania starannie, gdyż z zasady nie przyjmowano gruźlików, od czego jednak w Zakopanem ustrzec się trudno. I tu werandowała Ania na olbrzymim tarasie nad salą jadalną, który tworzył jakby centrum, skąd rozchodziły się promienie wzroku na Giewont, Czerwone Wierchy, Świnicę, Antałówkę, Gubałówkę i na kotlinę zakopiańską. Panna Kazia Lubieszówna, długoletnia buchalterka Banku Przemysłowego z Warszawy, karmiła okruchami wróble, wypoczywając na leżaku. Sześcioletni Jaś, blondynek z piastowską czupryną, kręcił się po tarasie w białym serdaczku, nudząc wszystkich różnemi pytaniami.

— Gdzie twój tatuś, Jasiu? — spytała panna Kazia.

— Śpi, proszę pani. Tak się wczoraj natrzaskał u „Trzaski“, że teraz oczu otworzyć nie może!

— Panno Aniu! Jedziemy dziś całą paczką na spacer. Zapraszamy panią. Jak pani woli? Czy siedzieć w dużych saniach, czy też na przywiązanych z tyłu saneczkach razem ze mną? — pytał wesoły Ludek Dorski, słuchacz W. S. H. z Warszawy.

— Naturalnie, że na saneczkach! — wybrała bez namysłu Ania.

— Pysznie! Będziemy ciągnęli za sobą Wacka na nartach.

— Tylko mnie nie przewróćcie, bo was się zawsze figle trzymają — zastrzegł flegmatycznie młodszy Dorski.

— Bądź spokojny. Będę ich pilnowała, jadąc w saniach z Basieńką — upewniała go żartobliwie matka.

— Weźcie i mnie! Aniu, dobrze? — prosił natarczywie Jaś. — Możecie mnie wywracać, ile wam się podoba! Strasznie lubię wykąpać się w śniegu!

— Widzę, że pani jest niedbale okryta, panno Aniu — zwrócił uwagę z braterską troskliwością młody student prawa, zbliżając się do dziewczyny i poprawiając baraniczkę. Raniony na wojnie światowej w płuco, wyratował się jakoś szczęśliwie. Któżby się spodziewał, że Śmierć wypisała już swoje memento na tym pięknym szatynie, o powłóczystem wejrzeniu ciemnobłękitnych oczu.

— Dziękuję panu, panie Adamie. Jaki pan usłużny i dobry dla mnie. Musi pan także z nami pojechać, bo bez pana niema zabawy!

— Może wracając, wpadniemy na chwilę do „Trzaski"? — zaproponowała pani Lela Nowicka, brunetka o rysach rzeźbionych nakształt kamei, żona dyrektora cukrowni z Ukrainy, który już zdobył stanowisko w Polsce. — Ogrzejemy się winem i rzucimy okiem na tańczące pary.

Wycieczka na Cyrle powiodła się znakomicie. Utarta droga lśniła białością. Po dwóch jej stronach stały wieloramienne smereki, przykryte puchami śniegu, roziskrzonemi w poświacie księżyca. Góry kładły na biel płaszczyzny granatowe cienie, mieniąc się zwiewnym błękitem, jak nierealna wizja poety. Lekkość i czystość powietrza nie dawały się z niczem porównać.

Wśród figlów i żartów przejechano koło „Gospody pod siedmiu kotami“ i zawrócono zpowrotem, gdyż pani Lela, dbająca o piękną cerę, lubiła być wcześnie w łóżku. Góralskie sanie, jadące wolno pod górę, sunęły teraz z całą chyżością, na jaką pozwalał wiek karej szkapy. Odwiązane małe saneczki potoczyły się wdół z rozpędem lawiny. Przez ulicę Chałubińskiego i Krupówki podjechali wreszcie pod restaurację Trzaski. Weszli do sali.

Tańczące pary wirowały w giętkich, łamliwych półobrotach. Na estradzie grzmiał jazzband, a dyrygujący nim wysoki, szczupły blondyn, zwrócony wygoloną twarzą do sali, przesuwał się w elastycznych lansadach z jednego końca orkiestry na drugi, wymachując rytmicznie smyczkiem skandując wyrazy tonem pośrednim między śpiewem, a melodeklamacją:

— Czy pa-ni mieszka- sa-ma,
— Czy mo-że z nim?
— Ko-szul-ka, czy pi-ża-ma
— Jest stro-jem twym?

— Ko-szul-ka czy pi-ża-ma jest stro-jem twym! — podchwyciły ochoczo wszystkie pary, śpiewając głośno znaną kabaretową piosenkę.

Całe towarzystwo z „Zacisza“ przeciskało się wśród tłoku, wrzawy i dymu z papierosów i cygar, szukając wolnego stolika. Usadowiwszy się nareszcie i zamówiwszy grzany poncz w szklaneczkach i ciastka, jęli przyglądać się hucznemu dancingowi. Wtem — Ania dojrzała zdaleka, flirtującego z modnie ubraną i utlenioną na rudo pięknością — doktora Ignacego. Błękitnawy płomyczek zapalonego ponczu igrał przed nimi, o wiele słabszy niż błyski źrenic obojga.

— To dlatego był taki „bardzo zajęty“ wieczorami! — przemknęło przez głowę dziewczyny, a obraz ciężko chorej, odwiedzanej często Irki, przysłonił widok rozbawionej sali. — Coby na to wszystko powiedział doktór Wierzbicki? — myślała. — On — który tak kocha chorego i tak zachwala „Jutrzenkę?“

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Pewnego dnia wieczorem, panna Kazia schodziła z Anią na kolację, dysputując żywo o kombinacjach w grze karcianej „66“, którą przed chwilą skończyły, gdy nagle wykrzyknęła z zachwytem:

— Niech pani spojrzy, panno Aniu! Jakaż to śliczna blondynka w tym niebieskim zawoju koloru jej oczu! Jaś siedzi u niej na kolanach. To chyba narzeczona szefa jego ojca, o której nam już wspominał.

Chłopczyna, zobaczywszy ulubioną swą przygodną opiekunkę, skoczył ku niej z rozjaśnioną twarzyczką: — Panno Aniu! — wołał, ciągnąc ją za rękę. — Proszę iść za mną! Poznam panią z narzeczoną mego przyjaciela!

Piękna, wysmukła jak topola dziewczyna wstała, podając rękę z czarującą dobrocią, zachwyconej nią Ani: — Słyszałam od Jasia, że pani jest z Ukrainy, my zaś mieszkałyśmy z moją matką długie lata w Moskwie. Obie jesteśmy wygnanki, poszkodowane przez „swobodę“ rosyjską. Znam pani nazwisko, więc przedstawiam się również jako Wierusz-Kowalska. Mój narzeczony — pułkownik Orżewski, który mię nazywa Marysieńką.

Imponujący postawą wojskowy skłonił się uprzejmie Ani. Wrażliwa dziewczyna odczuła szlachetność i dziwny smutek w jego czarnych oczach, pomimo uśmiechu szczęścia i dumy, jaki się błąkał na energicznie wyciętych ustach.

Ruch się uczynił w sali. Zasiadano do stołu.

— Czy mogę zaznajomić panią z naszem miłem kółkiem? — spytała Ania z rosnącą sympatją.

— Bardzo będę pani wdzięczny, ale — po moim wyjeździe — uprzedził pułkownik odpowiedź narzeczonej, która już otwierała maleńkie, różowe jak blady koral usteczka, przyczem niedyskretny perłowy ząbek wysunął się na czoło swych towarzyszy, co było jednym z wielu innych uroków.

Pożegnali się mile z Anią i odeszli. Dziewczyna patrzyła im w ślad w milczeniu. Wrodzone jej poczucie piękna nasycało się widokiem tej pary, będącej jakby odbiciem antycznych bogów. Mars — bóg wojny, przedstawiany przez Rzymian jako małżonek Venus, bogini wiosny, kwiatów i miłości, ucieleśnienie piękna kobiecego.

W parę dni potem narzeczony wyjechał, a panna Marysieńka zaprzyjaźniła się z Anią. Kiełkująca od pierwszego wejrzenia sympatja, zmieniła się szybko w trwalsze uczucie dwóch dziewcząt. Starsza i doświadczeńsza przyszła pułkownikowa, niezwykle piękna bez cienia próżności, dobra, lecz nie małostkowa, otwarta i szczera — pociągała ku sobie młodziutką, nieznającą życia, wychowankę klasztorną. Każde jej słowo było kluczykiem do zamkniętego dla obcych serduszka. Z drugiej strony — Marysieńka pokochała „złote djablę weneckie“ (jak ją nazywała, gdy ostrzeżona smutnym przykładem Ania karciła jej lekkomyślne traktowanie zdrowia), ceniąc dzielność i czystość skomplikowanej natury. W powojennym świecie wyrosły dwa kwiaty, nie znające — podobnie jak śniegi tatrzańskie — brudu przyziemnej kurzawy.

Werandowały teraz we dwójkę na balkonie, przytykającym do pokoju Marysieńki, a tematów do ożywionej wymiany myśli więcej było, niż czasu.

— Jakże zastałaś Irkę, Aniu? — spytała z niepoko-

jem w podłużnych, turkusowych oczach, starsza przyjaciółka młodszą, wracającą z sanatorjum.

— Źle — odpowiedziała krótko Ania, układając się na leżaku i otulając nogi baraniczką.

— Nie martw się kochanie, — rzuciła na stroskaną dziewczynę współczujące, promienne spojrzenie. — Powiem ci wszystko. I ja miałam galopujące suchoty.

Ania z przerażeniem zwróciła ku niej szafirowe, pociemniałe źrenice.

— Widzisz, że żyję! — uśmiechnęła się tamta bladym koralem usteczek. — Ale był czas, kiedy wysłano mię na śmierć do Otwocka.

— Powiedziałaś mi tylko, że po odmie masz zabliźnione płuco. A narzekasz, że jestem skryta — rzekła Ania z delikatnym wyrzutem.

— Jeszcze więcej gderałabyś na mnie, złote djablę weneckie! — zaśmiała się wdzięcznie. — Mój narzeczony szalał z rozpaczy.

— Widać to w jego oczach — wtrąciła słuchająca z zadumą.

— Przyczyną nieszczęścia był doktór, nie znający się na chorobach płucnych i bagatelizujący pierwsze objawy gruźlicy. Wiesz, że od szesnastu lat życia pracowałam na siebie. Rok temu zaczęłam uczuwać dziwne zmęczenie i kłócie w boku. Nie miałam środków, aby udać się po radę do profesora, który bierze pięćdziesiąt złotych za wizytę. Poszłam więc do doktora, któremu zapłaciłam tylko dziesięć.

— Anemja — osądził i zapisał lekarstwa. — A te kłócia w boku? — Mięśniowe — odpowiedział lekceważąco.

Czułam się jednak coraz gorzej. Znów idę do niego. Wybadał i machnął ręką. Stukałam dalej na maszynie

osiem godzin dziennie. Z powodu przeniesienia mego narzeczonego do Wilna, odłożyliśmy nasz ślub do czasu kiedy stworzy tam dla nas gniazdko. Siły mię opuszczały. Całe wieczory, po biurze, leżałam już na kanapie. Idę po raz trzeci do mego doktora. Po przedłużającem się badaniu i opukiwaniu, odezwał się gwałtownie: — Proszę natychmiast zaprzestać pracy i jechać do Otwocka. — Przyznałam się do tego w domu. Narzeczony, który przyjechał w tym czasie, wszczął straszny alarm, zwołał konsyljum, ale tym razem profesorskie sławy orzekły, że ratunek wątpliwy. Tymczasem — w Otwocku stan płuc polepszył się nadspodziewanie i, jak widzisz teraz, galopujące suchoty zostały tylko w kieszeni. Zadłużona jestem u mego kuzyna po same uszy!

— Wyobrażam sobie, jakie bajońskie sumy pochłonęła taka kuracja — zabrała głos Ania.

— O, tak! Wyznam ci jednak, że mam lekkie podejrzenie co do źródła dostarczanych mi hojnie środków. Myślę czasem...

— Że twój kuzyn był tylko bankierem narzeczonego — skończyła przyjaciółka.

— Tak. Ale nie poruszam tej kwestji. Przecież moja śmierć byłaby dla niego cierpieniem nadludzkiem, a ja go tak kocham i pragnę jeszcze żyć trochę! Nasz ślub ma być w kwietniu, a wtedy postaram się ozłocić mu wszystkie chwile, jakie ze sobą spędzimy!

— Mam nadzieję, że doczekacie się złotego wesela — uśmiechnęła się rozjaśniona nieco Ania.

— Oby twe słowa były prorocze, Maciupuniu kochana! — westchnęła śliczna narzeczona. — Z bliskich mi osób tylko ty jedna będziesz na ślubie w Zakopanem, bo po takich wydatkach, względy finansowe nie pozwalają naszym rodzinom na tak daleką podróż.

— Gdybyż stan Irki zmienił się tak pomyślnie i niespodzianie, jak twój — wróciła Ania do gnębiącego ją obrazu chorej towarzyszki. — Wiesz, co mi szepnęła pielęgniarka?

Mała, subtelna w rysunku główka w niebieskim zawoju, wychyliła się z leżaka, trwożna i zaciekawiona.

— Ostatnie przebłyski dogasającej lampy — przytoczyła Ania urywanym głosem.

Marysieńka poruszyła się nerwowo, wyzwoliła zgrabne nóżki z worka futrzanego i wstała z leżaka: — Zasmuciłaś mię, kochanie. Wobec tego brońmy się od melancholji i rozerwijmy się trochę — wyjrzała przez poręcz balkonu i zawołała: — Jesteście tu, gazdo? Doskonale. Pojedziemy zaraz na spacer do doliny Za bramką.

— Dobze, ślicna pani! — odpowiedział raźno góral, siedzący na saniach przed willą w krótkim kożuszku, narzuconym na ramiona i ćmiący małą fajeczkę.

Zbiegły obie szybko na dół i po chwili rzeźbione sanie, zaprzągnięte w jedną szkapinę, sunęły przez ulicę Zakopanego.

— Kogo pozdrawiasz tak serdecznie, Maciupuniu? — zapytała ciekawie starsza przyjaciółka, widząc, że Ania skinęła parokrotnie główką z uśmiechem, leżącej na werandzie młodej dziewczynie.

— To moja koleżanka z klasztoru, Rena Wódzka.

— Ależ ona musi być poważnie chora na płuca. Takie ma silne rumieńce i błyszczące oczy! — ubolewała Marysienka.

— Zgadłaś — westchnęła Ania. — Spotkałam tu już parę moich koleżanek, które są dogorywające z powodu gruźlicy, podobnie jak Irka. Gderzesz na mnie, że cię opuszczam i chodzę zbyt wiele, a ja odwiedzam je kolejno. Tak niedawno wyszły z klasztoru pełne nadziei i radości

życia, a już Śmierć wyciąga po nie swe okrutne piszczele. Czasem — zdaje mi się, Marysieńko, że jestem taka stara! Widocznie zadużo przeszłam i przecierpiałam — spokojny ton głosu dziewczyny uwydatniał tem silniej powagę zwierzenia.

— Aniu! Dlaczego nie jesteś ze mną szczera? Tak mało wiem o tobie — wyrzut zadźwięczał w słowach mówiącej. — Nawet o tych chorych koleżankach nie wspominałaś mi dotychczas.

— Ja sama nie wiem, ile ich tu jest. Widzisz? — skinęła główką w stronę, mijających je sani. — Jeszcze jedna, biedaczka! To Dziunia Sławska. Używa życia póki może, bawi się, tańczy na dancingach, a niedługo to potrwa, niestety!

— Jakie to smutne! Chciałyśmy się trochę rozweselić, a tu na każdym kroku napotykamy ofiary tej strasznej gruźlicy — mówiła z żalem Marysieńka.

Rozmawiając z ożywieniem, przyjechały do doliny Za bramką. Tu — wysiadły z sani i wąskiem przejściem obeszły, rzucony na drodze głaz, od którego piękna miejscowość wzięła swą nazwę. Tuż za nim widok stawał się imponującym. Dolina leżała jakgdyby w kamiennej kolebce, wznoszącej się po obu jej stronach wysoko. Z ciemno-zielonych smereków wyzierały strzeliste skały, przywodzące na myśl jakiś zaklęty orszak królewski. Z boku — strumień górski, szemrzący niemilknącą pieśnią Życia wbrew śnieżnym okowom Zimy, przepływał pod skałą, podobną do średniowiecznej wieży z siedzącą na niej sową. Śnieg skrzypiał pod nogami dwóch przyjaciółek, które — zapomniawszy o poprzednich, smutnych nastrojach — chłonęły wzrokiem czary tego królestwa skamieniałej baśni. Naprzeciw nich szło ku wyjściu całe towarzystwo, zachowujące się wesoło i gwarnie.

— Jak się masz, Aniu? Co ty tu robisz? — padło nagle serdeczne powitanie z ust jednej młodziutkiej turystki.

— To ty, Haniu? — dziwiła się zagadnięta, przystając. — Czyżby cały klasztor dał sobie rendez-vous w Zakopanem? Już trzecią koleżankę dziś spotykam.

— Jest tu nas więcej jeszcze — powiedziała miła szatynka, o zrównoważonym wyrazie przystojnej twarzyczki. — W Czerwonym Krzyżu ulokowała się Zosia Ławińska, w Bratniaku mieszka Iza Świerczewska, na Kasprusiach — weranduje Renia Rzecka. Jest i Marysia Łabędowska i nasz „Dudek“ Żarnowska. Ciekawa jestem, ile nas wyratuje się z tej biedy, a ile przejdzie z musu na „drugi brzeg?“ I to „w kwiecie wieku“, jak śpiewają poeci!

— Zdaje mi się, że ty będziesz w tej szczęśliwszej grupie — pocieszała ją Ania z przekonaniem w głosie.

— Tak, zapewnia doktór, istotnie. Ale czy wiesz, kto umarł niespodziewanie?! Wyobraź sobie — Luna Boska! Zabrało ją nagle zapalenie mózgu w czasie wakacyj. Przepracowała się podobno. Nie będzie już miał klasztor swej „Matki Boskiej“, bo rodzice zabrali do Warszawy obie jej siostry.

— To okropne! — wyszeptała Ania z przejęciem. — Biedna Luna!

— Powiedz mi, kto jest ta śliczna pani? — Koleżanka wskazała oczami, stojącą opodal Marysieńkę.

— To moja przyjaciółka — odpowiedziała ciepło dziewczyna.

— Przyjaciółka?! Więc nareszcie dobrałaś ją sobie?! Pamiętasz, jak trzymałaś się zawsze na uboczu od całego życia klasztoru i jak Matki miały ci to za złe?

— Pamiętam. Ale „trio“ klasztorne nie sprzyja roz-

wijaniu się uczucia przyjaźni — wyjaśniła z uprzejmą minką Ania.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nadeszła wiosna, zawitał dzień 8 kwietnia, ślub Marysieńki miał się odbyć nazajutrz i pułkownik Orżewski przyjechał już z Wilna. Narzeczona czuła się doskonale, co potwierdzał wytrawny, miejscowy doktór, więc promienieli oboje szczęściem tak przeogromnem, że ramy wszechświata nie mogłyby go pomieścić. Ania pomagała im w przygotowaniach do skromnego wesela, targana sprzecznemi wprost uczuciami, gdyż otrzymała z rana kartkę, pisaną niewyraźnie ołówkiem przez Irkę, że nagle wywieźli ją do szpitala w Krakowie. Żegnała się z Anią i dziękowała raz jeszcze za... tu wyrazy były zamazane łzami.

Następnego dnia rano młodsza przyjaciółka zapukała do starszej i weszła. Panna młoda w białej, muślinowej strojnej kombinacji siedziała jeszcze przed lustrem, smutna i zamyślona.

— Marysieńko! Spóźnisz się do kościoła i będzie pierwsza poślubna bura! — wykrzyknęła Ania, podbiegając do niej.

— Taki miałam dziwny sen, Anuśko! Ludzie mówią, że sny nocy przedślubnej sprawdzają się zawsze. Wyobraź sobie, śniło mi się, że uciekam od mego Janka, a on woła: Maryś! Nie odchodź odemnie! Co to może znaczyć? Czyż to możliwe, abym przestała go kochać i abyśmy się rozeszli, jak te nowomodne małżeństwa?...

— Wstydź się, Marysieńko! Czyż można wierzyć w takie zabobony? Sen mara — Bóg wiara. Ubieraj się prędzej, bo Król wnet przyjedzie!

Góralska landara, zaprzężona w dwa odświętnie wyczyszczone konie, zaturkotała przed gankiem „Zacisza". Państwo młodzi wsiedli do niej pośpiesznie. Mars był po

wojskowemu, w galowym mundurze z orderami i przy szabli, Venus — z nieodzownym zawojem na głowie — w gołębim kostjumie, a wiózł ich do ślubu Król, arystokrata rdzennie zakopiański. W kościele Ania modliła się naprzemian o trwałe dla nich szczęście, to znów o życie biednej Irki. Po odbytej ceremonji, para antycznych bogów udała się w krótką podróż poślubną do Kościeliskiej doliny, a po powrocie wpadli oboje do pokoiku Ani.

Młoda mężatka rzuciła się na szyję przyjaciółce:

— Życzę ci, abyś była kiedyś tak szczęśliwa, tak kochana i tak kochała, jak ja, moja najmilsza Anuśko!

## ORLĘTA.

— Jak tu ślicznie, panno Kaziu! Te wszystkie ukwiecone groby, pławiące się w słońcu, sprawiają wrażenie jednego wielkiego ogrodu. Kochany Lwów! Pamięta o swych obrońcach i wybrał dla nich przecudne miejsce na wieczny spoczynek! — zachwycała się Ania, zwiedzając wraz z towarzyszką Cmentarz Obrońców.

— To prawda — wtórowała jej panna Lubieszówna. — Niech pani spojrzy na ten napis. — Przystanęła, czytając głośno z uroczystem przejęciem: — „Stanisław Sokolnicki. Lat 23. Zginął w kwiecie wieku dla chwały ojczyzny. Pogrążeni w bezbrzeżnym żalu rodzice i brat pozostały proszą o westchnienie za jego czystą duszę".

— Biedni stryjostwo — pomyślała ze smutkiem Ania, wpatrując się w tabliczkę nad mogiłą kuzyna. — Ale dlaczego „brat pozostały?" Któryż jeszcze z nich dwóch nie żyje?

— Tu leżą obok siebie dwaj Skibniewscy z waszego Podola — czytała znów panna Kazia, wyprzedzając swą towarzyszkę. — Jak młodo padli! Czy to są wasi krewni? Nie? A tu dalej podobne nagrobki: — „Dziewiętnaście lat!"" „Dwadzieścia". „Osiemnaście". „Padł przeszyty kulami!" „Wyzionął ducha, szepcząc: Dla ciebie, odrodzona Polsko!" Ach! doprawdy, panno Aniu, bohaterstwo unosi się tu w powietrzu.

— O, tak. Chciałoby się im zanucić: „Śpij, rycerzu w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie!"

— Może usiądziemy na tej ławce? — zaproponowała panna Kazia. — Co za przepiękny wrzesień! Babie lato snuje się dookoła i oplata mogiły lśniącą pajęczyną.

Usiadły i milczały przez dłuższą chwilę, przypatrując się rozległej panoramie bohaterskiego miasta, widniejącej przed niemi.

— Cicho tu — odezwała się półgłosem Ania. — Dziwny wytwarza się nastrój wobec tego skupienia, poświęcenia i męstwa.

— Tu dopiero mogą zjadacze chleba zmienić się, chociażby na krótką chwilę w aniołów — westchnęła urzędniczka bankowa.

Ania znów pogrążyła się w głębokiej zadumie. „Ukochani przez bogów umierają młodo". Tak. Może dla nich to lepiej? Nie zaznali bólu złamanych skrzydeł. Odeszli w złocistym rynsztunku ideału. Ale ich biedni rodzice!... Jak przecierpieli okrutnie!... Jej właśni — stanęli przed nią, jakby na jawie. Gdy po powrocie z Zakopanego opowiadała im o Irce, usuwając starannie wszystko, co daćby mogło cień samochwalstwa, dośpiewali sobie znać w duszy więcej, niż należało, gdyż ojciec pocałował ją w rękę bez słowa, a matka chwyciła w objęcia, wyrzucając gorąco: — Jak mogłaś tak się narażać, dziecko kochane? Przecież to biedactwo dostało napewno otwartej gruźlicy! A gdybyś się zaraziła? Pomyśl, jak ciężko byłoby nam ciebie stracić! —Jacy oni kochani, najbliźsi na świecie. Co porabiają w tym Krasnymstawie? Czy tatuś nie ma przykrości?...

— Gdzie pani błądzi myślami, drogie maleństwo? — spytała życzliwie panna Kazia. — Obserwuję tę poważną twarzyczkę i boję się, czy pani nie jest źle ze mną? Jestem o tyle starsza, a młodość zawsze uważa wiosnę za najpiękniejszą porę roku.

— Co pani przychodzi do głowy? — zaprzeczyła ser-

decznie Ania. — Tylko pani straciła na tem, że Bank Przemysłowy przeniósł się do Lwowa. Z pewnością milej było w Warszawie. Ja zaś wygrałam na tej zamianie, bo pani zaprosiła mnie tak poczciwie do kupionego dla niej mieszkanka.

— Zyskałam miłą towarzyszkę, więc nie męczmy się rozstrzyganiem kto komu więcej zawdzięcza. Jeśli pani już odpoczęła, to może pójdziemy dalej?

— Chętnie. — Ania podniosła się z ławki. — Na przyszłą niedzielę, o ile będzie tak pogodnie jak dziś, chciałabym pojechać do Przymilepek, odwiedzić stryjenkę Konstancję.

Tego roku wrzesień był nieodrodnym synem „polskiej jesieni", tak rozsłonecznionej w wieńcu z liści purpurowych i złotych, że niektórzy wyżej stawiali jej feeryczną barwność od zielonego szału, odradzającej się wiosny.

Ania wyjechała do Brzeżan rannym pociągiem i, znalazłszy się po paru godzinach w miasteczku, poszła najpierw do willi generałostwa Waligórskich. Brakowało tu właściwego jej słońca, gdyż zacny weredyk już nie żył, a jego żona w ciężkiej żałobie, jak ongi marszałkowa, snuła się po obszernych pokojach, cicha i przygnębiona. Ucieszyła się szczerze na widok niespodziewanego gościa i powitała Anię ciepło i serdecznie. Dopytywała się o plany dziewczyny na przyszłość.

— Mam jeszcze przed sobą rok jeden kursów handlowych we Lwowie — mówiła Ania, zajadając smacznie drugie śniadanie, na które trafiła. — Uczę się „po warjacku", jak twierdzi moja towarzyszka z Zakopanego, z którą razem mieszkamy. Chcę bowiem uzyskać pierwszorzędne świadectwo, aby potem dostać odpowiednią posadę. A co słychać w Przymilepkach?

— Smutno i cicho. Marszałkowa zapracowana. Rzad-

ko wyjeżdża z domu. Wierciochowe, zdaje się, w niełasce, a pan Ryszard — górą. Pani Konstancja oczarowana Jerzykiem, który wyrabia się na tęgiego człowieka. Mówiła mi, gdy tu była ostatnim razem, że to Feniks wśród teraźniejszej młodzieży. W ustach takiej poważnej kobiety pochwała ta ma wielkie znaczenie. — Lekki, nieco rzewny uśmiech pani Ludwiki odbił się w rozweselonych oczach Ani, przypominającej sobie w tej chwili proroctwa, nie żyjącego już pana domu.

Po dłuższej rozmowie i opowiedzeniu drobnych faktów z życia rodziców, Ania pożegnała się z uprzejmą gospodynią i poszła na rynek, gdzie wynajęła dorożkę, symbolizującą układ żydowsko-polski, albowiem właścicielem onej był syn Izraela,a woźnicą — potomek Piasta, zwany dość komicznie Piotr Haczyk. Podstarzały szpak nie był z pewnością „żydowską szkapą“, ale „koniem polskim“, gdyż protestował ospalstwem ruchów przeciw jawnemu wywyższeniu napływowego elementu.

Posuwano się tedy wolno, a w pamięci Ani odtwarzały się niepowrotne wspomnienia z pierwszych chwil ich przyjazdu w te strony. Ukazała się wreszcie brama, zamknięta na rygiel od wewnątrz, na co poradził, zwalczający od urodzenia daleko gorsze przeszkody Piotr Haczyk, albowiem przelazłszy przez wysokie sztachety, odsunął go z obojętną twarzą.

— Fertig! — rzekł jedno słowo i wdrapał się na kozioł zpowrotem.

Gotycka kapliczka powitała dziewczynę odbłyskiem słońca, łamiącego się w kolorowych jej szybkach, a gromadka zwinnych foksterjerków z czarnym taksikiem na czele, wyskoczyła z otwartych drzwi ganku, pędząc na spotkanie nadjeżdżających, identycznie tak, jak było przed kilku laty. Poznawszy dawną swą opiekunkę, obja-

wiły wierność psiego serca w tak hałaśliwy sposób, że pani domu wyszła przyśpieszonym krokiem na ganek.

— Dzień dobry stryjence! — powiedziała Ania, wyskakując zgrabnie z dorożki i pocałowała ją w rękę z szacunkiem. — Lordzik! Greta! Bączek! Moje ślicznotki! Moje kochane psiaczki! Ostrożnie! Psst! — groziła im palcem, gdyż skakały wysoko, chcąc koniecznie dosięgnąć uśmiechniętej buzi, okolonej jasnemi loczkami.

— Jak one cieszą się z twego przyjazdu! Odrazu cię poznały. To nadzwyczajne! — dziwiła się marszałkowa. — Ale jak ty urosłaś i wyładniałaś. Wejdźże, proszę cię, do domu. Zaraz podadzą obiad.

Weszły do przedpokoju i natknęły się na panią Wierciochową, znajdującą się dziwnym trafem tuż przy drzwiach wejściowych. Ania ukłoniła się jej chłodno, tamta zaś udała, że tego nie widzi i przymilając się, całowała ręce pani domu z takiem namaszczeniem, jakgdyby to była monstrancja.

— Już muszę wracać do Halszki. Ona taka poruszona, zdenerwowana. Pani Marszałkowa wie przecież. Zwierzyła się, jakby drugiej matce. Taka świetna partja!...

— Nie róbcie sobie tylko zbytecznych iluzyj — przestrzegała życzliwie pani Konstancja, co jednak wywołało gniewne iskry w oczach prawdziwej matki, która ten efektowny, końcowy frazes rzuciła wyłącznie dla Ani.

— Całuję rączki — odwróciła się z pretensją i szybko wyszła, zaaferowana.

Obiad podała Sofijka, Rusinka przymilepska, zgrabna jak młoda sarenka, a jej czarne, łagodne, jakby opływające wilgocią oczy potęgowały to pierwsze wrażenie. Marszałkowa opowiadała Ani jakie zmiany nastąpiły w jej personelu. Kasia wyszła zamąż za wdowca. Parania zakochała się w starszym bracie małego Cybulki i jest już

szczęśliwą matką płowej jak len córeczki, którą pani domu trzymała do chrztu. Anastazja dalej sprawuje rządy w kuchni, mieląc wyrazy niby młynek do kawy. Walek? Ach! Walek, niecnota! Ożenił się z bogatą, niemłodą wdową i porzucił służbę we dworze. Jest teraz z niego „fajny“ gospodarz i sam ma Walka parobka, którego popędza do roboty. Ania słuchała uważnie, wtrącając niekiedy wesołe słówko, a obecna przy stole panna Hermisia, milczała, komenderując tylko Sofijką. Przywitała się z Anią zwysoka, chłodna i nieprzystępna, co rozbawiło dziewczynę, szczególniej gdy stanęły jej w myśli sławne odwiedziny „Panicza“.

— Rada jestem, żeś o mnie nie zapomniała — mówiła pani domu uprzejmie. — Pisała mi Vera, że mieszkasz we Lwowie u jakiejś miłej znajomej z Zakopanego. Czy dobrze ci u niej?

— Świetnie. Lubimy się szczerze i żyjemy w prawdziwej harmonji, a to najważniejsze. Jestem bardzo zajęta, bo oprócz kursów znalazłam prywatną lekcję i mam własne, zarobione pieniądze.

— Doprawdy? — marszałkowa spojrzała na młodą twarzyczkę z uznaniem. — I kogoż to oświecasz, Aniu?

— Siedmioletniego chłopczyka, który takie płata mi figle, że przypominam sobie często moje lata klasztorne i zakłopotane naszemi wybrykami Matki — roześmiała się wesoło dziewczyna, sprowadzając podobny uśmiech na usta słuchaczki.

W tej chwili wpadła do jadalni, kańciasta w swej szczupłości kobieta w starszym już wieku, ruchliwa i bystra, o suchym profilu. Drobnemi krokami niby steben na maszynie, podbiegła do marszałkowej, musnąwszy po drodze czarnem okiem niechętnie, wyprostowaną godnie

pannę Hermisię i jęła zarzucać panią domu gospodarskiemi wiadomościami bez liku i miary.

— To panna Teofila, moja prawa ręka — oznajmiła stryjenka z zadowoleniem w głosie. — Nie wiem, cobym bez niej zdziałała! Ta osoba nie je, nie śpi i nigdy nie wypocznie! Toteż wszyscy parobcy boją się jej daleko więcej, niż pustych krzyków mego ekonoma, z którym rozstałam się niedawno. Przepraszam cię, Aniu, muszę odejść na chwilę i zapisać udój południowy.

— Pamiętam, że stryjenka lubiała poobiednie „czytanie gazet" — odezwała się żartobliwie dziewczyna. — Proszę więc zagłębić się w politykę, a ja pójdę z pieskami do ogrodu — i, podziękowawszy za obiad, wyszła w towarzystwie podskakującej radośnie gromadki czworonogich przyjaciół.

Wieczorem nowy furman zajechał przed ganek, aby odwieźć gościa na dworzec. Pani Konstancja wyprowadziła przybraną córkę swych krewnych przed dwór do szarabanu i myślała, goniąc wzrokiem odjeżdżającą młodą dziewczynę:

— Jak się ona wyrobiła? Wytrwale idzie do celu i chce być „samodzielną". Może doprawdy Ewelka trafnie ją oceniła? Zdaje się, Alfredowie będą mieli z niej pociechę na stare lata. Nie będą przynajmniej samotni... tak jak ja, — dokończyła ze smutkiem, wchodząc do domu.

— Ogromnie zmienił się dwór w Przymilepkach od naszego wyjazdu — rozważała Ania, górując na antycznym szarabanie nad całą okolicą. — Jak teraz martwo i pusto. Mamusia umiała wprowadzić tu zupełnie inny nastrój. Zdaje się, że stryjenka odczuwa to również. A jak na siebie patrzą Hermisia z tą panną Teofilą! Kontredanse trwają po dawnemu w domu stryjenki, a przy różnych *chassé croisé,* tańczący krzyżują zawistne

spojrzenia. Co za szczęście, że jesteśmy od tego zdala. Nie mogłabym żyć w takiej atmosferze!

Na Boże Narodzenie Ania pojechała do rodziców, zadowolonych z jej humoru i zdrowego wyglądu. Dziewczyna tak była zajęta kursami, że poświęcała nauce wszystkie niemal chwile we Lwowie. Barwny fajerwerk, spalony na cześć młodości w „Zaciszu", spopielał już dawno, a wytężona myśl o celach życiowych, świeciła na jego miejscu. Toteż wolała nie odrywać się od studjów w czasie krótkich feryj Wielkanocnych i tylko ciocia Ewelka, która niespodzianie przyjechała do Lwowa, zdołała namówić ją parę razy do kina i do teatru. Zbliżające się egzaminy pochłaniały dziewczynę, której sumienność dorównywała ambicji. Panna Kazia gderała na nią, przedstawiając, że nadwerężа zdrowie, czuwając tak długo w nocy.

— Po otrzymaniu świadectwa musi pani spędzić wakacje nad morzem, panno Aniu — powiedziała jej kiedyś życzliwie. — Widzę, że Minerwa gasi kolory na pani twarzyczce.

— Nad morzem? — zaśmiała się Ania. — Pani żartuje łaskawie. Nie mam jeszcze dobrej posady, a od rodziców nie wezmę na to pieniędzy!

— Świetny projekt zaświtał mi w głowie! — wykrzyknęła buchalterka. Ale — do czasu, nie odkryję go pani. Niech maleństwo będzie cierpliwe.

Pewnego dnia w maju panna Kazia otworzyła drzwi, wracającej z kursów towarzyszce i, nie pozwalając jej zdjąć lekkiego płaszczyka, zaciągnęła do pierwszego pokoju, w którym sypiała sama. W ręku trzymała dwa listy:

— Proszę przeczytać! — podała jeden, a w głosie jej brzmiała triumfalna i radosna nuta.

Na twarzy Ani początkowe ździwienie przemieniało się w uczucie zachwytu, gdy dobiegała wzrokiem końca,

zapisanej ładnem pismem kartki. Rzuciła się na szyję, oczekującej znać na to przyjaciółki:

— Dziękuję pani, droga panno Kaziu! Więc to jest ów „świetny pomysł?!" Ach! świetny naprawdę! Czemże odwdzięczę się pani za tyle dobroci?

— Różową buzią. A teraz oddaję pani list od rodziców. Będzie z pewnością wesoły, bo szansa i malszansa zwykły chodzić w parze.

Dziewczyna rozcięła szybko kopertę i czytała, co następuje:

„Kochana nasza córeczko! Zaszło tyle zmian w naszem dotychczasowem życiu, że nie wiem, od czego mam zacząć. Wyobraź sobie, tatuś jest bardzo chory na nerwy i doktór Wierzbicki wyprawia go natychmiast do Kosowa na kilka miesięcy. Zapowiedział, że jeśli go nie posłucha, to stanie się niezdolny do pracy. Tatuś przytoczył mi te jego słowa, oznajmiając jednocześnie, iż rad jest z przymusowego zerwania z Krasnymstawem. — Czuję, że straciłbym do reszty nerwy i zdrowie, gdybym dłużej zależał od takiego szefa — wyznał mi szczerze. — Ania kończy nauki, mogę nieco odpocząć i zaryzykować szukanie innej posady. — Kasa przezorności wypłaciła tatusiowi tysiąc złotych, z któremi wyprawiam go do lecznicy doktora Tarnawskiego. Niech raz jeden pomyśli o sobie, bo przecież w ciągu lat sześciu nie brał wcale urlopu, motywując to otrzymywaniem w takim wypadku trzynastej pensji. Co do mnie, to zaczęłam nowe tłumaczenie angielskie i jeśli poproszę o zaliczkę wydawcę, z którym jestem w takich przyjaznych stosunkach, jak rzadko który autor ze swym wydawcą, to dostanę ją napewno. Chodzi jeszcze o ciebie. Może skorzystałabyś z uprzejmości cioci Ewelki, która

zaprasza cię na lato do Hulajpola. Ogromnie jestem zmartwiona chorobą tatusia, który ściska ciebie czule i pyta jak twoje zdrowie? Całuję cię najserdeczniej i proszę o rychłą odpowiedź. Twoja kochająca Mamusia".

Ania złożyła po przeczytaniu ćwiartkę papieru starannie i przeszła do swego pokoju. Tu — powiesiła w szafie płaszczyk i granatowy beret klasztorny, poczem zasiadła przed swem biureczkiem i odpisała bez zwłoki:

„Najdrożsi Tatusinkowie! Wszystko składa się bardzo pomyślnie. Tatuś niech słucha doktora Wierzbickiego, który wyciągnął mnie „za uszki" z choroby, więc i tatusiowi napewno pomoże. Nie martwcie się o mnie. Czuję się wyśmienicie, a przytem dostałam posadę kasjerki u znajomych panny Kazi, którzy wydzierżawili wspaniały hotel na Helu. Będę tam od 20 czerwca przez lipiec i sierpień, dostając całe utrzymanie i po sto złotych miesięcznie. Już teraz mamusia nie powie, że „lekkomyślnie", albo źle to się stało! Nieprawdaż, kochana mamusiu? Postaram się wydawać jaknajmniej na Helu, aby mieć trochę własnych pieniędzy na trudne chwile szukania posady we wrześniu. Tak jestem szczęśliwa, że pójdę o własnych siłach i nie będę już dla was ciężarem, tylko gorąco was kochającą córką. Wasza Ania".

## NAD SZMARAGDOWEM MORZEM.

Ania przyjechała na Hel późnym wieczorem i wyszła ze stacji kolei, rozglądając się dookoła i myśląc, jaka droga przywiedzie ją najprościej do „Heliosu“. Chociaż zagasły już dawno ostatnie blaski słońca, ale półwysep helski obdarzony jest przywilejem „białych nocy“, co dogadzało samodzielnej dziewczynie. Nie chciała bowiem nawet w tak błahej sprawie zasięgać rady przechodniów, a jasność nieomal dzienna sprzyjała jej poszukiwaniom. Znalazła się wreszcie w hallu okazałego budynku, poznała się z jego dzierżawcami i spożyła kolację w małej salce jadalnej dla personelu, spoglądając ciekawie na morze. Wzburzona powierzchnia Bałtyku pokryta była falami, które z szumem i hukiem rozbijały się wściekle o molo. Wdali — zapalały się i gasły w miarowych odstępach latarnie morskie w Gdyni i Gdańsku, niby wiszące nisko na firmamencie mrugające gwiazdy, zażgnięte wszelako ręką człowieka. Wysoka strażnica morska na Helu łypała również promiennem okiem, wodząc niem w prawo i w lewo po nęcących do bezkresnej włóczęgi przestworach. Przez otwarte okno widniała zielona latarka, płonąca równem światłem na molo. Nawał radosnych myśli cisnął się do głowy Ani. Jakież olbrzymie tu zmiany! Jakie postępy od czasu, gdy jako mała dziewczynka brodziła w mokrym, nadbrzeżnym piasku Bałtyku! Nie było tu wówczas pociągu, albo pięknych will, hoteli i pensjonatów na Helu,

a Gdynia — chluba rozrostu odrodzonej Polski, rysowała się w jej pamięci jako zwykła, rybacka wioska.

Po niewygodnej nocy w wagonie, rozmarzona świeżym, morskim powiewem, uczuła senność, więc poszła do wskazanego jej pokoiku na pierwszem piętrze, gdzie miały zamieszkać z panną Leną Piotrowską, kresową również tułaczką, zmieniając się z nią kolejno, jako kasjerki przy bufecie w restauracyjnej sali „Heliosu".

Na drugi dzień rano zbudziły Anię głosy i hałas dokoła hotelu. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Pogoda była prześliczna. Złoty pyl słońca przepajał powietrze, a lekka poranna bryza marszczyła łagodnie szaro-błękitne oblicze Wielkiego Morza. Z drugiej strony, od Pucka, Małe Morze mieniło się grą świateł w zielonych głębiach, przybierając miejscami atramentowe barwy, zaczerpnięte jakby z królestwa ciemności. Ania ubrała się szybko i nucąc piosenkę, co było u niej oznaką najwyższej skali zadowolenia, zbiegła wdół na śniadanie.

— Dzień dobry pani! Jakże się spało? Świetnie, nieprawdaż? — zapytał ją, witając się uprzejmie pan Kotwicz. — Towarzyszka pani nie przyjechała. Jakiś czas będzie pani musiała pracować za dwie, niestety. Panna Lena jest arcywzorem cnót wszelkich, prócz nieznanej jej — punktualności. Proszę kończyć swoją kawę. Za chwilę powrócę i wtajemniczę panią we wszystkie arkana jej obowiązków.

— Będę na pana czekała w restauracyjnej sali — zaproponowała Ania z gotowością.

— Zgoda! — rzucił jej, wychodząc z pokoju.

Obowiązki nie były tak skomplikowane i po zaznajomieniu się z pracą, Ania zasiadła przy bufecie za kasą. Gości było jeszcze niewiele. Przez oszkloną salę widniało uśmiechnięte promiennie morze, a na prawo, daleko,

molo, do którego podpływały kolejno statki z Pucka, Gdyni i Gdańska.

Pusty z początku sezon jął się stopniowo ożywiać. Zaroiło się od letników, a wraz z jednym transportem spadła, oczekiwana niecierpliwie przez Anię — wymęczoną czternastogodzinnym dyżurem — panna Lena Piotrowska. Była to dość pełna brunetka o regularnych rysach, dowcipna i roztrzepana, pełna temperamentu, oraz porywającej wprost wesołości. Zaprzyjaźniły się z Anią na podstawie biegunowych pod każdym względem kontrastów, dzieląc odtąd sumiennie zajęcia i chwile wytchnienia.

Polskie wybrzeże stawało się coraz pełniejszym obrazem ruchu, wesela i malowniczości. Od rana mknęli wszyscy na plaże, po dwóch stronach półwyspu leżące. Kobiety, zbrunatniałe jak Mulatki, albo Kreolki, w czarnych lub pasiastych trykotach, w kolorowych czepkach na głowie, z narzuconemi, kąpielowemi płaszczami — szły jak barwne motyle. Szerokoskrzydłe kapelusze łyczkowe, parasole, mieniące się całą skalą jaskrawych kolorów, ocieniały niby olbrzymie, fantastyczne kwiaty, ukrywające się pod niemi młode i śliczne, lub tylko przystojne liczka. Grubaski w czarnych, obcisłych trykotach pluskały się w wodzie, pływały, bijąc rozkoszne oblicze Bałtyku rękami i szamocąc się tak rozpaczliwie jakgdyby ostry trójząb Neptuna wrażał się w zbyteczny kilogram ich ciała.

Dziatwa brodziła nóżkami w pieszczących je falach Małego Morza, które migotało, roziskrzone w słońcu. Tu i tam biały żagiel plamił jego powierzchnię. Mężczyźni mniej byli ponętni w czarnych dłuższych lub krótszych trykotach, odkrywających włochate piersi, żylaste ramiona i muskularne nogi. Apollo był dla nich przeważnie niedoścignionym wzorem, a czasem poprostu — mytem, pod-

czas, gdy do wychodzącej z piany morskiej, niejednej kobiety, Venus chętnie zakrzyknęłaby: — Siostro! — Z wrodzoną wszystkim królom stworzenia bezwzględnością, rozbierali się niektórzy docna na plaży, wciągając następnie trykoty w obliczu nieba, morza i niepotrzebnych w tym razie ludzi.

Po kąpieli jedni wygrzewali się w słońcu, inni zaś tworzyli karkołomne gimnastyczne figury, dźwigając na barkach żywe kobiece statuy. Te piramidy XX wieku groziły co chwila runięciem, więc opanowani manją fotograficzną posiadacze Kodaków, utrwalali je w aparatach z gorączkową szybkością. Dzieci, bronzowe od słońca posążki, lepiły babki z piasku, gaworząc śmiesznie i zachwycając się swemi tworami podobne niezmiernie do starszych, budujących częstokroć w życiu równie trwałe domki z kart, albo zamki na lodzie.

— Ciastka! Woda sodowa! Lemoniada! Piwo! — wołali chłopcy z tacami na rzemieniu, przesuwający się wśród malowniczych grup, rozłożonych na żółtym piasku.

Uwodzicielski czar życia wibrował w szumnym rozgwarze śmiechów, żartów i rózmów, bił z lotnych jak iskry skoków, grającej w piłkę młodzieży, oblewał lazurem firmament, a roztopionym szmaragdem — morze. Spracowani przez długi rok ludzie igrali z dziecięcą swawolą na łonie dobrotliwej Natury, uśmiechającej się do nich łaskawie.

Ania w czarnym trykocie z błękitnym paskiem i w takimże czepeczku na głowie, leżąc wsparta na ręce, lubiła przyglądać się tej zabawie. Dokoła niej świat cały lśnił w pożarze słońca, a potok niefrasobliwej radości szumiał wielotonową melodją. Jej wdzięczna postać i złote loki przyciągały wielu nadmorskich bywalców, którzy zbliżali się do niej, przesuwając wzrokiem po zgrabnych kształ-

tach, a kończąc na nęcącym zarysie główki. Próbowali nawiązać początek flirtu, który w ich mniemaniu mógłby zajść daleko, ale powściągliwa z natury wobec nieznanych, Ania zbywała ich półsłówkami, śmiejąc się w duchu z tych „sezonowych“ zalotów. Przytem niektórzy mieli tylko najniezbędniejszą przepaskę na biodrach, co krępowało również dziewczynę, dla której estetyka miała decydujące znaczenie.

Sezon na Helu już był w całej pełni, wieczorne dancingi przyciągały tłumy letników i obie kasjerki musiały siedzieć na zmianę w sali „Heliosu“ do pierwszej, a czasem do drugiej w nocy. Ania, notując pilnie ilość branych przez gości ciastek i kanapek, ustawionych zachęcająco na długim bufecie, obserwowała w wolnych chwilach tańczących. Przewijały się, oczywiście, rozliczne typy, ale dwie zawzięte tancerki, otoczone stale gromadą młodzików, wyróżniały się wśród publiczności. Jedna z nich była szatynką, druga — blondynką, obie zaś miały krótkie, po męsku przystrzyżone włosy z małą czupryną nad czołem. Ubrane ze smakiem, a tak obciśle, jakgdyby tylko co wyszły z wody, zbudowane klasycznie jak dwie boginie, swobodne i śmiałe, bijące w oczy jaskrawą kreską warg na białej twarzy, cieszyły się olbrzymiem powodzeniem. Stolik ich w sali nieustannie był oblegany przez młodych, eleganckich chłopaków, którzy od czasu do czasu podchodzili do bufetu, żądając wódki i wychylając jeden kieliszek za drugim. Chełpili się najwidoczniej mądrą i mocną głową, a dla dodania sobie „tężyzny“ sypali anegdotkami mocno jaskrawej, lecz za to wątpliwej wartości. Zerkali zukosa na Anię, radzi zobaczyć na jej wiośnianej twarzyczce objaw jakiegokolwiek wrażenia. Ale dziewczyna chyliła spokojnie głowę nad rachunkami:

— Ile kieliszków, Leonardzie? — pytała chłopca

w białym fartuchu, stojącego za bufetem i obsługującego przychodzących doń gości.

— Tylko dwadzieścia pięć, proszę pani! — odpowiedział skromnie urwisz warszawski, którego twarz z zadartym noskiem i błyszczące sprytem niewielkie oczka, zdradzały tłumione rozweselenie.

— Dwadzieścia pięć — powtarzała Ania z obojętną dokładnością automatu i zapisywała tę cyfrę, myśląc przytem lekceważąco:

— Co za kulturalna młodzież! Widzą młodą dziewczynę i pozwalają sobie na takie dowcipy! Kasjerka! Czyż warto z nią się liczyć?! — i podnosząc z nad książki kasyjnej głowę, spoglądała ironicznie na stojących opodal, podochoconych młodzieńców.

Ci — narzekali głośno na wysokie ceny bufetu. To znów przechwalali się powodzeniem u kobiet. Gdyby można im było wierzyć, to każda z głośnych artystek była porzuconą przez nich kochanką.

Jazzband, złożony ze studentów warszawskich załkał namiętną melodją tanga i nowożytne „Lwie serca" podążyły śpiesznie ku nowożytnym wybrankom.

Czasem zbliżał się niezgrabnym, jakby zakłopotanym krokiem wysoki Litwin, którego panna Lena przezwała: Niedźwiadek. Smoktał powoli kieliszek likieru i znać było, że uważa go jedynie za pretekst do rozmowy z ładną dziewczyną. Nie trwało to długo. Pusty śmiech chwytał Anię za gardło, gdy przychodziła jej na myśl prośba owego potomka Jagiełły, wystosowana do zarządu „Heliosu", aby zmniejszono mu ceny z powodu, zabronionego przez doktora kąpania się w morzu. Odwracała się tedy do szafki z papierosami, porządkując w niej zawzięcie i wstrzymując się z całej siły od głośnego wybuchu. Niedźwiadek odchodził — markotny.

Elegancka publiczność wycofywała się z dancingu około jedenastej w nocy, a wzamian napływali marynarze, niżsi wojskowi i urzędnicy, szczersi i huczniejsi w zabawie. Wódka i likiery krążyły stale, aż Leonard upadał na siłach, dym z papierosów i cygar unosił się w sali ciężkiemi smugami i brzmiały nieskończone wiwaty na cześć rozchichotanych dam, wystrojonych wyzywająco. Stosownie do nastrojów jazzband bryzgał teraz skrzekliwemi, drapiącemi, skomlącemi tonami egzotycznych melodyj. Szły kolejno *fox-trotty*, *onestepy* i *czarlstony*, połączone z wybuchami śmiechu i zapamiętałem nieraz podrygiwaniem w tańcu.

Z westchnieniem ulgi witała jasnowłosa kasjerka koniec takiej zabawy, gdyż duszna atmosfera i wrzaskliwe dźwięki orkiestry nużyły ją niesłychanie.

W lipcu przyjechała nad polskie morze pani Wojciechowa Kossakowa i Magdalena Samozwaniec z pięcioletnią córeczką, Reksią, ładną blondyneczką ze sprytnemi a błękitnemi jak dwie niezapominajki oczkami, która stała się wielbicielką Ani. Czatowała zawsze na nią przy wyjściu, aby razem pójść na przechadzkę, zapewniając, że woli starszych, bo „małe dziewczynki ją nudzą“!

— Pani jest najśliczniejsza na całym Helu, panno Aniu! — mawiała, wsuwając łapkę pod ramię dziewczyny i drepcąc przy niej małemi stopkami. — Nikt nie ma takich szafirowych oczu i takich przecudnych loków!

Ania spoglądała na nią z uśmiechem. Zdawało się jej, że patrzy na własne dziecięctwo: — Widzisz, Reksiuniu? Babcia tam idzie!

— O, nie, proszę pani! Moja babcia nobliwiej wygląda! O, pani Dervillowa! — zwróciła uwagę Ani, na zbliżającą się ku nim z uśmiechem, tęgą brunetkę. Była to znajoma Magdaleny Samozwaniec, wobec której maleńka kobietka trzymała się z pełną światowości rezerwą

i gdy owa pani zabrała ją kiedyś statkiem do Pucka, dygnęła tylko po powrocie grzecznie: — Dziękuję pani, że pani pomyślała o mojej przyjemności.

— Wspaniałą mamy pogodę! — stwierdziła entuzjastycznie pani Dervillowa po przywitaniu się z dwiema przyjaciółkami. — Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że trzeba opuścić Hel!

— Kiedy pani jedzie do Warszawy? — spytała nagle żywo dziewczyneczka.

— Jutro, kochanie!

— Och, jak to dobrze! Jak się babcia ucieszy! Babcia stale powtarza: Kiedyż ta Dervillowa pojedzie sobie nareszcie?!

Żona wielkiego malarza polubiła również serdecznie przyjaciółkę swej wnuczki, odpłacającą wdzięcznem sercem przychylność tej dystyngowanej w każdym ruchu i w sposobie „wielkiej pani", jak osądziły we dwie z panną Leną. Na odczyt Magdaleny Samozwaniec wybierali się wszyscy. Jedni chcieli się zabawić i uśmiać z dowcipów, inni zaś głosili, że wobec urody prelegentki wolą się w nią wpatrywać jak w obrazek, nie słysząc nawet, co mówi!

Pewnego dnia wszedł do restauracyjnej sali „Heliosu" po skończonym już obiedzie młody, przystojny blondyn i usiadł przy wolnym stoliku. Zamówił maszynkę czarnej kawy, poczem wziął „Kurjer Warszawski" i pogrążył się w czytaniu wstępnego artykułu.

Tymczasem Ania przy bufecie zdawała kasę pannie Lenie, która licząc pieniądze, jęknęła cicho.

— Szkoda, że pani wstała z łóżka — powiedziała serdecznie dziewczyna. — Byłabym chętnie i dziś jeszcze panią wyręczyła.

— Dziękuję, kochana mróweczko, ale — tu syknęła, umieszczając się na krześle — straciła pani przezemnie

wczorajszy dzień wypoczynku. Nie mogę tak wyzyskiwać czyjejś dobroci.

— Doprawdy, panno Leno — gderała Ania przyjaźnie — nie pojmuję jak można być nieuważną do tego stopnia! Pani widzi, że Leonard otwiera w podłodze za bufetem zejście do piwnicy i pomimo to leci pani do środka!

— Myślałem — odezwał się Leonard z głupiafrant — że to jakaś beczka wali się na mnie z góry!

— A to dopiero pochlebne porównanie! — rzuciła wesoło ofiara roztrzepania.

Jednocześnia Ania zaśmiała się głośno.

Na dźwięk tej perlistej kaskady blondyn wstrząsnął się gwałtownie i wychylił głowę z poza gazety. Spojrzał w stronę, skąd śmiech go doleciał i nowa fala zdumienia przepłynęła przez jego oblicze. Skinął ręką na kelnera, który zbliżył się wnet z uprzejmą miną.

— Jak się nazywa ta blondyneczka z loczkami? — wskazał dyskretnie.

— To panna Przedborówna z Ukrainy — odparł ściszonym głosem zagadnięty. — Jej rodzice byli tak szalenie bogaci, że mogliby zmieścić ten hotel w kieszonce od kamizelki. Bolszewicy obrabowali ich tak jak wielu panów kresowych i widać musi być z nimi krucho, kiedy córka przyjęła tu posadę kasjerki.

— Tak? — wymówił z rozczarowaniem w głosie młodzieniec. — Dziękuję.

Nie czytał jednak gazety, wpatrując się uporczywie w przygotowującą się do wyjścia blondynkę.

— Co za dziwne podobieństwo — szepnął do siebie.

— Do widzenia pani. Życzę spokojniejszego dancingu, niż ten wczorajszy! — uśmiechnęła się Ania i wychodząc bocznemi drzwiami, nasunęła ręką falujące włosy na czoło.

Blondyn porwał się z krzesła z widocznym zamiarem opuszczenia sali, ale widok, stojącego przed nim kelnera zmusił go do pozostania. Zaprzątnięty jakąś podniecającą go snadź myślą, szukał nadaremnie po kieszeniach drobnych w celu uregulowania rachunku. Wreszcie — dobył z pugilaresu dziesięciozłotowy papierek i, nie czekając na wydanie reszty, roztrącając po drodze stoliki i krzesła, wypadł z restauracyjnej sali.

## PRZESZŁOŚĆ POWRACA.

Szybkie kroki, podążającego jej śladem jakiegoś obcego mężczyzny, drażniły Anię niezmiernie. Rzuciła błyskawiczne spojrzenie poza siebie, aby się upewnić, czy nie jest ofiarą własnej fantazji i przyśpieszyła wnet tempo, śmigających po piasku, zgrabniutkich nóżek. Czego chce od niej ten wysoki, nieznany blondyn?! Nęci go, zapewne, łatwy — jak mniema — flircik z kasjerką! A to zuchwalec, doprawdy! Nie sprosta mu w tym wyścigu — rzecz oczywista! Czyż można wątpić przez chwilę?! Dwie maleńkie, popielate, irchowe „łódeczki" i — duże, żółte, sportowe buciska! A tak przecudnie w tym parku! Cicho, słonecznie i pusto. Trzeba być poprostu niemądrym, zarozumiałym młokosem, aby psuć jej chwile przechadzki! Dogania ją! Nie pomogły wszelkie wysiłki! A kiedy tak — dostaniesz, mój panie, dobrą nauczkę! — i młoda dziewczyna odwróciła się nagle i przystanęła ze ściągniętemi gniewnie brwiami i chmurnem wejrzeniem szafirowych oczu.

„Niemądry młokos" dał parę susów i zatrzymał się przed nią.

— Pani mi daruje — przemówił zdyszanym głosem — że tak obcesowo ją napastuję, ale... — tu wzrok jego padł na maleńkie, widniejące pod letnią wyciętą sukienką, znamię na prawem ramieniu znieruchomiałego dziewczęcia.

— Aniu! Aniu! — okrzyk, szalejącej w młodej piersi radości, zawibrował na polskiem wybrzeżu, a oszołomiona

dziewczyna została porwana w objęcia, ściskającego ją z uniesieniem mężczyzny.

— Proszę mnie puścić! To niegodziwość! Jak pan śmie?! — wołała, broniąc się zapalczywie, oburzona do głębi tą niespodziewaną napaścią.

Ramiona młodzieńca rozplotły się nagle. Ania odskoczyła odeń, zaczerwieniona od pocałunków i gniewu.

— Aniu! — zabrzmiał głos niemal błagalny. — Czyż doprawdy tak się zmieniłem?! Przecież to ja, Michaś, twój brat najstarszy!

— Michaś?! — powtórzyła jak echo zdumiona Ania, prześlizgując się wzrokiem z kolei po ogorzałej twarzy blondyna, który już zdążył pochwycić jej białe, maleńkie rączki.

Dawne, dziecięce wspomnienie wypłynęło z dna serca mgliste i blade, nabierając życia z każdą mijającą sekundą. Tak! To Michaś! „Opiekun rodziny!" Brat ukochany! Teraz poznaje go doskonale. Taż sama żywość, też same niebieskie, przedobre oczy, bujna czupryna i twarz okrągła z rumieńcem pogody i zdrowia!

Starszy brat przyciskał raz po raz jej rączki do ust, ze wzruszenia drżących: — Nareszcie! Po tylu latach! Siostrzyczko moja najdroższa! — wybuchał radością co chwila.

— Po tylu latach! — padły ciężko z ust Ani trzy słowa. Nie było w nich wyrzutu, lub skargi, ale temniemniej Michał podniósł na nią błękitne oczy, zapragnąwszy nagle wybadać, co ma właściwie na myśli.

Twarz odnalezionej „siostrzyczki" była nieprzenikniona. Tylko jej szafirowe, pełne głębi wyrazu źrenice patrzyły na brata poważnie, a on jął dalej wyrzucać gorące słowa:

— Uderzyło mię odrazu podobieństwo tej nieznanej,

młodziutkiej, siedzącej przy bufecie dziewczyny — do naszej matki! Ten ruch ręki, poprawiającej włosy!... Jakbym ją widział! Z początku zmylił mię kelner idjota, który powiedział mi, że się nazywasz...

— Wcale nie idjota, Michasiu! — przerwała spokojnie Ania. — Powiedział prawdę. Noszę nazwisko moich drogich przybranych rodziców. Oni mi powrócili ognisko rodzinne, dali opiekę i serce wówczas, gdy byłam biedną „dziewczynką z ochronki“ tam — na dalekiej, bezbrzeżnej Ukrainie!

— Kocham ich za to! Niech Bóg im zapłaci! Opowiesz mi o nich potem! Teraz chcę się tobą nacieszyć, moja najdroższa siostrzyczko, Aniątko nasze maleńkie! Czy ty pamiętasz — całował znów zapamiętale jej rączki — jak nasza matka opowiadała nam bajki?! O tej złej wróżce, co wykradała rodzicom maleńkie dzieci, a potem kazała je rozpoznawać wśród tysiąca podobnych?! Mamusia śmiała się: — Ja nie miałabym żadnego kłopotu, bo odrazu poznałabym Anię po tej czarnej muszce na prawem ramieniu! — Zaszumiało mi w głowie, gdym to zobaczył! Jak szalony chwyciłem ciebie w objęcia! Siostrzyczko droga!

— Zawsze z ciebie gorączka, Michasiu! — przemówiła dziewczyna łagodnie. — Jak można było dać się tak porwać uczuciu?! Całe szczęście, że o tej poobiedniej godzinie prawie nikt nie zagląda do parku. Byłabym ogadana przez wszystkich plotkarzy, a jest ich tu dość! Szłam w tej chwili na plażę. Chodźmy razem, dobrze? Nie mogę się napatrzeć, nacieszyć tem naszem, polskiem morzem!

— Czyż brat nie ma prawa całować rodzonej siostry, szczególniej wówczas, gdy jej tak dawno nie widział?! — obruszył się Michał, przerzucając szczupłą rękę dziewczyny przez podawane jej ramię.

— Czyż ty sądzisz naprawdę, że pośpieszymy z opowiadaniem ludziom naszej smutnej historji?! — żachnęła się lekko, utkwiwszy w bracie protestujące oczy.

Michał kręcił głową z podziwem:

— Dojrzalsza jesteś odemnie, mała siostrzyczko! Bardziej zrównoważona! — obrzucił ją czułem spojrzeniem. — Wyrosłaś i wypiękniałaś, filigranowa królowo elfów! Pamiętasz?! Nasz drogi dziadek tak ciebie zawsze nazywał!

— Pamiętam wszystko — wyznała Ania nie ustami, lecz sercem.

Już doszli do plaży i rozłożyli się na piaszczystem wybrzeżu. Przed nimi mrukliwy Bałtyk toczył szerokie zwoje fal, odsłaniając chwilami szmaragdowo-przejrzyste tonie. Słońce ciskało w nie złotopromienne strzały, prześwietlając igraszki wodne morskiego olbrzyma, bezsilne wszelako wobec przepastnego dna tajemnicy. Wyciągnięte na piasek rybackie łodzie, tkwiły nieruchomo na brzegu, porzucając krótkie cienie. Porozwieszane po minionym połowie sieci suszyły się w cieple pogodnego dnia sierpniowego. Hen! w oddali — przesunęła się niekiedy czerniejąca sylwetka transoceanicznego parowca, zdążającego do portu w Gdańsku, lub wojennego statku, płynącego pod niedostrzegalną banderą.

— Nasza matka umarła, Aniu! — przerwał nagle milczenie starszy brat, zapatrzony w nadbiegające co moment fale, które strząsały na żółty brzeg pieniste czuby, cofając się wnet z żałosnym, wstydliwym szmerem.

— Umarła?! — spłynął cichy szept z ust młodej dziewczyny. Nie było bólu w tem słowie. Nie rozraniło się jej serce cierpieniem. Poprostu stwierdzenie faktu, dokonanego już dawno. Pochowała uwielbianą „mamuchnę“ w swem beznadziejnie smutnem i osamotnionem serduszku, — tam na dalekiej Ukrainie.

— Umarła w szpitalu! — ciągnął dalej swą opowieść, poważny, skupiony, z religijną niemal czcią, odtwarzając przeżycia zmarłej. — Pielęgnowała chorych i rannych żołnierzy. Zaraziła się tyfusem plamistym. Żegnaliśmy się z nią przez szczelnie zamknięte drzwi z taflą szklaną u góry. Miała chwilę przytomności. Błogosławiła nas troje. Nad twoją fotografją, z którą nie rozstawała się nigdy, czyniła wychudłemi rękami maleńkie, urywane znaki krzyża świętego. Pochowaliśmy ją w Warszawie. Tego żądał Edmund, a przecież to był jej mąż. Zbudował dla niej wspaniały grobowiec na Powązkach z odlatującym marmurowym Aniołem. Jego okrzyk: — Alinko! — w chwili, gdy trumnę wsuwano do wnętrza, dotychczas przejmuje mię dreszczem. Stryj Benedykt i ja podnieśliśmy go z klęczek i, słaniającego się z bólu, niemego po tym jednym okrzyku jak skała, odwieźliśmy do jego mieszkania. W milczeniu podał nam rękę na pożegnanie. Wysiadł z samochodu i wyprostowany jak trzcina zniknął za otwierającemi się przed nim drzwiami. Stryj Benedykt potrząsnął głową: — Kochał ją jak szaleniec, nieszczęsny! — rzekł i odchrząknął tak, jakgdyby nie mógł już zapanować nad rwącem się z gardła łkaniem.

— Kiedy umarła? — spytała cichutko Ania.

— W trzecim roku wojny, 4 kwietnia — odpowiedział jej głos, równie ściszony. — Nasza wierna Brygidka, oblewając tę śmierć potokami łez najgorętszych, pocieszała nas jednocześnie, że dusze zmarłych przed Wielkanocą, idą wprost do Nieba, nie znając przedsionków Czyśca. Jedno z wierzeń ludowych! — zamilkł.

Szafirowe oczy dziewczęcia przykuły się do horyzontu tam, gdzie ciemny kryształ roztoczy morskiej zlewa się z poszarzałą mgłą niebios, dając ułudę Nieskończoności.

W kwietniu — przed Wielkanocą! Była wtedy w szpi-

talu — w Kijowie. Chora. Gorączkowała. Przyśniła się jej wtedy właśnie matka. Uwielbianej twarzy dojrzeć wszakże nie mogła. Przysłonięta była delikatnemi rękami, które tak dobrze znała. Jęczała we śnie i płakała z żalu, że już nigdy nie ujrzy swej najdroższej ślicznej „mamuchny“! Tak. Pochowała ją wtedy. Przecierpiała tak boleśnie, że to się powtórzyć już nie może.

Michał poruszył się i rozplótł ręce, któremi obejmował kolana. Spojrzał na siostrę:

— Jaka ona opanowana! — pomyślał, niepewny, czy ma ją chwalić, czyli też potępić za hart w takiej chwili. — Ani jednej łzy!

Zaczęło go to drażnić. Czyż podobna, by czas wyziębił do tego stopnia uczucia?! Pamięta przecież jej bezgraniczną, dochodzącą do egzaltacji, miłość dla matki!

— Gdybyś ty mogła zobaczyć, Aniu, szaloną rozpacz mamusi, gdy po powrocie ze Stockholmu zastała ochronę w gruzach, to...

— Ze Stockholmu?! — padł z ust Ani wykrzyknik zdumienia.

— Oczywiście! — złapał się nagle za głowę. — Idjota jestem! Skądże mogłabyś o tem wiedzieć?! Byłaś taka maleńka. Opowiem ci wszystko. Słuchaj, siostrzyczko! — Zerwał się z miejsca i siadł naprzeciw niej twarzą w twarz, odwrócony od morza, niepomny na jego poszumne piękno, zagłębiony niepodzielnie w wywoływanych wspomnieniach. Słowa leciały z jego ust proste, szczere, gorące, tworząc obrazy pełne życia i jego dziwacznych, niezrozumiałych częstokroć wstrząsów. Przeszłość wracała do Ani, przeszłość najmilsza, dziecięca, wierząca i ufna, promienna — mimo żałoby. Twarz jej mieniła się różnemi odcieniami uczucia w miarę opowiadania starszego brata. Już teraz nie mógł wyrzucać jej w myśli zbytniego hartu,

lub oziębłości. Usta jej drżały, szafirowe oczy pałały wzruszeniem, a łzy ciche, kropliste — toczyły się po policzkach wolno. Wraz z niemi spływała gorycz i ból zawodu, nagromadzone od lat tylu w dumnem, zamkniętem serduszku. Najdroższe oblicze matki nie było już przysłonięte czarnym kirem zwątpienia, ale jaśniało przed nią, opromienione czarem niezachwianej, macierzyńskiej miłości.

— Wróciliśmy późno z Piasecznej — ciągnął dalej swą opowieść Michał. — Zastaliśmy okrutny zamęt. Wuj Kazio napadł na nas z takim impetem, na jaki pozwolić sobie może tylko człowiek zwykle łagodny: — Czy zwarjowaliście, osły?! Gdzie wy się włóczycie po nocy?! Ta smarkata — wskazał na Halkę, mającą ponsowe wypieki na twarzy — coś wie, ale ust nie raczy otworzyć! Wasza matka zemdlała w twoim pokoiku na Starem Mieście! Przez całą godzinę docucić się jej nie mogli! Edmunda szukano telefonami po całej Warszawie! Chce być Krezusem, a może zostać wdowcem! Sprowadził do niej pięciu doktorów, ale kto może ożywić posąg boleści?! Raz jeden spytała: — Gdzie Michaś?! — Nikt nie wiedział, gdzie ciebie djabli ponieśli! Znów telefony bez końca! Edmund klęczy przed nią, całuje, pieści! Milczy. Jakbyś całował zimne marmury! Nikt nie rozumie, co się stało?! Pawełek! Mów zaraz! — krzyknął na chłopca rozkazująco.

Rzuciłem się już do telefonu. Podałem numer. Prędzej na miłość boską, prędzej! — wołałem jak szaleniec do telefonistki. — Żyje! Żyje! Żyje! — krzyczałem przez słuchawkę. — Powiedźcie mamusi! Za chwilę przyjadę! — i wyleciałem z pokoju, huknąwszy od progu do bladego jak ściana Pawełka: — Mów wszystko! — zbiegłem niby huragan po schodach. — Urwał i przesunął ręką po czole.

— A nasza matka? — podsunęła mu Ania zdławionym głosem pytanie.

— Odżyła. Padliśmy sobie w objęcia. — Ochronka wywieziona przed bitwą. Uspokój się, matuchno! Nasza pieszczoszka żyje, tylko niewiadomo, gdzie się znajduje! Ale poruszymy niebo i ziemię, bądź pewna! Odszukamy ją, wynajdziemy, moja biedna, najdroższa matuchno! — Całowałem jej nogi, nie zwracając uwagi na obecność Edmunda, który dopiero teraz dowiedział się o katastrofie. — Daruj mi, mamo, moje niegodne słowa! — szepnąłem. — Już zapomniałam, mój drogi chłopcze! Myślmy teraz o Ani.

Układaliśmy różne plany. Edmund siedział w moim dużym fotelu, blady, pogrążony w milczeniu. Matka zdawała się go nie widzieć. Czuła się jednak o tyle lepiej, że pojechała z nim samochodem do domu. Tu — nastąpiła snadź między nimi jakaś burzliwa, decydująca rozmowa, gdyż życie ich zmieniło się do nie poznania. Grom strzaskał szczęście — zostały tylko pozory, nie rozeszli się bowiem ostatecznie. Edmund rzucił się w wir interesów, często jadał poza domem, wracał doń późno. Nasza matka wstąpiła do szpitala i całe dnie tam przesiadywała w roli pielęgniarki. Żołnierze ubóstwiali ją poprostu, gdyż nie szczędziła dla nich sił i nieraz walczyła ze Śmiercią o życie ciężko rannego biedaka. Niejeden runął jej do nóg po wyzdrowieniu, szlochając z uniesieniem pierwotnej natury: — Dzięki wam, Siostro! Te rany zabliźnione, to dzieło rąk Bożych przez wasze ręce! — Tymczasem wysyłaliśmy nieustannie ogłoszenia do Rosji via Szwajcarja i Stockholm. Gubiliśmy się w domysłach, gdzie mogła osiąść przełożona z uratowaną dziatwą? Na Wołyniu, Podolu, lub Kijowszczyźnie? A może fala wojenna poniosła ją dalej, aż do gubernij rdzennie rosyjskich? Ogłosze-

mia o zaginionej dziewczynce leciały w świat jak pocztowe gołębie, ale niestety, nie zobaczyliśmy powracającej gołębicy z listkiem oliwnym w dziobku! Matka smutniała z dniem każdym i traciła nadzieję. Nie ustawała jednak w pracy szpitalnej. Przeciwnie — oddawała się jej z coraz większą żarliwością. Nie mieliśmy jednak pojęcia, że przerzuciła się na oddział chorób zakaźnych. Trwało to krótko. Skończyło się — jak wiesz...

— Powtórz mi dosłownie tekst posyłanych przez was ogłoszeń — przerwała mu nagla Ania, zajęta jakąś, pochłaniającą ją myślą. Łzy jej już oschły, a mały, różowy paluszek wygładzał powierzchnię lśniącego w piasku kamyczka.

Starszy brat spojrzał na nią zdziwiony:

— Najzwyczajniejsze w świecie — rzekł i przytoczył: — Zrozpaczona rodzina poszukuje zaginionej Ani Sokolnickiej, blondyneczki ze złotemi...

— Dziękuję, braciszku! Już wiem! — cisnęła w morze kamyczek, który przeleciał łukowo ponad łódką i z cichym pluskiem wpadł w wodę.

Zamilkli oboje. Słońce jęło się już chować za las, obrzeżając wierzchołki drzew złotą smugą. Wyżej, na niebie, czerwony żar rozlewał się po bezchmurnym, ciemnym błękicie. Fijoletowo czerwone smugi mieszały się z ołowianem podłożem zszarzałego nagle Bałtyku. Cienie od drzew parkowych wydłużały się coraz bardziej na żółtym piasku.

— Mów dalej, Michasiu. Opowiadaj mi o całej naszej rodzinie. Czy Bisia żyje? — ciepły ton dźwięczał w słowach młodej dziewczyny.

— Żyje i jest w Malinkach. Pomaga w gospodarstwie Pawełkowi, który po ukończeniu Gembloux przekształca dawny system gospodarczy na nowy. Oboje niezmordo-

wani w pracy. Bisia dobrze się trzyma, ale włosy jej zupełnie zbielały. Wynik naszej tragedji rodzinnej.

— Zacna Bisieńka. Z jakąż radością rzucę się jej na szyję! Mówisz, że Pawełek gospodaruje w Malinkach? Czy jest tam rządcą? Co robi w takim razie Marcinek?

— Marcinek?! Zginął bohatersko pod Radzyminem, odpierając najazd czerwonej armji. Cześć jego świetlanej pamięci! A Pawełek?... Zdziwisz się, siostrzyczko! Ożenił się z Krzyśką Żabianką, która dotrzymała dziecięcych obietnic i jest doktorem medycyny. Już po ślubie napisała rozprawę i zdobyła ten stopień. Nie praktykuje wszakże. Mają prześliczną maleńką córeczkę, więc zajmuje się jej wychowaniem. Dali jej twoje imię, ale ta rozkoszna dziecina przezwała się sama: Nini! Krzyśka ma swoje laboratorjum, urządzone przez ojca i pracuje w niem parę godzin dziennie. Nie traci kontaktu ze swymi profesorami i ma czas na wszystko. Jest niedościgniona w każdej dziedzinie. Pawełek ją wielbi poprostu! Wcale mu się nie dziwię! — zdławił, wyrywające się westchnienie.

Oczy Ani, śledzące bacznie ruchliwą twarz brata, wyraziły głębokie odczucie jego sercowego zawodu. Zwróciła rozmowę na inne tory:

— Powiedz mi, co się dzieje ze stryjem Benedyktem i jego rodziną? Nie wiem dlaczego pozostał on w mej pamięci jako poczciwy, niezgrabny niedźwiedź! Mam wrażenie, że nasza matka go nie lubiła?

— Tak było istotnie. Ale potem, w chwilach ciężkiej życiowej próby, gdyśmy ciebie stracili z oczu, zaprzyjaźnili się szczerze. Los srodze dotknął stryjostwa. Ich ukochany „mizynek“ Władek poległ pod Kostiuchnówką, ugodzony kulą w serce przy szaleńczym wprost kontrataku na zwyciężających Moskali. Staszek zginął w obronie Lwowa, dokąd poleciał samolotem na ochotnika. Pozostał im tylko

Żymek, jeszcze bardziej milczący niż dawniej. Nie chce się żenić, bo — jak mówią rodzice — im oddał całe swe serce. A może — kto wie? jakaś zawiedziona miłość pod tem się kryje!

— „Ta, co nie zginęła wyrośnie z naszej krwi!“ — zacytowała Ania znaną piosenkę. — Wyrosła też nasza Polska krwawym wysiłkiem najlepszych jej synów — zadumała się chwilę.

— I spotężnieć też musi ciężkim wysiłkiem narodu! — powiedział Michał z zapałem. — Na każdem stanowisku i przy każdej robocie musimy dać maksimum naszych sił i umiejętności! Wtedy dopiero oprą się wstrząsom podwaliny państwa polskiego. Takimi pracownikami są Kazimierzowie Więcławscy. Przypominasz ich sobie, siostrzyczko? Tak. Ich fabryka kafli rozwinęła się wspaniale dzięki solidnemu wykonaniu zamówień. Los jednak i z nimi zabawił się w ślepą babkę, gdyż Pawełek i Halka poszli innemi drogami, niż oni wymarzyli. Pawełek został rolnikiem zamiast być dyrektorem fabryki, a w Halce wybuchło nagle tak nieprzeparte zamiłowanie do studjów malarskich, że od trzech lat jest w Paryżu, pracując zawzięcie. Świetnie chwyta podobieństwo i prorokują jej wielką sławę w przyszłości. Wystawiała swoje portrety w tegorocznym Salonie.

Zasłuchanej dziewczynie przemknęła przez myśl koleżanka z klasztoru. Co za dziwny zbieg okoliczności! Dwie obce sobie, a tak podobne zewnętrznie i duchowo istoty!

— Halka musi być bardzo ładna? — odezwała się pytająco.

— Piękność prawdziwa! — unosił się starszy brat, uzupełniając ruchami rąk opis, kreślony przez siebie. — Przedewszystkiem wysoka jak nasz ojciec, ślicznie zbudo-

wana i żywa jak iskra. Dodaj do tego koloryt wprost bajeczny! Oczy mieniące się niby szmaragdowe tonie Bałtyku w słońcu! Jakiś kolega Węgier przezwał ją „dziewczyna z morskiemi oczami“, bo podobnie brzmi tytuł powieści Jokaj'a. Włosy z połyskiem ciemnego złota na zgięciach! Usta, zarysowane śmiało, pełne jak wiśnia! Rumieńce — niby odblask jutrzenki! Odpaliła trzech konkurentów przed wyjazdem na studja!

— Przemiła Halka. — uśmiechnęła się rozbawiona Ania. — Dlaczego mówisz, że zawiodła plany swej opiekunki? Przecież taki talent, to rzadkość!

— Toteż pani Janina dumna jest z jej sukcesów! Ale — choć postępowa i mądra — uważa dobre małżeństwo za jedyne, prawdziwe szczęście kobiety. Tej wiosny los przychylił się do jej pragnień. Wyobraź sobie, otrzymują nagle depeszę od Halki: — Zaręczona z Białym Pawełkiem. Przyjeżdżajcie. *Saluts.* Halka“. Naturalnie popędzili do Paryża strwożeni i nie pojmujący tak dziwacznej treści. Wrócili — zachwyceni. Narzeczony malarki, Janek Strażewski, okazał się młodym inżynierem, który ukończył z odznaczeniem *Ponts et Chaussées* w Paryżu. Rozkochanym tak w Halce, że przyjmuje z rozkoszą wszystkie jej zwarjowane warunki. Zostaje na dwa lata we Francji, aby ona mogła skończyć swe studja. Dostał wprawdzie świetną posadę, ale potem wracają do Polski, gdyż — jak powiada — dla Niej zdobywał wiedzę. Prawda, jaki kochany?!

— Zachwycający. Dlaczegoż Halka nazwała go „Biały Pawełek?“

— Ach! — Michał parsknął śmiechem. — To się jej bajecznie udało! Wyobraź sobie, że Janek tak jest zrównoważony i spokojny w ruchach i w sposobie bycia, jak nasz zacny braciszek. Nawet trochę podobni do siebie. I ten i tamten wysoki, szczupły, dystyngowany bez cienia

przesady, o regularnym profilu, tylko Pawełek jest szatynem z ciemnemi oczami, a narzeczony Halki — jasnookim blondynem. Jeśli on jest „Białym Pawełkiem“, to nadwrót — Pawełek może być „Czarnym Jankiem!“ — śmiali się oboje z młodzieńczą, cudowną, beztroską wesołością.

— Dziwię się jednak Halce. Co za szalony pomysł! Sprowadzać dwoje starszych ludzi na gwałt do Paryża! Jakież to nierozważne!

— Rozwaga i Halka chadzają innemi drogami, mała sensatko! Oczyma wyobraźni widziała ich radość i — ręczę ci, że nie zastanowiła się nad odległością, dzielącą te dwie stolice. Zmęczyli się, oczywiście, gdyż w swym niepokoju wypadli jak z procy! Pani Janina zapomniała wziąć sakwojaż i najpotrzebniejsze rzeczy. Dobra nowina była tem słodszą nagrodą. Ślub Halki w Malinkach na początku września. I ty będziesz z nami, siostrzyczko najmilsza! Moje ty odzyskane, dawne Aniątko! — całował jej rączki z uniesieniem, gdyż nowa fala radości opłynęła mu serce. — Wiesz?! — podniósł żywo głowę, wpatrując się w dziewczynę kochającemi oczami. — Najlepiej jedź zaraz do Malinek! Znajdzie się jakieś zastępstwo w twojej posadzie. To drobiazg! Jak ty tam będziesz przyjęta! Mój Boże!

— O, nie, Michasiu! — wyraz twarzy Ani zdradzał nieugiętą stanowczość. — To niemożliwe. Poszliśmy innemi drogami, mój bracie. Ja mam przybranych rodziców i troszczę się o nich najwięcej. Tatuś zdarł nerwy w ciężkich warunkach pracy, leczy się od dłuższego czasu w Kosowie i nie ma, oczywiście, posady. My z mamusią, tłumaczącą prześlicznie angielskie książki, walczyć musimy o byt i utrzymanie dachu nad głową. Czyż mogłabym lekceważyć wynagrodzenie, jakie tu, po sezonie, dostanę?

— Ależ, siostrzyczko! — Michał rzucił się jakby strzałą przeszyty — oddam ci zaraz wszystko, co mam przy sobie. Chociaż jestem świeżo upieczony inżynier morski, ale zarabiam już nieźle przy budowach portowych w Gdyni. Proszę cię gorąco, przyjmij od brata! Nie sprawi to mi żadnej różnicy! — i sięgnął do bocznej kieszeni ubrania, ale mała rączka powściągnęła go ruchem, pełnym cichej energji.

— Dziękuję, Michasieńku! Nie zmieniłeś się wcale. Złote masz serce. Ale moi drodzy rodzice nie mogliby korzystać z twej wielkiej dobroci. Niech już tak wszystko zostanie. Za trzy tygodnie kończy się moja umowa i wówczas najchętniej wpadnę na parę dni do Malinek.

— Tylko na parę dni? — powtórzył z przykrością.

— Tak. Muszę szukać w Warszawie dobrej posady. Jeśli możesz mi w tem dopomóc, to będę ci wdzięczna prawdziwie.

— Rzecz załatwiona. Daj rączkę — wyciągnął męską, szlachetną rękę i lekko uderzył drugą, spoczywającą dłoń siostry. — Nareszcie powiedz mi coś o sobie, tajemniczy żółwiu w skorupie! Rozpytujesz się wciąż o innych, aby odwrócić uwagę od siebie! Przyznaj się, skryta dziewczynko! No, no! Bez urazy! To tylko braterskie żarty! — śmiał się, widząc pełne wyrzutu spojrzenie. — Znam twoje serduszko! To skarbczyk na misterny kluczyk zamknięty.

— Ja tak nie lubię mówić o sobie — wyznała, ociągając się nieco. — Poznasz moich rodziców. Opowiedzą ci wszystko szeroko i długo. Nie dąsaj się, złoty braciszku, bo ci z tem nie do twarzy. Nie wspominałeś jeszcze o naszej dawnej służbie. Co się z nimi dzieje?

— Stary, zacny Jakób nie żyje, a wnuk jego, Jakóbek jest służącym w Malinkach. Brygidka nie wyszła zamąż. Nabrała wstrętu do mężczyzn. Nie nazywa ich inaczej,

jak: „mężczyzniska“, albo „to hultajstwo!“ Rozpieszcza tak Ninię, jak ongi ciebie. Antoni używa wywczasów starości. Mieszka przy córce w Malinkach i ma wyznaczoną przez Pawełków ordynarję i pensję do śmierci. Krzepki jeszcze z niego starowina, a gdy usadowi się na koźle i po swojemu ujmie lejce, to niech się schowają młodzi! Wraca też czasem do swej dawnej roli, ale rzadko i w nadzwyczajnych okolicznościach. Czy wiesz, kto był długie lata ogrodnikiem u pana Żaby? Jakie ty masz śliczne oczy, kiedy tak niemi przewiercasz człowieka! Ale to nic nie ma do rzeczy! Jacenty, poczciwy, stary Jacenty! Zmarło mu się zeszłego roku. Szkoda, że nie doczekał twego powrotu! Wierzył święcie, że żyjesz, bo „ani rusz“ nie mógł modlić się za spokój twej duszy!

Przed oczyma zamyślonej dziewczyny przesunęła się wizja ochrony w Piasecznej. Zacny Jacenty, wyglądający niby święty Mikołaj ze swym srebrnym zarostem, przyniósł biednej solenizantce bukiet świeżo zerwanych róż. Szkoda, że już nie żyje!

— Teraz mam pełny obraz przejść naszej rodziny — odezwała się poważnie, ślizgając się wzrokiem po stalowoczarnej, rozkołysanej powierzchni Bałtyku, ożywionego po zachodzie słońca li tylko białemi, wznoszącemi się jak oddech, grzywami fal, ścigających się wzajem.

Starszy brat spojrzał na nią przez ramię:

— Nie mógłbym tego powiedzieć w stosunku do pewnej upartej dziewczynki — ośmielił się mruknąć pod nosem.

— Możebyśmy się przeszli po molo? — zaproponowała z niewinną miną dziewczyna, podnosząc się z plaży.

— Doskonale. — Michał porwał się ucieszony. — Zapraszam cię na kolację. Pójdziemy na „Gdańsk“ i przypatrzymy się dancingowi.

Szli przez Hel, gdzie niewielkie, jakby z pierników zrobione, rybackie domki, pokryte wygiętemi daszkami z czerwonych dachówek, przypominały holenderskie widoki. Przy zewnętrznych drzwiach, których górna tafla otwierała się nakształt okna, przystawali rybacy, rozmawiając z krzątającemi się wewnątrz żonami. Letnicy snuli się wesołemi gromadami i słychać było na calem wybrzeżu ich głośne żarty i śmiechy. Ania z Michałem wstąpili na pokład polskiego statku, którego biały kadłub bił w oczy płomienną czerwienią napisu: — Gdańsk. — Skierowali się ku restauracyjnej sali, skąd niosły się egzotyczne melodje jazzbandu i widać było, obracające się w leniwych, a wdzięcznych przegięciach pary. Usiedli przy wolnym stoliku i — po krótkiej naradzie — zamówili kolację. Majonezowa sałatka, smażone flądry i lody. Białe „Reńskie“ znalazło się również na stole.

— Oblejemy nasze cudowne spotkanie! — Michał nalewał kieliszki. — Twoje zdrowie! Moje zdrowie! Ich zdrowie! Wiwat młodość i radość! Życie jest piękne! Weselmy się, Aniu!

Dokoła nich gwar rozmów nie ustawał na chwilę, mieszając się z porywającemi dźwiękami orkiestry. Przynoszone przez uwijających się kelnerów dania, znikały szybko wobec pobytu letników na morskiem powietrzu. Ania z Michałem bawili się doskonale widokiem tańczących gości, rzucając niekiedy jakieś zabawne uwagi.

— Jak się nazywa ten brunet, który ci się ukłonił? — zapytał nagle starszy brat z ciekawością.

— Jerzy, a dalej nie wiem! — zaśmiała się, skłoniwszy lekko główkę. — Bąknął jakieś nazwisko, przedstawiając mi się w naszej salce jadalnej, ale nie dosłyszałam. Wyobraź sobie, że objechał cały świat dookoła, angażując się do coraz to innej orkiestry na różnych oceanicz-

nych parowcach. Był w Ameryce, w Afryce, zna Japonję, Chiny i Indje. Jest to wynik koleżeńskiego zakładu, że zwiedzi kulę ziemską bez wydawania innych pieniędzy, niż osobiście przezeń zarobionych. Gra na skrzypcach z prawdziwym talentem.

— Znów jakiś znajomy! — odezwał się Michał, widząc zdaleka stojącego w drzwiach sali wysokiego, napół łysego szatyna, który nie spuszczając z dziewczęcia wzroku, ukłonił się jej przed chwilą niezgrabnie.

— To niedźwiadek litewski! — zaśmiała się Ania. — Często przychodzi do bufetu i pod pretekstem wypicia kieliszka likieru, zabawia mnie konwersacją. Nudziarz! Ale pokażę ci kogoś, interesującego naprawdę. Spójrz na lewo. Widzisz? Siedzi przy osobnym stoliku i pali cygaro. Prawda jaka niezwykła postać? Te czarne jak węgiel brwi, łączące się bezpośrednio z linją nosa i czarne, palące oczy nadają mu typ Egipcjanina. Mówią, że używa pomocy ołówka, aby upodobnić się do Ramzesa, ale może to tylko złośliwość, gdyż nie chce z nikim się zaznajomić, a miałby szalone powodzenie u wielu dam! To jakiś hrabia z Krakowa.

— Oryginalny rzeczywiście. Czy nie znasz tych dwóch panienek, które w tej chwili wchodzą na salę? Jakież one szykowne i zgrabne! Jedna opalona na bronzowo, podobna z urody do cyganki, a druga jasna i anielska niby Małgosia!

— Znam je. Giną za tańcem i nie opuszczają żadnego dancingu, więc i do nas zawsze przychodzą. To „Syrenki“ z Warszawy. Ta starsza, trzymająca się usilnie typu pięknej cyganki, to bogata jedynaczka, a tamta, grająca drugie skrzypce w tym duecie — jej przyjaciółka.

— Tańczą jak dwie baletnice! Możnaby przypatrywać się im do rana. Ale — spojrzał nagle na zegarek i żachnął

się z podziwem. — Jak ten czas leci! Niestety, musimy już opuścić to urocze widowisko, ponieważ mój statek odchodzi za trzy kwadranse do Gdyni, a chciałbym ciebie odprowadzić do hotelu i zobaczyć jak mieszkasz? Będę myślą przebywał z tobą, zanim znów się ujrzymy! Tyle mam obecnie zajęcia przy budowie, że od czerwca nie byłem na Helu. Oczywiście, skorzystam teraz z każdej niedzieli i święta!

Wyszli ze statku, pośpieszając do „Heliosa“, a gdy się znaleźli w pokoiku na górze, i Ania przekręciła kontakt, starszy brat wydobył znów z kieszonki zegarek. — Mogę poświęcić ci jeszcze mały kwadransik — rzekł, kładąc go na stole. (Ani przyszedł na myśl generał weredyk). Michał rozejrzał się po pokoju:

— Miłe masz locum. Co widzę? —podszedł żywo do łóżka siostry. — Ołtarzyk z Matką Boską w niebieskim płaszczu?! Zupełnie podobny wisiał w twej dziecięcej sypialni. Jest teraz u Nini. Czy ty go pamiętasz, siostrzyczko?

— Pamiętam — odparła wolno. — A ten kupiłam za pierwsze, zarobione pieniądze.

— Jak widzę, kochasz się w fotografjach. Tyle ich stoi w ramkach, a oprócz tego stos nieoprawnych leży na stole. — brał je kolejno do ręki.

— To moi przybrani rodzice, Alfred i Vera. Prawda, jakie interesujące i piękne twarze? A to — pułkownikowa Orżewska z mężem. Śliczna i bardzo szczęśliwa, ale żyje w ciągłej obawie o chore płuca. Była tej zimy w Mentonie. Tu — nasza gromadka z „Jutrzenki“ w Zakopanem. Biedna Irka — ta miła twarzyczka, widzisz? Pewno już nie żyje? Nie miałam od niej listu. To nasza banda na tarasie w „Zaciszu“. Patrz, ten piękny szatyn! Już umarł. Taki był dla mnie dobry! A to z Przymilepek przed dwo-

rem. Stryjenka Konstancja, wesoła ciocia Ewelka, zacny generał Waligórski — taki sam raptus, jak i ty, bracie i grono, zaproszonych na wakacje gości. Tu znów klasztorne zdjęcia. A te nieoprawne — to obrazki z plaży.

Starszy brat wziął je do ręki i przerzucał ze śmiechem: — Świetne! A to co?! List?! Nie rozcięty? — odwrócił go i spojrzał na adres. — Do ciebie, Aniu. Winszuję porządku, wzorowa kasjerko!

— Od mamusi! — wykrzyknęła dziewczyna, rozcinając pośpiesznie szarą kopertę. — Przeleżał dwa dni pod temi fotografjami! A ja się tak martwiłam brakiem wiadomości! To roztargnienie panny Leny z pewnością Pozwolisz, Michasiu, że rzucę okiem... — i zagłębiła się w liście.

W miarę czytania twarz jej rozjaśniała się, aż była wreszcie promienna jak zorza:

— Powodzenie nigdy nie przychodzi samo — oznajmiła bratu radośnie. — Tatuś spotkał w Kosowie dawnego kolegę z Dorpatu, który, znając jego wartość i zdolności, wyrobił mu świetną posadę radcy rolnego przy ambasadzie w Paryżu. Jedziemy do Francji w połowie września, a tymczasem rodzice wybierają się na Hel i będą tu za dni kilka. Tatuś zupełnie dobrze się czuje, a dobra nowina powróciła mu wesołość i humor całkowicie.

— Cieszę się całem sercem razem z wami! Nie znam twoich przybranych rodziców, ale są mi bliscy — przez ciebie! Czas już na mnie — wstał. — Jutro rano pchnę depesze o „znalezionej siostrzyczce" na wszystkie strony. Spadnie ci na głowę za parę dni cała rodzina! Dowidzenia, maleńka! — podnosił do ust jej rączki, gdy Ania przemówiła błagalnie:

— Zlituj się braciszku, nie sprowadzaj ich na Hel! Czy chcesz, abyśmy byli sensacją dnia?!

— Raz jeszcze — masz słuszność! Więc przyjadą do Gdyni, a ty dostaniesz zawiadomienie depeszą. Będziesz mogła uzyskać urlop, nieprawdaż?

— Poproszę pannę Lenę o chwilowe zastępstwo. Ona jest tak uczynna i dobra, że chętnie na to przystanie. Do prędkiego zobaczenia, Michasieńku! — zarzuciła mu obie ręce na szyję i ucałowała serdecznie. — Już idź! Widzę, że jesteś pedant z rozwichrzoną czupryną! Dziwna kombinacja, ale się zdarza! — śmiała się, wyprowadzając brata na schody. — Jeszcze słówko, braciszku! — wspięła się na palce, szepcąc niemal do ucha Michała. — Opowiesz wszystko moim rodzicom, dobrze? Dla mnie byłoby to zbyt trudnem! Dobranoc! — i, nie czekając na odpowiedź, cofnęła się śpiesznie do swego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

## ANIA W MALINKACH.

Dwie rasowe, siwe arabki w angielskich szorach kłusują harmonijnie po szosie puławskiej, ciągnąc elegancki, głęboki faeton, wybity granatowem suknem. Na koźle — stary Antoni Socha ze zwisającemi na liberyjny płaszcz, białemi jak mleko wąsami — promienieje szczęściem bez granic. Oto Bóg dobry pozwolił mu dożyć tej chwili, kiedy zagubiona, opłakiwana lat tyle, maluśka ongi „panieneczka z Warszawy“, jedzie teraz do Malinek jako śliczna, dorosła panna. Gdy przed kwadransem usłyszał na stacji w Puławach świeży, dźwięczny głosik, wołający z radosnem wzruszeniem: — Antoni! Antoni! Dzieńdobry! — i ujrzał zgrabną postać dziewczęcą i okoloną złotemi loczkami różową twarzyczkę — zaniemówił z nadmiaru wrażenia. Ba! nawet nie sięgnął ręką do czapki, aby zdjąć ją na powitanie, tak go zamroczyło, nie grzech się przyznać! Tylko te stare oczy, wpatrzone w najdroższą wnuczkę nieboszczyka dziedzica, tylko te dwie łzy, co toczyły się po wygolonych starannie policzkach — witały ją stokroć wymowniej, niż słowa! Wstyd powiedzieć! Toż stałby dalej jak wkuty, gdyby nie mądre klacze, co same ruszyły z miejsca i zatrzymały się przed podjazdem stacyjnym! Dopiero wtedy przyszedł do siebie, stary niedołęga! Panieneczka obracała główką jak ptaszę to, patrząc na niego, to znów na swych przybranych rodziców, co razem z nią przyjechali.

— To dawny stangret dziadka Wojciecha! — mó-

wiła. — Kochany Antoni! Jakże się cieszę, że Antoni żyje i tak pysznie się trzyma! Co za wąs?! W kąt Archip! Nieprawdaż, tatusiu?!

— Twarz do malowania! — zgodził się z nią wysoki, piękny pan i uśmiechnął się wesoło, aż mu zabłysły białe i równe zęby.

— Jakbyś widział przed sobą nieboszczyka pana dziedzica! Takuteńkie oczy i zęby! Tożby stary Jakób padł mu do kolan ze łzami, gdyby nie leżał już dawno pod ziemią!

— Jaki stangret, takie konie! — odezwała się elegancka pani, glaszcząc Selmę i Zairę po lśniących szyjach. — Podobne do naszych, prawda, Fredziu?

Jakby zasmucił się trochę wysoki pan, ale wnet poweselały mu oczy, bo panieneczka już wskoczyła do faetonu, usiadła na przedniej ławeczce i ruchami maleńkich rączek przyzywała do siebie z uśmiechem rodziców:

— Jedźmy, tatusinkowie kochani! Niecierpliwią się pewnie w Malinkach!... — A dajże im, Panie Boże Wielki zdrowia i szczęścia, że przygarnęli do zacnego serca tę okruszynę samotną hen! gdzieś daleko, aż na bogatej Ukrainie!

Podczas gdy stary sługa odtwarzał w cichości, przeżyte przed chwilą wrażenia, głuche milczenie panowało również w powozie. Ania położyła obie ręce na kolanach rodziców i od czasu do czasu rzucała na nich dyskretne i ciepłe spojrzenie. Teraz oni mieli doświadczyć wstrząsającego uczucia na widok zmartwychwstającej, jakby z grobu wywołanej, a utraconej — przeszłości. Zdawała sobie doskonale sprawę, że takie próby przechodzą łatwiej w dziecięcych latach, gdy się ma przed oczyma wschód słońca. Im, biednym, ciężej to przyjdzie — dochodzą już bowiem, zaczynającej się „smugi cienia“.

— Trzymamy się, córeczko! — uspokoił ją żartobliwie

pan Alfred, gdy oczy ich spotkały się mimowoli. — Co najwyżej zapytamy nieśmiało: — A czy rośnie tu między skrzydłami duży, prawieczny świerk? — głos mu zafalował lekko, ale wnet się opanował. — Jeśli taka mała dziewczynina mogła wywieźć nas w pole, to dlaczegoż mielibyśmy być słabsi?!

— Tembardziej, że żyjemy i kochamy się we troje! — dopowiedziała pani Vera gorąco, uśmiechając się do milczącej córki.

Głębokie wejrzenie szafirowych oczu było jedynym dowodem odczucia, drogiego dla nich trojga wspomnienia.

Zaległa znów cisza. Kłus arabek był idealnie równy i szparki, faeton niósł jak kolebka. Mijali pola, niewielkie lasy i wioski po tej, lub tamtej stronie, świeżo poprawionej szosy. Wkrótce zwarty gąszcz, wystrzelających w górę starych drzew sadyby dworskiej, zaczerniał przed nimi. Biegnący dookoła czerwony mur ogrodzenia stawał się bliższym za każdym wyrzutem nóg końskich. Zniżone na pewnej przestrzeni kamienne obramowanie odsłania widok na dwór.

— Czereszeńka! — wyrywa się jednocześnie obojgu Przedborom stłumiony okrzyk radości i bólu. Ucieleśniona wizja drogiego ich domu.

Przykuli się wzrokiem do białych murów. Drga zlekka prawy wąs u mężczyzny. Pani Vera pobladła, zaciśnięte ma usta, a szloch zakrzepły w gardle.

— To Malinki! — myśli ze wzruszeniem Ania. — Moje gniazdo rodzinne! Tu — dziadziuś wychodził do mnie na ganek. A tam, w tem oknie na dole, była sypialnia rodziców. Tu znów — jadalna sala. W niej brał mię dziadek na kolana i uczył mądrości życia! Ileż uczuć pomieścić może niewielkie serce człowieka! Wszakże pokochałam z niemniejszą siłą Czereszeńkę i moich przybranych ro-

dziców! — zwróciła na nich oczy i nagle, szybko pochyliwszy główkę, otarła się pieszczotliwie twarzą o splecione w uścisku ich dłonie.

Czar prysł.

Arabki tęgim kłusem wjeżdżały w rozwartą naoścież bramę. Majestatyczne świerki, rosnące zrzadka na szmaragdowej gładzi trawników, zakołysały olbrzymie ramiona jakgdyby poznając radośnie, nie widzianą oddawna panienkę. Silnie wonieją kwiaty na długich rabatach przed dworem. Gdzieś blisko gruchają gołębie. Wrzask pawia przeszywa powietrze. Marmurowa Pomona we wnęce wieżyczki na piętrze trzyma w obu rękach kosz z bogatemi darami lata. Na ganek wylegli wszyscy mieszkańcy Malinek.

Pan Alfred spogląda na przybraną córkę:

— Cieszmy się, Aniu! Stój, chwilo, boś naprawdę jest piękna!

Klacze stanęły jak wryte. Antoni na koźle zda się z kamienia wykuty. Zbiegają domowi ze schodów. Rozpromienione twarze, ręce same wyciągają się do uścisków. Powitalne słowa krążą w powietrzu jak gromadki fruwających motyli. Niema już wybuchowości pierwszego spotkania, tylko pełna wesela pogoda. Pan Żaba z gładko przyczesanemi, o stalowym połysku włosami, zawsze starannie ubrany i wyprostowany, trzyma na ręku maleńką wnuczkę, tulącą do białej sukienki bukiet z przepięknych róż. Jej siwe oczy, rezolutna minka i ciemne loki czynią ją wręcz odmienną od tej, której nosi imię. Podaje kwiaty uśmiechającej się do niej pani Verze:

— Maś! — tu następuje szereg niezrozumiałych dźwięków, niby świergot ptaszęcy, zakończony wyraźniejszemi już słowami: ...cioci Nini! — poczem zarzuca tłuściutkie łapięta na szyję, podobającej się jej, ładnej pani.

— Pa, maleńka! To najmilszy objaw wdzięczności! —

całuje ją rozczulona pani Vera, która instynktem kobiecym pojęła zawiłą treść wielekroć zapewne powtarzanego i objaśnianego przemówienia.

Mąż jej całuje również z podbijającym uśmiechem pulchną rączynę dziecinki, która spogląda nań ufnie, nie broniąc się wcale.

Srebrnowłosa Bisia pochwyciła w ramiona Anię. Tuli ją i pieści słowami, jakgdyby niepomna na niedawny, wspólny pobyt w Gdyni i na Helu, pragnęła wynagrodzić sobie ubiegłe, długie lata. Michał jest wszędzie. Wita się, dowcipkuje, odrzuca z czoła jasną czuprynę i mówi tak głośno, jakgdyby był znów czternastoletnim wyrostkiem. Czasem tylko zaćmi się jego niebieskie oko, ale to taka rzadka, przelotna chwilka!

Na ganek wbiegła Halka. Stąd lepsza perspektywa na zebrane grono. Mówi żywo do Janka, łowiącego każde jej słowo z niezmierną uwagą:

— Jaka wspaniała postać tego Przedbora! Nos szlachetny, rasowy. Pięknie osadzona głowa. W polskim stroju, przy karabeli, w kołpaku z czaplem piórem — kasztelan prawdziwy! Trafnie go ochrzciła ta mała „szarotka"! Muszę zrobić ten portret koniecznie! Jeśli mi się uda — może dostanę „Grand Prix!" Jak myślisz, Janku?

— Dostaniesz go z pewnością. Jeżeli nie w tym roku, to na przyszły — odpowiada jej zwięźle narzeczony, ale w jego słowach mieści się tyle zachęcającej ufności, że oczy Halki jaśnieją zadowoleniem.

— Dlaczego tu stoimy?! Dalej, kochani państwo! Proszę do domu! — woła pani Krzyśka, wsuwając rękę pod ramię pana Alfreda i prowadząc go ku drzwiom wejściowym. — Pawełku! Czyń to samo, co i ja!

Jest pełna jakiegoś chłopięcego wdzięku i przelewającej się w siwych źrenicach bystrości i upojenia życiem. Krótko

ucięta, gęsta czuprynka połyskuje jak ciemny jedwab w promieniach słońca, które wydobywają na jaw karmin warg i barwiący jej smagłe policzki rumieniec.

Pawełek, dziś już pan Paweł, gospodarz domu, rzuca jej w odpowiedzi błyskawicę zachwytu, poczem najuprzejmiej podaje ramię, uśmiechającej się, pomimo tłoczącego smutku, pani Verze.

Wchodzą gromadnie do przedpokoju. Niby rój fantastycznych widziadeł spływają zewsząd ku Przedborom dawne wspomnienia. Oboje są wszakże tak światowi i opanowani, że rozmowa toczy się z ożywieniem. Identyczność dworu w Malinkach ze zburzonem gniazdem rodowem przybranych rodziców Ani, znana jest wszystkim. Nikt jednak nie dotyka tej kwestji.

— Chodź, Nini! Zaniosę cię do Brygidki i sama ją ucałuję! — powiedziała najmłodsza ciocia, biorąc maleńką z rąk dziadka.

— Ostrożnie, Aniu! Nie masz w tem wprawy! — zaniepokoiła się pani Krzyśka.

— Zapewniam cię, miła bratowo, że obdarzona jestem wrodzonym talentem! — roześmiała się Ania, przypomniawszy sobie naraz, kołysaną przez siebie Bożenkę. — Spójrz, niewierny Tomaszu i przekonaj się! Czy dość pieczołowicie z nią się obchodzę? — i, usadowiwszy zgrabnie siostrzeniczkę na ręku, objęła ją i wyszła z pokoju.

— Świetnie! — krzyknęła jej wślad młoda matka i zwróciła się do gości z ujmującą serdecznością:

— Zaprowadzę państwa do ich pokoju na górze. Będą tam państwo jakby u siebie. W sąsiedztwie tylko bibljoteka i łazienka. Ojczulek urządził ten kochany dwór nowocześnie. Proszę więc za mną! — szła naprzód, nie oglądając się za dążącymi jej śladem Przedborami.

Już byli na pierwszem piętrze. Pani Krzyśka wprowa-

działa ich do znanego dobrze „balkonowego pokoju". Przed nim świerk rozpościerał okazałe ramiona, zdając się być wieczyście zieloną, świąteczną choinką olbrzymów.

— Niechże państwo kochani wypoczną. Dzwonek tuż przy drzwiach. Służba na zawołanie. Może kąpiel? Może przysłać zaraz Jakóbka? Nie? A więc dowidzenia za parę godzin! — zamknęła cicho drzwi i zbiegła lekko ze schodów.

Przedborowie zostali sami. Może objęli się mocno, polecieli myślą do nieistniejącej swej siedziby i — po tylu latach tułaczki — zapłakali nareszcie! Wszakże i ptak krąży nad zrujnowanem swem gniazdem i długo, żałośnie kwili!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

## LEGENDA CZY PRAWDA?

— Możemy sobie powinszować wzrokowej pamięci, Aniu! — odezwał się pan Dominik, strząsając popiół z papierosa do bronzowej popielniczki. — Widzieliśmy się przecież — coprawda przelotnie, w Krasnymstawie! Czy przypominasz to sobie?

— Oczywiście. Ale ile lat miałam, gdy pan pierwszy raz odwiedził Malinki? — broniła się Ania.

— Zrzucasz na mnie całą winę i słusznie — zaśmiał się cicho. — *Mea culpa!* Wyznam otwarcie, że po tylu latach milczenia, straciliśmy wówczas całą nadzieję. Jedynie poczciwy Jacenty wierzył do końca dni swych, że żyjesz!

Siedzieli wszyscy w salonie, przy czarnej kawie, gwarząc przyjacielsko i szczerze. Jedna tylko Ania szukała w myśli gładkiego sposobu wymknięcia się z towarzystwa, aby pójść niepostrzeżenie do gabinetu Pawełka. Wiedziała z opowiadań rodziny, że tam znajdują się piękne portrety ojca i matki w całej postaci w seledynowej sukni z nenufarami na ramieniu. Spłakana Brygidka dorzuciła jeszcze sporo nieznanych szczegółów o „nieszczęśliwej kobiecie“, wzruszając dziewczynę do głębi.

— Tatuś bardzo lubi kroplę śmietanki do poobiedniej kawy! — szepnęła bratowej, nalewającej wonny napój do przezroczystych filiżaneczek. —Jeśli pozwolisz, to zaraz każę ją przynieść.

— Zadzwoń na Jakóbka! — poradziła jej pani domu.

— Tak będzie prędzej! — odparła Ania i wysunęła się cicho z salonu.

— Brałem wtedy benzynę do samochodu — mówił dalej pan Dominik, zapalając nowego papierosa. — Czy pan to pamięta, panie Alfredzie?

— Jakby się wczoraj zdarzyło! Siedziałem w biurze, na piętrze. Jakiś samochód ryknął na dole. Mój buchalter wyjrzał przez okno. — Pan Żaba jedzie ze Śląska do domu. Jeśli pan dyrektor pozwoli, zejdę do niego na chwilę. Znam go dobrze, gdyż dawniej pracowałem w Syndykacie w Puławach, a to jego najbliższa stacja kolei. — Zgodziłem się, oczywiście. Po krótkiej rozmowie buchalter wrócił i rzekł wesoło: — Urodziła mu się wnuczka! Wezwano go telegraficznie jako chrzestnego ojca. Córkę uwielbia po prostu. Warta tego przemiła pani Krzyśka! Doktór medycyny, a taki ładny i wdzięczny, że pan dyrektor nie mógłby od niej oderwać oczu. — Prawdę powiedział, chłopczysko! — uśmiechnął się do pani Krystyny.

— Po depeszy Michasia nie mogłem, niestety, opuścić mego stanowiska i podążyć za wszystkimi na Hel — ciągnął dalej, zapatrzony w córkę pan Żaba — ale czytając długi list Krzyśki, opisujący mi przejścia Ani — doznałem nagłego olśnienia. Więc byłem wtedy tak bliski celu i wymknął mi się prawie z pod rąk?! Moja równowaga zakołysała się znienacka, niby okręt na wzburzonej fali!

— Kochany panie Dominiku! Poco te retrospektywne żale! — oświadczyła ze zwykłą szczerością wielbicielka prawdy. — Przecież klucz od zagadki był w ręku jednej tylko Ani.

— Myślalem, że piorun we mnie strzelił, gdy dowiedziałem się od państwa, że moja siostra nazywa się „Pobóg“! Więc dlatego nie mogliśmy jej odnaleźć?! Dlatego... —

tu Michał porwał się z fotela i, nie dokończywszy swej myśli, jął przebiegać pokój wielkiemi krokami.

Pan Alfred wiódł za nim wzrokiem z serdecznością starszego przyjaciela: — Ba! — mruknął. — Mnie się zdawało, że zapalił mi się w głowie stos fajerwerków, gdy słuchałem nadzwyczajnych dziejów Ani „Sokolnickiej!"

— Jeszcze jedna sprawka pana Edmunda! — rzekł Pawełek z odcieniem wzgardy. — Czyżby doprawdy chciał pozbyć się w ten sposób dziewczynki?!

— Nie! — zaprzeczyła gorąco pani Vera. — Zdaje mi się, że go rozumiem. To była spaczona, chorobliwa ambicja zatarcia śladów, aby go ktoś, przypadkiem, źle nie osądził!

— Moja mała, uparta siostrzyczka nawet przedemną zataiła tę sprawę — powiedział starszy brat z żalem. — Przecież krążyliśmy dookoła niej przy pierwszem spotkaniu! Co za skrytość niezwykła?!

— Subtelność, powiedz! Nie chciała dorzucić kamyczka do rodzinnej niechęci względem Edmunda i miała słuszność! — dobitnie podkreślił pan Dominik.

— Tak! Wolała cisnąć go w fale Bałtyku!

— Tembardziej, że była poszkodowana! — zaznaczył niemal jednocześnie przybrany ojciec, odchylając wtył głowę z wrodzonym sobie gestem szlachetnej dumy.

Patrzącej nań żonie zabłysło naraz pamiętne zdanie: — „Ta dziewczynka nie przyniesie nigdy ujmy naszemu nazwisku!" — Jak trafnie osądziłeś to, Fredziu! — wyrwała się jej myśl, przyobleczona w głośne słowa.

— Nieprawdaż? — odparł jej mąż z powściągliwym triumfem.

— Ileż to trzeba lat pożycia, aby tak cudownie czytać wzajemnie w myślach? — dopytywał się rozweselony Michał.

— To zależy od zdolności w tym kierunku — odpowiedział z powagą. — Ja zawsze się tem odznaczałem. Przekonam państwa w tej chwili. Oto widzę naprzykład oczy naszych gospodarzy domu, zmienione w dwie stacje telegraficzne bez drutu. Piwne nadają depeszę: — Takiej jak ty — niema na świecie! — Siwe wysyłają odpowiedź: — Czyż mogłabym mieć innego męża?!

Zaśmiali się wszyscy.

— Szkoda, że narzeczeni poszli do parku! Przeniknąłby ich pan równie dokładnie. Bałamut z pana, kochany gościu! Myślałam, że dowiemy się czegoś ciekawego, a to takie proste! — uśmiechała się pobłażliwie Krzyśka.

Przedbór wstał z miejsca i podniósł do ust wąską, energiczną rączkę:

— Droga pani Krystyno! Gdyby wszystkie małżeństwa opierały się na takiej „prostej“ podstawie, to życie rodzinne nie byłoby tak wykoszlawione, jak widzimy obecnie po wojnie!

— Żyjemy istotnie w przełomowej chwili — zabrał głos pan Dominik. — Stary świat układów społecznych chwieje się w posadach i zapada w naszych oczach niby mityczna Atlantyda. Rozchybotane fale rewolucyjnych i ekonomicznych zaburzeń nacierają nań coraz gwałtowniej, niszcząc częściowo zdobycze dwudziestowiekowej kultury. Nowy natomiast świat myśli, wyrzucony z nieznanej głębi, nieskonsolidowany i płynny rośnie — tężeje — zbliża się ku nam, grożąc nieuniknionym — zda się kataklizmem, roztrzaskującego zderzenia. W jaki sposób uratować zdobyte pracą skarby ludzkości, przebudowując jednocześnie od fundamentów, aż do kopuły, zmurszały gmach na nową modłę — niech nad tem się głowią władcy tego świata! Co do mnie, trzymam się zasady: *Fais ce que dois, advienne que pourra!* Przewidywałem

w swoim czasie możność rewolucji w Rosji i tak się stało. Chciałem nawet sprzedać kopalnie, ale wobec wojny — napróżno! Bolszewizm je wchłonął, zostały mi tylko Malinki. Czy niezadługo mówię o sobie? Proszę o szczerość, kochani państwo! — powiódł wzrokiem po słuchaczach z kurtuazją.

— Gdybyśmy byli burszami w Dorpacie, wyzwałbym pana niechybnie na pojedynek za takie pytanie! — groził mu Przedbór wesoło. — W imieniu wszystkich proszę o dalszy ciąg, bez przerywania ciekawych feljetonów!

— Dziękuję za pochlebne wyrazy — zaciągnął się papierosem ze smakiem. — Wracam tedy do mego rozumowania. Problem „jutra“ świata powojennego zajmował mię niesłychanie. Sądziłem, iż gorączkowy rozwój produkcji rolnej musi się zmienić z czasem po zawartym pokoju w ogólny kryzys na tle hyperprodukcji zboża. Upadek cen byłby logicznem tego następstwem. Dochodowość większej własności ziemskiej spadłaby wówczas do zera, mając na względzie drożyznę robocizny i wysokie podatki. Nie wahałem się ani chwili. Jaknajśpieszniejsze wstąpienie na drogę zarobkowania wydało mi się racjonalnem jedynie. Wnet po przyłączeniu Śląska do Polski, objąłem jako inżynier fachowiec, skromną z początku posadę w Hucie Królewskiej. Awansowałem szybko i dziś, będąc dyrektorem kopalni węgli jestem gotów do finansowania Malinek w razie nastania kryzysu. Przywiązaliśmy się wszyscy do tego starego dworu, który jest równocześnie gniazdem rodzinnem mego zięcia (tu spojrzał nań z serdecznem uznaniem) i czynilibyśmy wszelkie wysiłki, aby ten majątek utrzymać w całości.

— Tembardziej, że Polska jako kraj przeważnie rolny, winnaby mieć w pamięci słowa Sully'ego, ministra Henryka IV, które pozostały wytyczną polityki ekonomicznej

Francji: — *L'agriculture doit rester toujours une des deux mammeles, qui nourrissent le pays!* — uzupełnił ten obraz Pawełek. — Sharmonizowanie przemysłu z rolnictwem dopomoże Francji z pewnością do przetrzymania wszechświatowego kryzysu, o ile przypuszczenia ojca się sprawdzą.

Niestety, u moich sąsiadów ziemian nie widzę tej zapobiegliwości, jaka cechuje myśli i czyny ojca. Przeciwnie, żyją raczej nad stan, bez troski o jutro, z jakąś lekkomyślną pewnością, że obecne konjunktury, sprzyjające rolnictwu, nie zmienią się nigdy.

W tej chwili weszła do salonu panna Balbina, zajęta poprzednio przy udoju krów. Mleczarstwo bowiem w Malinkach zorganizowane było na wielką skalę i stanowiło jedną z najważniejszych gałęzi dochodu obok rybnego gospodarstwa i racjonalnej hodowli królików na skórki. Za Bisieńką wsunęła się Ania spokojna napozór. Tylko świetliste jej oczy piękniejsze były, niż zwykle.

— Widzę tu niektóre cenne płótna — zmieniła nagle temat rozmowy pani Vera pod wpływem interesującego ją odkrycia. — Patrz, Fredziu! Ten niewielki podłużny obrazek w starych, złoconych ramach?! Widzisz?! Na przeciwległej ścianie. Co to być może?! Poczerniał już od starości i trudno mi stąd dopatrzeć treści. Może to jakiś Rembrandt?

— Wątpię — odrzekł Pawełek. — Wiedzielibyśmy o tem z pewnością. To są zbiory naszego pradziadka, który ogromnie interesował się sztuką. Malował nawet wcale udatne pejzaże. Część tych płócien dostał w spadku, jako rodzinne zabytki, inne zaś sam skupywał, wyławiając je w antykwarniach. Nasz dziadek natomiast nie miał zamiłowania w tym kierunku, będąc przedewszystkiem ekonomistą i społecznikiem. Ale — skoro panią zaciekawił ten obraz, to... — wstał i zdjął go ze ściany: — Służę pani!

— Muszę i ja przyjrzeć się staruszkowi. Może to doprawdy jakiś skarb zapoznany! Moja żona ma „węch“ do antyków. — podszedł do niej i pochylił się nad złoconemi ramami.

— Co?! — zatrząsł się ze zdumienia — Vero! Ależ to nadzwyczajne! Nie do wiary poprostu!

— Myślę to samo, mój drogi, — odparła z przejęciem.

— Tatusiu! Biały koń i czereszeńka! — wołała zachwycona Ania.

— Cóż to jest?! — sypnęły się ciekawe pytania.

— Historja mego rodu! — powiedział Przedbór, trzymając obraz w ręku i wpatrując się weń z osłupieniem. — Patrzcie, kochani państwo! Ten rycerz w poczerniałej od patyny lat zbroi — to mój przodek, wygnaniec, dotknięty klątwą kościelną za najazd na klasztor i porwanie zeń dziewicy, poświęconej Bogu. Pokochali się z Halszką Kmitówną miłością szaloną, nie uznającą zakazów, ni przeszkód. Dumni rodzice odtrącili rycerza-szlachcica, zmuszając córkę do poślubienia magnata, Odrowąża. Ale, gdy biskup dający ślub na Wawelu, zapytał bladej jak marmur oblubienicy: — Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę... — wydala jeden krzyk: — Nie! — i padła na kobierzec zemdlona. Za karę miała złożyć śluby zakonne i strawić życie w pokucie. Mężne w niej jednak tętniło serce, kiedy widzimy ją tu, na tem starem malowidle, stojącą obok męża, wygnańca. Dłoń, której zarysy ledwo są dostrzegalne, przerzuciła przez szyję konia Araba, jedynego ich przyjaciela w tej pustce. Dokądże bowiem skierować się mieli, jeśli nie na tę daleką, wolną, a nieprzebytą w bujności stepów i gąszczu puszcz leśnych — Ukrainę?! Kędyż schronić się mieli i krwią przelaną w obronie Ojczyzny okupić miłość wzbronioną, jeśli nie tu — gdzie akt rozgraniczenia W. Ks. Litewskiego z Koroną w 1546

roku sporządzony, zawiera wykaz siedliszcz, rzek, uroczysk, szlaków i lasów, któremi ziemianie kresowi ówczesni: Noskowicze, Jakubowicze, Kleszczewscy, Ziałowscy, pieszo granicę ową wytyczyli, zdając ją jeden drugiemu. Pustką i puszczą wieje z tego sprawozdania, toteż przed borem, doszczętnie na obrazie szczerniałym, stanęli oboje. Tylko kwitnąca różowo czereszeńka rozwesela ich oczy, niby szczęsna wróżba nowego życia.

— Przecudna legenda! — oświadczyła z uniesieniem Halka tuż za plecami potomka starego rodu. Weszli z narzeczonym przez oranżerję na początku opowieści Przedbora i, zbliżywszy się na palcach, słuchali jej z wytężoną uwagą.

— Rozumiem teraz wszystko! — wołała entuzjastka z zapałem. — Czereszeńka, Przedbór i — wygnanie z raju! — rzuciła się na szyję pani Verze.

— Ale skąd się wziął ten obraz w Malinkach? — rozważał zamyślony Pawełek. — Jakie jest jego pochodzenie? — wziął go z rąk gościa i obracał na wszystkie strony.

— Mógłby nam to wyjaśnić tylko dziadzio Wojciech! Niestety! — Michał rozłożył beznadziejnie ręce.

— A ta identyczność dwóch dworów?! Coś w tem się kryje! — wtrąciła swe zdanie panna Balbina.

— To się łatwo da wytłumaczyć — dowodził Janek. — Przed laty jakiś Sokolnicki pojechał pakowną bryką do Przedbora na polowanie. Zachwycił się starą, kresową siedzibą i po powrocie swój dwór przebudował wedle danego przez „brata szlachcica“ planu!

— A może to właśnie Przedbór naśladował Sokolnickiego! — przekomarzała się z nim pani Krystyna. — Tak mówisz, jakbyś asystował gawędzie dwóch okazałych wąsaczy!

— Wołałabym, aby ten pierwszy Przedbór był Sokol-

nickim z Malinek. — powiedziała z zadumą Ania. — Bylibyśmy wtedy dwiema gałęziami z jednego pnia, tatusiu!

— A gdybyśmy naprawdę w to uwierzyli? — zaproponował pan Dominik z rozświetloną twarzą. — Przybyliby nam nowi, przemili wujostwo!

— Wiwat! Przyjęte przez aklamację! — wybuchnęły oklaski.

— Jako pani domu, chrzczę cię, gościu, na wuja! — zawołała patetycznie pani Krzyśka, i, poskoczywszy ku panu Alfredowi, ucałowała go serdecznie, poczem objęła gorąco panią Verę.

Nowy wuj przymknął na chwilę oczy z przedziwną błogością:

— Już teraz wiem, jak mógłby smakować owoc zakazany! — rzekł — wyborny!

— Wujcio jest czarujący! — śmiała się młoda kobieta, a za nią weselili się wszyscy zebrani. — Gdyby nie było na świecie Pawełka, to jedyny człowiek, w którym mogłabym się zakochać, to wujcio!

— Hola, siostrzeniczko! Składam mój protest! Tam już oddawna powiewa mój sztandar! — wołała rozochocona żona.

— I moja chorągiewka z szarotką! — zaznaczyła swe prawa Ania.

— Wujcio jest taki wysoki! Miejsca jest dość! Niechże łopoce i moja barwna flaga przyjaźni! — upierała się żartobliwie pani Krystyna.

— I moja chorągiew uznania! — dodała serdecznie panna Balbina.

— I mój proporzec zachwytu, o kasztelanie! — przemówiła melodyjnie Halka.

Pan Alfred wyciągnął przed siebie ręce, tworząc jakby obronną tarczę:

— Litości, okrutne! Czuję się jak wieloryb, z tkwiącemi w nim harpunami!

Huczna wesołość przyjęła te słowa.

— Musimy wypić zdrowie nowych wujostwa! — rzuciła stanowczo Krzyśka. — Nie wiem tylko czem?! Ciocia Vera niech decyduje.

— Mamusia przepada za różanym likierem, — zdradziła tajemnicę Ania.

— Ja także! Doskonale!

— To dopiero gust kobiecy! — obruszył się Michał. — Wołałbym starego węgrzyna!

— Nie, nie! To zanadto pospolite!

— Pospolite?! Co za bluźnierstwo! — starszy brat wzniósł oczy do góry z emfazą.

— A to nie tak zwykłe i symboliczne, — kończyła pani domu. — Niechże wam będzie od dziś kwieciście i słodko, kochani i dzielni wygnańcy! Zaraz przyniosę likier i zrobię sama maszynkę czarnej kawy, ale takiej, że Mahomet nie pije podobnej w raju!

— Ja ci pomogę! — Ania wstała śpiesznie.

— Dobrze. Chodźmy! — i wybiegły obie z salonu.

## VENI CREATOR.

W parę dni później zjechała do Malinek reszta rodziny. Powitania z obu stron były radosne i ciepłe, bez dawania folgi entuzjazmowi, gdyż Ania w przejeździe z Helu do Malinek, zatrzymała się na kilka dni w Warszawie wraz z przybranymi rodzicami. Pobyt ten wycisnął w jej sercu niezatarte piętno, spotkała się bowiem niespodziewanie z Edmundem, co wszakże zachowała wyłącznie dla siebie. Pierwszego dnia z rana pojechała na grób matki z pękiem ulubionych przez nią róż herbacianych i uklękła przed wspaniałym pomnikiem, obrzeżonym świeżemi kwiatami, modląc się gorąco za drogą, tak srodze doświadczoną duszę. Ciche stąpanie po piasku nie zamąciło jej żarliwego nastroju. Podniosła się wreszcie z klęczek i nagle...

Przystojny, wytwornie ubrany brunet, z lekko siwiejącemi włosami, wpatrywał się w nią jakby obłędnym, rozgorzałym wzrokiem. Wiązanka róż purpurowych leżała przed nim na ławce, obie zaś jego dłonie trzymały się kurczowo poręczy. Ania poznała go odrazu, tak niewielka zaszła w nim zmiana. Spojrzenia ich zetknęły się błyskawicznie, ale snadź nie strzeliła z nich iskra sympatji, gdyż dziewczyna wnet odwróciła oczy ku wprawionej u stóp Anioła miniaturze matki, jakby śląc jej wszystkie swe myśli na pożegnanie i lekkim krokiem jęła posuwać się w stronę bramy cmentarnej.

Mężczyzna wiódł bez przerwy oczyma za wiotką,

zgrabną sylwetką. Ta dziewczyna w niebieskiej sukience ze złotemi, puszystemi loczkami, w granatowym berecie na głowie — to jego dawna, wiośniana Alinka! ...Ale umarli z grobu nie wstają!... Więc to — jej córka?!... Znalazła się przecież!... A tamta, jedyna w zbolałem sercu — nie żyje!...

Aleja cmentarna skręcała ku wyjściu na lewo i Ania mimowoli rzuciła wbok okiem. Edmund stał przed grobowcem bez ruchu, z twarzą, ukrytą w dłoniach. Lekki cień współczucia omroczył po raz pierwszy jej serce, ale życie przyzwało ją ku sobie zpowrotem. Rodzice czekali na nią w hotelu, aby odwiedzić wspólnie przyjaciół i krewnych. Dzień był cały rozplanowany, na obiedzie zaś mieli być u Więcławskich. Pan Kazimierz radość swą okazał tem, że uniósłszy Anię w górę jak piórko, zawołał wesoło:

— Cóż, mała zgubo! Skończyło się wszystko pomyślnie! Udałaś się swoim przybranym rodzicom, ale i oni się tobie udali! — poczem postawił ją na ziemi, ściskając serdecznie.

— To dopiero czułe powitanie! — zaśmiała się srebrzyście Ania.

— Wstydź się, Kaziu! — gderała nań żona, witając się z gośćmi. — Moja dziewczynko kochana! — wyciągnęła do Ani ramiona.

— Strasznie jesteś wymagająca, dziecko moje! — mówił, obejmując pana Alfreda i całując rękę pani Very. — Ja myślałem, że to bardzo dowcipna prawda! Jak pan uważa mistrzu?! — zwrócił się do Przedbora i zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem, przesuwając palcami po dobrze już srebrniejącym czubie. — Wiem wszystko! Pawełek zajechał do nas na jeden dzień z Gdyni! Przegadaliśmy z nim do świtu!

— Mogę tylko oświadczyć, że trafiliśmy na szczęśliwą serję — rzekł najuprzejmiej pan Alfred — ta sama bo-

wiem „dowcipna prawda“ stosuje się znakomicie do państwa.

— A co, Kaziu?! Spotkałeś gracza mielada! — zaśmiała się pani Janina. — Prosimy drogich gości do salonu — zapraszała. — Obiad będzie niedługo.

— Wejdźcie do naszej skromnej chaty! Wszystko tak jak było, tylko się nieco ku starości pochyliło! — dodał pan domu, spoglądając na żonę przekornie.

Przeszli przez jadalnię, w której rozciągnięty stół, przystrojony kwiatami, wywołał uwagę pani Very:

— Państwo kochani prosili nas na „skromny obiadek“, a ja widzę, że to ma być jakiś *grand diner!* Przepraszamy za nieodpowiednie stroje.

Pan Kazimierz machnął ręką niedbale:

— Ale cóż znowu?! Tylko te kwiaty na intencję państwa! My mamy codziennie takie zebrania! Wygnańcy z Podola! Ci bez posady, a tamci — starzy, zmęczeni! Biją się z życiem! Trzeba im jakoś dopomóc! I tak się przecież obiad gotuje.

— Koszt minimalny, doprawdy! — tłumaczyła z pośpiechem pani Janina. — Niema o czem mówić! Jedno przy drugiem! Mała różnica!

W tej atmosferze ciepła i miłej, wesołej pogadanki ze spotkanymi tu kresowcami, zeszło parę godzin jak jedna chwila. Oczywiście, bliski ślub Halki, która po widzeniu się z „odnalezioną siostrzyczką“ pojechała wprost z Gdyni do Malinek — zajmował najpoczesniejsze miejsce w rozmowie kobiet. Kwestja tualetowa nie była też na ostatnim planie.

— Żegnajmy się, Vero! Mamy być u państwa Benedyktostwa o piątej! — przypomniał pan Alfred.

— *L'exactitude c'est la politesse des rois!* — rzuciła z ujmującym uśmiechem pani Janina.

— Nie wiem, jak się zachowywali *les rois en exil!* — oświadczył, wstając pan Alfred — ale pewien jestem, że my, kresowcy, nie zdeklasujemy się nigdy pod względem kultury. Mogą znaleźć się, rzecz prosta, wyjątki, ale chyba dla potwierdzenia reguły. Tkwi ona w nas zbyt głęboko.

— Dobrze powiedziane. Niech pan pozwoli, że uścisnę pana! — i pan Kazimierz bez zwłoki przystąpił do czynu.

W kamieniczce na Starem Mieście przyjęto Anię i jej przybranych rodziców ze starannie ukrywanem wzruszeniem. Ten powrót zaginionej dziewczynki przywodził na myśl dwojgu osieroconym ludziom pełne niepokoju i wstrząsów duchowych wyczekiwania innych powrotów, które — niestety! — zakończyły się żałobnem pieniem: *Requiescat in pace!*

Wysoka, koścista postać stryja Benedykta przygarbiła się znacznie, jakgdyby pod wpływem niesionego ciężaru. Oczy zaś jego małżonki straciły dawne, ożywione blaski. Zgaszone i smutne — płakały snadź wiele. Wrodzona jej wesołość znikła również bez śladu, zostawiając na swem miejscu cichą rezygnację. Charakter „niedźwiedzia“, jak go nazywała przed laty pani Alina, uległ też zmianie. Tony jego szorstkiego głosu dziwnie złagodniały, a milkliwość pogłębiła się jeszcze. Tylko pochrząkiwanie było niezmienne. Młodzieńcza ongi uroda Zymka nabrała cech męskiej dojrzałości. Jego uczestnictwo w jakiejkolwiek zabawie wyrażało się — przy uderzającej powściągliwości w ruchach i w mowie — li tylko żywością śmiejących się orzechowych oczu, gdyż śliczne usta poprzestawały na lekkim uśmiechu.

Pomimo wręcz odmiennego, niż na poprzedniej wizycie, nastroju — rozmowa nie przerywała się wcale, poruszając aktualne, najważniejsze zagadnienia krajowe

i wszechświatowe. Pan domu i Zymek przysłuchiwali się ze skupieniem opowiadaniom gościa o przebiegu rewolucji na Ukrainie, wtrącając niekiedy własne uwagi, świadczące o głębokiem ujęciu nieskończonego jeszcze problemu. Pani Vera znalazła chwilkę, aby okazać subtelne współczucie, dotkniętej ciężką stratą, ale mężnej — wedle odwiecznej tradycji — matce Polce. Ania słuchała rozmowy ciekawie, przerzucając się od czasu do czasu krótkiemi zdaniami z młodym kuzynem. Stryjenka Rozalja zwróciła się do niej serdecznie:

— Jak u nas teraz cicho i poważnie, nieprawdaż Aniu? — stwierdziła z prostotą. — Tylko przyjazd Michasia odmładza tę starą, milczącą kamieniczkę! Odrazu wszczyna się ruch, gwar, śmiech, tupotanie nóg po schodach na górkę! Przychodzą dawni koledzy, to znów Michaś wypada do miasta!

— Nie zmienił się wcale! — zaśmiała się Ania. — Zaprzysiągł wierność odruchowym wybuchom! Stryjenka wie przecież jak się odbyło nasze pierwsze spotkanie?! Miał szczęście, że go nie wybiłam!

— Temi małemi łapkami?! — w oczach Zymka zaigrała wesołość, chociaż twarz została poważna. — Sądzę, iż Pogotowie byłoby w tym razie zbytecznem!

— Cicha woda brzegi rwie! — odcięła się bez namysłu dziewczyna. — Możnaby to zastosować do nas obojga, co Zymku?!

Zebrani patrzyli na nich z uśmiechem, gdyż młodość kryje w sobie nie doceniane przez nią i, jakże szybko mijające uroki!

— Musimy odłożyć, niestety, dalszy ciąg tej interesującej dyskusji! Czas na nas, moje panie! Cały dzień gram rolę *turbator chori!* — narzekał pan Alfred. — Gdyby nie moje przykre dysonanse, spóźnilibyśmy się wszędzie

z pewnością! Kobiety i godziny jak w algebrze dwa plusy, dają w rezultacie minusy!

„Kobiety“ zagrały z powodzeniem, wdzięczniejszą od poprzedniej rolę „ofiar“ i, pożegnawszy się natychmiast, wyszły ze swym tyranem.

— Tęgi człowiek z tego Przedbora! — osądził, chrząknąwszy pan domu.

— A ona jaka rozumna i dobra! To jest wprost opatrznościowe, że Ania się do nich dostała! — powiedziała szczerze jego żona. — Wyrobiła się na miłą i dzielną dziewczynę.

— Mowna i wesoła — w miarę — podkreślił źwięźle Zymek.

— Jedziemy do Malinek na ślub Halki, ale myślę, że i młodszej siostrze prędko zaśpiewają *Veni Creator!* Oby tylko była szczęśliwsza, niż jej biedna matka! — ciepły ton brzmiał w słowach pani Rozalji.

Ślub Halki odbył się w wiejskim kościółku tak przystrojonym w zieleń i w kwiecie, że zdawał się być jednym olbrzymim, wonnym bukietem. Panna młoda w białej mgle ślubnego welonu rwała ku sobie wszystkie oczy. Różaność jej twarzy była „słabym odblaskiem ognia, gorejącego w sercu pana młodego“, jak wyjawił pan Alfred, który na widok, ukazującej się oblubienicy — padł bezsilny na fotel. Scena błogosławieństwa straciła znacznie na stosowanej częstokroć łzawności, wobec tak wesołego początku. Promienna wesołość — ta najczarowniejsza podpora stroskanej ludzkości — zapanowała w starym dworze niby upragniona Bogini, otoczona trzema Gracjami: Krzyśka w malinowej tualecie — jak przystało pani na Malinkach, złotorzęsa Vera — w złocistej z Niel’ami

i błękitnooka Ania — w niebieskiej gazie — niby skrawek nieba, opadły na ziemię.

Ale i honorowe damy nie psuły harmonji: Pani Rozalja — we fioletach, sama fiołek w życiu, pani Janina — szmaragdowa, wieczna optymistka i, połyskująca stalą jedwabiu panna Balbina — jako ta stal rzetelna, a miękka niby jedwab. Cóżby rzec można o mężczyznach w wytwornej czerni fraków że śnieżnym na nich znakiem bukiecików ślubnych?! Stanowili oni wspaniałe tło dla tego pięknego obrazu, porywającego barwami. Nawet rycerska postać dziadka Wojciecha, malowana przez mistrza, Wojciecha Kossaka i zawieszona w jadalnej sali na miejscu jego zgonu, zdawała się brać żywy udział w tej uroczystości rodzinnej. Toteż uczta wieczorna, która zgromadziła całe zebrane grono przy zasypanym kwiatami stole, była — w najszerszem tego słowa pojęciu . —

## UCZTA WESELNA!

Po wielu okolicznościowych i poważniejszych „na chwałę Ojczyzny“, wzniesionych toastach, pan Alfred zaproponował ochoczo:

— A teraz, gdy nam perlisty szampan podniecił fantazję, możebyśmy wstąpili w szranki indywidualnego turnieju! Oto każdy bez wyjątku z zebranych tu biesiadników ma wygłosić toast na cześć najżywszego swego umiłowania, lub najcenniejszej wedle niego, zalety ducha, albo ciała! Kolejność i długość przemówień — dowolna. Wymawiać się nie wolno. Cóż państwo na to?!

— Zgadzamy się! Doskonale! Pyszna zabawa! — rozległy się głosy.

— Wujcio zawsze ma bajeczne pomysły! — zapaliła się do projektu Krzyśka.

— Ja rezerwuję swój głos na zakończenie — oznajmił, chrząknąwszy stryj Benedykt.

— Dobrze. Niech tedy zaczyna wnioskodawca! Wujciu Fredziu! Prosimy!

Pan Alfred podniósł się z kielichem w ręku i obiegł wzrokiem długi stół dookoła. Oczy zielone, czarne, siwe, piwne, orzechowe i szafirowe wpatrywały się weń z wyczekującą ciekawością.

— Wznoszę toast — rzekł, poważniej niż wszyscy sądzili — na cześć Tężyzny! Byłem jej wielbicielem od lat najmłodszych i — śmiem twierdzić — wiernym adeptem! Dopiero, tu w Polsce, po kilku latach, załamałem się nieco

i zdradziłem swoją bogdankę, lecz powróciłem już do niej z poprzedniem, niezłomnem, mam nadzieję, uczuciem. Historja mego rodu powtórzyła się na mnie z tak przedziwną dokładnością, że zwolennicy reinkarnacji mogliby w niej znaleźć niezły przyczynek do swych fantastycznych teoryj. Jak ów przodek przed czterema wiekami stanąłem ogołocony, bezdomny wygnaniec przed borem życiowych trudności! I przy mym boku była oddana sercem, mężna niewiasta i nam zakwitła — tu uśmiechnął się do Ani — blado-różowa czereszeńka.

— Wcale nie załamałeś się, Fredziu, tylko zachorowałeś! To ogromna różnica! — wpadła mu w słowo jakby z urazą żona.

— Naturalnie, tatusiu! I to dopiero wtedy tatuś sobie na tę chorobę pozwolił, gdy skończyłam klasztor i przeszłam kurację w Zakopanem — dodała równie wymownie przybrana córka.

— Moje panie! Nie wolno przerywać toastów! To zasada gry! Proszę o tem pamiętać! Więc niech nam żyje, kieruje nami i wciela się w impulsywne, słowiańskie natury owa Tężyzna Ducha, czyniąca z doświadczonego ciężkim losem człowieka, bojownika i filozofa zarazem! Wiwat!

— Wiwat! Niech się rozkrzewia wśród naszej młodzieży! — powtórzyli chórem, powstający z miejsc biesiadnicy.

— Niech żyje prawda! — zakrzyknęła pani Vera z zapałem. — Prawda-bogini surowa i czysta! Nie sprzedałam cię za garść soczewicy, o Prawdo! nawet wówczas gdyś mi tak ciężyła, jakbyś miała wagę marmuru!

— Rozkwitaj, Wiedzo i panuj! Bądź nam gwiazdą przewodnią w otaczających nas tajemnicach wszechbytu! — wzniosła toast pani Krystyna. Wysmukła i prosta, z pałającemi entuzjazmem siwemi źrenicami, wyglądała niby ożywiony symbol zwycięskiego postępu w Nauce.

— Żyj, Sztuko wiecznie! Jedynie Ty zapalasz ognie boskiej twórczości w szarym prochu, jakiem jest człowieczeństwo! Cześć ci, Piękno w każdym przejawie! Kocham cię najgoręcej na świecie! — rzuciła z uniesieniem Halka.

— Najgoręcej?! — powtórzył z udaną zgrozą pan Alfred. — A to istotnie miła niespodzianka, Janku!

— Dla mnie rzecz znana, gdyż usłyszałem te słowa po oświadczynach — powiedział z niezamąconym spokojem pan młody. — Halka ostrzegła mię również, że ma wstręt do kuchni, do gospodarstwa i nie ma „siły“ zajmować się domem. Jest bowiem „niepoczytalna“ jak to określa, gdy wkroczy w fazę natchnienia.

— Od wieczora do poranku śpiewam sobie: Otwórz, Janku! Otwórz, Janku! — nucił z humorem znaną piosenkę Michał. — A ty, biedny szwagrze, przecierając talerze, będziesz wołał i to napróżno: Otwórz, Halko! Ty natchniona! Ty malarko!

— Wznieś lepiej jakiś rewelacyjny toast, dowcipny braciszku! — poradziła mu panna młoda wśród ogólnego śmiechu.

— W górę serca! — krzyknął ochoczo, podnosząc się z krzesła i odrzucając wtył złotą czuprynę. Z jego młodzieńczych, niebieskich źrenic spływały promienie dobroci.

— Wiwat! — przyklasnęli wszyscy.

— Dobrze ci odpowiedział. Żyj nam długo, kochany raptusie! — przemówił serdecznie Pawełek. — Cóż my będziemy sławili? — zwrócił się pytająco do Janka. — Chyba Opanowanie i Wolę!

— *In vino veritas,* drogi szwagrze! Ale — wstał i podniósł wysoko kielich do góry. — Pozwolę sobie wznieść oprócz tego inny toast. Cześć miłości Przedborów! Miłości — czystszej, gorętszej i potężniejszej, niż wszystkie ziemskie rachuby! — stał jeszcze chwilę bez ruchu, skła-

dając milczeniem powtórny hołd, sławionym przez siebie ideom.

— Przyłączam się! — zabrzmiał znienacka głos Zymka, który wnet usiadł zpowrotem na krześle, jakby zaskoczony wlasnem uniesieniem.

Matka obrzuciła go przelotnie wzrokiem, którego czułą, współczującą głębię pochwycił li tylko pan Alfred jako wytrawny i lotny w obserwacji psycholog.

— Zdaje mi się, Janku, że kocham cię więcej, niż nam się obojgu zdaje! — szepnęła Halka końcami warg, jak mak szkarłatnych i zarysowanych śmiało.

Odpowiedział jej tylko wejrzeniem, którego blask zapalił na jej policzkach lunę mocniejszego rumieńca.

Pan Kazimierz odsunął z hałasem krzesło:

— Jestem i pozostanę niepoprawnym czcicielem Szczodrości! — wyznał otwarcie. — Wspaniałomyślny i szczodry jak Polak! mawiano dawniej. Widocznie zostały mi tradycyjnie te zalety, bo powojenna „aptekarska“ gościnność nie zachwyca mię wcale! Szeroki gest! — powiódł ręką przed sobą. — Na „czarną godzinę“ zaoszczędziłem niewiele! — uczynił ruch lekceważący i, zasiadając przy stole wśród grzmotu oklasków, spojrzał na Pawełka z wyrzutem:

— A czyja wina?! Mówiłem, prosiłem, przedstawiałem: — Bierz fabrykę do licha, a mnie wyznacz rentę! Nie chciałeś, prawda?! On „liczy tylko na siebie!“ Jak wam się to podoba, moi państwo?! — przesunął palcami po czubie.

— Niech się wuj nie martwi, kochany wuju! — chłopięca, wdzięczna twarz Krzyśki przechyliła się zlekka ku niemu. — Kasa ojczulka też dla nas otwarta, ale my o tem słyszeć nie chcemy. Tylko Nini uczy się chodzić na pasku, my starsi, sami walczymy z życiem! Inwestycje,

jakie Pawełek zaprowadził w Malinkach, pochłonęły moc pieniędzy i mamy poważne zobowiązania. Ale wybrniemy sami, o ile nie mylą nas kalkulacje, a zresztą — popatrzyła figlarnie na pannę Balbinę — tak mówi nasz Wielki Rachmistrz Koronny.

— Doprawdy?! Nie nęka pani myśl o zachwianiu się złotego, albo o inflacji i dewaluacji?! — zagadnął pan Alfred podstępnie.

— Bynajmniej! — odparła zwycięskim tonem panna Balbina. — Konwie z mlekiem zbyt są solidne, aby się zachwiać. Królewskie karpie nie obawiają się dewaluacji, bo wciąż im przybywa na wadze, a inflacja wśród królików mocno jest pożądana!

— Wielkie nieba! Panno Balbino, co się z panią dzieje?! Nie słyszałem nigdy podobnie frywolnego tonu! To Fredzio (byli z sobą po imieniu, gdyż starszy odeń pan Kazimierz to mu zaproponował, uważając, że taki jest zwyczaj „w rodzinie!“) rozsiewa zarazki dowcipu!

— Bisieńko! Proszę bronić swego autorskiego prawa!— wołała rozbawiona Ania.

— Czy ta mała także chce „liczyć tylko na siebie“, Fredziu?! — zapytał, marszcząc posępnie brwi pan Więcławski.

— Rodem kurki czubate! — odparł pan Alfred takim tonem, jakgdyby potępiał zatwardziałych złoczyńców.

— Odbiegacie od gry, moi państwo! — klasnęła w dłonie Krzyśka. — Przyzywam do porządku całe zgromadzenie!

— Jako wielbicielka rodzinnego gniazda, zachęcam obecnych do wzniesienia okrzyku: Niech żyje polska rodzina! — wygłosiła z zapałem pani Kazimierzowa.

— Cześć pracy! — zabrała głos panna Balbina. — Oby przestała być wreszcie „przekleństwem“ ludzko-

ści, a stała się dla niej radosną, chociaż mozolną twórczością!

— Wielbmy tedy Obowiązek, jako jej towarzysza! — wzniosła toast stryjenka Rozalja. — Surowym i niedostępnym jest urok jego dla profanów, podobnie jak muzyka Bacha. Niechże ma jaknajwięcej zwolenników swej kojącej harmonji! — zakończyła poważnie z przydźwiękiem smutku.

— Na ciebie kolej, siostrzyczko! Nie marudź! Słuchamy! — Michał przynaglał Anię.

— Niech żyje honor! Cześć mu nazawsze! — dziewczyna wstała i rozświetlonemi oczami patrzyła na portret dziadka Wojciecha.

— Cześć mu nazawsze! — podchwycili chórem uczestnicy zebrania.

— Już widzę dno skarbnicy Ludzkości! Zabraliście wszystko, moi państwo, a cóż mi pozostało? Jakże się teraz wywiążę z przerastającej moje siły konieczności? — załamał ręce pan Dominik tragicznym gestem.

— Mam myśl doskonałą! Czy pan pozwala, abym go wyratowała z tego impasu? — zainterpelowała go pani Vera z żywością, a po uprzejmem przyzwoleniu, mówiła dalej:

— W jednej z włoskich galeryj widziałam obraz, który mi utkwił głęboko w pamięci. Jak okiem sięgnąć wzburzone morze pędzi z rykiem okrutnym na samotną, wysterczającą zeń skałę. Na szczycie — stoi mężczyzna w rycerskiej, niezłomnej postawie, niedbale w ciemny płaszcz owinięty i patrzy wdal. Na co on czeka?! Ratunek, czy zguba?! Zagadka. Pojedynek człowieka z potężniejszemi odeń siłami, z Naturą, z Losem, z grozą Nieszczęścia! Nie one wszakże, ale ów rycerz Lwie Serce — jest tu bezsprzecznie zwycięzcą. Walczyć będzie bez upodlenia,

zginie — bez lęku! Czem w średniowieczu była świetlistość rycerstwa, tem w nowoczesnej historji stała się nieskazitelna moc dżentelmena. W naszych powojennych czasach wyrzucono ją za nawias, jako zbędny luksus, niestety! Niechże mi wolno będzie wznieść toast na cześć prawdziwego dżentelmena, jakim jest, był i do śmierci zostanie — nasz kochany ex-król kopalniany! Wiwat pan Dominik Żaba!

— Wiwat! Niech żyje sto lat! Niech przechowuje dalej tradycję dżentelmenerji wbrew rozpowszechniającemu się coraz bardziej — chamstwu!

— Szecherezado! Jestem olśniony i zawstydzony! — pan Dominik całował rękę swej sąsiadki z wrodzoną sobie dystynkcją. — Nie potrafiłbym skomponować tak pięknego opisu. Dziękuję stokrotnie.

Tu stryj Benedykt dźwignął powoli swą kościstą, przygarbioną postać i, odchrząknąwszy mocno, rzekł uroczyście:

— Niech żyje idea zbratania się narodów! Jeśli znajdą się sceptycy, zarzucający mi nieziszczalność tego pragnienia, to im odpowiem na to: Czyż słońce nie przyświeca jednako nad krwawem pobojowiskiem, jak i nad łanem, sprzątanym przez uznojonych żniwiarzy?! Niech tedy i ta myśl przyświeca znękanej Ludzkości! Wynalazki ostatniej doby zdają się z nią współdziałać. Samoloty, sterowce i radjo — skruszyły pojęcia granic i przestrzeni. Międzynarodowe zjazdy najwybitniejszych umysłów w dziedzinie wiedzy, kultury i sztuki, fundacje Nobla i Rockefellera — mają li tylko CZŁOWIEKA na względzie. Wołajmy zatem z całą mocą pragnienia: (— chrząknął dla nadania głosowi czystego tonu)

Niech się krzewi i rozkwita idea zbratania się Ludzkości!

— Niech kwitnie! Niech wydaje owoce! — potoczył się grzmot entuzjastycznego życzenia.

Przez otwarte okna wdzierały się oddechy silnie woniejących kwiatów i dolatywał łagodny szum leciwych drzew parku. Noc była ciepła i pogodna. Po wygwieżdżonem niebie żeglował księżyc, tułacz świetlany, żądny widoku niedosiężnej kochanki-Ziemi, a biały dom jaśniał złotawą łuną płonących w nim świateł i prawdą wzlotów — dążności, walk i czynów — patrzących śmiało w twarz Życiu — jego stałych i chwilowych mieszkańców.

KONIEC.

*Dalsze dzieje Ani ukażą się p. t.*

*„MIŁOŚĆ ANI“.*

## SPIS ROZDZIAŁÓW

# POWIEŚCI
# HISTORYCZNE
## Wacława Gąsiorowskiego
### (Wiesława Sclavusa)

**Czytać należy w następującej kolejności:**

KRÓLOBÓJCY. Tragiczne dzieje carów rosyjskich. Z ryc. Wyd. IV. 10.—, w ozd. opr. 13.—.

MIŁOŚĆ KRÓLEWICZA. (Pułaski). 12.—, w ozd. opr. 15.—.

CZARNY GENERAŁ. Powieść hist. z czasów napoleońskich. Wyd. II. 9.—, w ozd. opr. 12.—.

HURAGAN. Powieść histor. z czasów napoleońskich w 3 tomach. Wyd. V. 18.—, w ozd. opr. 27.—.

ROK 1809. Powieść histor. z czasów napoleońskich w 2 tomach. Wyd. IV. 10.—, w ozd. opr. 16.—.

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść histor. z czasów napoleońskich. Wyd. III. 7.—, w ozd. opr. 10.—.

PANI WALEWSKA. Powieść histor. z czasów napoleońskich w 2 tomach. Wyd. IV, 18.—, w ozd. opr. 24.—.

KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść histor. z czasów powstania listopadowego w 2 tomach. Wyd. II. 10.—, w ozd. opr. 16.—.

BEM. Powieść hist. z czasów powstania listopadowego. Wyd. III. 8.—, w ozd. opr. 11.—.

EMILJA PLATER. Powieść histor. z czasów powstania listopadowego. Wyd. II. 9.—, w ozd. opr. 12.—.

HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI 1910—1915. 14.—, w ozd. opr. 17.—.

**W obecnej chwili drukujemy:**

KRÓLOBÓJCY, wyd. V. — NOWA KOLCHIDA, rzecz o Ameryce współczesnej.

*WYDAWNICTWA DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ*